



# RAZ WIEDZMIEM ŚMIERĆ

KRONIKI  
ŻELAZNEGO  
DRUIDA

KEVIN HEARNE



KEVIN HEARNE

# RAZ WIEDŹMIE ŚMIERĆ

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

*Mojemu ojcu,  
który nie zdążył zobaczyć tych książek,  
ale nim nas opuścił, wiedział już,  
że jego syn zrealizował swoje marzenie.*



## Wskazówki dotyczące wymowy

Podobnie jak w przypadku irlandzkich słów w *Na psa urok*, bardzo bym nie chciał, żeby ktokolwiek patrzył na nagromadzone tu polskie, rosyjskie i irlandzkie słowa i myślał sobie: „Czy ja naprawdę muszę wymawiać to wszystko poprawnie?” Nie, nie musisz. Chciałbym, żeby moi czytelnicy po prostu dobrze się bawili, czytając tę książkę, a jeśli wolisz sobie, Drogi Czytelniku, czytać wszystkie te słowa po swojemu, to na zdrowie. Jeśli jednak należysz do tego pokroju ludzi, którzy muszą wiedzieć dokładnie, jak brzmią kwestie wypowiedane przez poszczególnych bohaterów, to właśnie dla Ciebie przygotowałem wskazówki.

### Wyrażenia irlandzkie

Bean sidhe = Banszii

Dóigh = doj (palić)

Dún = dun (zamykać)

Freagróidh tú = fragrojt (odpowiesz)

Múchaim = muhem (gasić)

### Najważniejsze wynalazki irlandzkie

Fragarach = Fragarah (imię miecza: Prawdomówny)

Moralltach = Moreltoh (imię miecza: Potężny Gniew)

### Bóg irlandzki

Goibhniu = Gawnju (członek Tuatha Dé Danann; mistrz kowalstwa i browarnictwa)

Pozostałe zwroty w języku polskim, rosyjskim i niemieckim można znaleźć w postaci plików dźwiękowych na mojej stronie [kevinhearne.com](http://kevinhearne.com), jeśli się akurat ma ochotę na nią zajrzeć.

# Rozdział 1

Okazuje się, że jak się już zabije jakiegoś boga, to nagle wszyscy chcą z tobą porozmawiać. Facet od paranormalnych ubezpieczeń usiłuje cię namówić na specjalną „polisę dla pogromców bogów”. Jakieś cwaniaczki wciskają człowiekowi raptem „bogoodporną” zbroję i zachęcają do wynajęcia superbezpiecznego domu nie z tego świata. A przede wszystkim wszyscy inni bogowie najpierw niby zaczynają od gratulacji, że co za osiągnięcie, potem natychmiast ostrzegają, żeby na nich żadnego takiego draństwa nawet nie próbować, a zaraz potem wychodzą z jakimiś koszmarnymi propozycjami zabicia tego czy owego rywala – za pomocą takiegoż dokładnie draństwa.

Gdy tylko po wszystkich panteonach rozeszła się plotka, że zlikwidowałem nie jednego, ale aż dwóch spośród Tuatha Dé Danann – a przy tym tego potężniejszego posłałem do chrześcijańskiego piekła – zaczęli mnie nachodzić najrozmaitsi magnaci, heroldowie i ambasadorzy z niemal wszystkich systemów wierzeń. I każdy chciał tego samego: żebym ich zostawił w spokoju, ale za to zabrał się za kogoś innego, a jeśli uda mi się pozbyć tego nieśmiertelnego czyraka, który ich świerzbi od tyłu stuleci, zostaną hojnie nagrodzony, spełnią się wszystkie moje marzenia itd., itp. i ble ble.

Wszystkie te teksty o nagradzaniu to jedna wielka ściema. Brighid, celtycka bogini poezji, ognia i kuźni, obiecała mi kiedyś, że hojnie mnie wynagrodzi, gdy tylko zabiję Aenghusa Óga, ale oczywiście nie dała znaku życia od trzech tygodni, czyli odkąd Śmierć zabrał go ze sobą do piekła. Codziennie niemal nachodzili mnie bogowie całego świata, ale żeby choć słowo od mojej własnej bogini... Nie. Ani mru-mru.

Japońskie bóstwa chciały, żebym dokopał chińskim, i odwrotnie. Starzy bogowie z Rosji kazali mi niezwłocznie spuścić manto węgierskim. Grecy sugerowali, że czas wreszcie dobrać się do skóry tym ich rzymskim kopiom, i w ogóle to z całego serca pragnęli się pogrążyć w jakiejś szalonej, wyniszczającej bratobójczej walce. Aha, i jeszcze ci kolesie z Wyspy Wielkanocnej uparli się, że mam koniecznie sprzątnąć jakieś gnijące słupki totemiczne gdzieś w okolicach Seattle. Ale wszyscy – a przynajmniej na to wyglądało – chcieli, żebym zaczął od Thora. Chyba już cały świat miał dość jego draństwa.

Wśród zwolenników tego morderczego planu znajdował się także mój prawnik – Leif Helgarson. Był to stary islandzki wampir, który pewnie kiedyś nawet czcił Thora i który nie raczył mi jak dotąd wyjaśnić, dlaczego teraz żywił do niego tak obsesyjną nienawiść. Leif dbał o mój wizerunek praworządnego obywatela, regularnie ćwiczył ze mną fechtunek, dzięki czemu nie wychodziłem z wprawy w walce mieczem, a od czasu do czasu w ramach zapłaty wypijał kielich mojej krwi.

Pierwszego wieczora po Samhain czekał na mnie na mojej werandzie. Było już dość chłodno, ale ja miałem wyborny nastrój, bo w tym roku naprawdę było za co dziękować. Podczas gdy amerykańskie dzieciaki zajmowały się poprzedniej nocy wyłudzeniem łakoci pod pretekstem Halloween, ja skupiłem się w pełni na moich prywatnych obrzędach ku czci Morrigan i Brighid, szczęśliwy, że mogę je tej nocy odprawić w towarzystwie mojej nowej uczennicy. Granuaile wróciła na Samhain z Karoliny Północnej i choć może dwie osoby to trochę mało jak na porządny druidzki gaj, to i tak było to dla mnie najlepsze święto od wielu stuleci. Byłem przecież jedynym prawdziwym druidem, jaki pozostał na świecie, i sama myśl o tym, że założę nowy gaj, po tylu latach samotności w tym fachu napawała mnie nadzieją. Toteż gdy Leif powitał mnie bardzo oficjalnie z mojej werandy, gdy tylko wróciłem z pracy, być może zareagowałem bardziej żywiłowo, niż powinienem.

– Siemanko, Leif, ty stary draniu, jak idzie bajka? – Uśmiechnąłem się do niego szeroko, hamując i zeskakując z roweru. Uniósł brwi i tak spojrzał na mnie znad swego długiego nordyckiego nosa, że natychmiast pojąłem, iż pewnie nie jest raczej przyzwyczajony do tak nonszalanckich zwrotów powitalnych.

– Nie jestem żadnym draniem – odrzekł wyniośle. – Być może starym, to tak, lecz bynajmniej nie draniem. I choć miewam się dobrze – kącik jego ust drgnął ku górze – muszę wyznać, iż nie jestem nawet w połowie tak lekkiego serca jak ty.

– Lekkiego serca? – Teraz to ja z kolei uniosłem brwi. Leif prosił mnie kiedyś, żebym zwracał mu uwagę na wszelkie jego zachowania, które nadmiernie sygnalizowałyby podeszły wiek.

Ale wyglądało na to, że ta chwila nie jest akurat odpowiednia na tego typu uwagi. Wypuścił powietrze ze świstem na znak, że trochę się zirytował, co wydało mi się bardzo zabawne, jako że przecież i tak w ogóle nie oddychał.

– Dobrze więc – powiedział. – Nie tak wesół jak ty.

– Nikt już by tak nie powiedział, Leif, no chyba że takie stare pierdoły jak my. – Oparłem rower o werandę i przeskoczyłem te trzy schodki, żeby usiąść obok niego. – Naprawdę powinieneś popracować trochę nad tym, żeby lepiej się wtapiać w tłum. Podejść do tego poważniej. Kultura masowa mutuje dziś znacznie szybciej. To już nie średniowiecze, kiedy można było liczyć na to, że Kościół i arystokracja będą robiły wszystko, by świat się nie zmieniał.

– Dobrze więc, skoro zatem jesteś słownym akrobatą balansującym na linii zwanej Zeitgeistem, jak według ciebie powinienem być odpowiedzieć?

– Przede wszystkim przestań używać takich słów, jak „wyznać”, „zatem” i tak dalej. Nikt już tak nie mówi.

Leif zmarszczył brwi.

– Cóż zatem miałbym rzec zamiast słowa „zatem”?

– No, nie wiem, na przykład „więc”.

– W takim wypadku w moim zdaniu wystąpiłoby niezgrabne powtórzenie.

– Wiem przecież, ale w dzisiejszych czasach ludzie nie dbają o takie rzeczy. Powiedz im coś o powtórzeniach, a popatrzą na ciebie jak na głupka.

– Wnoszę z tego, że poziom edukacji znacząco się obniżył.

– Mnie to mówisz? W każdym razie powinieneś być odpowiedzieć: „W porzo, stary” albo najlepiej: „Żytko w kielonku”.

– Jakie żytko w jakim kielonku?

– To taki cytat z pewnego utworu popkulturowego.

– Z utworu po... jakiego?

– Mniejsza o to. – Wzruszyłem ramionami. – Sęk w tym, że jak będziesz nadal posługiwał się zwrotami z dziewiętnastego wieku, ludzie zaczną podejrzewać, że jesteś jakimś starym draniem.

– Przecież i tak właśnie tak o mnie myślą.

– Bo pojawiaasz się znikąd i wysysasz im krew? – spytałem niby to zupełnie niewinnym tonem.

– Otóż to – potwierdził Leif, niewzruszony moim sarkazmem.

– Nie, Leif. – Pokręciłem głową z pełną powagą. – Do tego dochodzą znacznie później, jeśli w ogóle. Ludzie uważają cię za starego drania, bo zachowujesz się dziwacznie, a jeszcze gorzej wysławiasz. Od razu wiedzą, że nie jesteś jednym z nich. I wierz mi, nie chodzi o to, że masz cerę jak odłuszczone mleko. Tu, w Dolinie Słońca, masa ludzi się przejmuje rakiem skóry.

To normalne. Ale wystarczy, że się odezwiesz, a ludzie wpadają w panikę. To brzmi, jakbyś był jakimś starym dziadem.

– Ale ja jestem starym dziadem, Atticusie!

– A ja jestem o jakieś tysiąc lat starszy i co z tego?!

Westchnął z rezygnacją, a było to westchnienie teatralne, westchnienie starego wampira, który nie musi w ogóle oddychać.

– Słuszna uwaga – przyznał.

– Wiem, że słuszna, więc mi tu nie narzekaj na wiek. Jak rozmawiam z jakimiś dzieciakami z college'u, to biedaki pojęcia nie mają, że nie jestem ich rówieśnikiem. Uznają, że pieniądze odziedziczyłem albo dostałem jako fundusz inwestycyjny, i po prostu chcą iść się ze mną napić.

– Uważam, że dzieciaki z college'u są naprawdę urocze. I ja chętnie poszedłbym się z nimi napić.

– Nie, Leif, ty chętnie byś poszedł się ich napić, a one podświadomie to wyczuwają, bo otacza cię aura drapieżnika.

Jego mina rozanielonego marzyciela zniknęła w jednej chwili i spojrzał na mnie uważnie.

– Przecież mówiłeś, że nie są w stanie wyczuć mojej aury.

– Bo nie są, w każdym razie świadomie. Ale wyczuwają twoją inność, i to głównie dlatego, że się nie wyrażasz ani nie zachowujesz odpowiednio do swojego wyglądu.

– To na ile wyglądam?

– Yyy... – Przyjrzałem mu się uważnie, szacując ilość zmarszczek. – Na coś tak pod czterdziestkę.

– Tak staro?! Zmieniłem się w wampira, gdy miałem ledwie dwadzieścia parę lat!

– Czasy wtedy były ciężkie. – Znów wzruszyłem ramionami.

– Z pewnością masz rację. Przybyłem tu w twe progi, by zamienić dwa słowa odnośnie do tych właśnie pryncypów zamierzchłych.

– Leif?! – Ze zdenerwowania aż przewróciłem oczami. – Może powinienem skoczyć się przebrać w jakąś upiorną bonzurkę i wyciągnąć fajkę? Posłuchaj samego siebie, Leif! Chcesz się wtapiać w tłum czy nie? „Przybyłem tu w twe progi”? Kto w dzisiejszych czasach używa takiego zwrotu, do cholery?

– Ale co z nim nie tak?

– To brzmi zbyt archaicznie! Nie mógłbyś powiedzieć „przyszedłem” albo jeszcze lepiej „wpadłem do ciebie”.

– Ale wtedy tracę taki ładny amfibrach!

– Bogowie niejedyni! To ty układasz wypowiedzi białym wierszem? Nic dziwnego, że nie jesteś w stanie nawet przez pół godziny pogadać z żadną studentką! One są przyzwyczajone do paplania z chłopakami z uniwerku, a nie z szekspirologami!

<Atticus? Wróciłeś?> odezwał się mój wilczarz irlandzki Oberon, który porozumiewał się ze mną poprzez specjalne myślowe łącze. Siedział pewnie pod drzwiami i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Przeprosiłem Leifa na chwilkę i zwróciłem się do niego.

*Tak, Oberon, już jestem. Na werandzie jest Leif i zachowuje się jak stary dziad.*

<Wiem, że tu jest. Już go wcześniej wyczułem. Śmierdzi jak Eau de Trup czy coś. Ale nie zaszczekałem ani razu, tak jak kazałeś>.

*Dobry piesek. Chcesz wyjść tu do nas na zewnątrz?*

<Jasne!>

*Ale ostrzegam, że zanoszą się na jakieś nudy. Leif powiedział, że chce o czymś ze mną rozmawiać, i wygląda wyjątkowo ponuro i nordycko. Nawet jak na niego.*

<Spoko. Możesz przecież w tym samym czasie podrapać mnie po brzuchu. Obiecuję, że nie będę się ruszał>.

*Dzięki, chłopie. A ja obiecuję, że pójdziemy pobiegać, jak tylko Leif już sobie w końcu pójdzie.*

Otworzyłem drzwi i wyskoczył zza nich Oberon, strasznie wymachując ogonem, niepomny na to, że wali nim Leifa w ramię.

<Pobiegnijmy do Town Lake, jak tylko ten zdechłak skończy gadać. A potem do Rúli Búli>. Był to nasz ulubiony irlandzki pub, do którego niestety już nie miałem wstępu.

*Ale oni tam nadal są na mnie wściekli za to, że im ukradłem Granuaile. Była ich najlepszą barmanką.*

<Co? Nadal? Przecież to było całe wieki temu>.

*Nie minęły nawet trzy tygodnie – przypomniałem mu. Psy mają słabe poczucie czasu. – Ale pozwolę ci pobiegać wokół pola golfowego i jeśli dorwiesz jakiegoś królika, jest twój. No to kładź się i wystaw brzuch, bo muszę pogadać teraz z Leifem.*

Oberon posłusznie padł na ziemię, aż zaskrzypiały deski werandy między moim krzesłem a tym, na którym usiadł Leif.

<Ale super! Nie ma nic lepszego niż drapanie brzucha. No może z wyjątkiem francuskich pudlic. Pamiętasz Fifi? Stare, dobre czasy>.

– Dobra, Leif, Oberon jest już szczęśliwy – powiedziałem, drapiąc mojego psa po żebrach. – To o czym chciałeś rozmawiać?

– To w zasadzie bardzo proste – zaczął – ale, jak to zwykle bywa z prostymi sprawami, zarazem i skomplikowane.

– Czekaj. Od razu wyeliminujmy wyrazy, których nie powinieneś używać. Zapomnij o „w zasadzie” i o „zarazem” – doradziłem mu troskliwie.

– Wolałbym nie, jeśli nie będziesz mi miał tego za złe. Jako że i tak nie jestem zmuszony ukrywać przed tobą swej prawdziwej natury, nie będziesz miał, tuszę, nic przeciwko temu, bym mówił tak, jak lubię?

– Oczywiście, że nie – zapewniłem go i ugryzłem się w język, nim wymknęła mi się uwaga, że naprawdę nie powinien używać tego nieszczęsnego „tuszę”. – Przepraszam, Leif, ja tylko staram się ci jakoś pomóc, rozumiesz?

– Tak, i doceniam twoje starania. Lecz to, co mam do powiedzenia, będzie trudne i bez przepuszczania mych słów przez filtr analfabetyzmu. – Wziął głęboki, zupełnie niepotrzebny oddech i zamknął oczy, gdy powoli wypuszczał z siebie powietrze. Wyglądał tak, jakby starał się skoncentrować i odnaleźć odpowiednią czakrę. – Wiele jest powodów, dla których zwracam się do ciebie o pomoc, a jeszcze więcej przyczyn, dla których powinieneś niezwłocznie przystać na moją propozycję, ale te ostatnie mogą chwilę poczekać. Pozwolę przedstawić sobie tę sprawę w skrócie – powiedział, otwierając oczy i zwracając się ku mnie. – Chcę, byś pomógł mi zabić Thora.

<Ha! Powiedz mu, że będzie się musiał ustawić w kolejce!> mruknął Oberon i zarechotał, jak to zawsze on, gdy go coś wyjątkowo ubawi.

Na szczęście Leif nie domyślił się, że mój pies się z niego śmieje.

– Hmm – odparłem. – Thor wzbudza dość mordercze myśli. Nie jesteś pierwszą osobą, która sugeruje mi taki czyn i to w ciągu zaledwie dwóch ostatnich tygodni.

Leif skoczył na równe nogi.

– I to jest właśnie jeden z wielu powodów, dla których powinieneś się zgodzić mi pomóc. Będziesz miał rozlicznych sprzymierzeńców, gotowych dostarczyć ci wszelkiej potrzebnej pomocy, a jeśli ci się uda, zdobędziesz tłum wdzięcznych wielbicieli.



– A jeśli nie, to tłum żałobników? Skoro tak go wszyscy nienawidzą, to niby czemu jeszcze nikt inny nie dokonał tego czynu?

– To przez Ragnarök – odpowiedział natychmiast Leif, najwyraźniej dobrze przygotowany na to pytanie. – Przez tę całą przepowiednię wszyscy się go boją, a on stał się po prostu nieznośnie arogancki. Wszystkim się wydaje, że skoro Thor będzie tu jeszcze podczas końca świata, to do tego czasu nikt mu nic nie może zrobić. Ale to są duby smalone...

Nie zdołałem powstrzymać uśmiechu.

– Czy ja dobrze słyszę? Powiedziałeś, że Ragnarök to duby smalone?

Oberon znów zarechotał po swojemu.

Leif puścił moje pytanie mimo uszu.

– Nie wszystkie przepowiednie zawarte w tym proroctwie mogą się sprawdzić, tak jak tylko jeden z możliwych światów istnieje naprawdę, o ile w ogóle któryś istnieje. Nie mogą nam wiązać rąk jakieś bajki zrodzone w zmarzniętych na kość mózgach moich przodków. Możemy zmienić to w każdej chwili.

– Słuchaj, Leif, wiem, że przygotowałeś sobie całą sagę powodów, dla których mam to niby zrobić, ale czuję, że nie będę w stanie wziąć sobie do serca żadnego z nich. Po prostu w moim odczuciu to nie należy do moich obowiązków. Aenghus Óg i Bres przyszli do mnie i wyzwali na ubitą ziemię, a ja tylko ją zakończyłem. I, wiesz, to naprawdę mogło się zupełnie inaczej skończyć. Nie było cię tam... mało nie zginąłem. Przecież chyba nie sposób nie zauważyć niektórych dowodów na to, że nie było łatwo, nie? – Wskazałem na moje zniekształcone prawe ucho. Odgryzł mi je demon, który wyglądał jak maskotka Iron Maiden, a mnie, mimo usilnych starań, udało się wytworzyć w tym miejscu jedynie żalonną bryłkę chrząstki.

(Łapałem się już nawet na tym, że podśpiewuję sobie: „Don't waste your time always searching for those wasted ears”<sup>\*</sup>).

– Owszem, zauważyłem je – mruknął Leif.

– Mam kupę szczęścia, że skończyło się na tak niewielkich obrażeniach. I choć nie zapłaciłem zbyt wysokiej ceny za zabicie Aenghusa, miałem przez to kilka nieprzyjemnych wizyt najróżniejszych bogów. A i tak tylko dlatego, że jeszcze jestem płótką. Masz pojęcie, co by się stało, gdyby udało mi się pokonać kogoś tak poważnego jak Thor? Pozostali bogowie wykończyliby mnie zbiorowo po prostu po to, żeby zlikwidować potencjalne zagrożenie. Zresztą wydaje mi się, że zabicie go jest fizycznie niemożliwe.

– Ależ oczywiście, że jest – zaprotestował Leif, unosząc palec i wymachując mi nim przed nosem. – Nordyccy bogowie niczym się pod tym względem nie różnią od waszych Tuatha Dé Danann. Są wiecznie młodzi, ale poza tym można ich bez trudu zabić.

– Może i początkowo tak było – zgodziłem się ostrożnie. – Czytałem trochę na ten temat i mam świadomość, że ciebie interesuje Thor wersja 1.0. Ale wiesz dobrze, że teraz istnieje już o wiele więcej wersji Thora, zupełnie tak jak liczne wersje Kojota i Jezusa, Buddy czy Elvisa. Nie wyobrażaj sobie, że wpadniemy do Asgardu, zabijemy Thora 1.0, a potem, jakimś cudem, uda nam się uniknąć reszty nordyckiego panteonu i spokojnie sobie wrócimy do Midgardu. Tu może już na nas czekać Thor wersja komiksowa i rozgromić nas w jednej chwili za to, że nie byliśmy uprzejmi dla jego oryginalnej wersji. Pomyślałeś o tym?

Leif popatrzył na mnie zupełnie zbity z pantafelku.

– To Thor ma wersję komiksową?

– No, jasne, jak mogłeś przeoczyć ten fakt? I jest też film oparty na komiksie. Tu, w Stanach, zrobili z niego coś jakby bohatera i ta wersja znacznie odstaje od tego dupka, jakim jest w oryginale. Jest na tyle miły, że z pewnością palcem nie ruszy, póki go jakoś nie sprowokujemy, ale wdarcie się do Asgardu będzie wystarczającą prowokacją.

– Hmm. Powiedzmy, że byłbym w stanie zorganizować koalicję różnych stworzeń, które chętnie wzięłyby udział w inwazji na Asgard, a następnie wróciłyby z nami do Midgardu. Czy w takim wypadku mógłbym liczyć na twoją pomoc?

Pokręciłem głową bardzo powoli.

– Nie, Leifie, bardzo mi przykro, ale nie. Nadal żyję między innymi dlatego, że nigdy nie nadepnałem na odcisk żadnemu bogu piorunów. Należy to do moich najlepszych strategii przetrwania i nie zamierzam jej zarzucić. Ale jeśli mimo wszystko chcesz wprowadzić swój plan w życie, to radzę unikać Lokiego. Będzie udawał, że jest po twojej stronie, ale przy pierwszej lepszej okazji wygada wszystko Odynowi, a wtedy cały panteon rzuci się na ciebie z drewnianymi kołkami w dłoniach.

– Wydaje mi się to lepszym wyjściem niż kontynuowanie życia obok niego. Chcę zemsty.

– Zemsty za co tak właściwie? – Zwykle nie próbuję nawet wnikać w wampirzą psychologię, bo jest nieznośnie przewidywalna. Chodzi im w zasadzie tylko o dwie rzeczy: władzę i terytorium. Ale sęk w tym, że wampiry lubią, jak się im zadaje pytania, bo wtedy mogą na nie odpowiedzieć i tworzyć wokół siebie ogólną aurę tajemniczości.

Leif jednak nie miał szansy wykonać tego manewru, choć wyraźnie miał na niego ochotę. Już otwierał usta, by powiedzieć, że nic mi nie powie, gdy jego wzrok zsunął się na moją szyję, a potem niżej, na amulet z zimnego żelaza. W tej samej chwili poczułem, że skóra między moimi obojczykami się rozgrzewa – ba! płonie.

– O – powiedział Leif, któremu chyba po raz pierwszy od wieków zabrakło słów – czemu twój amulet tak błyszczy?

Poczułem, że moje ciało zalewa gorąco niczym w sierpniowe południe, na czoło wystąpiły mi krople potu, a w uszach zabrzmiał jakiś okropny dźwięk przypominający skwierczenie. Po chwili doszło do mnie, że to moja skóra smaży się jak bekon. Instynktownie chciałem natychmiast zerwać naszyjnik i rzucić go na trawnik, ale opanowałem się, bo wiedziałem, że ten płonący kawał zimnego żelaza – ta antyteza wszelkiej magii – jest pewnie jedyną rzeczą, która trzyma mnie tak naprawdę przy życiu.

– Ktoś mnie atakuje! Magicznie! – zdołałem wysyczeć przez zaciśnięte zęby, kurczowo chwytając oparcie krzesła, aż mi zbladły kłykcie, i ze wszystkich sił próbując się skoncentrować na blokowaniu bólu. Nie chodziło mi tylko o to, żeby uspokoić panikujące nerwy (jeśli ból mnie pokona, już po mnie). Ból to najprostszy i najszybszy sposób, by pobudzić jądra podstawne, a kiedy już one zaczęłyby rządzić, to zamknęłyby wszelkie wyższe funkcje kory mózgowej i sprowadziłyby całą pracę mózgu do podstawowego wyboru narzucanego przez instynkt: walczyć czy uciekać?, co z kolei pozostawiłoby mnie w stanie zupełnego ogłupienia i nie byłbym nawet zdolny wyjaśnić Leifowi w miarę składnie, co się dzieje, na wypadek gdyby sam się jeszcze nie zorientował). – Ktoś usiłuje mnie zabić!

\* Bardziej znane w wersji Iron Maiden: „Don't waste your time always searching for those wasted **years**” („Nie marnuj czasu na szukanie tych utraconych lat [tu: **ears** – uszu]”). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

## Rozdział 2

Leifowi natychmiast wyskoczyły kły i wystrzelił z mojego krzesła na werandzie na trawnik przed domem, przeszukując ciemność wokół, by namierzyć agresora. Oberon zerwał się na równe nogi i zawarczał w ciemną noc, by postraszyć kogo się da, wkładając w to tyle serca, że owo warknięcie wypadło naprawdę groźnie.

Ale ja już wiedziałem, że żaden z nich nikogo nie znajdzie. Ktoś atakował mnie z oddali.

– Wiedzmy! – wycodziłem, a amulet wciąż palił moją klatkę piersiową. Zakłęcie zaczynało słabnąć, a żelazo stawało się już mniej czerwone, ale smród spalonej skóry wciąż był nie do wytrzymania. Blokowanie bólu i jednocześnie odtwarzanie zwęglonej tkanki skórnej wykańczało mnie w tak szybkim tempie, że dosłownie resztką sił wstałem i zszedłem po stopniach werandy na trawnik, gdzie zsunąłem sandały i zacząłem pobierać moc z ziemi. Pochyliłem się i oparłem ręce na kolanach, licząc na to, że amulet będzie zwisał trochę dalej od ciała, ale ani drgnął – wtopiony w moją skórę. Niedobrze.

– Zgodzę się z tobą, iż padłeś właśnie ofiarą czarów typowych dla wieźm, lecz muszę wyznać, iż nie wyczuwam tu w okolicy nikogo poza zwykłymi mieszkańcami – przemówił Leif, rozglądając się wciąż wokół. – Jednakże, skoro już poruszyłeś ten temat...

– Czy to właśnie się stało? – spytałem z lekkim napięciem w głosie. – Poruszyłem temat wieźm? Bo wiesz, zdawało mi się, że stało się coś zgoła innego, to jest że właśnie jakieś cholerne wieźmy próbowały mnie spalić żywcem!

– Wybacz niefortunne sformułowanie, ale przyznam, że nie przyszło mi do głowy żadne zgrabniejsze wprowadzenie tego tematu. Składał ci dziś tę wizytę także z powodów zawodowych, ponieważ pani Malina Sokolowski przystała na twoje ostatnie warunki, nie wprowadzając już żadnych zmian ani poprawek. Jest gotowa podpisać pakt o nieagresji, gdy tylko wyrazisz swoją gotowość.

– Taa, świetnie. – Wzdrygnąłem się z bólu, gdy odrywałem od ciała srebrny łańcuszek, na którym zwisał amulet, zdzierając sobie przy tym spory płat zwęglonej skóry. – To jednak stawia jej intencje pod znakiem zapytania, nie sądzisz?

– Nie. – Leif pokręcił głową. – Nie zrobiłaby czegoś takiego niemal w przeddzień podpisania z tobą traktatu pokojowego.

– Może właśnie dlatego jest to doskonały moment, by spróbować mnie zabić. Jeszcze niczego nie podpisaliśmy, więc moim zdaniem Malina ląduje w pierwszej dziesiątce na liście podejrzanych. – Malina była nową przywódczynią sabatu polskich czarownic, które nazywały siebie Siostrami Trzech Zórz i twierdziły, że Wschodnia Dolina – lokalne określenie na miasta Tempe, Mesa, Scottsdale, Chandler oraz Gilbert – stanowi ich rewir od lat osiemdziesiątych, to jest, od kiedy tu osiadły. Kiedy pojawiłem się w mieście w późnych latach dziewięćdziesiątych, po prostu mnie zignorowały. Bądź co bądź byłem tylko jednym, nieprzejawiającym żadnej agresji facetem i co może ważniejsze, sprawiałem wrażenie, że moje zdolności nie wykraczają poza parzenie ziółek. Zadowoliliśmy się przestrzeganiem niepisanej reguły: żyj i daj żyć, póki nasze interesy nie okazały się nagle sprzeczne: w ich interesie leżało pomóc bogu, który z kolei zamierzał mnie zabić (z początku myślałem, że chciały mu pomóc, bo zaproponował im przejście przez Tír na nÓg, ale potem okazało się, że chodzi o prawo własności do Mag Mell!), ja natomiast byłem żywo zainteresowany tym, żeby jednak nie umrzeć. Wtedy właśnie odkryły nagle, że mnie nie doceniały. Było ich początkowo trzynaście, ale sześć poległo przy próbie zabicia mojej osoby i choć Malina odmalowywała przede mną wizję pełną gałązek oliwnych i gołąbków pokoju, nadal byłem święcie przekonany, że gdy tylko nadarzy się okazja, będzie

próbowała pomścić swoje siostry.

– Mam nadzieję, że nie chcesz przez to zasugerować, bym złożył jej wizytę – rzekł Leif bardzo oficjalnym tonem.

– Nie, nie, sam do niej wpadnę.

– Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło. A swoją drogą muszę zwrócić ci uwagę, że zainteresował się nami twój nadmiernie dociekliwy sąsiad.

– Masz na myśli pana Semerdjiana?

– Jego w rzeczy samej.

Spojrzałem kątem oka na drugą stronę ulicy, starając się nie poruszyć przy tym głową. Od razu zobaczyłem podejrzenie rozsunięte dwie żaluzje, a w ciemności między nimi czaiły się oczywiście jeszcze ciemniejsze oczy mego paskudnego sąsiada.

– Powiedz mi, Leif, czy on czymś nie śmierdzi? Wiesz, czymś dziwnym? – spytałem.

– Dziwnym? W jakim sensie? – zażądał uściślenia mój prawnik.

– Nie wiem, może Fae? Albo demonem?

Leif zachichotał nieco sztucznie i pokręcił głową.

– Niezmierzone są pokłady twojej paranoi.

– Lepiej, żeby nikt jej nie był w stanie zmierzyć, bo to by mogło oznaczać, że jest też w stanie mnie czymś zaskoczyć. To jak on pachnie?

Leif zmarszczył nos z obrzydzeniem.

– Jak hot dog z chili i musztardą oraz tanie, jasne piwo. Jego krew to w większości tłuszcz i alkohol.

<O. Nie miałem pojęcia, że Semerdjian tak ładnie pachnie> powiedział Oberon.

– À propos tego całego wachania krwi nie piłem nic jeszcze dziś wieczorem – rzekł Leif – więc pozwól sobie opuścić cię teraz, byś mógł się skupić na leczeniu i osobistym polowaniu na czarownice, skoro spełniłem już swój obowiązek. Lecz, nim wyruszę, pytam raz jeszcze: czy zastanowisz się chociaż nad tym, by przystać do mnie i mych towarzyszy w aliansie przeciwko Thorowi? Zrób mi tę przysługę i poświęć choć chwilę na rozpatrzenie rozlicznych korzyści takiego działania.

– Dobra, zrobię to dla ciebie – powiedziałem – i się zastanowię. Ale, powaga, Leif, że nie chcę ci tu robić nadziei. Jeśli chodzi o zabicie Thora, to muszę ci powiedzieć, że o tym zaszczycie jeszcze nie myślałem.

Lodowate spojrzenie w wykonaniu wampira jest, muszę przyznać, znacznie jakoś bardziej lodowate, niż gdy posyła je zwykły człowiek. A jeśli do tego tak się składa, że ten wampir pochodzi akurat z Islandii, czyli – jak by nie patrzeć – Krainy Lodu, to ma się w zasadzie do czynienia z esencją lodowatości i nie należy się dziwić, jeśli temperatura ciała nieszczęśnika, który ma pecha tego spojrzenia doświadczyć, spadnie o kilka stopni. Leif posłał mi takie właśnie spojrzenie, a po dłuższej chwili powiedział:

– Czy ty sobie ze mnie żarty stroisz? Gdy cytujesz Szekspira, czynisz to głównie po to, by kogoś wykpić i uwypuklić jego głupotę oraz ignorancję.

<Oj, Atticusie, trafił w samo sedno> zauważył Oberon.

– Nie, Leifie, zrozum tylko, że jest to dla mnie trochę stresująca sytuacja – wybąkałem, wskazując na mokrą od potu twarz i nadal syczący i parujący amulet, który dyndał mi na szyi.

– Powiedziałbym raczej, że kłamiesz.

– Leif, chłopie...

– Wybacz, jednakże za sprawą naszej długoletniej znajomości mam już pewną wiedzę na temat twego sposobu myślenia i wnoszę z niej, że skoro zacytowałeś właśnie Julię, to w tym celu, by zasugerować, że masz mnie za igraszkę losu, że jestem niczym Romeo, który w chwili emocji

nerozważnie rzuca się na Tybalta, by pomścić śmierć Merkucja. Czy wydaje ci się, że i ja skończę równie tragicznie jak Monteki, jeśli nie poniecham swych działań przeciwko Thorowi?

– To nie to, o co mi szło. Nie to, daję słowo – zaprotestowałem. – Choć gdybym to właśnie zamierzał powiedzieć, z pewnością zacytowałbym raczej Benwolia niż Julię i powiedziałbym: „Odstąpcie, głupcy. Sami nie wiecie, co robicie”.

Leif spojrział na mnie i zamarł w ten charakterystyczny sposób, w jaki mogą zamrzeć tylko zmarli.

– Zawsze wołałem *Hamleta* – powiedział w końcu. – „O, teraz bym gotów pić krew i takie rzeczy wykonywać, na których widok dzień by zbladł”. – Obrócił się na pięcie i ruszył szybko (może nieco zbyt szybko jak na normalnego człowieka) w stronę drzwiczek swego czarnego kabrioletu, jaguara XK zaparkowanego na ulicy, i już przy nim syknął jeszcze: – Żegnaj! – Po czym wskoczył do środka, odpalił silnik i z zabójczym piskiem opon ruszył.

<Chłopie, gdyby to był pojedynek na cytaty z Szekspira, to musiałbym przyznać, że powalił cię na łopatki>.

*No, wiem. Ale udało mi się przemycić parę słów T.S. Eliota i w ogóle się nie zorientował. Może następnym razem, jeśli akurat nie będę właśnie dochodził do siebie po zamachu na moje życie, pójdzie mi lepiej.*

Nadal kulilem się w dziwnej pozycji, próbując tak się odginać, żeby amulet nie opadł mi na pierś. Musiałem koniecznie jakoś temu zaradzić, ale nie chciałem robić nic na oczach pana Semerdjiana, który niewątpliwie nadal ich ze mnie nie spuszczał.

*Oberon, przejdź, proszę, na drugą stronę ulicy, usiądź tam na krawędzi jego trawnika i zacznij się na niego gapić.*

<Tylko tyle? Mam tylko siedzieć? Bo wiesz, nie chciałbym robić nic więcej, kiedy się na mnie patrzy>.

*Tylko tyle. Chcę, żebyś odwrócił na chwilę jego uwagę. Odkąd zostawiłeś mu wtedy tamten prezent, ma obsesję, że znów to zrobisz. Jeden był to dar, który nadal nas obdarza.*

Było to właściwie bardzo smutne, że się tak jakoś nie dogadywaliśmy z panem Semerdjianem. Ten pulchnawy libański jegomość przekroczył już przykrą granicę sześćdziesiątki, ale tak szybko się ekscytował i był wtedy tak głośny, że z pewnością byłoby bardzo miło oglądać z nim sobie mecze baseballowe. W ogóle uważam, że moglibyśmy być świetnymi kumplami, gdyby nie to, że zachowywał się jak skończony kretyn od dnia, gdy się wprowadziłem do tej dzielnicy (a gdyby babcia miała wąsy, toby była dziadkiem).

<Dobra, ale chciałbym dostać za to jakąś kiełbasę>.

*Umowa stoi. Zresztą i tak pójdziemy sobie pobiegać, tak jak ci obiecałem.*

<Czekaj. Ale on już nie pamięta tamtej historii z Parku Papago, co?>

Oberon miał na myśli bardzo nieszczęśliwy wypadek, w którym zginął strażnik leśny. Pan Semerdjian usiłował wówczas zrobić nas w to zabójstwo.

*Nie. Spoko. Leif już się tym zajął. Zrobił mu to swoje wampirze pranie mózgu. Co z kolei przypomniało mi, że znajomy wampir to dobra rzecz – znajomy życzliwy wampir, a nie znajomy obrażony wampir. Miejmy nadzieję, że Leif wkrótce się odobrazi.*

<No, dobra. To może nawet być zabawne>. Oberon poczłapał na drugą stronę ulicy, a szpara między żaluzjami rozszerzyła się nagle, co było ewidentną oznaką, że pan Semerdjian porzucił wszelkie próby podstępu i jego uwagę przykuło co innego. <Widzę teraz jego oczy>.

Gdy tych dwóch pochłonął pojedynek na spojrzenia, ja skupiłem się na pobieraniu mocy z ziemi i wywołałem bardzo gęstą, ale i ograniczoną przestrzennie mgłę. Arizona wręcz słynie z suchego klimatu, ale w pierwszym tygodniu listopada, gdy w powietrzu dosłownie wisiała burza, nie było znowu tak trudno zebrać trochę pary wodnej i odpowiednio ją spleść. Gdy mgła

ładnie zgęstniała, zająłem się leczeniem poparzonej skóry i szło mi znacznie lepiej, bo amulet wreszcie nie piekł jej szybciej, niż ja ją uzdrawiałem.

Nadal jednak był nieznośnie gorący, więc schylony dziwacznie podszedłem do węża ogrodowego i odkręciłem wodę, rozglądając się, czy aby mgła dobrze mnie zakrywa. Wciąż byłem w stanie zobaczyć Oberona, który siedział pod lampą na ulicy, ale nie mogłem już dojrzeć okien domu pana Semerdjiana i to mi wystarczyło. Uniosłem rękę tak, żeby ochronić twarz przed parą, i skierowałem strumień wody na amulet.

Zasyczało, zaskwierczało i buchnęła para, ale po kilku chwilach amulet zaczął jednak stygnąć.

<Atticusie, on chyba postanowił wyjść na dwór!> zawołał Oberon.

*Nie szkodzi. Po prostu stój, gdzie stoisz, i się na niego gap. Możesz pomachać też trochę ogonem, jeśli dasz radę.*

<Nie dam. Naprawdę szczerze go nie lubię>.

Usłyszałem, jak z domu naprzeciwko wypada rozeźlony pan Semerdjian.

– Wynocha stąd, ty zaświniony kundlu! A kysz! Już cię nie ma!

<Czy on mnie nazwał kundlem? To bardzo nieładnie z jego strony. Atticus! On ma w ręce zwiniętą gazetę>.

*Jeśli się z nią na ciebie rzuci, możesz trochę powarczeć.*

<Fajnie. Oto nadciąga>. Usłyszałem groźne warczenie Oberona; nieznoszące sprzeciwu żądania pana Semerdjiana natychmiast przeszły w błagalne okrzyki o kilka oktaw wyżej.

– Ooo! Dobra psiunia! Siad! Dobry pies!

<Czy on ma mnie za idiotę czy co? Najpierw rzuca się na mnie z gazetą i chce mnie nią zdzielić po łbie, a potem nagle woła „dobra psiunia” i co? Wydaje mu się, że już zapomniałem o tamtym? Moim zdaniem zasłużył sobie na kilka porządnych szczeknięć>.

*Nie żałuj sobie.*

Amulet stygł bardzo szybko i po kilku sekundach mogłem już pozwolić mu opaść na piersi bez obawy, że narobi dodatkowych zniszczeń na skórze. Oberon zaszczekał zjadliwie, a spanikowany głos pana Semerdjiana sięgnął wysokich rejestrów Mariah Carey.

– O'Sullivan! Zabierz stąd tego swojego cholernego psa! O'Sullivan! Chodź tu natychmiast! I skąd się, do cholery, wzięła ta przeklęta mgła?!

Zadowolony z wyników akcji zakręciłem wodę i wyprostowałem się, tak że amulet wrócił na swoje miejsce. Nie zdążyłem się jeszcze w pełni wyleczyć, ale było coraz lepiej, a ból miałem już pod kontrolą. Wolnym kroczkiem ruszyłem przez ulicę w stronę Oberona, który nadal siedział sobie przed domem sąsiada.

– Dobry wieczór, panie Semerdjian – powiedziałem spokojnie, wyłaniając się z mgły i wchodząc w bladą kolumnę światła pod lampą. – O co cały ten krzyk? Przecież mój pies sobie tylko tu na chwilę przysiadł i nie ma wobec pana żadnych złych zamiarów.

– Ale jest bez smyczy! – pluł się mój sąsiad.

– Pan również – zwróciłem mu uwagę. – A gdyby nie rzucił się pan na niego, i to tak agresywnie, nawet by na pana nie warknął, że o szczekaniu nie wspomnę.

– Nic mnie to nie obchodzi! – wycharczał Semerdjian. – Nie ma prawa latać bez smyczy! A już na pewno nie ma prawa przebywać na moim terenie! Zaraz dzwonię na policję!

– Przypomnę panu, że gdy ostatni raz zadzwonił pan na policję w mojej sprawie, spisano pana za podawanie nieprawdziwych informacji, pamięta pan?

Semerdjian zrobił się czerwony na gębie i krzyknął:

– Wynoście się stąd! Obydwaj!

*Wycofuj się powoli tyłem na ulicę, aż znikniemy mu obaj z oczu – powiedziałem do*

Oberona. – *Teraz.* Wycofywaliśmy się wolno, nie spuszczać wzroku z pana Semerdjiana, aż w końcu pochłonęła nas mgła. Musiało to naprawdę robić niezłe wrażenie: pies i jego pan idą krok za krokiem do tyłu, przy czym nie padł przecież żaden rozkaz, więc pies robi to z tajemniczych powodów, i razem rozplywają się we mgle niczym widma. *To go powinno trochę wystraszyć* – szepnąłem do wilczarza.

Ale oczywiście pan Semerdjian musiał jeszcze zawołać za nami.

– O'Sullivan, ty stary draniu! – darł się, a ja z trudem powstrzymałem się od chichotu, gdy dotarła do mnie ironia tego wyzwiska. – Trzymaj się z tym swoim psem z dala ode mnie!

<To było całkiem zabawne> zarechotał Oberon. <Jak się mówi po angielsku na taki rodzaj żartu?>

„Prank”, czyli *psikus* – powiedziałem i zacząłem biec truchtem, a Oberon koło mnie. Odplątałem sploty mgielne i para wodna zaczęła się rozplywać. – *Jesteśmy jak Merry Pranksters Kena Keseya i właśnie przeprowadziliśmy na panu Semerdjianie Próbę Kwasu w Elektrycznej Oranżadzie, i to bez żadnego kwasu.*

<Co to jest próba kwasu?>

*Opowiem ci o tym, jak już będziemy w domu. A że wygląda na to, że jesteś zaświnionym kundlem...*

<Hej! Wypraszam sobie!>

*...to należy ci się kąpiel. Wtedy opowiem ci wszystko o Merry Prankstersach i Próbie Kwasu w Elektrycznej Oranżadzie. Ale teraz lećmy po tę kielbasę, którą ci obiecałem.*

<Super! Poproszę tę soczystą z kurczakiem i jabłkami.>

*Jasne, tylko zadzwonię szybko do Maliny, dobra? Muszę jej przecież dać znać, że to jej zaklęcie jednak nie zadziałało.*

Wyciągnąłem komórkę i wybrałem numer do Maliny.

<Nie ma sprawy. Ale nim zapomnę, muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem Leif właśnie ci skłamał jak z nut.>

*Co takiego?* – Zmarszczyłem brwi.

<No. Pamiętasz, jak się nawąchałem tych paskudnych demonów, kiedy mnie uratowałeś w Superstition Mountains cztery dni temu?>

*To było trzy tygodnie temu, a nie cztery dni, ale tak, pamiętam.*

<No. To Leif ci powiedział, że pan Semerdjian nie śmierdzi demonem, ale coś tak jakby od niego zalatuje. Serio i to jeszcze tu nim czuć. Jak mi nie wierzysz, to sam się zmień w psa, bo ten twój żaloszny ludzki nos to naprawdę jest do niczego.>

*Czekaj. Jeszcze raz* – powiedziałem, zatrzymując się na środku ulicy. Oberon zorientował się dopiero po kilku krokach i wtedy obejrzał się za mną z wystawionym jęzorem. Byliśmy nadal na Jedenastej, ledwie kilka przecznic od domu. Rzadko rozstawione latarnie rzucały w ciemności stożki światła niczym żółte czapki skręcone z papieru. – *Chcesz powiedzieć, że nadal czujesz smród demona, mimo że jesteśmy już taki kawał od jego domu?*

<No tak. I właściwie to jest coraz gorzej.>

*O, nie. To nie jest dobry znak, Oberonie* – stwierdziłem i schowałem komórkę do kieszeni. – *Musimy wracać do domu. Muszę mieć przy sobie mój miecz.* – Zaledwie przecznicę od nas coś się poruszyło w cieniu. Przemieszczało się to nienaturalnie ponad ziemią i było wielkości małego volkswagena. Dopiero po chwili doszło do mnie, w jaki sposób się poruszało: miało pod sobą groteskowo długie owadzie nogi. Poza tym przypominało nieco konika polnego. Czy też raczej: kobyłę polną. Owady co do zasady nie przekraczają kilku cali wzdłuż ze względu na specyficzną budowę systemu tchawek, ale wyglądało na to, że ten konkretny demon tego nie wie. – *Biegnij, Oberon! Biegnij!*

Zrobiłem szybki zwrot w tył i popędziłem w stronę swojego podwórka. Natychmiast usłyszałem, jak demon za mną rzucił się w pogoń. Jego chitynowe odnóża wybijały o czarny asfalt upiorny rytm. Odległość między nim a nami bynajmniej nie rosła. Nie było szans, żebym zdążył dobiec do miecza.



## Rozdział 3

Demony śmierdzą jak cholera – jest to tego typu fetor, co to schodzi ci aż do gardła, chwyta cię tam i sprawia, że nie myślisz o niczym innym, tylko żeby sobie porządnie zwymiotować. Przedawkowałem już wtedy, kiedy Aenghus Óg wypuścił na ten świat całą ich hordę i kazał im mnie zabić, a teraz poczułem w nozdrzach tego. Nie był to aromat, który nadałby się na świeczki zapachowe.

Część demonów wypuszczonych w Superstition Mountains okazała się tak mocna, że w ogóle nie zadziałały na nie zaklęcia rzucone przez Aenghusa Óga. Te potwory po prostu uciekły w góry. Choć Flidais – celtycka bogini łowów – w większości je wytropiła i upolowała, wiedziałem dobrze, że zostało pewnie z kilka sztuk i że w końcu będą próbowały mnie dorwać. Mimo że Aenghus skończył marnie, to właśnie on ściągnął je na ziemię, toteż dopóki w końcu nie wykonają jego rozkazów, nigdy nie będą prawdziwie wolne. Sploty rzucone przez Aenghusa będą je nękać tak długo, aż w końcu nie będą miały sił dłużej się im opierać. Dużą część tamtej hordy wybiłem Zimnym Ogniem, ale ten tu musiał się wymknąć, zanim jeszcze posłużyłem się tym czarem, i teraz wreszcie mnie wytropił, żeby wypełnić wiszące nad nim zaklęcie.

*Biegnij na podwórko z tyłu, Oberon!* – zawołałem, bo mój przyjaciel znacznie mnie wyprzedził. – *Nie masz szans pokonać tego tutaj.*

<Nie zamierzam się z tobą o to spierać> odparł. <Zresztą i tak nie mam wcale ochoty brać ani jednego gryza czegoś, co tak śmierdzi !>

Już byłem w ogródku, już witałem się z trawnikiem, lecz demon deptał mi po piętach. Słyszałem, jak świszczą mu przetchlinki i jak tupie wszystkie sześć odnóży. Jeśli tylko dotknę trawnika, będę w stanie pobrać moc z ziemi i powalić toto Zimnym Ogniem, ale ten plan miał też swoje minusy. Po pierwsze zawsze to chwilę trwa, nim Zimny Ogień zacznie działać. Po drugie posługiwanie się nim tak strasznie mnie osłabia, że przez jakiś czas po rzuceniu zaklęcia będę zupełnie bezbronny.

Bez miecza, którym mógłbym się przebić przez te pokłady chityny, bez kryjówki, z której mógłbym rzucić Zimny Ogień, nie miałem właściwie wyjścia i pozostawało mi zdać się na magiczne zabezpieczenia zainstalowane w domu i ogrodzie, które – miejmy nadzieję – zajmą się demonem, nim on zajmie się mną. One też potrzebowały nieco czasu, ale być może, jeśli schowam się za mój jadłoszyn, to uda mi się pozostać poza zasięgiem ząbkowanych odnóży na tyle długo, by zaczęły działać moje druidzkie czary-mary.

Ziemia sama się garnie do pomocy w walce z demonami – są nie z tego świata, zostały z niego już dawno wyklęte i dlatego nie trzeba jej długo namawiać, by stworzyła przeciwdemonie zabezpieczenia wokół czyjegoś domu. Wystarczy nauczyć ją, jak wykrywać obecność demonów, a potem lekko zachęcić do posprzątania i po krzyku. Tak jakby.

Problem w tym, że ziemia nie jest najlepsza w szybkim reagowaniu. Co jakieś dziesięć lat medytuję sobie z nią przez tydzień i komunikuję się z jej duchem, który ludzie nazywają dziś Gają, a ona uwielbia plotkować sobie ze mną o jurze i kredzie tak, jakby mezozoik skończył się ledwie w zeszłym miesiącu. Druid w opalach nie jest jednak w stanie spoglądać na intruzów wkraczających na jego teren z tak dalekiej perspektywy czasowej, toteż uznałem, że jadłoszyn musi mi posłużyć nie tylko jako pierwsza linia obrony, ale i rodzaj sygnału alarmowego dla żywiołaka z pustyni Sonora. Żywiołakowi z pewnością uda się zwrócić uwagę ziemi znacznie szybciej niż mnie, a być może nawet wystąpi jako swego rodzaju wojownik Gai. Tylko że prawdę powiedziawszy, nie wiedziałem właściwie, co się stanie, jeśli demon wzbudzi gniew ziemi. Obstawiałem jednak, że ziemia wygra.

Gdy w końcu moja stopa dotknęła trawnika przed moim domem, dosłownie zawyłem z ulgi, natychmiast pobierając moc, żeby zregenerować zmęczone mięśnie i dotlenić krew. Dzięki temu moje ruchy zyskały niesamowitą szybkość, co uratowało mnie o włos przed pierwszym ciosem demona. Jego przednie odnóże, zakończone brzydkimi kleszczami, przemknęło obok mojej łydki i zatopiło się z dość przerażającą łatwością w ziemi, co mnie z kolei przypomniało o sztuczce, którą wykorzystałem, gdy mój dom został zaatakowany przez Forbolgów.

– *Coinnigh!* – wrzasnąłem, wskazując palcem na kleszcze owada i nie przerywając biegu. W ten sposób nakazywałem ziemi zacisnąć się na nich, tak, żeby demon już nie mógł uciec. Spowolniło go to nieco, ale bynajmniej nie unieruchomiło. Chityna okazała się zbyt gładka, ziemia nie miała za co jej złapać i po ledwie kilku mocniejszych szarpnięciach mój ucieleśniony koszmar znów był na wolności. Mimo to jednak osiągnąłem dzięki temu manewrowi dwie rzeczy: po pierwsze miałem czas wskoczyć za jadłoszyn, po drugie automatycznie uruchomiło to wszystkie moje domowe zabezpieczenia.

Kolczaste pnącza bugenwilli zerwały się ze słupów mojej werandy, gotowe spętać demona, który, jak teraz dopiero zobaczyłem, w ogóle nie przypominał jednak konika polnego, lecz raczej olbrzymiego czarnego pluskwiaka typowego dla Ameryki Północnej, zwanego „wheel bug” – z charakterystycznym garbem na pancerzu niczym zębate kółko i upiornym żądłem, którym jest w stanie bez trudu wbić się w ofiarę i wyssać z niej wszystkie życiowe soki. Pnącza okazały się jednak nie dość potężne w starciu z tym potworem z piekła rodem – zwiędły niemal natychmiast, gdy weszły z nim w kontakt. Trawnik pod maszkarą pomarszczył się, zafalował i korzenie jadłoszynu wystrzeliły z ziemi, by chwycić cztery tylne odnóża bestii. To przynajmniej odwróciło na chwilę jej uwagę. Zawyla ze złości, od razu osiągając najwyższą częstotliwość odbieraną przez ludzki słuch, i zaczęła wić się i wrywać, lecz, tak jak pnącza, i biedny jadłoszyn nie wytrzymał kontaktu z poczwarą. Starczyło mu sił na unieruchomienie jej na może dziesięć sekund. Gdybym przewidział, że aż tak dobrze mu pójdzie, natychmiast posłużyłbym się Zimnym Ogniem i zakończył tę jatkę.

– O’Sullivan! Co tu się dzieje, do cholery?!

Bogowie niejedyni, pan Semerdjian wciąż był na dworze! A jako że mgła dawno się już rozplynęła, a latarnie uliczne odwalają kawał dobrej roboty, miał świetny widok na coś, czego nie powinny widzieć oczy żadnego śmiertelnika. Pojęcia nie miałem, jak mu to wszystko jakoś wytłumaczyć.

– Yyy, trochę jestem zajęty! – krzyknąłem.

– Przydałaby się tu duża puszcza jakiegoś dobrego środka owadobójczego! – odkrzyknął. – A może po prostu granatnik przeciwpancerny. Mam jeden w garażu, chcesz pan?

– Co? Nie, nie, panie Semerdjian, proszę nic nie robić! To nie pomoże! Proszę się w ogóle tu nie zbliżać!

Musiałem się go jakoś pozbyć. Jeśli pozwolę mu zawracać mi tu głowę, będę zaraz przekąską dla demona, który właśnie wyrwał się korzeniom mojego biednego jadłoszynu i rzucił znów w moją stronę. Trawnik nadal falował jak szalony. Insekt zamachnął się w moją stronę żądłem wielkim niczym potężna rura i uderzył tuż obok drzewa tak szybko, że ledwo zdążyłem się zorientować, a on już drasnął mnie w ramię, rozcinając je boleśnie. To doprowadziło moje drzewo do szału. Zaczęło wywijać gałęziami, uderzając owada po głowie i tułowiu, co może i nie robiło mu wiele krzywdy, ale skutecznie go oślepiło gęstym, zielonym listowiem. Bestia odskoczyła do tyłu i zaczęła tak wymachiwać swoimi ostrymi kleszczami, że w okamgnieniu cięła gałąź za gałęzią i wydawało się, że dzielna akcja jadłoszynu opóźni mój marny koniec ledwie o kilka sekund. Nie miałem na pewno czasu, żeby dobiec do domu po miecz, ale być może miałem go dość na Zimny Ogień. Już wskazywałem na demona, już miałem słowa zaklęcia

na ustach, gdy oczom moim ukazała się nadciągająca odsiecz.

Za demonem ze wzburzonej ziemi mojego trawnika wyrastała w zawrotnym tempie karnegia olbrzymia, naprawdę godna swej nazwy. Nie tylko w ciągu kilku zaledwie sekund osiągnęła rozmiar, do którego karnegie dorastają zwykle po stuleciu, ale jeszcze wyraźnie zdradzała pewną świadomość i zdolność do poruszania się, co jest jednak dość rzadkie u kaktusów. Stąd wywnioskowałem, że nie może to być nic innego jak żywiolak z pustyni Sonora, którego zawołał mój jadłoszyn. A zatem Gaja wysłała swego wojownika, by pozbył się tego diabelskiego pomiotu. Karnegia wyłoniła się z ciemności i trzepnęła swoim kolczastym ramieniem w plecy demona, tuż za ząbkowanym garbem.

Pancerz demona pękł nieco, a insekt zapisał na tyle wysoko, że aż się wzdrygnąłem, a potem odwrócił się do tyłu, żeby się rzucić na atakujący go kaktus. Odciął mu jedno z ramion i nawet odgryzł kawałek z góry pnia, ale karnegia bynajmniej nie należała do tego rodzaju istot, którym można odrąbać łeb, po prostu dlatego, że nie miała łba. W normalnej sytuacji, gdy coś obetnie kawałek karnegii, goi się ona od środka, a następnie wyrasta jej nowe ramię i po problemie. Żywiolak więc nawet nie zawahał się, by popatrzeć na odniesione obrażenia. Już inne jego ramię waliło demona po łbie, miażdżąc jedno z jego czarnych, wylupiastych oczu i obficie zalewając mój trawnik ichorem.

Demon natychmiast pojął, że walczy o życie. To już nie był jakiś tam żaloszny człowieczek, którego należało sobie zjeść, żeby móc robić na tym świecie, co się chce; to był wojownik samej ziemi, ucieleśniona manifestacja całego ekosystemu pustyni, i to zabójcza. Dlatego wpadł w istny szal, tnąc kleszczami karnegię na oślepi, starając się odciąć jej wszystkie ramiona, żeby potem zająć się już samym pnem, ale ramiona kaktusa odrastały szybciej, niż demon był w stanie ciąć. Nie minęło dziesięć sekund, a jedno z takich właśnie długich ramion zwinęło się zgrabnie i runęło na czaszkę insekta, tłukąc ją na miazgę, po czym parło dalej, przez całe cielsko owada, rozdzierając je na upiorne połowy, które z hukiem opadły na ziemię, gdzie odnóża drżały jeszcze chwilę w spazmatycznym tańcu śmierci.

Niezwykle wdzięczny za pomoc, choć nieco zielony na twarzy od tego diabelskiego smrodu, posłałem przez tatuaze podziękowania dla ziemi, porozumiewając się z żywiolakiem za pomocą czegoś w rodzaju emocjonalnej stenografii, jako że zwykły ludzki język nic dla niego nie znaczy.

//Druid wdzięczny/ Pomoc wspaniała// zakomunikowałem.

Żywiolak był jeszcze podekscytowany zwycięstwem i bardzo z siebie zadowolony. Zaproponował nawet, że naprawi mój trawnik, moje drzewo i pnącza, żeby nie pozostało na jego terytorium ani śladu po tym diabelskim stworzeniu, a ja przyjąłem jego propozycję z wielką ulgą. Nie miał natomiast pojęcia, co począć ze szczątkami demona. Łeb i tułów zmieniły się już w kałużę smoły, ale brzuch oraz odnóża zupełnie się nie chciały rozłożyć i bynajmniej nie wyglądały jak coś z tego świata. Nie chciał go zabierać pod ziemię, ale chyba rozumiał, że nie uda mi się wcisnąć tych resztek demona do mojego kosza na śmieci. Zaproponowałem więc, żeby zmielił resztki insekta między dwiema skałami, aż pozostanie nam po nim tylko maź, i żeby potem zostawił mi to w kamiennej beczulce z eleganckim szpuntem. Oddam ją pewnym znajomym ghułom (dokładniej – znajomym Leifa; miał ich na szybkim wybieraniu), a oni z pewnością będą zachwyceni, bo sok z demona to dla nich jak Jägermeister. Jak wszystko dobrze pójdzie, oddadzą nam potem beczulkę zupełnie wyczyszczonej i gotową do wciągnięcia z powrotem pod ziemię. Żywiolakowi spodobał się ten plan i zaraz zabrał się do roboty.

– O'Sullivan? – Niepewny głos przywołał mnie z powrotem na powierzchnię ziemi. Pan Semerdjian.

– Tak, proszę pana? W czym mogę panu pomóc? – Wszystko wróciło już do normy:

pnącza wyglądały świetnie, jadłoszyn równie dobrze. Choć może wielka karnegia olbrzymia, która kolczastymi ramionami lepiła właśnie ze skały odpowiednie kamienie do mielenia, po czym miażdżyła nimi gigantyczne resztki potężnego insekta, nie do końca pasowała do obrazka.

Mój sąsiad uniósł drżący palec wskazujący i wycelował nim w karnegię.

– Ten ruszający się kaktus... i ten wielki robal... i ty, ty stary draniu... Kim wy, do cholery, jesteście?

Włożyłem ręce do kieszeni i uśmiechnąłem się z wyższością.

– No jak to? Ja jestem Antychrystem oczywiście.

Na co pan Semerdjian uznał za stosowne zemdleć, co mnie, muszę przyznać, poważnie zaskoczyło. Oczekiwałem wulgarnego wyrażenia powątpiewania (dajmy na to, za pomocą wystawienia w moją stronę środkowego palca lub złapania się za krocze), bo rozmawiałem przecież z facetem, który przed chwilą na widok gigantycznego demona rzucił lekko, że go wysadzi. Czemu nagle na samo wspomnienie czarnego charakteru chrześcijaństwa wpadł mi tu w kompletną panikę? Przecież to muzułmanin, na miłość flidaiską!

Choć z praktycznego punktu widzenia nie mógł mieć lepszego pomysłu. Kiedy dojdzie do siebie po omdleniu, wszystko już będzie doprowadzone do ładu, a ja po prostu pójdę w zaparte, że nic się nie wydarzyło. Jeśli spróbuje przekonać kogokolwiek do swojej wersji wydarzeń, to i tak mu przecież nie uwierzą. A rana na moim ramieniu już się ładnie goiła.

Żywiolak skończył swoją pracę i pozostawił mi na podjeździe kamienną baryłkę pełną destylowanych demonów. Teraz wystarczyło ją dobrze zakamuflować, a za chwilę ghule mogą ją już ładować do swojej ciężarówki z chłodziarką. Sonora pożegnała się i wsiąkła w mój trawnik równie szybko, jak się pojawiła, sprzątając po sobie przy okazji, tak że po chwili nie było już żadnego śladu po jakichkolwiek nadprzyrodzonych wydarzeniach. Mój trawnik natomiast sprawiał wrażenie świeżo użyźnionego.

<Czy już jest bezpiecznie?> spytał Oberon z podwórka za domem.

*No, chodź tu, chodź. Muszę teraz podzwonić tu i tam.*

Najpierw zadzwoniłem na numer alarmowy i oficjalnie wyraziłem swój niepokój stanem zdrowia fizycznego i psychicznego mego sąsiada. Jeśli po przebudzeniu zaczną mnie wyzywać od Antychrystów, to dostanie dawkę środków uspokajających i może nawet jeden z tych przytulnych kaftaników bezpieczeństwa i wszyscy będą szczęśliwi. Następnie zatelefonowałem do mojego prawnika dziennego, Hala Hauka, żeby zdobył dla mnie numer do tych ghuli, bo miałem przeczucie, że Leif nie ma ochoty ze mną rozmawiać, a poza tym zajęty był pewnie teraz swoim śniadaniem ze studentami.

Ledwie skończyłem rozmawiać z ghumami, przyjechała karetka po pana Semerdjiana, więc poczekałem, aż go spokojnie zapakują, i dopiero potem wykonałem swój ostatni telefon – do Maliny Sokolowski.

– Dzień dobry, Malino – przywitałem się radośnie, gdy tylko odebrała. – Wciąż żyję. Pani urocze zaklęcie nie zadziałało.

– To pana też te suki zaatakowały? A to hekсы! – wrzasnęła. – Diabli by je wzięli! – Musiała być naprawdę wytrącona z równowagi. Malina Sokolowski zawsze posługiwała się przy mnie językiem eleganckim i starannym. – Strach pomyśleć, kogo jeszcze dziś napadły. I kto jeszcze zginął.

Bynajmniej nie takiej reakcji oczekiwałem.

– Chwileczkę. Jakie znowu hekсы? Jakie suki? Kto zginął? Pani Malino, kto zginął?

– Lepiej, żeby pan tu natychmiast przyjechał – odparła i rozłączyła się.

## Rozdział 4

Czy ktoś tu coś wspominał o jakichś sukach? – zainteresował się Oberon.

– Taa, ale nie takich, jak myślisz, niestety – powiedziałem na głos. – Masz jeszcze ochotę na tę małą przebieżkę, chłopie? Bo powinniśmy wpaść na chwilę do Maliny Sokolowski.

<Tej więdźmy, co to nie lubi piesków, tak?>

– Hmm, nie znam żadnej więdźmy, która by je lubiła, więc trudno ją uznać za jakiś wyjątek, jeśli o to chodzi. Więdźmy to raczej kociary, wiesz?

<Ale czy mógłbym w takim razie dostać moją kielbaskę, zanim do niej pójdziemy?>

– Jasne. – Roześmiałem się. – I dzięki, że mi przypomniałeś. Tylko skoczę do domu po miecz. Chcę być tym razem przygotowany na wszystko. Stańbyś tu na czatach?

<Spoko>.

Pobiegłem po Fragaracha, stary irlandzki miecz, który przecina każdą zbroję, jakby była z bibuły. Zarzuciłem sobie pochwę na plecy, tak że głownia miecza wystawała mi nad prawym ramieniem. Kiedy zatrzymałem się przy lodówce i wziąłem kilka łyków soku, usłyszałem, jak Oberon woła do mnie z werandy.

<Atticus! Przyszedł jakiś człowiek i wcale nie pachnie jak człowiek>.

Wrzuciłem sok z powrotem do lodówki i popędziłem do drzwi.

*A jak co? Jak demon?* – spytałem.

<Nie. Trochę jak pies, ale niezupełnie>.

Otworzyłem drzwi na oścież i ujrzałem na ulicy przed domem rdzennego Amerykanina. Spod kowbojskiego kapelusza spływały mu na ramiona proste, czarne włosy, a ubrany był w biały podkoszulek bez rękawów, błękitne dżinsy i zdarte, brązowe kowbojki. W lewej ręce trzymał poplamioną tłuszczem brązową, papierową torbę, a z twarzy nie schodził mu złośliwy uśmiech.

Machnął do mnie od niechcienia prawą ręką na powitanie i powoli, acz przyjaźnie powiedział:

– Witam, panie Druid. Domyślał się, że wiesz pan, kim jestem...

Uspokoilem się natychmiast i sam poddałem się temu niespiesznemu rytmowi jego mowy. Mówiąc w ten sam sposób co on, zdobędę jego zaufanie i uspokoję go. Była to moja pierwsza zasada przetrwania: zawsze mów tak samo jak autochtoni. Gdy tylko ludzie słyszą obcy akcent, dostają napadu ksenofobii. Od razu tracisz szansę na etykietkę *Swój Chłop* i klasyfikują cię jako *Innego*. To właśnie o tym podstawowym aspekcie ludzkiej natury Leif ciągle zapominał. Dotyczy to także dialektów i regionalnych akcentów i dlatego mam obsesję na punkcie naśladowania ich jak należy, jeśli tylko jestem w stanie. Spytajcie jankesa z Bostonu, co się dzieje, gdy zatrzyma go policja z Południa, a od razu wam powie, jak ważny jest akcent. Toteż nie spieszyłem się z odpowiedzią, zupełnie tak, jakbym miał cały dzień na dotarcie do kropki, bo właśnie w ten sposób przemawiał mój gość.

– Oczywiście, że wiem, panie Kojot. Pytanie tylko brzmi, z którego to plemienia tym razem pan przybywa.

– Przybywam od Diné – odparł, posługując się prawdziwym słowem na plemię, które w Stanach nazywano Nawahami. – Mogę wpaść na chwilę?

– Jasne – zapewniłem go. – Ale zastaje mnie pan bardzo słabo przygotowanego na gości. Nie mam ani grama tytoniu, wstyd się przyznać.

– A, nic nie szkodzi. Może być piwo, jeśli masz pan jakieś.

– O to będzie łatwiej. Rozgość się pan na werandzie, a ja zaraz wrócę. – Skoczyłem do

środku i wyciągnąłem szybko dwie butelki Stelli z lodówki, gdy tymczasem Kojot wszedł na werandę. Otworzyłem butelki i zdążyłem wrócić na dwór, nim mój gość usiadł na krześle. Podałem mu piwo i uśmiechnąłem się.

– Mmm, ale mnie naszła ochota na piwko – powiedział, biorąc je ode mnie i przyglądając się etykietce. – Dzięki, panie Druid.

– Proszę bardzo. – Wzięliśmy po łyku, sapnęliśmy z rozkoszą, jak przystoi mężczyznom pijącym piwo, i wtedy podniósł w górę torbę, którą trzymał cały czas w lewej ręce.

– Mam tu trochę kielbasek dla pańskiego psa. Nie masz pan nic przeciwko?

<Kielbaski!> Ogon Oberona zaczął latać jak szalony. <Tak mi się zdawało, że czuję coś pysznego!>

– Jakiego rodzaju są te kielbaski? – spytałem.

Kojot zaśmiał się z cicha.

– Stary Druid z paranoją. Nic się pan nie zmieniłeś. Normalnego rodzaju. Zupełnie bezpieczne. Z kurczakiem i jabłkiem. Nie chciałem, żeby pański pies nam tu zdychał z głodu, gdy będziemy sobie rozmawiać.

– To bardzo miłe z pana strony, panie Kojot. Mój pies i ja dziękujemy ci za to. – Skoro wiedział, że Oberon ma ochotę na kurczakowo-jabłkowe kielbaski, oznaczało to, że musiał być bardzo blisko, kiedy wpadliśmy na tamtego demona. Wystarczająco blisko, by nam pomóc, lecz najwyraźniej postanowił nie pomagać. Oznaczało to również, że był w stanie słyszeć myśli Oberona. Wziąłem od niego torbę, zajrzałem do środka i zobaczyłem osiem idealnych, kurczakowo-jabłkowych kielbasek wielkości typowych bratwurstów, jeszcze ciepłych i pięknie pachnących. Rozerwałem torebkę i położyłem ją na werandzie przed Oberonem, żeby łatwo mógł się do nich dostać. Nie tracił czasu na ich obwąchiwanie.

<Świetne są! Przekaż mu, że to powiedziałem!>

– Cieszę się. – Kojot kiwnął głową i wziął kolejny łyk piwa. Zachowywał się tak, jakby nie zauważył, że odpowiedział, zanim zdążyłem powtórzyć mu słowa Oberona. – To jak tam? Dużo tu u pana demonów?

Oberon przestał żuć i podniósł łeb, nastawiając uszu, a ja odruchowo przyjrzałem się Kojotowi uważniej, szukając wszelkich oznak wyrastających mu nagle rogów czy smrodu siarki. Odrzucił głowę w tył i zarechotał. Jego psie kły błysnęły żółtawo w świetle ulicznych latarni.

– Niech skonam, szkoda, żeście panowie nie widzieli swoich min! O zakład idę, że był tu przed chwilą jakiś demon! Niech zgadnę, taki wielki, czarny robal?

– Taa, a ja o zakład idę, że nie musiałeś pan zgadywać, nie? – odpowiedziałem.

– Neeee, widziałem, jak tu leciał przede mną. Ale to nie jedyna sztuka, która się szlaja po okolicy.

– Taa, domyśliłem się – mruknąłem.

– No, ja myślę, żeś się pan domyślił, panie Druid. Pan przecież za tym wszystkim stoisz. Przez pana latają mi tu po okolicy i żrą ludzi.

– Co to panu przeszkadza, jeśli jakiś demon trochę narozrabia w mieście? – spytałem.

– Co mi to przeszkadza? Gdyby demon żarł sobie białasów takich jak pan, miałbyś pan rację, nic by mnie to nie przeszkadzało. Ale ja panu mówię, że on je ludzi, i mam przez to na myśli, że je moich ludzi, panie Druid. Moi ludzie stają się żarciem dla demona, który się tu szwenda przez pana, więc czas najwyższy, żebyśmy sobie o tym porozmawiali, pan i ja.

– Rozumiem. – Kiwnąłem głową, a Oberon uznał to za znak, że może już sobie w spokoju dokończyć posiłek. – Gdzie i kiedy zginęli pańscy ludzie?

– Jedna dziewczynka w Skyline High School została zjedzona ledwie wczoraj, gdy pozostałe dzieciaki jadły lunch w środku.

– Co? W szkole? Na oczach wszystkich?  
– Nikt nic nie widział poza mną. Była sama, jadła sobie tortillę na dworze. Zresztą ludzie i tak nie są w stanie zobaczyć tego demona. Ale pan byś go na pewno zobaczył. Bo ja go widziałem.

– Jak wyglądał?

– Duży, czarny, ze skrzydłami. – Oberon beknął, a i ja poczułem jakąś dziwną niestrawność. Wiedziałem, jakiego demona ma na myśli Kojot. Jako jeden z pierwszych wyskoczył z piekła, gdy otworzył je Aenghus Óg, i jako pierwszy zignorował jego zaklęcie. Był niezwykle silny, a ponieważ unosił się w powietrzu, nie byłem w stanie zabić go Zimnym Ogniem, który działa tylko wtedy, gdy demon dotyka ziemi.

– No to co pan z nim zrobisz? – spytał Kojot.

– Poczekam – odrzekłem. – W końcu przyjdzie po mnie, a wtedy będę gotowy.

– Pozwól pan, że zasugeruję kapkę inny plan – oświadczył Kojot, a półśmiech nie schodził z jego twarzy. Szyjką butelki z piwem wskazał w moją stronę. – Wybierzesz się pan jutro do tej szkoły i zabijesz pan tego demona, nim to on kogoś znów zabije. W szkole jest więcej moich ludzi i nie ma mowy, żebym stracił jeszcze kogoś, tylko dlatego, że pan chcesz sobie czekać.

– Ale czemu sam go pan nie zabijesz, panie Kojot?

– Czy to może ja jestem odpowiedzialny za to, że on się tu pojawił, blada twarz? Nie, pan jesteś. Poza tym to i tak jest demon z religii białego człowieka, więc moje medykamenty w życiu nie będą działały na niego tak silnie jak pańskie. Ale mogę panu pomóc, jeśli zdołam.

– Hmm, moje medykamenty mogą nie być dużo lepsze. Może i jestem białym człowiekiem, ale ten demon bynajmniej nie pochodzi z mojej religii. Poza tym jestem naprawdę bardzo zajęty własnymi problemami.

Uśmiezek Kojota zniknął w jednej chwili. Bóg posłał mi złowrogie spojrzenie spod ronda kapelusza.

– To właśnie jest pański problem, panie Druid. Czy może nie wyraziłem się dość jasno? Załatwisz pan tę sprawę albo odpowiesz pan przede mną. I przed Kojotem Pimów. I Kojotem Tohono O'odham. I Apaczów też. I choć każdy z nas może zginąć w pierwszej walce, a może i w drugiej, a nawet w trzeciej, to wiesz pan dobrze, że będziemy wracać. A pan ile razy umiesz wrócić z martwych, panie Druid? Bo ja i moi bracia możemy wrócić tyle razy, ile nam się zachce. Ale mam przeczucie, że pana wystarczy zabić tylko raz.

<Atticus?> Mój pies położył uszy po sobie i odsłonił zęby, ale nie warknął na naszego gościa.

*W porządku, Oberonie. On cię słyszy, więc nie wydaj się z niczym. Dam ci znać, gdybym cię potrzebował.* – Uspokoił się nieco, ale nie spuszczał z Kojota czujnego wzroku.

Kiwnąłem głową w odpowiedzi na słowa boga. Nie powiedziałem mu, że naprawdę cholernie ciężko mnie zabić, bo przecież Morrigan obiecała nigdy mnie nie zabierać. Zresztą Kojot i tak był w stanie narobić mi wiele kłopotu. Jak dobitnie świadczył ślad po moim prawym uchu, nie ze wszystkich obrażeń mogłem łatwo dojść do siebie. Chciałem tylko wiedzieć, jak poważnie do tego wszystkiego podchodzi, i teraz już znałem odpowiedź.

– Mógłbyś mnie tam pan podwieźć? – spytałem. – Nie mam samochodu.

Skyline High School znajdowała się we wschodniej części Mesy, blisko granicy z Apache Junction, miastem tuż przy Superstition Mountains; to w tych górach demon uciekł z piekła. Dwadzieścia mil rowerem w jedną stronę to może jednak przesada.

– Też nie mam wozu. – Kojot uśmiechnął się, pociągając kolejny łyk. Po groźbach nie zostało ani śladu. – Ale bez problemu zorganizuję jakiś na jutro.

– Dobra, to wpadnij pan po mnie o dziesiątej rano – powiedziałem. – I przynieś łuk. Zestrzelimy tego demona z naszego nieba.

– Zwykłymi strzałami? – Brwi Kojota podskoczyły tak wysoko, że zniknęły pod kapeluszem.

– Nie. Załatwimy sobie kilka specjalnych na tę okazję – wyjaśniłem. – Wydaje mi się, że wiem, skąd wziąć kilka pobłogosławionych, takich, co ładnie nam tego demona załatwią.

– Wiesz pan? Jakoś nigdy nie widziałem, żeby je sprzedawali w jakimś katolickim kościele – mruknął Kojot.

– To byłeś pan kiedykolwiek w katolickim kościele? – spytałem z niedowierzaniem, a Kojot zaczął się śmiać. Był to śmiech zaraźliwy, z tych, które zmuszają cię do uśmiechu. – No bo skąd byś pan miał wiedzieć takie rzeczy? Równie dobrze mogliby rozdawać pobłogosławione strzały w komplecie z opłatkami i nawet byś się pan nie zorientował.

Kojot zawył, zaszczekał i zaryczał, a wszystko to ze śmiechu i nie minęła chwila, a i ja robiłem to samo. Zwinął się wpół, poklepał po kolanach, przez chwilę śmiał się bezgłośnie, ale to tylko dlatego, że zabrakło mu tchu. Śmiał się i śmiał, aż łzy płynęły mu strumieniami.

– No słowo daję, że tak by mogło być, panie Druid! – wysapał wreszcie. – Ci cali księżulkowie na pewno podchodzą do tych swoich żołnierzy i mówią: „W imię Ojca i Syna, tu jest opłatek, a teraz idź i zabijaj tych pieprzonych Indian!”

Śmiech zamarł nam na ustach, a nastroje opadły niczym całuny na zmarłych. To, co powiedział, było po prostu zbyt bliskie prawdy, żeby było śmieszne. Przez chwilę wpatrywaliśmy się tępo w rabatkę na moim trawniku. Nie wiem, co sobie myślał Kojot, ale ja znów miałem przed oczami tych wszystkich, którzy prześladowali mnie przez stulecia i zabijali moich bliskich. Ja jeden przeżyłem krucjatę Świętego Kościoła Rzymskiego przeciwko druidom.

W końcu Kojot otarł łzy, dopił Stellę i powiedział:

– Dzięki za piwo i za wesołe chwile, panie Druid. – Wstał i odstawił pustą butelkę na barierkę werandy, po czym podał mi rękę, uśmiechając się szeroko. – Byłbyś pan całkiem dobrym człowiekiem, gdybyś nie był pan taki cholernie biały.

Ucisnąłem jego dłoń mocno i odpowiedziałem mu z uśmiechem.

– I z pana byłby całkiem dobry człowiekiem, gdyby nie był z pana taki cholerny pies.

Zareagował na moje słowa nowym napadem śmiechu, ale tym razem nie brzmiał on do końca ludzko. Puścił moją dłoń i wtedy zobaczyłem, co się dzieje. Opadł na cztery łapy i już zeskakiwał z werandy pod swoją zwierzęcą postacią, a jego dziki śmiech niósł się daleko w tę chłodną listopadową noc.

Nawet nie zostawił po sobie żadnych ubrań. Po prostu jakby się cały przetopił w zwierzęcą postać. Oberon też to zauważył.

<Ale czad> mruknął. <Też się tak powinieneś nauczyć>.

– Jasne. – Spojrzałem na wilczarza i klasnąłem w dłonie, gdy Kojot zniknął nam z oczu. – To teraz czas złożyć wizytę polskim wiedźmom.

<Wiesz, co myślę? Ten cały Kojot zrobił ci coś z głową> zauważył Oberon.

<Powiedziałeś to takim tonem, jakby to miała być przyjemność>.



## Rozdział 5

Wyczuwając ze strony Oberona pewną ambiwalencję, spytałem, czy aby na pewno chce iść ze mną do wiedźm czy może woli zostać w domu.

<W sumie już mi się całkiem odechciało biegać, wiesz?> przyznał. <Ledwo co zjadłem masę kielbasek i uciałbym sobie małą drzemkę. Gdybyś tylko mógł mi włączyć jakiś film z Clintem Eastwoodem>.

– Dobra. Zresztą i tak nie lubisz wiedźm, nie?

<Nie, nie bardzo. Ale i ty za nimi nie przepadasz. I nie wiem, czemu nagle jesteś gotów pędzić do domku z piernika Maliny, tylko dlatego, że ci kazała. I to zaraz po tym, jak ktoś usiłował cię wykończyć, że tak pozwolę sobie zauważyć. Nie przyszło ci do głowy, że być może pewna wiedźma będzie miała dzięki tobie niezwykle udany dzień? Czy czujesz, że masz dziś aż takiego fuksa?>

– Chyba już wiem, jaki film ci zaraz puszczę.

Usadziłem Oberona w salonie z *Brudnym Harrym* przed nosem, a potem zarzuciłem miecz na plecy tak, żeby dobrze go było widać, wskoczyłem na rower i ruszyłem do mieszkania Maliny blisko Town Lake.

Odkąd kilka tygodni temu zacząłem nosić ze sobą Fragaracha, zaobserwowałem bardzo ciekawą rzecz: niemal nikt nie przypuszczał nawet, że to prawdziwy miecz. Większość ludzi rzucała okiem na chłopaka na rowerze z mieczem i z miejsca zakładała, że mieszkam nadal z mamą i żywię niezdrowe upodobanie do anime. Ewentualnie uznawali, że miecz to rekwizyt w jakimś RPG czy innej grze, bo sam pomyślałem, że w erze broni palnej ktoś może nosić ze sobą miecz w samoobronie, wywoływał zbyt duży dysonans poznawczy. Gdy zatrzymałem się na światłach na rogu Mill Avenue z University Drive, jeden obywatel zapytał mnie nawet, czy nie zmierzam właśnie do sklepu z komiksami.

Malina mieszkała w apartamentowcu Bridgeview, dwunastopiętrowym wieżowcu ze szkła i stali zbudowanym na początku wieku, kiedy to Tempe zamarzył się rozwój dzielnicy Town Lake. Malina i pozostałe wiedźmy z jej sabatu zajmowały całe dziewiąte piętro (choć teraz musiały mieć tam trochę za dużo miejsca). Granuaile, moja uczennica, mieszkała na ósmym piętrze, zaraz pod wypasionym mieszkaniem Radomili, poprzedniej przywódczyni sabatu. Uznałem, że nim zapukam do drzwi Maliny, najlepiej będzie sprawdzić najpierw, co u mojej uczennicy, toteż zadzwoniłem do jej mieszkania.

– Kto tam? – usłyszałem jej głos zza drzwi. – A, to tylko ty.

Otworzyła mi nieco skąpo odziana, a ja poczułem przypływ paniki, gdy dość lubieżne myśli zagłuszyły moje zupełnie niewinne pytanie o jej bezpieczeństwo. Granuaile bynajmniej nie była nieatrakcyjna. Wysoka i ruda, miała zielone oczy, nieprzyzwoicie apetyczne usta i wybitnie bystry umysł. Ta jej ostatnia cecha była najważniejsza, bo inaczej nie mogłaby zostać moją uczennicą. Trudno jednak było zastanawiać się nad jej umysłem, gdy miało się przed oczami tyle z jej ciała – więcej, niż dotąd widziałem. Normalnie ubierała się dość skromnie i bardzo to doceniałem, bo dzięki temu nie miałem problemów z utrzymaniem moich myśli o niej na przyzwoitym (zwykle) poziomie. Teraz jednak miała na sobie krótką jasnozieloną koszulę nocną, superseksowną i opiętą...

Baseball! Myśl o baseballu. Nie o krągłościach jej... okrągła... Piłka jest okrągła, a kij ma dwa końce. A Randy Johnson to jak umie nią rzucić. Świetny gracz. Poza tym w baseballu chodzi, jak wiadomo, o zaliczanie baz. A gdy już o zaliczaniu mowa...

– Atticusie? Co się stało?

– Co? A. Tak. Tego, no. Cześć. – Zatkało mnie zupełnie. I to z powodu jednej głupiej koszulki!

– Ale dlaczego tak patrzysz do góry? Czy nad moimi drzwiami jest coś dziwnego? Zrobiła krok w moją stronę i wychyliła się, żeby spojrzeć, na co się tak gapię i... ja cię kręcę...

– Co za cy... cyzelowana tapeta. No, naprawdę nigdy nie zauważyłem. Nic dziwnego, że te mieszkania tyle kosztują.

– Widziałeś ją już milion razy. Co się dzieje?

Fakty, skup się na faktach, Atticus.

– Ktoś mnie przed chwilą zaatakował, więc chciałem sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku – wybąkałem, starając się usilnie przypomnieć sobie, kto pobił rekord w zakresie kradzieży drugiej bazy.

– Ojej. U mnie wszystko w porządku, ale kto cię zaatakował?

– Jeszcze nie wiem. Był to atak magiczny, nie fizyczny. To znaczy fizycznie też mnie zaatakowano, ale to był tylko demon i żywiołak już go dla mnie zabił, więc spoko, ghule już po niego jadą, choć nie wiem, czy mój sąsiad kiedyś dojdzie do siebie po tym wszystkim, ale nic a nic nie musisz się martwić o Oberona, bo nic mu się nie stało.

Na słodki miód Dagdy, teraz z kolei nawijam od rzeczy.

– Że co? – spytała Granuaile.

– Słuchaj, nie ma czasu na pogaduchy. Po prostu zamknij drzwi na klucz i sprawdź, czy wszystkie okna są dobrze zamknięte. Założę jeszcze zabezpieczenie na twoich drzwiach, żebyśmy mieli pewność, że nic ci nie grozi, a potem załatwię, co mam do załatwienia.

– Myślisz, że ktoś może mnie zaatakować?

– Nie, nie, to tylko tak na wszelki wypadek. A teraz zmiataj do środka i zamknij za sobą drzwi, no już! Aha, a jutro rano otwórz za mnie sklep, dobrze? Pojawię się gdzieś tak dopiero po lunchu.

– Jasne – wybąkała niepewnie. Odwróciła się, a ja wbilem wzrok w sufit, żeby widzenie obwodowe nie ściągnęło mojej uwagi w dół. – No to do zobaczenia jutro.

– Miłych snów – odparłem, gdy zamknęła drzwi, tym samym kryjąc przede mną swoje ciało, więc odetchnąłem z ulgą. – Cholera, czuję, że muszę natychmiast zapalić. A ja przecież nawet nie palę.

Na marginesie (data: 1 listopada): Przy najbliższej okazji kupić zbyt atrakcyjnej uczennicy jakieś bezkształtne, okropne ubrania. Najlepiej przekonać ją też, żeby ogoliła sobie głowę. Wmówić jej, że wszyscy porządni uczniowie druidów tak robią.

Nie musiałem zakładać żadnych zaklęć zabezpieczających na drzwi Granuaile, bo nic jej o tym nie mówiąc, założyłem odpowiednie już tydzień temu, gdy tylko wróciła z Karoliny Północnej i potwierdziła, że mimo wszystko chce u mnie terminować.

Wziąwszy kilka głębokich oddechów, by odzyskać panowanie nad sobą i skupić się porządnie na celu, ruszyłem ku klatce schodowej, w stronę piętra wiedźm. Nie łudziłem się nawet, że mogę je zaskoczyć. Pewnie dokładnie wiedziały, kiedy wszedłem do budynku, a co dopiero że już się zbliżam do ich kwatery. Zatrzymałem się jeszcze na chwilę, żeby wymamrotać odpowiednie wiązanie, które przytrzyma moje włosy i skórę, żeby ani jedno, ani drugie nie trafiło przypadkiem w ręce wiedźm, ale musiałem już być bardzo ostrożny i nie szafować magią, bo dziewięć pięter nad poziomem ziemi miałem bardzo ograniczony zasób energii, z której mógłbym korzystać, a ściśle – tylko to, co zdołałem zgromadzić w moim niedźwiedzim charmsie. Nie jestem w stanie po prostu miotać magią na lewo i prawo w każdych warunkach, tak jak robią to czarownice. W takiej sytuacji bardziej przyda mi się mój miecz. Fragarach

(„Prawdomówny”) nie był tylko zwykłym kawałkiem stali – kiedy wieki temu wykuli go bogowie Tuatha Dé Danann, dodali mu kilka bonusowych funkcji i je właśnie zamierzałem teraz wykorzystać.

Wyciągnąłem go z pochwy, łamiąc tym samym jeden czy może dwa przepisy prawa stanowego o broni śmiertelnej, i otworzyłem drzwi dziewiątego piętra. W korytarzu było pusto i nieprzyjemnie cicho. Światło było jakieś słabsze, a powietrze ciężkie jak pod ciemnym kocem. Na innych piętrach, które zamieszkiwała kokosowa młodzież oraz najróżniejsze odmiany japiszonów XXI wieku, słychać było cichą muzykę, śmiech i *The Daily Show*. U czarownic nie było co liczyć na takie atrakcje.

– To ja! Atticus! – zawołałem i uderzyłem kłykciami w drzwi Maliny. Ten nieco perkusyjny dźwięk nie licował z dekorum korytarza. Poczulem ostrą naganę ciszy, wpychającej się w moje uszy niczym wata. Stałem przed drzwiami lewą stroną do judasza, żeby nie było widać mojego miecza.

Gdy tak czekałem, aż mi otworzą, rozmyślałem o tym, jak durnym trzeba być, żeby robić coś takiego. Znow miałem w uszach słowa Oberona, plus odzywała się moja zwykła paranoja. Spotykanie się z wiedźmami na ich własnym boisku bez traktatu o nieagresji i bez żadnego wsparcia biło na łeb, na szyję wszystkie inne nierozważne kroki, na jakie kiedykolwiek się zdecydowałem. Nadal nie wiedziałem przecież, do czego są tak naprawdę zdolne. Jeśli Malina mówiła prawdę, były w stanie bronić tego terytorium przed intruzami przez niemal trzydzieści lat. Już na progu mogła być zainstalowana bomba-pułapka albo przynajmniej jakieś dobre zaklęcie. A zaraz za nim mógł się na mnie czaić demon gotowy do walki wręcz. Do diabła, mogła otworzyć drzwi z glockiem w dłoni i władować mi kulkę prosto w ucho, mogła rzucić we mnie kotem albo nawet wyzwąć mnie od cholernych hippisów.

Nie zrobiła jednak nic z tych rzeczy. Usłyszałem zgrzyt zamków – zwykłych, normalnych zamków – i stanęła przede mną z zaczerwienionymi, zapuchniętymi oczami, mówiąc:

– Waclawa nie żyje.

Chwilę mi zajęło, nim doszło do mnie, że to czyjeś imię. Znam czterdzieści dwa języki (w tym wiele wymarłych), ale polski bynajmniej do nich nie należy i prawdę powiedziawszy, w ogóle nie jestem orłem w językach słowiańskich. Dopiero po kilku sekundach przypominałem sobie, że Waclawa to jedno z imion, które Malina wymieniła mi kiedyś, opisując swój sabat.

– Bardzo mi przykro to słyszeć – odpowiedziałem. – Jak to się stało?

– Policja nazwie to pewnie samorzutnym spaleniem – syknęła z goryczą w głosie. – Tylko że wcale nie było samorzutne.

Miała na sobie przezroczystą fioletową bluzkę, pod którą widać było białą halkę. Czarna spódnica opinała się na biodrach i spływała jej aż do kolan. Na nogach miała czarne rajstopy, a do tego zamszowe botki do kostki na wysokim obcasie i z ostrymi czubkami. Usta pomalowane jasnorożową szminką zaciśnięte były z rozpacz. Znow zachwyciły mnie jej włosy, których łagodne, jasne, jedwabiste fale spływały wokół jej twarzy i dalej obok obojczyka. Czegoś takiego po prostu nigdy nie widzi się poza srebrnym ekranem. Jej skóra, zwykle tak biała i gładka jak marmur, była teraz zaczerwieniona i nabrzmiała od płaczu. Otworzyła drzwi szerzej i zaprosiła mnie gestem do środka.

– Proszę – powiedziała.

Ani drgnąłem.

– Pani wybaczy, ale muszę zadać pani najpierw dwa krótkie pytania. – Przesunąłem się tak, żeby sama zauważyła mój miecz, ale nie uniosłem go ani w żaden sposób jej nim nie pogroziłem. – Odpowie mi pani na nie?

Malina spojrzała na miecz.

– Jeśli poprawnie odpowiem, wygrywam miecz?  
– Nie, miecz sprawi, że po prostu poprawnie pani odpowie. Tak jakby mi to zagwarantuje.  
Malina zmrużyła oczy.  
– O jakiego rodzaju pytaniach mówimy?  
– Nie będą dotyczyły żadnych sekretów sabatu ani tym bardziej pani osobistych tajemnic. Chodzi tylko o moje bezpieczeństwo w danej chwili.  
– Co na tym zyskam?  
Westchnąłem. Z czarownicami to po prostu wszystko trzeba negocjować.  
– Otwarcie mówię pani, że nie mam zamiaru was zaatakować, o ile sam nie zostanę zaatakowany.  
– To już i tak wiem. Chcę wiedzieć coś więcej o pańskiej magii.  
– Nie. To by nie było fair. – Pokręciłem głową. – Wartość informacji nie jest taka sama. Malina uniosła brwi.  
– Czy sugeruje pan, że niewinne pytanie o pańskie zdolności magiczne ma większą wagę niż pytania dotyczące pana bezpieczeństwa dziś wieczorem?  
– Oczywiście. Pani odpowiedź na moje pytania będzie miała znaczenie tylko dziś wieczorem, natomiast gdybym ja odpowiedział na pani pytania, pani wiedza miałaby wartość na zawsze.  
– Jestem zbyt smutna, by się bawić z panem w takie gierki. Proszę zadawać swoje pytania o bezpieczeństwo.  
Uniosłem Fragaracha powoli i ostrożnie przyłożyłem go jej do gardła.  
– *Freagróidh tú* – powiedziałem po irlandzku. Miecz stał się zimny, ostrze zabłysło niebieskim światłem, a głowę Maliny otoczył niebieskozielony blask.  
Czarownica spojrzała na mnie zaskoczona.  
– Miecz, który rzuca zaklęcia? – spytała. – Doprawdy, bardzo interesujące. Czy to dlatego Aenghus Óg tak bardzo chciał go panu odebrać?  
Pewnie po części taka właśnie była przyczyna, lecz nie bez znaczenia były też polityczne rozgrywki faerii i jego osobista wendeta przeciwko mnie. Zresztą naprawdę nie przyszedłem tu, żeby analizować magiczne właściwości mojego miecza.  
– Oto moje pytania – odpowiedziałem. – Czy miałyście panie jakikolwiek związek z zamachem na moje życie, który miał miejsce dziś wieczorem, i czy wiecie, kto może za tym stać?  
– Nie miałam nic wspólnego z tym wydarzeniem, tak jak żadna z dziewcząt z mego sabatu, ale wydaje mi się, że wiem, kto może być za to odpowiedzialny.  
Pokusa, by natychmiast spytać: „Kto?“, była nieodparta, lecz zdusiłem ją w sobie. To może poczekać, a tymczasem muszę zadać jeszcze jedno, znacznie pilniejsze pytanie. Przemyślawszy je starannie, zadałem je w następującej formie:  
– Czy pani lub jakakolwiek osoba, istota czy duch znajdujące się w pani mieszkaniu zamierza rzucić na mnie jakiegokolwiek zaklęcie w czasie, kiedy przebywam w tym budynku, lub czy też są tu zainstalowane jakiegokolwiek uroki lub czary, które nieświadomie mogą uruchomić podczas tej wizyty?  
– Ani ja, ani żadna inna osoba, istota czy duch przebywający w moim domu nie zamierza rzucić na pana żadnego zaklęcia. Nie chciałabym natomiast mówić panu o naszych urokach i czarach, ponieważ to w moim przekonaniu naruszałoby tajemnice sabatu, o które obiecał pan nie pytać... – Malina zmarszczyła brwi, a potem nagle zaczęła mówić dalej, otwierając szeroko oczy z przerażenia, gdy dotarło do niej, że nie jest w stanie przestać. – Ale oczywiście gdy tylko

wszedł pan do budynku, uruchomił pan czar, ot, prosty alarm informujący nas o wkroczeniu na ten teren osoby innej niż mieszkańcy wieżowca. Kolejny czar zidentyfikował pana jako osobę mającą przy sobie przedmiot magiczny. Następny, ten w korytarzu, odpowiada za... *Zoria Wieczernaja, zamknij mi usta!*

Przy czym ostatnie słowa powiedziała chyba po polsku, co mnie trochę zaniepokoiło. Muszę naprawdę trochę się poduczyć słowiańskich języków, jeśli mam nadal współpracować z Maliną. Udało mi się tylko wyłapać imię Zorii, bogini gwiazdy wieczornej, od której czerpał moc sabat Maliny.

– Cokolwiek próbowała pani właśnie zrobić – powiedziałem – nie zadziała. Musi pani udzielić na moje pytanie wyczerpującej odpowiedzi, inaczej nie zostanie pani uwolniona. A zatem... mówiła pani o tym czarze w korytarzu...

Na co Malina odwołała się do przemocy i usiłowała zatrzęsnać mi drzwi przed nosem, a raczej próbowała chyba zrobić coś takiego, lecz szybko odkryła, że Fragarach nie pozwoli jej na żaden ruch poza lekkim drgnięciem. Jako że zaklęcia tego miecza zostały założone na nim w celu przesłuchiwania bardzo agresywnych wrogów, miecz chronił mnie lepiej niż cokolwiek innego. Nie można przecież pozwolić na to, by przesłuchiwany zadźgał przesłuchującego. Uśmiechnąłem się grzecznie i nic nie powiedziałem. Jedynym sposobem, by się uwolnić z czaru, było odpowiedzieć na moje pytanie, a zresztą zaklęcie zmusi ją do mówienia, nawet gdyby postanowiła sobie milczeć.

Postanowiła.

Około piętnastu sekund później – czyli naprawdę imponująco jak na te warunki – wyśpiewała wszystko o zabezpieczeniach w korytarzu, jednocześnie łypiąc na mnie coraz groźniej mimo swojej pozornej elokwencji.

– W korytarzu znajduje się czar, za pomocą którego pobieramy kilka włosów z głowy każdego, kto nie mieszka na tym piętrze. To samo się stanie, gdy przekroczy pan próg mojego mieszkania. W kuchni trzymam nóż, który wbije się panu w palce, jeśli będzie go pan próbował użyć, dzięki czemu pozyskam wystarczającą do moich celów ilość pańskiej krwi. Jeśli natomiast skorzysta pan z mojej toalety, wszystko, co w niej pan zostawi, zostanie zachowane do późniejszego użytku.

– Fuuu, to obrzydliwe – powiedziałem tonem ostatniej ciumci (przysięgam, że tonu tego użyłem po raz pierwszy w życiu).

– To wszystko. Proszę mnie teraz natychmiast uwolnić – zażądała Malina.

– Obiecałem, że zadam pani jedynie dwa pytania dotyczące mojego bezpieczeństwa, i tak właśnie uczyniłem. Sam fakt, iż nie chciała pani odpowiedzieć na moje drugie pytanie, świadczy o tym, że miałem powody, by się o to martwić. A oczywiście nie chciała pani odpowiedzieć, bo wie pani dobrze, że posiadanie mojego włosa, krwi czy jakiegokolwiek innej części mojego ciała w celach magicznych jest ściśle zakazane w naszym traktacie o nieagresji, którego nadal nie podpisaliśmy.

Malina syknęła cicho z wściekłości, a ja kontynuowałem niezrażony.

– Za chwilę panią uwolnię. Lecz nim to zrobię, chciałbym uświadomić pani, że to panią i pani sabat winię za ostatnie zamachy na moje życie. Nie zadam pani już żadnych pytań w tym momencie, bo złamałbym obietnicę, ale będę niezwykle wdzięczny, jeśli po uwolnieniu będzie pani łaskawa podzielić się ze mną swoimi domysłami na temat tożsamości osoby, która usiłowała mnie dziś zabić. Jeśli ta tajemnicza osoba jest tożsama z mordercą Waclawy, oferuję paniom moją pomoc w pomszczeniu jej.

Twarz wiedźmy złagodniała nieco i po krótkiej chwili wahań skinęła głową.

– To całkiem rozsądne. Natychmiast zwrócę panu wszelkie włosy, które zostały już od

pana pobrane, oraz zlikwiduję czar znajdujący się na progu, by mógł pan wejść tu zupełnie bezpiecznie. Jeśli nigdy więcej nie posłuży się pan tym mieczem przeciwko mnie ani żadnej z członkiń mego sabatu.

Nie kiwnąłem głową ani w żaden inny sposób nie dałem jej do zrozumienia, że się na to zgadzam, ale uwolniłem ją i powiedziałem:

– Do dzieła więc.

Bardzo byłem ciekaw, czy ten pogrążony w ciszy korytarz zdołał pobrać jakiś mój włos, mimo że założyłem przecież na siebie specjalne wiązanie, które miało temu zapobiec.

– To kto mnie dziś zaatakował? – spytałem.

– Chwileczkę – odparła. Powiedziała kilka słów po polsku i framuga zajaśniała białym blaskiem. – Może pan już bezpiecznie wejść.

– Dziękuję – odpowiedziałem i wszedłem do jej apartamentu. Przeważał tu kolor fioletowy, od bardzo intensywnego po delikatny, lawendowy odcień, z czarnym akcentem w postaci skórzanych mebli i stalowych urządzeń. Ściana nad obowiązkowym wielkim ekranem telewizyjnym pyszniła się olbrzymim obrazem przedstawiającym trzy boginie, z pewnością Zorie. Wąskie świece z bladego wosku oświetlały pokój palcami płomieni, rozsiewając zapach skórki pomarańczowej i kardamonu.

– Wydaje mi się, że zwyczajowo powinnam zaoferować panu teraz jakiś poczęstunek – powiedziała Malina, idąc w stronę kuchni – ale pan i tak odmówi, prawda?

– Tak, ale dziękuję za propozycję. Doceniam ten miły gest.

– Usiądzie pan? – Wskazała mi skórzaną kanapę stojącą w części salonowej. Na czarnym stoliku do kawy leżało kilka magazynów: „Newsweek”, „Organic Living” oraz „Rolling Stone”, stwierdziłem ze zdumieniem. Zaraz jednak doszło do mnie, że to dość głupia myśl. Niby czego oczekiwałem? Miesięcznika „Ty i Twoje Rytualne Zabijanie Zwierząt”? Niemal przyjąłem jej zaproszenie, bo kanapa wyglądała na niezwykle wygodną, ale w ostatniej chwili cichutki głos rozsądku uświadomił mi, że przecież wystarczy kilka słów po polsku i ta wygodna kanapa może mnie na przykład zjeść.

– Dziękuję, postoję. I może najlepiej będzie, jak nie schowam miecza, choć skieruję go w stronę ziemi. Nie zajmę pani zbyt wiele czasu. Tyle tylko, by ustalić, kto mnie zaatakował, oraz odzyskać wszystko, co wasze czary mi zabrały.

Malina nie była przyzwyczajona do tak jawnego braku zaufania i odniosłem wrażenie, że jest bliska wzięcia sobie tego do serca. Ale też spójrzmy prawdzie w oczy, większość ludzi spoza jej sabatu nie miała nawet pojęcia, że ona jest wiedźmą; dla nich była po prostu ponętą kosmopolityczną kobietą sukcesu o pięknych włosach i skłonności do seksownego obuwia.

– Dobrze – odrzekła zwięźle i wyciągnęła korek z otwartej już butelki Rosemount Estate Shiraz, która czekała na nią na granitowym blacie. Sięgnęła do szafki po kieliszek, potem jednak się rozmyśliła, rzuciła korkiem przez ramię i stwierdziła, że skoro ja i tak nie skosztuję jej wina, może równie dobrze pić z gwinta. – Do rzeczy więc. – Wzięła łyk czy dwa na odwagę i kontynuowała. – Po Wacławie została ledwie garstka popiołu na brzegu jeziora. Stało się to za sprawą pewnego przekleństwa, z którym nie spotkałam się od młodości, a spędziłam ją, jak pan wie, w Europie. Takiego zabójstwa nie zdołałby przeprowadzić nikt z mojego sabatu, zapewniam pana. Co więcej, żadna z nas nawet by tego nie chciała. Zaklęcia tego nie da się rzucić bez udziału ciemnych mocy, a wykonać je muszą naraz aż trzy wiedźmy. To – powiedziała z naciskiem, wymachując w moim kierunku butelką – powinno dać panu pojęcie, z czym tu mamy do czynienia.

– Jeśli zostałem zaatakowany w tym samym czasie co wy wszystkie, oznacza to, że mówimy tu o dwóch tuzinach wiedźm i ośmiu demonach.

– Otóż to. Z tym że demonów może już tu nie być. Choć nie wątpię, że zostawiły po sobie co nieco. – Jej oczy zrobiły się przy tych słowach tak dziwnie duże, że zacząłem się zastanawiać, ile już wypła tego wina.

– O, nie. Niech zgadnę. Osiem z tych wiedźm je teraz za dwoje.

– Zgadł pan, panie O'Sullivan. Tak to mniej więcej działa. Za dziewięć miesięcy urodzi się osiem małych demoniątek, a zaraz potem jeszcze więcej, jeśli te skończone heksy znów będą chciały spróbować tego zaklęcia. Istnieje tylko jeden sabat wystarczająco duży i bezduszny, by się porywać na coś takiego, i już je kiedyś poznałyśmy. Zważ się *die Töchter des dritten Hauses*.

– Córci Trzeciego Domu?

– Tak. To właśnie o tych sukach wspomniałam panu w naszej rozmowie przez telefon. – Twarz wykrzywiła jej się straszliwie i wyglądała tak, jakby miała zakląć z cicha, albo i z głośna, ale opanowała się i tylko sztucznie spokojnym głosem zauważyła: – Widzę, że mówi pan po niemiecku.

– *Ja, aber natürlich*, w kilku jego odmianach. Dlaczego panie przeżyły, a Waclawa nie? Malina wzruszyła ramionami.

– To proste. Gdy to się stało, ona była na dworze, a my w domu. Tu, na naszym piętrze, jesteśmy niemal zupełnie bezpieczne, jak i z pewnością pan we własnym domu. Gdybyśmy wszystkie były poza domem, gdy nastąpił atak, już byśmy nie żyły.

– Skoro tak, to wydawałoby się, że powinny lepiej zaplanować atak, żeby zaskoczyć panie poza bezpieczną strefą.

– Zakłada pan, że wiedzą o naszych zabezpieczeniach. Te heksy nie mają pojęcia, jaką ochronę dają nam Zorie. Ich magia bardzo się różni od naszej, zresztą od pańskiej również. Były z pewnością przekonane, że rzucają zaklęcie, którego nikt nie jest w stanie przeżyć. Będą zaskoczone, kiedy się przekonają, że jest zgoła inaczej.

– Czemu w ogóle zaatakowały? I dlaczego panie?

– Nas zaatakowały, by wyrównać stare porachunki – odparła, pukając się przy tym butelką w pierś, co z kolei przypomniało jej, że zawiera ona całkiem smaczkowy trunek. Wzięła kolejny łyk, nim dokończyła odpowiedź, i przeszła do części salonowej. – Ale przede wszystkim to my, przy czym to „my” odnosi się tu także do pańskiej osoby, jesteśmy jedynymi obrońcami terytorium Wschodniej Doliny, czy pan ma tego świadomość czy nie.

– Nie pamiętam, żebym się zgłaszał na ochotnika.

– To nie jest tego typu zadanie, do którego się można zgłosić lub nie. – Uniosła wdzięcznie pięść do ust, by ukryć ciche beknięcie. – Skoro one uważają pana za strażnika tego terytorium, to nim pan jest. Postrzeżenie jest rzeczywistością, panie O'Sullivan.

– Ale czemu nie polują na wilkołaki? Albo na Leifa?

– Oni reprezentują zupełnie inne strefy wpływów. Wilkołaki interesują tylko inne wilkołaki. Są odporne na wszelką inną magię, nic ich więc nie obchodzi, kto prócz nich włada tym terytorium. Wampiry z kolei przejmują się tylko innymi martwiakami. Na nasze głowy spadają natomiast wszelkie sprawy pozostałych istot magicznych.

– Ale jakie to ma w ogóle znaczenie...

– Czy pan kiedyś przeanalizował, jak się rozkładają obszary wysokiej przestępczości w tym kraju? Porównajmy dla przykładu Zachodnią i Wschodnią Dolinę. Miasta zachodnie, w tym Phoenix, mają znacznie wyższe wskaźniki przestępczości, ubóstwa i wypadków samochodowych. Jak się panu wydaje, jaka jest tego przyczyna?

– Niski poziom infrastruktury i rozwoju socjoekonomicznego.

– Nie. Przyczyna jest taka, że Zachodnia Dolina znajduje się poza naszymi wpływami.

– Chce mi pani powiedzieć, że pani sabat jest w pełni i wyłącznie odpowiedzialny za

stosunkowy spokój i dobrobyt we Wschodniej Dolinie?

– Nie wyłącznie, ale w dużej mierze tak. Zorie to boginie opiekuńcze, a nie mściwe, żadne krwi i ofiar potwory.

– To fascynujące – przyznałem – lecz nie ma wiele do rzeczy, bo chodzi głównie o to, jak mam namierzyć te niemieckie wiedźmy i je pozabijać.

– Niech pan je zabije tak, jak zabił pan moje siostry – odparła mi Malina z zimną krwią. Nie miała świadomości, że tak naprawdę nie zabiłem żadnej z nich. Pięć wiedźm skończyło jako przekąska dla wilkołaków, a szósta padła ofiarą innej wiedźmy, takiej, co stała po mojej stronie.

– Co do miejsca ich przebywania, domyślam się, że są teraz gdzieś w mieście, choć nie jestem w stanie powiedzieć panu gdzie dokładnie, bo sama tego nie wiem. Po północy spróbuję ustalić to poprzez odpowiednie wróżby.

– Świetnie. Ja również spróbuję ustalić ich namiary. Czy pani zdaniem sabat ten jest potężniejszy niż wasz?

– W tej chwili, gdy jesteśmy tak nieliczne, z pewnością jest potężniejszy. Gdy byliśmy jeszcze w pełni sił, trzymały się od nas z daleka. Teraz jednak wiedzą dobrze, jak duże poniosłyśmy straty, a Wschodnia Dolina to doprawdy urocze miejsce, dobrze się tu mieszka i wydaje im się, że mogą ją nam odebrać.

– A mogą?

– Już to w pewnym sensie zrobiły. Nie możemy opuścić tego jednego piętra, póki nie zostanie usunięte niebezpieczeństwo przekleństwa, ponieważ nie jesteśmy w stanie samodzielnie się przed nim bronić. Mamy małe szanse na pokonanie ich jedynie za pomocą magii, skoro jest nas tylko sześć. A zatem wszystko w pana rękach, panie O'Sullivan. Tylko pan może udaremnić ich nikczemne plany.

– Mam wrażenie, że myli mnie pani z jakimś superbohaterem. To oni uganiają się za złoczyńcami i parają się udaremnianiem im planów. Potem przekazują ich policji, a rzeczeni złoczyńcy wrzeszczą wtedy, że udałoby im się, gdyby nie te paskudne dzieciaki, które zawsze wtrącają nosy w nieswoje sprawy. – Między brwiami Maliny pojawiła się głęboka zmarszczka, gdy usilnie próbowała odnaleźć w głowie jakiś kontekst dla moich słów. Wyraźnie jej się to jednak nie powiodło. Hmm. Czyli że nie mam tu do czynienia z fanką porannych kreskówek. – W każdym razie druidzi tym się od nich różnią, że piorą tyłki tylko tym osobom, które próbują im zrobić kuku. I nic poza tym.

– Tak, rozumiem.

– To świetnie. To niech mi pani powie, dlaczego niby Wschodnia Dolina jest tak rozchwytywana.

– Ma pan na myśli, dlaczego warto o nią walczyć? – Malina przestała spacerować po salonie i rozsiadła się wygodnie na skórzanej kanapie, znów przechylając butelkę.

– Tak. Proszę mi to wytłumaczyć jak dziecku, bo przyznam, że takie walki o terytorium jakoś nigdy mnie nie przekonywały. Dlaczego grupa magicznych istot walczy o kawałek nieruchomości, skoro równie dobrze mogłyby się rozejść po całym szerokim świecie i dla każdego by starczyło?

– Myślałam, że to oczywiste, panie O'Sullivan. Na gęsto zaludnionym, industrialnym terenie ludzie zwykle uważają magię za żart, głupotę. Dzięki temu znacznie łatwiej pozostać niezauważonym, łatwiej na nich polować, jeśli akurat ma się takie zamiary, łatwiej czerpać zyski. Pan jest sam, więc pewnie może pan stosunkowo łatwo się przeprowadzić, gdzie się panu żywnie spodoba. Większa grupa, taka jak nasza, natomiast potrzebuje większej wspólnoty, by się schować, a i większej ekonomicznej maszyny, byśmy mogły sobie pozwolić na życie na odpowiedniej stopie. Obszary zurbanizowane zapewniają nam bezpieczeństwo i utrzymanie,



toteż walczymy o najlepsze z nich.

– Nie mogłyby się panie dzielić z innymi?

– Do pewnego stopnia robimy to przecież. Dzielimy się tym terytorium z Watahą z Tempe na przykład. Dzielimy się nim z panem. Lecz gdy dany teren zamieszkuje zbyt wielu użytkowników magii, wzrasta ryzyko ujawnienia, a gospodarka przestaje być zdolna do udźwignięcia tak dużego wysiłku.

– Że co przepraszam? Nie rozumiem, co to wszystko ma do gospodarki. Prowadzę uczciwą księgarnię, sprzedaję zioła. Wszyscy członkowie Watahy z Tempe mają legalne prace. Czy i panie nie postępują tak samo?

Malina roześmiała się.

– Ależ skąd, panie O'Sullivan. Oczywiście, że nie. Ludzie po prostu dają mi to, czego chcę. I podobnie jest z moimi siostrami.

– Chce pani powiedzieć, że ludzie po prostu dają pani pieniądze?

– Tak, naturalnie. – Owinęła sobie loczek wokół palca i uśmiechnęła się do mnie wdzięcznie.

– Tak z własnej woli?

– Cóż, im się tak wydaje. – Wzruszyła ramionami i uniosła dłoń. – A zatem taka musi być prawda, czyż nie? – Po czym uśmiechnęła się złośliwie.

– I nie burzy to spokoju pani sumienia?

– Nie, ani trochę. Prawdę powiedziawszy – pochyliła się i zniżyła głos do szeptu, jakby dzieliła się ze mną jakąś tajemnicą – jesteśmy zatrudnione przez dwadzieścia parę różnych korporacji jako konsultantki, ale nie robimy dosłownie nic w zamian za nasze pensje. Zresztą zupełnie tak jak i pozostali konsultanci. – Odchyliła się z powrotem i wróciła do normalnego tonu. – Świadczymy jednak rozliczne usługi mieszkańcom Wschodniej Doliny.

– Czy mogę spytać, jakie to usługi?

– Przede wszystkim bronimy ich przed naprawdę paskudnymi wiedźmami oczywiście, jak również przed innymi nieciekawymi obywatelami tego kraju. Gdyby nie my, te części Mesy mogłyby łatwo stać się równie niebezpieczne jak inne wielkie miasta Ameryki. I to właśnie nastąpi, jeśli *die Töchter des dritten Hauses* przejmą nasze terytorium. Że już nawet nie wspomnę o szkodach, jakie mogą miastu wyrządzić bachantki, gdy już tu dotrą.

– Co takiego? Bachantki chcą przejąć nasze miasto? Teraz?

– Tak. Gdy my tu sobie spokojnie rozmawiamy, one już są w drodze. Wie pan, te z Las Vegas. Wspominałam już panu o nich, prawda?

– Tak, tak mi się wydaje. – Z trudem zmusiłam się do zachowania spokoju nonszalanckiego stoika, bo w rzeczywistości miałem nieodparte wrażenie, że zaraz będę potrzebował nowych gaci. Dawno temu, gdy jeszcze byłem druidzkim uczniem, czyli kilkadziesiąt lat przed Chrystusem, bachantki były najstraszniejszymi stworzeniami stąpającymi po ziemi. Przynajmniej według druidów. A wszystko, co było w stanie przestraszyć archdruida, mnie doprowadzało do totalnej paniki. I dlatego przez pierwsze kilka wieków niemal robiłem w gacie, gdy tylko ktoś w ogóle wspomniał w mojej obecności o bachantkach.

Współcześnie dzieciaki niewiele o nich wiedzą. Czasem im się tam kołacze po głowie jakaś historia o Orfeuszu, którą Owidiusz opowiedział w *Metamorfozach*. Nawet w zeszłym tygodniu jeden taki student szukał jej u mnie w księgarni i opisał mi bachantki jako „no te pijane laski, co to zabiły tego typka, który nie miał ochoty na seks”. Jego wykładowcy muszą być z niego dumni. Spytałem go, czy wie, co to menady, a on – zamiast mi powiedzieć, że to tylko inna nazwa na bachantki! – z niepojętych przyczyn uznał, że mówię o minetach. Nasza rozmowa zakończyła się bardzo szybko.

Teraz, gdy jestem znacznie starszy i mądrzejszy, mam już świadomość, że strach archdruida przed bachantkami wynikał w dużej mierze z jego szowinistycznego lęku przez kobietami, które robią, co chcą, ale wiem też, że do pewnego stopnia był on uzasadniony.

Bachantki zawsze mają przy sobie te cholerne tyrsy, laski oplecione winoroślą, które dają im moc robienia imprezy, gdzie popadnie – wystarczy, że uderzą nią w ziemię, a tryska wino. Tańczą, piją i wpadają wreszcie w szał, od którego stają się tak silne, że mogą rozedrzeć gołymi rękami całego byka (a co dopiero człowieka). Ich szał ma oczywiście wpływ na okoliczną ludność, zmieniając szybko każde w miarę cywilizowane przyjęcie w rozpustną orgię. Nie jest to jakaś magia wymierzona w konkretne osoby; raczej, jak podejrzewałem wówczas, w większości opiera się jedynie na odpowiednim sterowaniu ludzkimi feromonami. A to oznaczało, że mój amulet prawdopodobnie nie będzie mnie przed nią chronił. Na dodatek bachantek nie spala ogień i nie da się ich zranić żadną żelazną bronią. Ta pierwsza właściwość za wiele mnie nie obchodziła, bo druidzi nie latają po mieście, rzucając kulami ognia we wrogów, ale druga oznaczała, że mam z nimi wielki problem, jako że zwykle posługiwałem się po prostu mieczem, gdy chciałem pozbyć się kogoś, nim ten ktoś pozbędzie się mnie. Podsumowując, bachantki były właściwie druidoodporne, gdy tymczasem wszystko wskazywało na to, że ja nie miałem się jak bronić przed ich magią.

– W minionych latach już dwa razy odparłyśmy ich ataki – mówiła właśnie Malina – lecz teraz jest nas tak mało w porównaniu z nimi, że mogą zorganizować całkiem poważną imprezę i nie muszą się obawiać, że się w ogóle na niej pojawimy. Zresztą jest to w zasadzie niemożliwe, skoro tkwimy w domu, bojąc się, że zniszczą nas te niemieckie hekсы. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że te dwie grupy ściśle ze sobą współpracują i zamierzają razem przejąć to terytorium.

– To wszystko – mruknąłem, ze złośliwym uśmiechem tykając ją swoim lewym palcem wskazującym – zaczyna dla mnie brzmieć dziwnie podejrzanie.

Malina spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Doprawdy? Dopiero teraz?

– Tak – przytaknąłem, puszczając mimo uszu jej sarkastyczny ton. – Brzmi to tak, jakby wymyśliła sobie pani, że ja będę latał po okolicy i rozwiązywał wszystkie pań problemy, gdy tymczasem panie będziecie sobie siedziały spokojnie w domu i oglądały *Pamiętnik Cassavetes*a czy coś. – Udając kobiecy głos i starając się naśladować jej polski akcent, dodałem: – Idź prędkutko, druidzie, i zabij mi te wszystkie brzydkie hekсы, a jak już będziesz w mieście, pozbądź się, proszę, tych jakże uciążliwych bachantek.

Malina spiorunowała mnie spojrzeniem.

– Czy to miał niby być mój akcent? Brzmiało to mniej więcej tak, jakby jakiś Rosjanin próbował udawać Belę Lugosiego, z opłakanym skutkiem. Mój akcent jest znacznie bardziej wytworny i elitarny.

– To, czy moje naśladowanie pani akcentu było udane czy nie, nie ma żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma. Poza tym sam zaferował pan przecież pomoc w pomszczeniu Waclawy.

– I pomogę paniom. Ale co wy same chcecie zrobić, żeby pokonać te hekсы? – spytałem.

Malina przygarbiła się nieco, spojrzała na butelkę, ale potem uznała widać, że może już jednak nie powinna więcej pić, westchnęła głośno i odrzuciła głowę w tył na oparcie kanapy.

Ten ruch sprawił, że jej włosy rozsypały się wokół głowy niczym złoty zwój jedwabiu i ułożyły na czarnej poduszce oparcia jak aureola. Malina miała zwyczaj zakładać na nie jakiś sprytny czar, który sprawiał, że mężczyźni dawali jej wszystko, czego zażądała, ale zaczynałem podejrzewać, że z takimi włosami de facto nie potrzeba wiele magii. Biały łuk jej szyi wygiął się kusząco, a moje oczy powędrowały w kierunku wskazywanym przez strzałę utworzoną

z wglębenia między obojczykami, niżej, niżej... baseball! Skup się, Atticus! Jakikolwiek romans z Maliną musiałby się z pewnością skończyć bez happy endu.

– Najpierw musimy je namierzyć – powiedziała. – I taki jest cel dzisiejszej nocnej wróżby. Kiedy będziemy już wiedzieć, gdzie są, jesteśmy w stanie walczyć stąd. Na pewno nie tak efektownie jak one, mowy nie ma o ośmiu symultanicznych przekleństwach, ale na pewno możemy atakować to tę, to tamtą, póki nie będzie pan gotów do otwartej walki. Będę pana informować o naszych postępach na bieżąco. A gdy dotrą tu bachantki, co najprawdopodobniej nastąpi jutro w nocy, także dam panu znać, gdzie się znajdują.

– A zatem nie pozostaje nam pewnie więcej kwestii do omówienia poza tym, co ma pani mojego, czego nie powinna pani mieć.

– A, racja. – Malina zwlokła się z kanapy i odstawiła butelkę na stolik, troszkę tylko chwiejąc się na obcasach. Zebrała włosy i upięła je w kok, zabawiając mnie przy tym uprzejmą rozmową i prowadząc w stronę sypialni, która służyła tu najwyraźniej jako spiżarka z magicznymi łakociami.

– Naprawdę mam nadzieję, że uda nam się wreszcie podpisać ten traktat o nieagresji, panie O'Sullivan. Mimo tego całego niegrzecznego przepytywania mnie jeszcze w progu oraz barbarzyńskiego zwyczaju paradowania po moim mieszkaniu z mieczem na wierzchu, czuję, że moglibyśmy żyć i pracować obok siebie w pokoju, a nawet dobrobycie, to znaczy gdy już pozbędziemy się tych wszystkich przykrych kłopotów.

Bynajmniej nie mówiła po angielsku – był to uniwersalny język dyplomacji.

– Nie mam nic przeciwko pokojowi i dobrobytowi – odparłem ostrożnie.

Spiżarka Maliny utrzymana była w zupełnie innych barwach niż salon – przeważała tu jasna zieleń ścian, a cedrowe półki zastawione były buteleczkami i słoiczkami. Odruchowo rozejrzałem się za czymś niesamowitym – nie wiem: ludzkim mózgiem, wargą jelenia czy jajami wydrozwierza – ale widziałem tylko rządki ziół, olejków, eliksirów oraz zastanawiającą kolekcję pazurów wielkich kotów: tygrysa, pantery śnieżnej oraz czarnej, lwa, geparda, kuguara i rysia. Trzymała tu też dzioby kilku gatunków drapieżnych ptaków, ale poza tym jej zasoby były głównie roślinnego pochodzenia.

Na środku pokoju stał drewniany stół z działu kuchennego IKE-i, a na nim obowiązkowy moździerz z tłuczkiem, nóż do siekania, nożyk do obierania oraz elektryczny krążek, który można było włączyć do prądu za pomocą przedłużacza. Poczułem lekkie rozczarowanie na widok stojącego na nim zwykłego garnka miast porządnego, czarnego żeliwnego sagana, a jeszcze większy zawód spotkał mnie, gdy zajrzałem ukradkiem do środka i nie zobaczyłem żadnego rozpaczliwie szamoczącego się płaza. Na ścianie przed stołem wisiała mniejsza kopia obrazu z salonu – spoglądały z niego trzy Zorie, czekając na odpowiedni moment, by pobłogosławić pracę Maliny.

– Skąd bierze pani zioła? – spytałem. – Być może mógłbym się na coś pani przydać, gdyby miała pani problemy ze znalezieniem czegoś rzadszego lub świeższego.

– Prawie wszystko kupujemy u pewnego zielarza z Chandler – odpowiedziała Malina – ale podejrzewam, że już wkrótce zabraknie nam krwawnika, skoro będzie trzeba sobie jakoś radzić z tymi heksami. Ma pan może jakieś zapasy?

Krwawnik pospolity, czyli *Achillea millefolium L.*, używany jest przez wiedźmy przy wykonywaniu zaklęć wróżących, ale może być także przydatny w zaklęciach ochraniających i atakujących. Ja natomiast wykorzystywałem go w dużych ilościach w moich działaniach aptekarskich, dodając go między innymi do kilku herbatek ziołowych, takich jak „Strach na wirusy” (stosować przy pierwszych objawach przeziębień i grypy), „Ulga dla brzucha” (dobra na rozmaite problemy żołądkowo-jelitowe) oraz w mojej supereksperymentalnej mieszance, którą

nazwałem „Tęczowy ogród”. Tę ostatnią zwykłem parzyć artystom, którzy mieli ochotę spojrzeć na świat inaczej, bo krwawnik, w odpowiednim stężeniu, tymczasowo zmienia widzenie kolorów.

– Jasne, mam tego masę, bo sam ciągle go używam. Hoduję krwawnik w ogródku, uprawa ekologiczna i bardzo wysokiej jakości. Ile by pani potrzebowała?

– Trzy funty powinny wystarczyć – stwierdziła Malina. – Mógłby pan wysłać go nam przez kogoś?

– Oczywiście. Zamówię kuriera na rano. Może mu pani zapłacić. Dam mu też listę innych ziół, które hoduję, oraz drugą z tymi ziołami, które mógłbym dla was wyhodować na zamówienie.

– Doskonale, a zatem teraz będzie nas łączyła także wymiana handlowa. – Malina podeszła do półek wiszących obok obrazu Zorii i spojrzała na niezamknięte, nieopisane słoiczki, które z tego, co widziałem, były niezamieszkałe. Na lewo od nich przez całą długość półki oraz jeszcze dwie półki wyżej ciągnęły się rzędkie słoiczków z kosmykami ludzkich włosów, każdy starannie opisany na etykietce. Wszyscy ci ludzie byli zdani na łaskę i niełaskę Maliny, czy to wiedzieli czy nie. Zrobiło mi się ich żal.

– Powinien tu być – mruknęła nerwowo Malina. – Ostatnią osobą, która weszła na to piętro, był policjant, który poinformował nas o śmierci Waclawy. – Wskazała na słoik z etykietką stojący tuż obok pustego. W środku widniał pukiel jasnych włosów, a na naklejce na słoiku podpis: Kyle Geffert. – Pańskie włosy powinny się znaleźć w tym słoiku – dodała i uniosła głowę w stronę otworu wentylacyjnego, z którego czuć było delikatny powiew klimatyzacji. Domyśliłem się, że włosy pobrane od osób, które miały nieszczęście wejść na piętro wiedźm, wędrowały kanałem wentylacyjnym, by w końcu wylądować w jednym z pustych słoiczków. Lecz nie widać tu było żadnego z moich rudych loków.

– Co tu się dzieje, na Gwiazdę Poranną? – warknęła Malina w stronę słoiczka, jakby biedaczek mógł jej odpowiedzieć, a ja zmusiłem się do powstrzymania uśmiechu zadowolenia.

Ha-ha. Wyglądało na to, że moje sploty były mocniejsze niż jej czary. He-he-he, Malinko, nie złapiesz mnie.

## Rozdział 6

Mycie brudnego wilczarza irlandzkiego jest doświadczeniem zgoła odmiennym od mycia chihuahua. Żeby zmoczyć takiego smoka, trzeba co najmniej trzech czy czterech wiader wody na przykład, gdy tymczasem jedno wiadro zupełnie by wystarczyło, żeby chihuahua zupełnie utopić.

Drogą prób i błędów odkryłem, że jeśli mam akurat takie widzimisię, że chciałbym pozostać suchy przy tej czynności, muszę odwrócić uwagę Oberona od gilgoczących go baniek i mydła jakąś naprawdę dobrą opowieścią, bo inaczej co rusz będzie się otrzępywał, a woda i piana obficie zaleją wszystkie ściany łazienki. I dlatego właśnie kąpiel jest w tym domu równoznaczna z czasem na opowieści, skutkiem czego Oberon nawet polubił to zajęcie.

Ja natomiast bardzo lubię obserwować, jak mój pies wpada w obsesję na temat ostatniej opowieści i żyje nią, póki nie usłyszy następnej. Przez ostatnie trzy tygodnie pochłaniała go wizja, że jest psim Czyngis-chanem, i bez końca męczył mnie, że czas zorganizować jakieś hordy na mongolskim stepie i rozpocząć wielką walkę o ziemię w Azji. Teraz zamierzałem przenieść go w zupełnie inny świat.

– Kiedy robiliśmy wodę z mózgu panu Semerdjianowi – zacząłem mówić, polewając go wodą – spytałeś, kim byli Merry Pranksterzy. Otóż nazwa Merry Pranksters odnosi się do grupy ludzi, którzy dołączyli do Kena Keseya w jego podróży magicznym autobusem z Kalifornii do Nowego Jorku w 1964 roku.

<To Ken Kesey miał magiczny autobus? Co ten autobus robił?>

– Głównie służył do doprowadzania do paniki wszelkich społecznych konserwatystów. Był to stary autobus szkolny pomalowany farbami fluorescencyjnymi, takimi naprawdę jasnymi i szalonymi, który nazywali Furthur.

<To ten Kesey był jakimś czarnoksiężnikiem, tak?>

– Nie, tylko uzdolnionym pisarzem. Ale jeśli wziąć pod uwagę, że jego autobus zapoczątkował rewolucję kulturalną lat sześćdziesiątych, to trzeba chyba przyznać, że władał dość potężną magią. Pranksterzy rozdawali wszystkim wokół kwas za darmo, żeby wyrwać ich z ponurego życia konformistów. Kwas był zresztą wtedy legalny.

<Czekaj, nie powiedziałaś mi, co to jest ten kwas tak właściwie.>

– Potoczna nazwa na LSD.

<Myślałem, że potoczna nazwa to mormoni.>

– Nie, nie. Ty mówisz o LDS, The Church of Jesus Christ of Latter-day Saints, czyli o Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, a ja mówię o LSD, czyli o narkotyku, który nazywają kwasem, bo jego pełna nazwa to dietyloamid kwasu D-lizergowego.

<Brzmi, jakby miało masę skutków ubocznych.>

– Mniej niż niejeden lek sprzedawany dziś na receptę – mruknąłem, trąc pieniącą się gąbką po grzbiecie Oberona. – Ale wracając do Prankstersów. Ubierali się też w różne szalone kolory, śmiesznie malowane, przedziwne kapelusze i mieli superanckie przezwiska, takie jak Mountain Girl, Gretchen Fetchin oraz Wavy Gravy.

<Wavy Gravy? To znaczy Falujący Sos z Pieczeni! Nie mówisz poważnie!>

– Najzupełniej poważnie albo moją matką była koza. – No to już zdobyłem jego serce.

<Ja cię...! To jest najbardziej wyczesane przezwisko, jakie w życiu słyszałem! I czym się zajmował ten Pofalowany Sos?>

I tak opowiedziałem Oberonowi wszystko o Wavy Gravy, o Próbie Kwasu w Elektrycznej Oranżadzie, o „Grateful Dead” i w ogóle o całym ruchu hippisowskim oraz o moralnym imperatywie „Wypnij się na Wielkiego Brata!”, przy czym wyjaśniłem mu, że przedstawicielem

Wielkiego Brata jest na przykład pan Semerdjian. Oberon wyskoczył z wanny nie tylko czysty i pachnący, ale przede wszystkim gotów włożyć ręcznie farbowaną koszulę z pacyfą.

Gdy paradował po salonie, siejąc wokół peace and sos (wyjaśniwszy mi wcześniej, że sos i miłość to to samo), moja podświadomość uznała za stosowne wysłać na powierzchnię mej pamięci małą bańkę informacji: sekundka, czy pan Semerdjian naprawdę powiedział, że trzyma w garażu granatnik przeciwpancerny?

Miałem wrażenie, że takie zabawki nie jest znowu tak łatwo dostać w pierwszym lepszym sklepie, dodałem to więc do Listy Rzeczy do Sprawdzenia, Gdy Tylko Będzie Chwila, a następnie rzuciłem się na łóżko szczęśliwy, że oto przetrwałem jeszcze jeden dzień.

## Rozdział 7

Uznałem, że rano należy mi się porządne śniadanie, skoro na ten dzień miałem zaplanowaną kolejną walkę z demonem: puszysty omlet z fetą, pomidorami, szpinakiem oraz kapką tabasco, a do tego tost z pomarańczową marmoladą i gorący kubek ekologicznej kawy, obowiązkowo ze znaczkiem Sprawiedliwego Handlu oczywiście.

Przespawszy się z tym problemem, doszedłem do wniosku, że jedyne, co mogę zrobić z bachantkami, to namówić kogoś innego, żeby je dla mnie zlikwidował. To z pewnością będzie kosztowało – być może nawet drogo kosztowało – ale da mnie i Granuaile szansę przetrwać. Wcześniej wziąłem pod uwagę różne rodzaje broni – drewniane, brązowe, szklane – ale tak naprawdę bez względu na typ broni zawsze musiałbym stanąć przeciwko potężnej grupie niezwykle silnych wariatek i to zupełnie bez żadnego zabezpieczenia przed zarażeniem się ich szalem.

Nadszedł czas podzwonić tu i ówdzie. Najpierw odezwałem się do Gunnara Magnussona, alfy Watahy z Tempe, a zarazem dyrektora Magnusson & Hauk, kancelarii prawnej, która mnie reprezentowała. Wilkołaki są całkowicie odporne na magię bachantek. Powitał mnie bardzo chłodno i w pierwszych słowach odmówił pomocy.

– Moja Wataha na pewno nie będzie brała udziału w twoich przepychankach terytorialnych – oświadczył. – Jeśli masz jakieś kwestie prawne do przedyskutowania, zawsze możesz zadzwonić do Hala lub Leifa. Bardzo proszę jednak, byś sobie nie wyobrażał, że moja Wataha jest twoim oddziałem prywatnych nadnaturalnych najemników, który możesz wzywać, gdy tylko wpakujesz się w jakieś kłopoty.

Wyglądało więc na to, że nadal nie doszedł do siebie po wydarzeniach, które nastąpiły podczas walki z Aenghusem Ógiem i sabatem Maliny. Tamtej nocy, gdy usiłowaliśmy uratować Hala i Oberona, zginęło dwoje członków Watahy. Czułem, że nie mam szans go do niczego przekonać, skoro jest w takim nastroju, więc powiedziałem tylko:

– Przepraszam. Niech harmonia będzie z tobą.

Wszystko wskazywało na to, że układy z moimi prawnikami trochę mi się popsuły. Nie było sensu nawet dzwonić do Leifa, bo po pierwsze o tej porze ukrywał się przed słońcem, a po drugie zaraz by chciał, żebym mu zabił Thora w zamian za pomoc z bachantkami.

Choć naprawdę nie miałem na to ochoty, zadzwoniłem do Karoliny Północnej, wbijając w komórkę numer, który dała mi Granuaile, gdy wróciła do miasta tydzień temu. Był to numer do Lakshy Kulasekaran, indyjskiej wiedźmy, która aktualnie funkcjonowała jako Selai Chamkanni. Zmiana nazwiska była konieczna z tej prostej przyczyny, że duch Lakshy zamieszkiwał teraz ciało niejakiej Selai, pasztuńskiej imigrantki z Pakistanu, która pozostawała w śpiączce od roku, to jest od pewnego nieszczęśliwego wypadku samochodowego. Jako że Selai otrzymała obywatelstwo amerykańskie już całe lata temu, miała wszystkie odpowiednie dokumenty, konta w bankach itd. (a co ważniejsze, nie miała żadnej ochoty budzić się ze śpiączki), Laksha wyslizgnęła się z głowy Granuaile i wskoczyła do Selai, zyskując tym samym takie parafernalia, jak dom i męża.

Głównie to ostatnie zaprzętało teraz jej umysł, gdy spytałem, co tam u niej słychać w nowym wcieleniu.

– Jest dość zaniepokojony tym, że wybudziłam się ze śpiączki z dziwnym akcentem i poczuciem niezależności, ale tak zachwycony tym, że straciłam wszelkie seksualne zahamowania, że jest chyba gotów przymykać oko na mój brak szacunku.

– Mężczyźni są tacy przewidywalni, prawda? – Uśmiechnąłem się w słuchawkę.

– Tak, w większości. Tobie jednak udało się już mnie kilka razy zaskoczyć – odparła.

– Chciałbym zaprosić cię na chwilę z powrotem do Arizony.

– Widzisz? Znowu to robisz.

– Zabicie Radomili i połowy jej sabatu pozostawiło w okolicy wyrwę w układzie sił i próbują ją zapełnić pewne niepożądane elementy. Przydałaby mi się twoja pomoc, Selai.

– Kiedy nikt nas nie słyszy, używaj, proszę, mojego starego imienia. Z jakimi to niepożądanymi elementami masz do czynienia?

– Z bachantkami.

– Z prawdziwymi bachantkami? – Jej głos stał się ostrzejszy. – Prawdziwymi menadami ze Starego Świata?

– Do nas akurat dążą z Las Vegas, ale tak, ogólnie to o nich mówię.

– A, to ten twój cały miecz na nic ci się nie przyda.

– Tak – zgodziłem się. – Mogłabyś wskoczyć w jakiś samolot i tu przylecieć? Płacę za bilet.

– Zapłacisz mi o wiele więcej niż za bilet – stwierdziła rzeczowo Laksha. – O ile dobrze cię rozumiem, życzysz sobie, bym sprowadziła na te bachantki karmę?

– Tak – przyznałem. – Mój stary archdruoid powiedziałby, że dobra bachantka to martwa bachantka.

– Ale jeśli to zrobię, znacznie zwiększę swoją złą karmę, a i tak mam już olbrzymi karmiczny dług do spłacenia. Będiesz mi winny dużą przysługę.

– Mogę ci zapłacić sporą sumę pieniędzy.

– Nie mówię o pieniądzach. Ja wyświadczam przysługę tobie, a ty mnie.

– Jakiego rodzaju przysługę?

– Takiego, co to ty jesteś w stanie wykonać, a ja nie. Zadzwońię z lotniska, jak tylko wyląduję, i wtedy ci wszystko wyjaśnię. Nim do ciebie dotrę, będzie pewnie już późne popołudnie albo i wieczór.

– Dobrze. Będę na ciebie czekał, Laksho.

Zacząłem się nawet zastanawiać, jakiej przysługi może ode mnie zażądać przerażająca, przeskakująca z ciała do ciała potężna wiedźma, ale szybko dałem spokój. Miałem znacznie pilniejsze rzeczy na głowie. Zadzwońiłem do swojej uczennicy, żeby wydać jej instrukcje na ten poranek.

– Atticus? Nic ci nie jest? – spytała, odebrawszy. – Trochę mnie wczoraj zaniepokoiłeś.

– Sorki za wczoraj – powiedziałem, rumieniąc się ze wstydu, szczęśliwy, że przynajmniej tego nie widzi. – Ten demon zupełnie mnie wytrącił z równowagi. Teraz muszę skoczyć zabić jeszcze jednego, naprawdę dużą sztukę, z Kojotem, ale powinienem być z powrotem zaraz po przerwie na lunch. Muszę cię prosić o kilka rzeczy. Masz jakiś długopis czy coś?

Granuaile chwyciła coś do pisania i zanotowała nazwisko Maliny, żeby wysłać jej krwawnik.

– Tylko nie idź tam sama. Wyślij kuriera, tak? – Nie miałem zamiaru pozwolić na to, by włosy mojej uczennicy znalazły się w jednym ze szklanych słoiczków Maliny. – Potem niech ci Perry pokaże, gdzie trzymamy aplikacje. Musimy zatrudnić jeszcze kogoś do pomocy. Przejrzyj je, podzwoń po ludziach i ustaw mi na jutro po południu kilka rozmów. Jeśli te osoby nadal są bezrobotne, powinny mieć czas.

– Na pewno potrzebujesz więcej pracowników? Tu się zupełnie nic nie dzieje.

– Będę często poza miastem. Ten kawał wymarłej ziemi przy Tony Cabin będzie wymagał dużo uwagi. Jeśli jej nie pomogę, nie odżyje przez całe stulecia. – Aenghus Óg zamordował całe mile kwadratowe ziemi przez to, że otworzył wrota do piekieł, i choć płacił



teraz za to, spędzając wieczność w tymże chrześcijańskim piekle, to jednak ziemia pozostawała jałowa i dosłownie wołała o pomoc.

– No, tak, jasne. Nie przydałby ci się w takim razie samochód?

– Nie. Ty mnie będziesz wozić, więc ciebie też często nie będzie w sklepie.

– Dobra, to rzeczywiście ma sens.

– I dlatego nazywasz mnie sensei. Skoro mnie tam nie ma, a klienci nie walą drzwiami i oknami, popracuj trochę nad swoją łaciną na tym programie, który ci kupiłem.

Po telefonie do Granuaile nadszedł czas na pogrzebanie w garażu. Zamiast samochodu trzymałem w nim najróżniejsze rzeczy: prawdziwy ninjowy shuriken, „róg śmierci” sai, kilka tarcz, sprzęt wędkarski oraz masę narzędzi do pracy w ogródku. Przechowywałem tu także łuk, współczesnego rodzaju, tak zwany bloczkowy, tak sztywny, że nie byłem go w stanie naciągnąć bez dodania sobie siły magią. Uznałem, że da demonowi powód do ryku. Znalazłem też kołczan pełen strzał ze stali węglowej i postawiłem go obok łuku, tuż przy drzwiach frontowych.

Miałem jeszcze godzinkę do przyjazdu Kojota, więc dla zabicia czasu pobiegłem z Oberonem w dół Roosevelta, żeby zajrzeć do wdowy MacDonagh i zająć się jej trawnikiem. Była ledwie dziewiąta rano, ale ona już siedziała sobie na werandzie i popijała Tullamore Dew ze szklaneczki pełnej lodu, czytając przy tym jakiś ciężki kryminał. Gdy tylko zobaczyła, że wbiegamy na jej podjazd, na jej pomarszczoną twarz wypłynął radosny uśmiech.

– Ach, mój drogi Atticusie, chłopcze złoty! – zakrzyknęła, odkładając książkę, ale nie szklaneczkę. – No jak Boga kocham, jesteś mi jak wiosenny promień słońca rozświetlający ten ponury dzień.

Roześmiałem się na tak poetyckie powitanie.

– Dzień dobry, pani MacDonagh. Na pani widok każdemu samotnemu mężczyźnie robi się cieplej na sercu.

– Aj, przestań! Za takie bezwstydne komplementy muszę ci, kochanieńki, upiec trochę pysznych ciasteczek, ot co. Ale to ty sprawiasz, że moje serce ożywa, bez dwóch zdań. No, chodź tu, chodź i uściśnij mnie na powitanie.

Wstała z fotela, ze szklaneczką w dłoni, i rozłożyła ramiona. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę w niebieskie kwiatki, a na ramiona zarzuciła granatowy szal, bo w Tempe w końcu zaczynało się robić nieco chłodniej i wszystkie znaki na niebie zapowiadały nadejście jakiegoś zimnego deszczu, który tak przydałby się pustyni. Poklepała mnie po plecach, ściskając dziarsko, i powiedziała:

– Pojęcia nie mam, jak to możliwe, że tak przystojny kawaler jak ty jest samotny, ale Bóg mi świadkiem, że bardzo się cieszę, gdy tylko masz czas do mnie zajrzeć, złotko. Witaj, witaj, Oberonie. Cóż za kolorowe ubranko sobie sprawiłeś! – Podrapała go za uszami, a ogon Oberona zastukał w barierkę werandy. – Dobry z ciebie piesek, prawda?

<Powiedz jej, że teraz już nie jestem żaden piesek, tylko Peacek, i że moim zdaniem jej kotom trzeba zrobić próbę kwasu>.

– Nie chciałbyś się czegoś napić, Atticusie? Kropelkę whisky może?

– Nie, nie, dziękuję pani bardzo. Muszę zaraz lecieć walczyć z jednym takim demonem z piekła rodem, więc nie mogę sobie pozwolić na taki luksus.

Jakiś czas temu wdowa w dość nagły sposób dowiedziała się, że jestem druidem. Było to zaraz potem, jak odkryła, że wilkołaki to nie żadne bajki. W obliczu takiego przesunięcia paradygmatu większości ludzi przepalają się styki, a ich właściciele wymagają wstawienia zupełnie nowej skrzyni biegów umysłowych. Wdowa jednak nawet nie mrugnęła okiem, chwyciła wszystko w locie i miała jeszcze siłę pomatkować mi trochę, gdy jej pokazałem, co się stało z moim uchem. Dała mi tubkę jakiejś śmierdzącej ziołowej maści, nie domyślając się, że

mógłbym sam sobie zrobić znacznie lepszą.

– A, znowu zwalczasz demony, serdeńko? Czyż ojciec Howard nie będzie zachwycony? – Zachichotała. Wróciła na swój bujany fotel i gestem wskazała mi, bym usiadł na fotelu obok.

– Ojciec Howard? – Zmarszczyłem brwi. – Nie powiedziała pani chyba swojemu księdzu, że jestem druidem?

– Oj, chłopcze, chłopcze, jeszcze nie zgłupiałam na stare lata. A zresztą gdybym nawet mu coś takiego powiedziała, przecież by mi nie uwierzył. Dla niego jestem po prostu tą niepoprawną, starą Katie MacDonagh, która co niedziela przychodzi na mszę nadzwyczaj uspokojona. Cokolwiek bym mu powiedziała, i tak by mnie nie słuchał.

<Chodzenie do kościoła po pijaku... znaczy, nadzwyczaj uspokojonym... jest jak dla mnie zupełnie w Sosie. Falującym Sosie. Gdyby przejeżdżał tędy magiczny autobus, na pewno by do niego wskoczyła>.

– Czy wydaje się pani, że ojciec Howard ignoruje panią, czy tylko uważa panią za owieczkę, która nigdy nie zbłądzi?

– Och, ty nicponiu! Oczywiście, że wcale tak nie uważa.

– Tak tylko spytałem.

Zmarkotniała nagle i zapatrzyła się na trawnik.

– Choć może i rzeczywiście tak trochę uważa. – Odwróciła się szybko w moją stronę i pogroziła mi palcem. – Ale tylko trochę!

– W jakim sensie?

– No, wiesz, mój złoty chłopcze, jestem jego najstarszą parafianką. Z niego to jest jeszcze młodzieniaszek i w zasadzie ma się głównie zajmować studentami. A ja tu jestem sobie skromna wdowa, której dusza nie jest narażona na żadne pokusy, to czemu miałby się o mnie martwić? To czasem mu się o mnie nawet zapomni. Ale, kochanieńki, może to i próżność przeze mnie przemawia, przyznam jednak, że od czasu do czasu miło by mi było, gdyby jednak trochę się bał o moją duszę.

– Oczywiście. Należy się pani jego uwaga.

– Szczególnie że być może to między innymi dzięki mnie świat się kręci, prawda? Czy nie to, mniej więcej, chciałeś mi powiedzieć, moje złoto, zanim pobiegłeś hen, tam – machnęła ręką w stronę Superstition Mountains – i dałeś sobie odgryźć ucho?

– Przepraszam? – Potrząsnąłem głową, licząc na to, że może wtedy wszystko mi się jakoś lepiej ułoży i zrozumie jej skomplikowaną myśl. – Chyba nie do końca nadążam za pani tokiem rozumowania. Proszę mi przypomnieć, co ja takiego wtedy powiedziałem.

– Powiedziałeś, kochanie, że wszyscy bogowie żyją. I wszystkie potwory też.

– A tak. Wszyscy oni żyją, znaczy z wyjątkiem tych, którzy nie żyją.

<Moim zdaniem powinni ci dać za to zdanie Nobla czy coś> mruknął Oberon.

– I, jeśli dobrze rozumiem, oni żyją dlatego, że my w nich wierzymy, tak?

– Yyy, no tak, co do zasady, choć ta zasada ma jeszcze kilka podzasad małym druczkiem.

– Zatem w pewnym sensie to my, którzy mamy wiarę, stwarzamy bogów, a nie bogowie nas. A skoro tak, to my stworzyliśmy ten świat.

– Boję się, że to nas może nieco zbliżyć do pokoju bez okien zwanego solipsyzmem, ale rozumiem teraz, co ma pani na myśli, pani MacDonagh. Taka osoba jak pani, z tak silną wiarą, nie powinna być nigdy ignorowana. To właśnie tacy ludzie wielkiej wiary przyczyniają się do wszystkich tych cudów na całym świecie.

– Naprawdę? W jaki sposób?

– Słyszała pani pewnie o ludziach, którym objawiła się Matka Boska?

– Oczywiście, wiele razy.

– Objawienia następują właśnie w wyniku aktu wiary. Pani sama mogłaby pewnie do jakiegoś doprowadzić.

– Całkiem sama?

Kiwnąłem głową.

– Naturalnie. Pani MacDonagh, gdy myśli pani o Maryi, to jak ona według pani wygląda? Byłaby pani w stanie mi ją opisać?

– No, jasne, że tak. Jaka by ze mnie była katoliczka, kochanieńki, gdybym nie umiała opisać Matki Boskiej?

– Gdyby Maryja miała się pojawić na tym świecie, to jak by, pani zdaniem, wyglądała? Wdowa wydawała się zadowolona z tego, że ją o to spytałem.

– Ach, w jej oczach widać by było wieczną cierpliwość, o tak, a jej uśmiech byłby tak słodki i święty. Na pewno byłaby jakoś rozsądnie ubrana, no wiesz, tak nowoczesnie, żeby się nie rzucać w oczy. Pewnie w coś bawełnianego i granatowego.

– Granatowego?

– No, nie wiem, po prostu ten kolor mi się z nią kojarzy. Przecież na pewno nie gustuje w turkusach czy innych takich krzykliwych odcieniach niebieskiego, prawda?

– Aha, rozumiem. A buty? Jakiego rodzaju?

– Rozsądnego. Ale z klasą, no wiesz, serdeńko, nie jakieś tam tanie tenisówki zrobione przez biedną malutką Azjatkę.

– Czy miałyby na głowie jakiś maforion, wie pani, taki szal, co to zawsze się go u niej widzi w kościołach?

– Nie wydaje mi się. To już zupełnie przecież wyszło z mody. Uważam, że wystarczyłyby zwykła, prosta biała opaska, żeby jej nie wpadały włosy do oczu.

– A gdyby objawiła się tu, w Tempe, jak pani myśli, co by zrobiła?

– Taka święta kobieta jak ona? Z pewnością poszłaby od razu na Apache Boulevard, żeby zadbać o bezdomnych i dziwki, i tych ludzi uzależnionych od heroiny... jak się tam na nich mówi? No, jest takie określenie slangowe...

– Brauniarze.

– No właśnie. Pomagałaby na pewno tym brauniarzom, o tak, tym wszystkim biednym brauniarzom na Apache Boulevard.

<Nie wydaje ci się, że Apache Boulevard niezwykle przypomina Mos Eisley? „To najohydniejsza przystań łajdactwa i występku”>.

Kiedy Oberon wyskakuje z takimi tekstami, muszę się bardzo skupić, żeby nie wpaść w nerdowski ciąg przerzucania się cytatami z *Gwiezdnych wojen*. Tym razem po prostu stanowczo go zignorowałem, bo musiałem wprowadzić wdowę w odpowiedni nastrój.

– To świetnie, pani MacDonagh. Z pewnością odwaliliby kawał dobrej roboty na Apache Boulevard. Ba! Gdyby już tam była, mogłaby przy okazji pobłogosławić mi broń i dzięki temu pomóc mi zabić tego demona, co to uciekł z piekła.

– Oczywiście, że by mogła. Czy to by nie było po prostu boskie?

Przyjrzelśmy się jej z Oberonem uważnie. Na jej ustach błąkał się mały uśmiech, miły, lecz zagadkowy.

<Czy ona nie ma świadomości, że wyszedł jej niezły dowcip?> spytał Oberon.

*Nie wiem. Z nią niczego nie jestem pewien.*

<Chłopie. Ona sobie z nas jaja robi. Ona już jest w Autobusie, słowo daję>.

– Pani MacDonagh, chciałbym prosić panią, by się pani skoncentrowała albo raczej pomedytowała... nie, nie, niech się pani po prostu pomodli za to, żeby tak właśnie się dziś stało i to zaraz. Niech pani całą siłą swojej wiary pomodli się, żeby Maryja zstąpiła tu do nas i zajęła

się leczeniem i nawracaniem i w ogóle masą dobrych rzeczy wśród tych narkomanów na Apache Boulevard. Proszę ją sobie przedstawić w wyobraźni jak najdokładniej.

– I myślisz, moje słońce, że jak ja to zrobię, to Maryja zejdzie tu do nas z niebios i pójdzie na bulwar, uwalniać ludzi od narkotyków i mówić im, żeby nie grzeszyli już więcej?

– To całkiem możliwe. Choć to oczywiście zależy od tego, w jakim jest dziś nastroju i w ogóle.

– Ależ oczywiście, że musi być w klawym nastroju! – Wdowa obrzuciła mnie oburzonym spojrzeniem. – Toż jest matką Boga, na miłość boską!

– Tak, ale i Maryja ma wolną wolę, prawda? Przecież nie wyobraża sobie pani, że biedna Maryja musi niewolniczo wykonywać wszystkie pani zalecenia z modlitw. Ona sama decyduje o tym, czy ma ochotę objawić się w takiej formie, jaką jej pani proponuje. Czyż nie wszystkie modlitwy opierają się na takim założeniu?

– Cóż, pewnie tak. Tylko że dziwnie jest o tym myśleć w ten sposób. Tak jakoś na opak.

– To tylko drobna modyfikacja przyczynowości. Wiara jest podstawą tego wszystkiego. Nic nie działa bez wiary. Żadna religia. Jako poganin, wyznawca zupełnie innego panteonu, nigdy nie byłbym w stanie ściągnąć Maryi na ziemię.

– Ale, Atticusie, chłopcze drogi, jakżeby jedna moja mała modlitwa...

– Wiara, pani MacDonagh! Wiara! Nie mogę tu pani dać żadnego naukowego wyjaśnienia, bo też i nauka nie jest w stanie pojąć cudu wiary tak, jak ja nie jestem w stanie zmienić mojego miecza w szablę.

<Ojej! To by dopiero był odjazd! Mógłbyś się przebrać w taki jakiś brązowy płaszcz i ćwiczyć jakieś zupełnie nudne dialogi ze swoją padawan, Granuaile>.

*Nie teraz, Oberonie.*

<Przyznaj wreszcie. Trochę jednak jesteś zawiedziony, że ona nazywa cię swoim sensei. Tak naprawdę marzy ci się, żeby mówiła do ciebie „panie”>.

*Bogowie niejedyni, idź ty już do środka i pogoń trochę koty, dobrze?*

– Przepraszam bardzo – zwróciłem się do wdowy – czy Oberon mógłby wejść na chwilę do domu?

– Co? A tak, tak, oczywiście, moje złoto. Niech wchodzi, wchodzi. Moim mrużkom przyda się trochę gimnastyki. To porządne, psobojne koty.

Oberon zarechotał z cicha.

<Najbardziej to lubię, jak tak na mnie syczą, że aż rzygają kłakami ze strachu>.

*Tylko niczego nie zbij.*

<Cokolwiek się zbije, to nie moja wina, tylko kotów>.

Wpuściłem go przez drzwi frontowe i od razu rozległo się jego radosne szczekanie na tle przerażonych kocich pisków. Pośmialiśmy się z nich trochę z wdową, ja znów usiadłem w fotelu, a ona wzięła łyk ze swojej szklaneczki.

– To mogłaby się pani dla mnie o to pomodlić? – spytałem, gdy hałas w domu trochę zelżał.

– O pojawienie się Maryi na Apache Boulevard? Oczywiście, mój złoty, jeśli tak ci na tym zależy.

– O tak, bardzo – powiedziałem. – Tylko proszę pamiętać jej wspomnieć o tym, że przydałaby mi się jej pomoc przy zabiciu tego demona, co uciekł z piekieł. Niech się pani porządnie pomodli, o ile w ogóle można się modlić nieporządnie, i niech się pani skupi na tym, jak ona ma wyglądać i na czasie jej pojawienia się, bo chodzi o to, żeby się tam ukazała w ciągu dwóch najbliższych godzin. A gdy pani się tym zajmie, ja tymczasem skoczę przyciąć ten pani trawnik, dobrze?

– Dziękuję ci, kochanieńki – ucieszyła się i uśmiechnęła do mnie błogo, gdy wstałem z fotela i zbiegłem z werandy w poszukiwaniu kosiarki. Znalazłem ją w garażu i wyciągnąłem na małą gimnastykę, a wdowa tymczasem przymknęła oczy i zaczęła się łagodnie bujać w swoim fotelu.

Nie miałem pewności, czy to zadziała, ale nie traciłem nadziei. Maryja miała zwyczaj wpadać tu do nas z wizytą znacznie częściej niż pozostali chrześcijańscy święci i aniołowie i natknąłem się już na nią z kilkanaście razy, a za każdym razem jej wizyta na ziemi następowała wskutek czyjejś modlitwy o wstawiennictwo w jakiejś sprawie w imieniu tej czy innej grupy interesów.

Zresztą jeśli ten plan nie wypali, też nic się nie stanie. Po prostu zaniosę moje strzały do pierwszego katolickiego kościoła z brzegu i poproszę księdza o ich poświęcenie. Każdy o wystarczająco silnej wierze chrześcijańskiej by mi w zasadzie wystarczył, bo chodziło tylko o demona, ale jednak to nie to samo co błogosławieństwo samej Maryi, które uzbroiłoby mnie w prawdziwie potężną tajną broń.

Skosiłem trawnik, odstawiłem kosiarkę na swoje miejsce w garażu wdowy i wróciłem do niej na werandę.

Po chwili jej oczy się otworzyły i zobaczyłem, że są mokre od łez.

– Och, Atticusie, mam tak wielką nadzieję, że mnie usłyszała i że rzeczywiście zstąpi tu do nas, tak jak mówisz. Wiem, że dobrze opiekuje się moim Seanem, niech spoczywa w pokoju – przeżegnała się na wspomnienie swego zmarłego męża – ale myślę, że on nie będzie miał mi tego za złe, jeśli Maryja wpadnie tu do nas na chwilę, by pomóc kilku duszom, które się zagubiły na jakichś mrocznych ścieżkach. I na pewno by ci porządnie pobłogosławiła tę broń, co do tego nie ma dwóch zdań. Ale czy przyjdzie czy nie, i tak ciepłej mi się robi na sercu, jak sobie pomyślę, że mogłaby tu tak zstąpić i dać nadzieję tym biednym ludziom, którzy w łagodności jej uśmiechu odnaleźliby Boga. Dziękuję ci, mój złoty, że mi podsunąłeś taką piękną modlitwę.

Ująłem jej małą, usianą plamkami dłoni i uściśnąłem. Siedzieliśmy razem na werandzie i patrzyliśmy, jak na wschodzie kotłują się chmury burzowe, aż w końcu nadszedł czas, by się spotkać z Kojotem.

– Ruszaj, ruszaj, serdeńko – powiedziała wdowa, gdy się pożegnałem i zawołałem na Oberona, żeby zostawił już wreszcie koty w spokoju. – Powiedz Maryi, że bardzo ją kocham, jeśli ją spotkasz. A, i Atticusie, mój chłopcze?

– Tak, proszę pani?

– Może tym razem powinieneś włożyć jakiś hełm – zażartowała – na wypadek, gdyby ten demon postanowił ci odgryźć nos czy co.

## Rozdział 8

Kojot spóźnił się tylko pięć minut.

Opony ford escape hybrid zapiszczały, gdy wypadł z za rogu. Zahamował ostro przed moim domem, aż został ślad na jezdni i zaśmierzdiało spaloną gumą. Wyskoczył ze środka i roześmiał się.

– Całkiem niezły wóz, panie Druid, spójrz pan tylko! Gorący! – Poklepał maskę kilka razy dla podkreślenia swojego entuzjazmu.

– Naprawdę pan tak uważasz? Jakimś sportowym nie jechałoby się lepiej niż tym?

– Mówiąc „gorący”, mam na myśli „świeżutki”, a dokładniej „świeżo ukradziony”.

Kradzież samochodów to prawie równie dobra zabawa jak kradzież koni kilka wieków temu. Jesteś pan gotów?

– Jasne. – W ręce trzymałem łuk, a kołczan zarzuciłem na plecy. Oberon był odpowiednio zapalikowany z *Lotem nad kukulczym gniazdem* na DVD. Obiecałem mu też wersję do słuchania, żeby mógł się nacieszyć w pełni myślami Wodza Bromdena. – Pamiętałeś pan o łuku?

– Co miałem nie pamiętać. Mam też pistolet na święconą wodę dla śmiechu.

– Świetnie. Nie będzie panu przeszkadzało, jak ja poprowadzę?

Kojot zarechotał.

– Jasne, że nie, panie Druid. To w końcu pana rodeo, nie moje. Bardzom ciekaw, skąd pan weźmiesz te święte strzały.

– Strzały są tutaj – powiedziałem, wskazując mu kciukiem kołczan na ramieniu. – Tylko że jeszcze nie są święte.

Kojot znów zarechotał.

– Po prostu je pan pomoczysz święconą wodą, nie?

– Może tak. – Uśmiechnąłem się, żeby ukryć poirytowanie. – A może nie. Poczekaj pan, to zobaczysz.

Apache Boulevard nie był tak naprawdę tak zły jak Mos Eisley. Kiedy poprowadzono tu wreszcie linię szybkiego tramwaju, developerzy zaczęli inwestować w okolicę i tym samym walczyć z typowymi miejskimi plagami. Nadal jednak można tu było znaleźć parkingi pełne przyczep kempingowych, najtańsze, rozpadające się domki, niebrukowane podjazdy i ogródki pełne starych materacy i pordzewiałych części od samochodów – amerykańskie oznaki biedy, niezgody i duchowej pustyni.

Kilka minut po dziesiątej rano wszyscy narkomani spali oczywiście i naprawdę nie było wiele roboty dla Maryi. Ludzie, którzy o tej porze śpieszyli Apache Boulevard, mieli przynajmniej dokąd iść; w ich życiu był jakiś promyk nadziei. Mimo to gdy zobaczyłem jej granatową sukienkę i białą opaskę między Martin Lane a River Drive, tłoczyła się już wokół niej mała grupka ludzi. Nawet kilka bezpańskich psów i dzikich kotów łąsiło jej się u nóg, jakby były oswojonymi i miłymi zwierzątkami.

Żeby się upewnić, że mam do czynienia z prawdziwą Matką Boską, uruchomiłem jeden z charmsów na moim naszyjniku. Nazywam go szkłem faerycznym i pokazuje mi, co się dzieje na poziomie magicznym i nadprzyrodzonym, to jest, czy mam przed sobą coś więcej niż zwykły zbiór protein, minerałów i wody.

– Au! – zacisnąłem powieki i natychmiast wyłączyłem moje szkło, raptownie przekręcając kierownicę ford.

– Co się dzieje, panie Druid? – spytał Kojot.

Zamrugałem i zobaczyłem tylko masę białych plamek.

– To musi być ona. Jasne, białe światło. – Skręciłem na pierwszy wolny podjazd i zaparkowałem. Staliśmy przed wejściem na rozpadający się parking dla przyczep, pokryty żwirem i potłuczonym szkłem. Nie rosło tu nic poza rozpaczą i przygnębieniem. Okoliczni mieszkańcy dawno już odcięli się od natury i wędrowali po tym świecie w zupełnym oderwaniu.

Wysiedliśmy, a ja wyciągnąłem kołczan z bagażnika. Gdy podchodziliśmy, Maryja właśnie błogosławiła wielkiego Latynosa ubranego tak jak to twardziele, czyli mówiąc fachowo: typowego vato loco. Miał niebieską bandanę i ciemne okulary, choć niebo było dziś kompletnie zachmurzone, a jego szara flanelowa koszula była tak rozpięta, żeby było widać biały T-shirt. Spod przeciwsłonecznych okularów płynęły łzy.

– Przepraszam bardzo, ale czy mógłbym prosić o pobłogosławienie tych strzał? – spytałem. – Musimy zaraz zabić nimi jednego demona.

Uśmiechnęła się do mnie czule i rzekła:

– Dziecko drogie – zawsze się tak do mnie zwracała, choć byłem przecież od niej starszy – właśnie po to tu przybyłam.

– Wdowa MacDonagh prosiła, bym przekazał pani, że panią bardzo kocha – dodałem.

– Ach, Katie. – Uśmiech Maryi stał się jeszcze radośniejszy. – Ta niewiasta modli się do mnie codziennie. A ostatnio głównie o to, żebym miała w opiece ciebie, dziecko drogie. Zatem uważaj na siebie, O'Sullivan, i przekaz jej ode mnie, że i ja ją Kocham. Ma taką piękną duszę.

– Rzeczywiście ma.

– No to spójrzmy na te wasze strzały.

Ostrożnie wyciągnąłem strzały z kołczanu, uważając bardzo na lotki, a sam kołczan oddałem Kojotowi. Trzymałem strzały przed Maryją w obu rękach, tak że grotki wskazywały północ na prawo od niej.

Zamknęła oczy, delikatnie położyła dłonie na grotach i powiedziała kilka słów błogosławieństwa po łacinie: *O salutaris Hostia, quae coeli pandis ostium. Bella premunt hostilia; da robur, fer auxilium.* Forma jej błogosławieństwa nieco mnie zaskoczyła. Liczyłem raczej na jakiś oryginalny kawałek, ale po zastanowieniu musiałem przyznać, że w zasadzie ten fragment, a przynajmniej jego druga część, doskonale pasuje na tę okazję: „Bój srogi nęka nas, daj siłę, pomoc ześlij nam”. Przytrzymała jeszcze strzały jakieś dziesięć sekund dłużej. Pewien jestem, że gdybym tylko odważył się znów użyć mojego szkła faerycznego, zobaczyłbym całą masę bardzo interesującej magii unoszącej się wokół nas – to znaczy ułamek sekundy przedtem, nim światło Maryi wypaliłoby mi gałki w oczodołach.

Skończywszy, otworzyła oczy i potrząsnęła lekko ramionami, jakby chcąc je rozluźnić po wysiłku. Uśmiechnęła się do mnie łagodnie, po czym poszerzyła zasięg swego uśmiechu tak, by obejmował też Kojota.

– A zatem ostatni z druidów oraz jeden z pierwszych ludzi Ameryki wybierają się, by razem walczyć z upadłym aniołem z Piątego Kręgu.

Właśnie uśmiechałem się do niej uprzejmie i dość beztrósco, gdy mój mózg przetworzył dane zawarte w jej wypowiedzi. Wtedy poczułem, że odechciało mi się uśmiechać do końca życia.

– Upadłym aniołem? Jednym z zastępu pierwszych aniołów?

Maryja pokiwała głową.

– Tak. Ale bardzo już szerniał i się powykrzywił, ponieważ światło niebios dawno już z niego uleciało.

– Ho-ho, panie Druid. To mi wygląda na dość mocny medykament – stwierdził Kojot.

I nie żartował. Upadłe anioły to nie byle demony. Nie byłem nawet pewien, czy Zimny Ogień w ogóle działa na coś takiego, jako że upadłe anioły zostały skazane na spędzenie

wieczności w piekle, ale nie zostały tam stworzone.

– A Krąg Piąty – powiedziałem – o ile dobrze pamiętam Dantego, to miejsce, w którym karani są ludzie popędliwi i posępni.

– Dobrze pamiętasz, moje dziecko – pochwaliła mnie Maryja.

– Bogowie niejedyni, to jakim cudem Aenghus Óg zdołał w ogóle przywołać coś tak potężnego?

Maryja posłała mi cierpliwy uśmiech, mimo uszu puszczając moją niezbyt odpowiednią dla chwili inwokację.

– Wydaje mi się, że nie tyle go przywołał, ile jedynie zapewnił mu drogę ucieczki. Mimo to jednak wiązanie, które założył na niego jako warunek zwolnienia z piekieł, nadal obowiązuje, i to jedynie trzyma tę nieszczęsną istotę w okolicy.

– Znaczący się, nie wyjedzie ze Wschodniej Doliny, póki ja żyję – mruknąłem.

– O kurczę, nie chciałem być na pańskim miejscu, panie Druid. – Kojot zarechotał i poklepał mnie kilka razy po plecach. – Dawaj pan te strzały. – Wyjął mi je z rąk i schował z powrotem do kołczanu. – To ja poczekam w wozie. Ta biała dama jest jak dla mnie nieco zbyt błyszcząca.

– Otaczasz się bardzo ciekawymi przyjaciółmi – zauważyła Maryja, gdy buty Kojota przestały chrzęścić na żwirze. – Bóstwo rdzennych Amerykanów, wataha wilkołaków, wampir i cały sabat wyznawczyń Zorii?

– Nie nazwałbym ich przyjaciółmi – odpowiedziałem ostrożnie. – Może raczej znajomymi. Pani MacDonagh i mój pies, Oberon, to moi przyjaciele.

– A zatem mądrze dobierasz sobie przyjaciół – oświadczyła Maryja łagodnym tonem. – Moja praca tu już zakończona, lecz obawiam się, że twoja dopiero się zaczyna. Prawdopodobnie będziesz musiał przebić Basasaela kilka razy, nim się z nim uporasz.

– Basasaela?

– Tak się nazywa. Był potężny, nim upadł wraz z Lucyferem.

– Chryste – wyszeptałem mimowolnie.

– Mój syn jest zupełnie pewien twego zwycięstwa – zapewniła mnie uprzejmie Maryja.

– Serio? To pozdrów go ode mnie i powiedz, że następnym razem, jak tu wpadnie, musimy koniecznie skoczyć na browara.

– Przekażę mu twoje pozdrowienia. A teraz idź już, idź, dziecko drogie. Masz moje błogosławieństwo.

– Niech pokój będzie z tobą – odpowiedziałem grzecznie, a odwróciwszy się, żeby podjąć dalszą podróż z Kojotem, dodałem pod nosem: – A ze mną niech będzie moc prania tyłków.



## Rozdział 9

Muszę przyznać, panie Druid, że tegom to się nie spodziewałem. Normalnie zaskakujesz mnie pan. Skąd niby wiedziałeś, że ta błyszcząca dama będzie akurat w tym miejscu?

Kojot był ubrany tak samo jak poprzedniego wieczoru, tylko że teraz miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Miał minę albo ubawioną, albo nieprzeniknioną i aktualnie znajdował się w tym drugim trybie. Być może stracił do mnie zaufanie. Wzruszyłem ramionami. Jechaliśmy na południe w stronę autostrady US 60.

– A bo ja wiem. Tak jakoś zdałem się na wiarę.

– Taaaa. Panie Druid, pan masz tyle wiary w tych chrześcijańskich typków co i ja.

Poczułem, że automatycznie przechodzę na ten sam rytm mowy co Kojot.

– Niby racja, ale sęk w tym, że zdałem się na wiarę w taką jedną moją przyjaciółkę katoliczkę. A ona odwaliła dla mnie całą modlitwę.

– Ta? To czemu niby nie pomodliła się po prostu, żeby ten ich Jezus zszedł tu do nas i załatwił demona czy coś? Przynajmniej byśmy się mogli dziś wyspać.

– A bo Jezus to nie lubi zstępować na ziemię. Sam pan rozumiesz, ludzie zawsze sobie wyobrażają go przybitego do krzyża albo w tej cierniowej koronie, albo z jakimiś wielkimi dziurami w rękach i nogach, to panie, pan masz pojęcie, jakie to musi być niewygodne się w coś takiego ucieleśnić. A, i jeszcze im się wydaje, że był biały i miał proste, brązowe włosy, jak on miał przecież śniadą skórę. Panie, o zakład idę, że pan wiesz, jak to jest, jak ludzie sobie ubzdurają, że pan wyglądasz jak na tych piaskowych obrazach albo jak te zwierzęce fetysze. Nie chciałbyś pan latać po tym świecie w takiej formie, nie?

– W cholere. – Zachichotał Kojot. – Raz to nawet próbowałem się ucieleśnić jako jeden taki z piaskowego obrazu. Ciało mi się tak porozciągało, że normalnie własnej dupy nie widziałem.

Pośmialiśmy się z tego, skręcając na wschód, żeby wjechać na autostradę, a tymczasem chmury, które cały ranek straszły, wreszcie puściły na całego. Wielkie krople waliły z hukiem o samochód niczym werble w cyrku, kiedy akrobata ma zrobić coś wyjątkowo głupiego. Miałem trudności ze znalezieniem odpowiedniego przycisku, żeby włączyć wycieraczki, a Kojot kpiał ze mnie bez litości, póki wreszcie jakoś tego nie rozpracowałem.

– To ileś pan już ubił takich upadłych aniołów jak dotąd, panie Druid?

– Obawiam się, że to będzie mój pierwszy raz.

– Oż cholera. – Kojot pokręcił głową ze smutnym uśmiechem. – Zginiemy jak nic.

Posłałem mu ostre spojrzenie.

– Pan podchodzisz do tego jak do eskapady samobójczej czy jak? Wydaje się panu może, że to będzie w porządku dać się zabić i zostawić mnie tam na pastwę losu, bo pan i tak możesz sobie potem wrócić z martwych, hę? Coś panu powiem, panie Kojot, ja mam zamiar jeszcze całkiem długo sobie potem pożyć. Jeśli pan masz inne plany, powiedz mi pan o tym prosto z mostu, to sobie znajdę kogo innego do pomocy.

– Oj, poluzuj pan szelki, panie Druid. Toż nie pójdę tam do niego i nie powiem mu, żeby mnie zjadł, co nie? – Kojot uniósł ręce. – Ja tylko mówię, że to nie przelewki. Upadły anioł będzie jak nic trochę mądrzejszy niż zwykły demon i sporo silniejszy. Jak bum-cyk-cyk.

– Dobrze więc. Masz pan jakiś pomysł, gdzie go znaleźć?

– Ostatni raz widziałem go, jak sobie przycupnął na jednym z budynków przy dziedzińcu. Jest tam trochę trawy i drzewek, to będziesz pan miał z czego pobierać moc.

– Żeby się tam dostać, będziemy musieli przejść przez szkołę, tak?

- Tak myślę.
- Trzeba się będzie zakamuflować. Kadra w szkole zawsze się strasznie denerwuje, jak się wnosi na ich teren jakąś broń.

Skyline High School to otynkowany, monolityczny budynek z cementu z ciemnozielonymi wykończeniami. Zaparkowałem zaraz za zakazem parkowania, bo z zasady nie przestrzegam etykiet parkingowych, i rzuciłem kamuflaż zarówno na siebie, jak i na Kojota. To samo zrobiłem z lukami, kołczanem i Fragarachem, otworzywszy bagażnik. Nie oznaczało to jeszcze, że jesteśmy kompletnie niewidzialni, szczególnie w deszczu, ale z pewnością nieco pomagało. W środku będzie znacznie łatwiej zniknąć na tle typowego dla szkół nijakiego wnętrza. Kojot dorzucił się zakłębieniem, które nazwał „sprytnym podchodem”, a które oznaczało po prostu, że nie będzie słychać naszych kroków (pojęcia nie mam, czemu nie nazwał go po prostu „cichym podchodem”, ale może uznał sprytnie, że zawsze się jest cicho, kiedy się próbuje kogoś podejść).

Przemknęliśmy koło recepcji, nie zakłócając spokoju korpulentnej damie siedzącej za biurkiem. Wydawała się zresztą zupełnie pochłonięta swoim pasjansem na komputerze. Aż dwóch pracowników siedziało za okienkiem odpowiadającym za frekwencję (jako że pilnowanie obecności i branie pieniędzy od stanu to główne zajęcie większości publicznych szkół), ale byli tak zajęci wysłuchiwaniami kłamstw rodziców na temat tego, dlaczego ich dzieci nie było tego dnia w szkole, że nawet nie zauważyli tajemniczego kapania przesuwającego się po industrialnej wykładzinie w holu. Drzwi na podwórzu zaskrzypiały głośno, gdy je otworzyliśmy, a szum deszczu sprawił, że unieśli na chwilę głowy, ale wymknęliśmy się, nim nas zauważyli.

Trwała lekcja i dziedziniec był zupełnie pusty. Staliśmy w zadaszanej części, która ciągnęła się wokół dziedzińca, żeby dawać schronienie przed deszczem w tak rzadkie deszczowe dni jak ten, a pozostałą część roku zapewniać cień. Grube strugi deszczówki lały się z hukiem na beton i spływały wartkimi potokami do kratki odpływowej.

Włączyłem moje szkło faeryczne i bez trudu namierzyłem kryjówkę Basasaela. Przycupnął na stalowym dachu na wprost nas, emanując potężną, przekrzywioną zgodnie z efektem Dopplera chmurą zła. Jego skrzydła, które eony temu pokryte były pięknymi piórami, teraz wydawały się zrobione ze skóry i bardziej przypominały skrzydła nietoperza niż anioła. Reszta jego ciała nadal miała kształt dość ludzki, choć szerniała, nastroszony i pulsujący złem niczym subwoofer, od którego drżą okna, aż wszystko staje się zamazane.

W tym momencie był wyjątkowo odpychający – z otwartych ust zwisała noga kolejnej ofiary – jakiegoś biednego nastolatka, który może wybrał się do pielęgniarki albo został wezwany do psychologa szkolnego. Patrzyliśmy, jak zęby upadłego anioła miażdżą kość, a jego szczeka się porusza, groteskowo, choć spokojnie przeżuając.

Kojot zobaczył to w tej samej chwili co ja.

– Temu to już nie damy rady pomóc – mruknął gdzieś z mojej prawej strony. Nie widziałem go w normalnym spektrum, ale kiedy spoglądałem przez szkło faeryczne, wyglądał jak kolorowa chmura strug światła, które poruszały się chaotycznie w obrębie jego formy, nie jakoś szczególnie niemiło, tylko zupełnie nieprzewidywalnie. Podałem mu sześć strzał.

– Będę celował w głowę, pan celuj w serce – szepnąłem. – A potem to już tylko strzelaj pan tak długo, aż wykituje w cholerę.

– Oo, nauczyłeś się pan tej strategii od amerykańskiej armii czy jak?

Prychnąłem, żeby wyrazić ubawienie jego żartem.

– Nie, nauczyłem się jej od wodza Hunów, Attyli, który przeżył całe swoje marne życie, nie wiedząc nawet o tym, że pan istnieje.

Naturalną kolejną rzeczą rozdzieliliśmy się, jak przystało doświadczonym łowczym. Nie

musieliśmy omawiać strategii. W walce dwóch na jednego, dwóch powinno się rozdzielić tak, żeby jeśli atakowany zdecyduje się na kontratak, druga osoba mogła chronić towarzysza łowów. Utworzyliśmy więc trójkąt – Kojot i ja formowaliśmy jego podstawę, a Basasael wierzchołek – przygotowaliśmy strzały i kiwnęliśmy do siebie głowami. Zsunąłem sandały i wyszedłem na deszcz, żeby móc pobierać moc z ziemi. Najpierw napełniłem niedźwiedziego charmsa na wypadek, gdybym musiał za chwilę rzucać jakieś zaklęcia z chodnika, a potem pobrałem tyle, ile było mi potrzebne do naciągnięcia cięciwy. Basasael właśnie kończył swoją nastoletnią przekąskę. Pokazałem Kojotowi pięć palców, zgiąłem kciuk, potem palec wskazujący, żeby dać mu znać, że już odliczam, a następnie naciągnąłem cięciwę. Wycelowałem i gdy tylko skończyło się odliczanie, pozwoliłem, by strzała wzleciała w niebo.

Nim nasze pierwsze strzały dosięgły anioła, już wyciągałem następną. Moja pierwsza ugodziła go w lewe oko, a Kojot trafił idealnie w sam środek jego klatki piersiowej. Demon zaskrzeczał na kilku częstotliwościach naraz, aż mi zadrżały kości, i potoczył się do tyłu na dach. Zaskoczony i wściekły usiłował wyrwać sobie strzały.

Normalnie kiedy się kogoś trafi strzałą w głowę, zaatakowany nie ma już wystarczających zdolności motorycznych, żeby w ogóle złapać strzałę, a co dopiero ją sobie wyciągnąć z ciała. Wbicie strzały komuś w serce oznacza natomiast zwykle, że dane stworzenie nie ma już siły wstać i zaryczeć, osiągając przy tym niebezpieczne poziomy decybeli. Basasael nie był normalny i wykonał obie te czynności.

Po obu grotach zostały mu białe, pieniające się rany, ale cisnął tylko resztkami strzał na szkolny dziedziniec, rozłożył skrzydła i przykucnął, gotowy rzucić się na nas. Widział nas jak na dłoni – mój kamuflaż był zaklęciem działającym na ludzkie oczy, ale na pewno nie na jego.

– Ilu potrzebujemy strzał, żeby zabić to coś? – krzyknął Kojot.

– Maryja powiedziała mi tylko, że więcej niż jedną.

– Ta? Może trza było jednak ją przycisnąć, żeby panu podała konkretną liczbę, panie frajer!

Zgodziłem się z nim całym sercem, gdy puściliśmy kolejną serię. Basasael odbił strzałę Kojota machnięciem lewej ręki, ale moja zdołała się wbić w jego napuchnięty brzuch. Jej siła pchnęła go znów do tyłu, ale teraz już był czujny i bynajmniej nie dał nam czasu na ponowne naciągnięcie łuku. Ignorując strzałę, która zmieniała jego czarną skórę w białą pianę, podciągnął nogi i rzucił się w powietrze, jednym silnym machnięciem skrzydeł unosząc się i wyjąc tak potężnie, że aż mnie zaboląły zęby. Nagle zamarł, zwinął skrzydła i zanurkował, by opaść na swój cel – to jest na mnie.

Przemknęło mi przez myśl odwieczne pytanie każdej ofiary: dlaczego ja? – gdy wycelowałem jeszcze jedną strzałę w stronę upadającego anioła. Odpowiedzi narzucały się same: bo wyglądam jak niegroźny, mizerny człowieczek; bo przed chwilą wbiłem mu strzały w głowę i w brzuch; bo stoję na otwartej przestrzeni, gdzie łatwo mnie dorwać, gdy tymczasem Kojot strzela spod zadaszenia; oraz bo wiązanie, które nałożył na niego Aenghus Óg, oznaczało, że i tak nie będzie mógł opuścić okolicy, póki mnie nie zabije. Wypuściłem strzałę i zobaczyłem, jak pięknie przelatuje nad jego prawym ramieniem – ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu. Upuściwszy łuk, bo naprawdę nie było już czasu na więcej pokazów łucznictwa, skoczyłem pod daszek i wyciągnąłem prawą ręką Fragaracha, a lewą kolejną pobłogosławioną strzałę z kołczanu.

Schowałem się za jeden ze stalowych słupów podtrzymujących zadaszenie, tak żeby Basasael musiał się zdecydować, z której strony mnie zaatakować, i przez to stracić trochę na prędkości. Okazało się, że słupek nie był jednak czymś, co upadłe anioły uważają za jakąkolwiek przeszkodę. Po prostu przesunął go prawą ręką, gdy tylko rozłożył skrzydła i wyhamował, żeby

wylądować, a słup posłusznie dał się wyrwać z chodnika, zabierając ze sobą spory kawał dachu, jakby był zrobiony nie ze stali, lecz z chińskiego plastiku typowego dla zabawek dziecięcych.

– Nie czujesz się choć trochę słabo? – spytałem go bez przekonania. Dziedziniec widziałem teraz przez dość sporą białą dziurę w jego głowie. Nadal się pieniała i syczała, pochłaniając kolejne kawały jego ciała – tak zresztą jak i pozostałe dwie rany – lecz wyglądało na to, że jedynie go to wkurzyło, nic poza tym.

Stopami wylądował na betonie, a nie na ziemi, co automatycznie wykluczało Zimny Ogień. Na moje pytanie odpowiedział beknięciem, które przybrało postać jasnego, pomarańczowego ognia zięjącego mi prosto w twarz. Wyglądało to dokładnie tak, jak te kule ognia piekielnego, które rzucał na mnie Aenghus Óg.

– Hej! – wrzasnąłem, gdy kula minęła mnie, pozostawiając krótkie uczucie ciepła, ale poza tym nie robiąc mi żadnej krzywdy, dzięki mojemu amuletowi. – To ty jesteś tym draniem, który zawarł umowę z Aenghusem Ógiem! To ty stałeś za tym wszystkim!

Gdzieś na prawo ode mnie skrzypnęły drzwi. Ktoś postanowił wyjść, żeby sprawdzić, co to za hałas. Nie będzie w stanie zobaczyć ani mnie, ani demona, ale bez wątpienia zauważy powyginany słup leżący w deszczu i niebezpiecznie pochylający się, dziurawy dach. A przede wszystkim znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. To właśnie przez takie sytuacje giną śmiałkowie podejmujący się pojedynków: ułamek sekundy nieuwagi, spojrzenie leci ku jakiemuś ruchowi i nagle już jest po wszystkim. Basasael wyraźnie na to liczył. Może zobaczył ruch moich oczu, może nie, ale natychmiast otrząsnął się z zaskoczenia, że nie spłonąłem, i rzucił się na mnie. Był dobre cztery stopy ode mnie, ale jego prawe ramię poleciało w moją stronę, a jego palce zaczęły się wydłużać, co następnie uczyniły także jego pazury (rozkładały się teleskopowo), celując przy tym w moje serce. Ubzdurał sobie chyba, że jest Mola Ramem, i postanowił wyrwać mi żywcem serce, by śmiejąc mi się prosto w twarz, spałaszować je na moich oczach. Rzuciłem się na prawo, jak najszybciej mogłem, unosząc lewe ramię, żeby jego pazury przeleciały mi pod ręką, ale nie byłem dość szybki. Poczulem, jak cztery zgnięte, czarne kolce przebijają się przez moją skórę, drapią mnie po żebrach i przechodzą na wylot, przypinając mnie niejako do ściany.

Jęknąłem z bólu i natychmiast odpowiedziałem atakiem, bo przecież i on był teraz częściowo unieruchomiony: wbiłem mu pobłogosławioną strzałę w rękę i pchnąłem ją tak, że doszła aż do dłoni. Zawył i wyrwał ramię, wyciągając przy okazji swoje paskudne pazury z mojego ciała. Dało mi to moment wychnienia, który zużyłem na to, żeby spojrzeć na prawo.

Odziana wybitnie nijako pani bardzo prędko przemawiała do walkie-talkie:

– Dach szkolny został w części zniszczony i słyszę tu jakieś dziwne, zwierzęce odgłosy, ale nie mam pojęcia, co to za zwierzę.

– Do środka! – krzyknąłem do niej. – Dla pani własnego dobra!

W tej chwili nie byłem w stanie nic więcej dla niej zrobić. Basasael zrobił ruch, jakby chciał skoczyć na mnie i oderwać mi głowę, więc uniosłem Fragaracha w obronnym geście, starając się nie drzeć od bólu w żebrach. Gdy upadły anioł zgiął kolana i zasyczał na mnie, układając ramiona w zapaśniczej pozycji, gotów rzucić się na mnie, przeszła mi przez głowę myśl, że Kojot właściwie miał już całkiem sporo czasu, by wystrzelić jeszcze z jedną czy dwie strzały.

Gdzie się podziewał ten żartowniś? Czy po prostu uciekł i zostawił mnie sam na sam z aniołem? Nie żeby nigdy mu się to już wcześniej nie zdarzyło. Według różnych historii o Kojocie to właśnie lubił najbardziej – zrobić w coś białego człowieka, a potem zniknąć w krytycznym momencie, tak żeby białas wyszedł na idiotę. Tylko że ja naprawdę nie miałem już pojęcia, co więcej mógłbym sam zrobić temu stworzeniu. Cztery święte strzały najwyraźniej nie

wyrządziły mu właściwie żadnej szkody; niby całkiem głośno obwieścił światu, że poczuł ból, ale przecież mimo to nacierał na mnie pełną parą. Moja świadomość odnotowała makabryczną myśl: jeśli Basasael zje mój frajerski tyłek, to czy Morrigan zdoła jakoś wrócić mnie do życia? Z czego? Z anielskiej kupki? To z kolei prowadziło do kolejnego pytania – metafizycznego, lecz i bluźnierczego zarazem: czy anioły, upadłe czy nie, w ogóle mają czym robić kupę?

Odpowiedzi dostarczył mi Kojot i to dość specyficznie. Usłyszałem obrzydliwy chlupot i Basasael zupełnie nagle o mnie zapomniał. Wyprostował się, stanął na pazurach u stóp, nogi trzymając razem niczym jakiś dziadek do orzechów, wybałuszył oczy i zawył w agonii gorzej niż *bean sidhe*, aż musiałem chwycić się za uszy (a ściślej za jedno ucho i za jedną żalostną grudkę z chrząstki).

Kojot zaś krzyknął:

– Ha! – i zaniósł się głośnym śmiechem, po czym popędził przez dziedziniec w swej zwierzęcej formie, a upadły anioł uniósł się w powietrze, by rzucić się za nim w pogoń.

Gdy skupiał się na tym zadaniu, wykorzystałem okazję i schowawszy szybko Fragaracha do pochwy, chwyciłem pracowniczkę szkoły za nijaki kołnierzyk i zaciągnąłem z powrotem do drzwi, z których się wyłoniła kilka chwil temu. Darła się przerażona, gdy pchnąłem ją do środka, i próbując ją przekrzyczeć, wrzasnąłem:

– Zablokujcie wszystkie drzwi w szkole! Szybko! Zanim jeszcze ktoś zginie! – W dzisiejszych czasach każda szkoła w Ameryce ma odpowiednie procedury zamknięcia wszystkich drzwi naraz, żeby chronić uczniów w razie niebezpieczeństwa.

– Co? Kto zginął?

– Sprawdźcie swoje listy obecności, to się zorientujecie. W tym przecież jesteście najlepsi, bo przecież nie w uczeniu angielskiego. Te cholerne dzieciaki nie wiedzą, co to poprawność stylistyczna! – Naprawdę powinienem się już zamknąć. Ze stresu zacząłem wyładowywać całą swoją frustrację na tej biednej kobiecie bez gustu, której pewnie nawet nikt nigdy nie przeleciał.

– Kim jesteś? Dlaczego cię nie widzę?

– Blokada na drzwi! Sprawdzić listę obecności! I do środka! – Trzasnąłem za nią drzwiami dla podkreślenia powagi sytuacji oraz licząc na to, że to ją pchnie do odpowiedniego działania. Odwróciwszy się z powrotem w stronę podwórka, zobaczyłem, że Basasael usiłuje usmażyć Kojota za pomocą swoich kuli ognia, które miotał właśnie z wysoka. Kojot był dla niego ździebko za szybki, ale nie miałem pewności, czy jest w stanie utrzymać takie tempo ani czy jeśli jednak anioł trafi go jedną z kul, przeżyje spotkanie z ogniem piekielnym.

Podbiegłem do łuku, który porzuciłem jakiś czas temu na podwórku. Nadal był zakamuflowany, więc go nie widziałem i dopiero po kilku rozpaczliwych ruchach udało mi się o niego potknąć. Gdy się schyliłem poń, moje rany boleśnie przypomniały o sobie, pobrałem więc moc, by je zamknąć i zacząć odnawianie tkanek.

Zostały mi dwie strzały. Kojot pewnie gdzieś upuścił swoje. Wziąłem jedną i skupiłem się na tym, by nie ryknąć śmiechem na widok Basasaela latającego wokół ze strzałą wbity w tyłek. Starannie wycelowałem i usłyszałem cichy trzask, gdy strzała poszybowała i trafiła w prawe skrzydło upadłego anioła. Wyrwała mu w nim wspaniałą białą dziurę, która się poszerzała z każdą sekundą, a Basasael zapiszczał i stoczył się z dachu na ziemię – i tego właśnie było mi trzeba.

– *Dóigh!* – zawołałem, celując w niego palcem wskazującym i pobierając moc z ziemi, gdy rzucałem na niego Zimny Ogień. Natychmiast poczułem słabość, jakby mi raptownie spadł poziom cukru, a moje mięśnie zmieniły się w ołowiane odważniki i miały za nic moje rozkazy. Nie było jednak aż tak źle jak wtedy, kiedy posłużyłem się tym zaklęciem po raz pierwszy

i kompletnie opadłem z sił, wywracając się na ziemię, choć nie ulegało wątpliwości, że już dziś na pewno nie dam rady naciągnąć tego okropnego łuku. Żeby teraz dojść do siebie, powinienem się spokojnie na jakiś czas położyć na ziemi.

Skrzekliwe szkolne głośnieki obudziły się do życia i surowy głos władzy zagrział na dziedzińcu metalicznym echem.

– Nauczyciele! W tej chwili następuje blokada szkoły. Proszę natychmiast wejść do klas. Powtarzam. Nauczyciele, proszę natychmiast wejść do klas.

A zatem powtarzające się potworne piski Basasaela oraz chaotyczne dość kule ognia miotające się po całym dziedzińcu przekonały dyrekcję, że jednak coś jest nie w porządku, jeśli nie uczynił tego tajemniczy głos bez ciała, który wydawał się nieusatisfakcjonowany poziomem nauczania języka angielskiego we współczesnej szkole.

Basasael zaczął powoli podnosić się z ziemi, ale strzały wyraźnie (i wreszcie) trochę mu jednak dokuczały. Mimo to nic nie wskazywało, by Zimny Ogień w ogóle na niego zadziałał, choć miałem nadzieję, że po jakimś czasie jednak da się mu we znaki.

Kojot, który znów występował już w ludzkiej postaci, skoczył po swój łuk i strzały i zawołał do mnie:

– Cożeś mu pan zrobił, panie Druid?

– Nie jestem pewien, czy cokolwiek mu zrobiłem! – odkrzyknąłem. – Może lepiej, żebyś pan do niego jeszcze kilka razy strzelił.

– A, jasne, to ta pańska genialna strategia tego całego Attyli. O mały włos bym zapomniał.

Kojot zaczął naciągać cięciwę łuku, a Basasael tymczasem zajął się wrywaniem sobie strzał z ręki i brzucha, wydając przy tym okropne wprost odgłosy. Właśnie zabrał się ostrożnie do ostatniej strzały (przy czym słowa Merkucja: „ugodzony w sam rdzeń serca postrzałem” tracą wiele w tłumaczeniu, bo to bynajmniej nie było serce), gdy kolejny strzał Kojota wziął go kompletnie z zaskoczenia – bóg trafił w samą szyć, co zdusiło kolejną falę ryków anioła, dzięki czemu usłyszeliśmy zbliżające się syreny policyjne.

– Ha! – zakrzyknął radośnie Kojot, wymachując pięściami. – Siedz cicho, maszkaro! Nie drzyj już tej piekielnej mordy, czorcie jeden!

Mnie tymczasem zupełnie już chyba odbiło ze zmęczenia, bo gdy upadły anioł skupił się na pozawerbalnym wyrażaniu niepokoju za pomocą imponującego ciągu spastycznych drgań wraz z towarzyszącymi im białymi wybuchami piany z ran, zacząłem się zamartwiać, że oto straciłem ostatnią szansę, by się z nim spokojnie i napić się dobrej herbaty. Poza Morrigan naprawdę tak rzadko miałem okazję pogadać sobie od serca z jakimś stworzeniem starszym ode mnie i naprawdę ceniłem wszelkie takie spotkania.

Moje wątpliwości co do tego, czy Zimny Ogień zadziała na upadłego anioła, same się wkrótce rozwiały: bańki pieniące się w ranach Basasaela zaczęły szybko pochłaniać całe jego ciało, aż nogi i ręce mu się od nich wiły, jakby pod skórą miał mnóstwo rozszalałych robaków. Usiłował jeszcze ułożyć się w coś na kształt karykatury pozycji embrionalnej, lecz zaraz potem wybuchnął oślizgłą masą ropy i krwi. Ta smolista substancja paskudnie zalała kawał dziedzińca, pokrywając trawnik, drzewa, stal i cement bez wyjątku, a tu i ówdzie wyłaniały się z niej resztki częściowo przeżutego nastolatka. Deszcz był w tej sytuacji prawdziwym błogosławieństwem, bo obmywał ziemię z tego starożytnego wręcz zła, ale w życiu nie uda mu się zmyć wszystkiego, zanim odblokują szkolne drzwi, a już na pewno nie, nim pojawią się tu gliny.

– I dobrze ci tak, mały! – darł się Kojot w stronę tych smętnych pozostałości. – I zapamiętaj sobie, że w moim domu nieproszonych gości zawsze czeka taki koniec!

– Na złe oko Balora, ale co my teraz zrobimy z całym tym świństwem? – spytałem.

– Jakie znowu „my”, panie Druid, hę? Nie mój demon, nie mój problem.

– No, wiem, ale nie jestem w stanie zawołać tu teraz żadnych ghuli. Kto to posprząta? Ludzie będą sobie sami musieli z tym poradzić i w dodatku znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie dla tej sytuacji. Mogą niby zawsze zawołać pogromców duchów, żeby pobrali próbkę ektoplazmy czy coś. Albo ewentualnie Muldera i Scully, bo żadne CSI, choćby i z samego Las Vegas, nie rozwiąże im tej zagadki.

– Pojęcia nie mam, o czym pan mówisz, panie Druid.

Uznałem, że nie warto zagłębiać się w wyjaśnienia, więc tylko wskazałem na mokrą plamę przed nami i mruknąłem:

– Idę o zakład, że przez ten bałagan narodzi się z tysiąc nowych teorii spiskowych o alienach, a i być może o nadchodzącej apokalipsie. Głowę daję, że napiszą o tym w „Weekly World News”.

Kojot wzruszył ramionami.

– Panie, a co mnie to obchodzi? Cokolwiek by napisali, na pewno wyjdzie z tego bardzo zabawna historyjka.

– Lepiej zbierzmy strzały – zaproponowałem. – Nie powinniśmy ich tak tu zostawiać.

– No, dobry pomysł – zgodził się Kojot.

Włożyłem z powrotem sandały, nim odważyłem się wejść w tę piekielną maź i dołączyć do Kojota w poszukiwaniu strzał. Na szkolny dziedziniec zaczęli już wbiegać policjanci, ale po prostu milczeliśmy i nie przerywaliśmy poszukiwań, bo wiedzieliśmy, że nie zauważą nas, poza może jakimś lekkim poruszeniem kolorów, które uznają za złudzenie wywołane deszczem.

Gdy w końcu kołczan był znów pełny, wyminęliśmy zgrabnie kilku policjantów i pracowników szkoły i dotarliśmy bez przeszkód do szkolnych drzwi. Nim opuściliśmy to nieszczęsne miejsce, pamiętałem o jednym szczególe: należało zniszczyć wszelkie ślady mojej własnej krwi, która mogła skapnąć na ziemię po tym, jak zranił mnie Basasael. Kilka kropli znalazłem przy ścianie, ale znacznie mniej, niż się obawiałem, bo większość widać wsiąkła jednak w moją koszulę. Zebrałem trochę deszczu w dłonie i zmyłem ją dokładnie, pozbawiając specjalistów od medycyny sądowej dowodów, a wiemy – ewentualnej możliwości dobrania mi się do skóry.

Zadzwonił dzwonek oznaczający koniec lekcji i przerwę na lunch. Jako że szkoła działała nadal w trybie awaryjnym, biedne dzieciaki będą musiały zostać w klasie i pogłodować. Mimo że już by były bezpieczne.

Z miłym poczuciem dobrze spełnionego obowiązku przeszliśmy przez budynek szkolny i wyszliśmy na drugą stronę, gdzie stał sobie spokojnie nasz SUV zaparkowany w niedozwolonym miejscu. Tylko że teraz otaczało go całkiem sporo wozów policyjnych. No cóż.

Nie zdejmując kamuflażu, powędrowaliśmy na południe, przemoczeni i coraz bardziej zziębnięci.

– Kilka minut na południe od autostrady jest jeszcze jedna szkoła – powiedział Kojot, gdy byliśmy już w bezpiecznej odległości od zabudowań, i leniwym gestem wskazał w stronę Crismon Road. – Nazywa się Desert Ridge. Mają tam na parkingu masę samochodów. Można kraść, ile się chce.

– Może ja sobie po prostu zamówię taksówkę z tego sklepu tam – odpowiedziałem, wskazując przyjaźnie świecące w deszczu biało-czerwone logo. – Już i tak dość dziś narobiłem kłopotów tym biednym uczniom ze Skyline... jakże oni siebie nazywają? – Uzmysłowiłem sobie, że pojęcia nie mam, jaka jest maskotka tej szkoły, więc odwróciłem się, żeby sprawdzić, co mają napisane na tabliczce przed budynkiem. Dopiero wtedy przeczytałem: „Kojoty ze Skyline witają”

i zakląłem po staroirlandzku z taką werwą, że mój ojciec byłby ze mnie naprawdę dumny. Kojot już zanosił się śmiechem i biegł przed siebie. Wiedział dobrze, jak się rozsierdzi, kiedy zrozumie, że wystrychnął mnie na dudka.

– Kojoty, tak? Czy tam w ogóle zginął ktokolwiek z plemienia Diné? – ryknąłem. – Wyssałeś pan z palca całą tę historyjkę o zjedzonej dziewczynce, nie?

– Ano jak dotąd zginęły tylko białasy. – Kojot wyszczerzył się w szalonym uśmiechu. – Ale nie chciałem, żebyś pan sobie spokojnie czekał, gdy tymczasem moi ludzie mogli skończyć jako czyjeś śniadanie, bo powaga, że mam tu też swoich w tej szkole, więc musiałem ich chronić.

– I tylko dlatego wystawiłeś mnie pan na tak wielkie niebezpieczeństwo? Naprawdę nie byłem jeszcze gotowy do potyczki z tym typem. Miałem nadzieję, że uda mi się walczyć z nim na moim terenie i na moich warunkach.

– Nie wściekaj się pan, panie Druid. Przecież pomogłem panu rozwiązać całkiem duży problem. Gdyby nie ja, mógłbyś pan zginąć marnie.

– Taaa? To czemuś pan tak zwlekał z tą pomocą? Mogłeś pan zareagować o wiele szybciej, kiedy się na mnie rzucił!

– Ta, ale wiesz pan, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zrobić tego po swojemu. Sam pan wiesz, jak to ludzie zawsze straszą, że się komuś dobrać do tyłka, a jakoś nigdy tego nie robią, nie? No i patrz pan teraz, jaką mamy świetną historię do opowiadania przy ognisku: „O tym, jak Kojot dobrał się Upadłemu Aniołowi do Tyłka”. Już się nie mogę doczekać, jak ją usłyszę. Najlepiej z własnych ust. I nie martw się pan, panie Druid, będę pamiętał, żeby tam o panu też wspomnieć!

Przetopił się płynnie w zwierzęcą postać i popędził w deszcz, zanosząc się radosnym śmiechem i szczerząc do mnie jeszcze kły.



## Rozdział 10

Większość czasu w taksówce spędziłem na mruczeniu pod nosem najróżniejszych obelg pod adresem po trzykroć przeklętych bogów-żartownisiów, ale nim dojechałem do domu, już wbrew sobie się pod nosem uśmiechałem. Nie ja pierwszy zostałem zrobiony przez Kojota w bambuko. I z pewnością nie ostatni. Prawdę powiedziawszy, należało doceniać to, że wyszedłem z tego cało i niemal zupełnie zdrowo, jeśli nie liczyć kilku ran.

Lunch z Oberonem wydał mi się wyjątkowo wręcz relaksujący, być może właśnie dlatego, że pozbyłem się w końcu sporego kłopotu. Mój pies zjadł pięć białych kiełbasek, a ja kanapkę z masłem orzechowym i marmoladą pomarańczową, popijając szklanką mleka. Oberon chciał koniecznie omawiać wydarzenia z *Lotu nad kukulczym gniazdem*, tłumacząc mi dobitnie, że siostra Ratched była tak naprawdę Wielkim Bratem i że Wavy Gravy na pewno by jej dosiolił i dosiolił jak trzeba, gdyby tylko tam był. Chciał też poznać moje zdanie na temat Wodza Bromdena i czy uważam, że na końcu powędrował z powrotem nad rzekę Kolumbia, czy też może ruszył walczyć z Wielkim Kombinatem. Następnie postanowił, że czas porozmawiać o pewnych decyzjach ostatecznych.

<Jeśli kiedykolwiek padnie mi pół mózgu i będę warzywkiem tak jak McMurphy> powiedział <to chcę, byś zrobił to, co zrobił wódz, dobrze?>

Nie wiedziałem, co mu na to odpowiedzieć. Wódz przecież zadusił McMurphy'ego poduszką. Nagle na samą myśl o tym oczy zaszyły mi łzami, więc podrapałem go za uchem. Kiedy okazało się, że to nie wystarczy, kucnąłem przy nim i przytuliłem go mocno. Oberon nie miał świadomości, że już znacznie przeżył wszystkie wilczarze irlandzkie, jakie kiedykolwiek stąpały po tej ziemi. Tragedią tej wspaniałej rasy jest to, że zwykle naprawdę bardzo krótko żyją – tylko sześć czy siedem lat. Ale Oberona połem tymi samymi magicznymi ziółkami, które sprawiały, że ja wyglądałem i czułem się na dwadzieścia jeden lat, a nie wieków, a które nazywam herbatką „Młodości Czar”. Oberon miał teraz piętnaście lat i nie wiedział, że dawno już powinien był umrzeć, a nie latać sobie pełen energii i siły typowej dla trzyletniego psa.

*Dobra, chłopie* – powiedziałem w końcu.

Nim miałem czas jeszcze bardziej się pogрузić w rzewnych rozmyśleniach, moja komórka zaczęła wygrywać melodyjkę „Witchy Woman” Eaglesów, którą ściągnąłem sobie specjalnie dla Maliny.

Wyszedłem do ogródka za domem, nim odebrałem, żeby podczas rozmowy jednocześnie pobrać trochę mocy, której tak potrzebowałem. Polka podziękowała mi uprzejmie za przesłany krwawnik i wydała z siebie odpowiednio grzeczne dźwięki mające wyrazić zachwyt jego jakością. Odpowiedziałem jej równie uprzejmymi dźwiękami, by podziękować za udaną wymianę handlową, i pogratulowałem sobie w duchu, że nasza znajomość wróciła na oficjalne tory. Wtedy przeszła do sprawy, o której najbardziej chciałem usłyszeć.

– Podczas wczorajszego rytuału udało nam się potwierdzić, że *die Töchter des dritten Hauses* przebywają we Wschodniej Dolinie, ale niestety muszę pana poinformować, że nie byłyśmy w stanie namierzyć ich dokładniejszej lokalizacji.

– A zatem paniom gratuluję, jak i zarazem wyrażam ubolewanie. Czy domyśla się pani, dlaczego to nie były panie w stanie uzyskać jaśniejszego obrazu sytuacji?

– Niewykluczone, że nasza skuteczność znacznie się obniżyła, ponieważ jest nas tylko sześć. Być może rzuciły na siebie jakiś rodzaj zaklęcia kryjącego, którego nie jesteśmy w stanie przejrzeć. Najprawdopodobniej jednak obie te przyczyny się na siebie nakładają – powiedziała. – Dziś w nocy znów spróbujemy. A pan? Czy próbował pan wywróżyć ich miejsce pobytu?

– Nie, nie miałem tyle wolnego czasu – odparłem. – Dzisiejszego poranka miałem kompletne urwanie głowy. Ale po pracy powinienem wygospodarować wolną chwilę.

– Obawiam się, że nie będzie pan miał ani chwili. Wykonaliśmy te same rytuały wróżące, by namierzyć bachantki, i to ze znacznie większym powodzeniem. Już tu są, dwanaście bachantek, jeśli chodzi o ścisłość, i zamierzają rozpocząć swoje szaleństwa już dziś wieczorem w Scottsdale. Jeśli pan im nie przeszkodzi, dojdzie do orgii niczym na Saturnaliach.

– Czy naprawdę muszę już dziś? – Laksha jakoś cały czas się nie odezwała, więc wyglądało na to, że nie bardzo mam jak się zmierzyć z tym problemem. – Cóż to szkodzi, jeśli w Scottsdale odbędzie się jedna noc szalonych bachanaliów?

– Panie O'Sullivan. Bachanalia oznaczają początek zarazy. Ruinę małżeństw i innych szczęśliwych związków, niewyobrażalne straty emocjonalne oraz ogromne zniszczenia ekonomiczne spowodowane rozwodami. Bachanalia zachęcają do zachowania lekkomyślnego i moralnie nikczemnego, a ich uczestnicy często wchodzą zaraz potem na drogę przestępczości.

– Brzmi to jak opis weekendu na Phoenix Open.

– Ja nie żartuję. Zdarza się także, że podczas orgii ludzie po prostu umierają z wysiłku, a do tego nie możemy przecież dopuścić. Poza tym dzięki bachanaliom bachantki znacznie zwiększą liczebność, a pan będzie miał tylko większy problem do rozwiązania.

– Chwileczkę, przecież mówiła pani, że te bachantki przez całe lata siedziały w Las Vegas.

– To prawda.

– No i co? Przecież nie dochodzi tam do jakichś strasznych aktów rozpusty, nie?... Oj.

– Tak?

– Nie, nic. Przyznaję, że to pytanie było dość bez sensu. Przepraszam.

– Nie ma za co. Zamierzają się wdrzeć do klubu nocnego o nazwie Satyrn na Scottsdale Road. To dość ekskluzywne miejsce. Będzie pan musiał się trochę postarać, żeby wyglądać mniej obskurnie.

Prowokowała mnie, ale nie zamierzałem dać się tak łatwo wyprowadzić z równowagi.

– Czy mogłaby pani powtórzyć jeszcze raz słowo „obskurnie”?

– Obskurnie. A co?

– Nic. Próbuję nauczyć się pani akcentu.

Jej głos stał się lodowaty, a akcent jeszcze wyraźniejszy.

– Nie wątpię, że ma pan znacznie ważniejsze rzeczy do roboty, bo ja z pewnością mam.

Życzę miłego dnia.

Uśmiechnąłem się, odkładając telefon. Była taka zabawna, jak się wkurzała.

Jazda rowerem do pracy okazała się trudniejsza niż zwykle. Nadal byłem wykończony po Zimnym Ogniu. Zdecydowanie muszę spędzić noc w ogródku, żeby podładować moje uszczuplone zapasy energii.

Gdy toczyłem się z mozołem koło domu wdowy, zamachała do mnie wesoło.

– To widziałeś się z Maryją, kochanieńki? – zawołała.

– Jasne! – Uniosłem kciuk. – Przyjadę do pani po pracy i wszystko opowiem.

– Ach, to będzie doprawdy wspaniałe!

Księgarniana część Trzeciego Oka nie wymagała już wiele zaangażowania z mojej strony. Dzięki automatycznej inwentaryzacji komputer sam zamawiał nowe egzemplarze za każdym razem, gdy sprzedaliśmy jakiś tytuł. Perry Thomas, który pracuje dla mnie już od ponad dwóch lat, a jest najradośniejszym gotem, jakiego w życiu spotkałem, mógł w zasadzie samodzielnie zajmować się całą księgarnią. Po prostu uzupełniał zapasy książek Karen Armstrong, bo te szły nam zawsze w niezłym tempie, a wraz z nimi pozycje na temat wicca i podręczniki do taoizmu

i buddyzmu.

Perry jednak kompletnie nie był w stanie prowadzić części aptekarskiej, no może z wyjątkiem bardzo podstawowych rzeczy. Jeśli wskazałem mu przygotowane wcześniej saszetki jakichś ziół i powiedziałem: „Zalej gorącą wodą”, nieźle sobie radził i wielce uszczęśliwiony serwował herbatki moim artretycznym klientom, którzy wpadali do nas codziennie na „Wesołe Życie Staruszka”. Nie umiał jednak sam sporządzać mieszanek ani ustalić, czy brakuje nam jakiegoś zioła lub czy któregoś nie mamy przypadkiem za dużo. Nie było też mowy, żeby sprzedawał komukolwiek zioła, bo nie miał o nich zielonego pojęcia i nie wiedziałby, przed jakimi ubocznymi skutkami należy ostrzec klienta.

Teraz pomachał mi na powitanie i krzyknął:

– Siema, Atticus! – kiedy wszedłem do sklepu i rozdzwonił się nasz dzwonek nad drzwiami. Perry układał właśnie nowe książki o końcu świata ogłoszonym czternaście wieków temu przez tych majszych mistyków w przepaskach na biodrach.

Granuaile siedziała za ladą w części aptecznej. Podłączyła sobie słuchawki do laptopa i sumiennie wkuwała łacinę, jak jej kazałem. Nie minął jeszcze tydzień, odkąd zaczęła, a już była w stanie porozmawiać ze mną na jakieś podstawowe tematy. Przez te słuchawki nie usłyszała dzwonka przy drzwiach, ale po chwili zauważyła mnie kątem oka i posłała mi 1,21-gigawatowy uśmiech.

Pospiesznie skupiłem myśli na marnej ostatnio formie miotaczy u Diamondbacksów. Jeśli ci nasi arizońscy kolesie nie zaczną porządniej trenować, to zupełnie się skompromitują w tym sezonie. Brighid niech będą dzięki, Granuaile była tym razem zupełnie ubrana, a co najważniejsze, zupełnie chyba nieświadoma, że przyprawia mnie od czasu do czasu o zawrót głowy.

Dwóch profesorów z Arizona State University piło sobie spokojnie herbatkę i rozmawiało o polityce. Mały, owłosiony jegomość zadawał Perry'emu serię prześmiesznych pytań. Najpierw chciał się czegoś dowiedzieć o Wielkich Przedwiecznych (naczytał się chyba za dużo Lovecrafta), potem zażądał książki o wyjących derwiszach (nie mylić z wirującymi), aż wreszcie zapytał, co mamy o sekretach różokrzyżowców. Perry ochoczo zaprezentował mu wszystko, co było w sklepie na każdy z tych tematów, ale wyraźnie nic z tego włochatemu nie odpowiadało, bo w końcu nabył jedynie kadzidełko sandałowe. Za dolara. Taka jest dola sprzedawcy.

– Trzy osoby przyjdą koło czwartej na rozmowę o pracę – poinformowała mnie Granuaile, gdy zabrałem się do sporządzania saszetek z moimi najbardziej popularnymi herbatkami. – Wszystkie trzy wyglądały na niezwykle podekscytowane szansą wciskania ludziom książek i gotowania wody.

– Bo i jest to wspaniała praca, co do tego nie ma dwóch zdań – odparłem. – A co? Już tęsknisz za Rulą Búlą?

– Trochę – przyznała. – Nie, żebym się tu miała czas nudzić – machnęła ręką w stronę ekranu komputera, który uczył ją właśnie koniugacji kolejnych czasowników – tylko że tęsknię za tamtymi ludźmi, za atmosferą tego miejsca.

– Ja też – powiedziałem. – Myślisz, że przyjąłby cię z powrotem na jeden dzień tygodniowo? Może wtedy pozwoliliby mi znów zachodzić tam czasem i wydawać masę pieniędzy na rybę?

Granuaile wzruszyła ramionami.

– Mogę zapytać.

– Zrób to, proszę, bo ani ja, ani Oberon nie możemy już dłużej żyć bez fish'n'chipsów.

Dzwonek nad drzwiami zakołysał się znowu i do sklepu wkroczyły dwie osobliwe postacie. Obawiam się, że szczeka mogła mi opaść w dość widoczny sposób. Wysoki,

tyczkowaty, starszy pan o wysokim czole, z okrągłymi okularami, ubrany cały na czarno z wyjątkiem białej koloratki stanął przede mną w towarzystwie niższego, młodszego, okrągłego delikwenta w tradycyjnym stroju chasydzkim. Perry powitał ich przyjaźnie, lecz ten starszy natychmiast oświadczył, że chce rozmawiać z właścicielem.

– To by wypadało, że ze mną – powiedziałem. – Dzień dobry panom. Czy to żart?

– Słucham? – spytał starszy uprzejmie, a na jego wąskiej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Mówił jak angielski kamerdyner.

– No, wiedzą panowie, wchodzi wysoki ksiądz z niskim rabbim do pogańskiego sklepu i...

– Co takiego? – Spojrzał w dół na swego towarzysza, jakby po raz pierwszy doszło do niego, że jest on nieco od niego niższy, a co więcej, wyznaje odmienną religię. – No rzeczywiście. To musi być niezwykle zabawne. – Nie wyglądał jednak na specjalnie ubawionego.

– W czym mogę panom pomóc? – spytałem więc.

– A. Tak. Cóż, jestem ojciec Gregory Fletcher, a to rabbi Yosef Zalman Bialik. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się porozmawiać z Atticusem O'Sullivanem.

– Ale macie panowie fuksa. – Uśmiechnąłem się do nich szeroko. – Właśnie z nim gadacie.

Może nieco przesadziłem z pozą na beztroskiego dzieciaka z college'u, ale ci dwaj wcale mi się nie podobali, więc póki się nie dowiem, po co tu przyszli, nie ujrzą nic poza moją zgrywą na potrzeby ogółu społeczeństwa. Ich aury były niby zupełnie ludzkie, lecz dosłownie kipiały od żądz – nie zwykłej cielesnej, lecz żądz władzy – a to nie pasowało raczej do obrazu miłującego pokój sługi bożego. Plus: aura rabina zdradzała lekkie białe przebłyski użytkownika magii.

– O, pan wybaczy, ale po człowieku z taką reputacją nie spodziewaliśmy się tak młodego wieku.

– Pojęcia nie miałem, że mam w ogóle jakąkolwiek reputację wśród kleru.

– W pewnych... – ksiądz zawahał się, jakby szukając odpowiedniego słowa, po czym kontynuował myśl – ...w pewnych wąskich kręgach słyszeliśmy o panu to i owo.

– Serio? W jak wąskich kręgach?

Ojciec Gregory puścił moje pytanie mimo uszu i odpowiedział innym:

– Pan wybaczy, że spytam wprost, ale czy miał pan jakiś udział w niezwyklej sytuacji zaistniałej w Superstition Mountains jakieś trzy tygodnie temu?

Popatrzyłem na niego tępo, potem tak samo spojrzałem na rabiego i zełgałem im w żywe oczy.

– Nie, nawet tam nigdy nie byłem.

– *On nie gawariti prawdy* – powiedział rabbi, odzywając się po raz pierwszy. A więc wiedział, że nie mówię prawdy.

Ojciec Gregory odpowiedział mi płynnie także po rosyjsku, uciszając go i zapewniając, że sam sobie ze mną poradzi. Skoro wydawało im się, że nie rozumiem rosyjskiego, nie chciałem pozbawiać ich tego złudzenia.

– Hej! Jestem Amerykaninem – powiedziałem. – Mówię tylko po angielsku, a i to nie najlepiej. Jak panowie mówią jakimiś takimi dziwnymi językami, to mnie się normalnie zdaje, że mnie panowie obgadują czy coś.

– Bardzo przepraszam – odparł ojciec Gregory. – Czy był pan może dziś rano w Skyline High School?

To pytanie automatycznie sprawiło, że poruszyłem nerwowo nozdrzami. Natychmiast sięgnąłem szczytów mojej zwykłej paranoi i z trudem utrzymałem na twarzy obojętną minę. Miałem świadomość, że plotka o śmierci Aenghusa Óga poszła już w świat, ale o upadłym aniele

nie powinien wiedzieć nikt poza Kojotem i Maryją, a coś mi mówiło, że żadne z nich nie ucięło sobie dziś pogawędki z tymi typkami.

Pokręciłem głową.

– Nie wiem nawet, gdzie to jest. Cały dzień stałem za ladą.

– Rozumiem – mruknął ojciec Gregory wyraźnie zawiedziony.

Rabbi Yosef wrzał już z oburzenia i robił się nieco czerwony. Wiedział dobrze, że wciskam im kit. Ksiądz postanowił zmienić temat.

– Słyszałem, że ma pan tu kolekcję bardzo rzadkich książek. Mogę rzucić okiem?

– Jasne. Na północnej ścianie, o tam. – Wskazałem mu wielką, zamkniętą gablotę pełną książek, leżących za szkłem pozornie bez ładu i składu. Handel białymi krukami stanowił jeszcze jedną część mojego biznesu, której nie mogłem oddać w ręce Perry'ego, ale był w nim tak mały ruch, że naprawdę nie zdarzyło się, aby ktoś złożył zażalenie, gdy mnie akurat nie było w sklepie i nie mogłem się nim zająć. Miałem na stanie niezwykle rzadkie książki – bywało, że jedyne istniejące egzemplarze, a w najlepszym wypadku jedno z dziesięciu może, ponieważ w większości były to rękopiśmienne grymuary lub zwoje pełne uczciwych do Dagdy zaklęć i rytuałów dla magicznych mistrzów. Trzymałem tu też kilka historycznych tajemnic – z tych, które uwielbiają Indiana Jones i spółka, na przykład rzekomo zaginiony manuskrypt Sotomayora. Geekowałem niemal na samą myśl, że tam leży. Pedro de Sotomayor był kronikarzem don Garcii Lópeza de Cárdenas, kapitana w armii Coronady, który w osiem dni przeszedł dwutygodniową trasę do Wielkiego Kanionu Kolorado. Garcia jest znany jako pierwszy Europejczyk, który zobaczył Wielki Kanion, ale według przekazu Sotomayora podczas tej wyprawy odnaleziono olbrzymie ilości azteckiego złota, które Tusajanowie (współcześnie znani jako plemię Hopi) przechowywali dla swoich przyjaciół z Południa, którzy akurat zmagali się z armią Cortésa. Garcia i jego parszywa dwunastka ukradli im skarb i gdzieś go ukryli, a Sotomayor zapisał to wszystko szczegółowo, bo zamierzali wrócić, żeby go potem stamtąd zabrać, pozbywszy się uprzednio Coronady. Żadnemu z nich jednak nie udało się już nigdy więcej wrócić do Nowego Świata, a manuskrypt Sotomayora „zaginął”, toteż historykom pozostały jedynie słowa niejakiego Castañedy, faceta, który nawet nie poszedł wtedy z Garcia, nie miał więc w ogóle pojęcia, co się tam wydarzyło, a który twierdził, że podczas wyprawy nie znaleziono nic poza geologicznym cudem natury. Złoto wciąż znajduje się w rezerwacie Hopi i nikt go nawet nie szuka. Lubię znać takie sekrety i muszę wyznać, że czasami, gdy jestem sam w sklepie, zacieram ręce jak chciwy stary drań i wybucham szalonym śmiechem jednookiego, wąsatego pirata na myśl o tym, że mam tu w gablotce prawdziwą mapę skarbów.

Gablotka wyglądała na delikatny mebelek, ale była tak naprawdę robiona na zamówienie. Za drewnianą okleiną kryła się stalowa płyta, a szybka zrobiona była z kuloodpornego szkła. Zamknięta próżniowo, żeby zapobiec dalszym zniszczeniom cennych manuskryptów, wyposażona była w zamki otwierające się tylko przy użyciu odpowiedniej magii. Wokół mebla zainstalowałem najmocniejsze możliwe zaklęcia zabezpieczające, nie licząc tych, które i tak chroniły sklep.

Ksiądz i rabbi podeszli do gabloty z rękoma założonymi na plecach i zaczęli się przyglądać książkom na wystawie. Powinno spotkać ich rozczarowanie. Autorzy książek z zaklęciami nie mają zwyczaju umieszczać na ich grzbietach wiele mówiących tytułów. Granuaile pochwyciła moje spojrzenie, gdy ruszyłem za nimi, ale położyłem palec na ustach i bezgłośnie powiedziałem:

– Potem.

Perry już dawno stracił zainteresowanie tymi nowymi klientami i wrócił do układania swoich książek.

– Jakiego rodzaju książki ma pan na tych półkach, panie O'Sullivan? – spytał ojciec Gregory, patrząc na gablotę, gdy stanąłem tuż przy nim.

– A, wszelkiego rodzaju – odpowiedziałem.

– Mógłby pan powiedzieć mi dla przykładu, na co teraz patrzę? – drażył ksiądz i wskazał na tom oprawiony w szarą skórę z kota.

Był to tekst egipski, napisany przez wyznawców bogini Bast, który udało mi się uratować z Aleksandrii. Gdybym zamachał nim przed kuratorem jakiegoś muzeum, z pewnością straciłby kontrolę nad swoimi gruczołami ślinowymi.

– Akurat w tej części mojego księgozbioru nie można sobie tak po prostu szperać – odparłem.

– Drogi chłopcze – ksiądz zaśmiał się dobrodusznie – jakże chcesz sprzedać cokolwiek, jeśli nie pozwalasz klientom przejrzeć swojego towaru?

Wzruszyłem ramionami.

– Większość i tak nie jest na sprzedaż. – Sprzedawałem najwyżej jedną z pozycji historycznych rocznie na jakiejś aukcji i to wystarczyło, by Trzecie Oko dostawało taki zastrzyk pieniędzy, żeby wychodzić na swoje, choćbym nawet stracił na wszystkich innych towarach. – Raczej się nimi jedynie opiekuję.

– Rozumiem. A jak to się stało, że ta kolekcja trafiła pod twoją opiekę?

– Odziedzyczyłem ją – powiedziałem. – Jeśli szukają panowie jakiegoś konkretnego tytułu, mogę sprawdzić, czy go mam, lub być może nawet zdobyć go dla panów.

Ksiądz spojrzał na rabiego, ale rabbi pokręcił głową. Wyraźnie już zamierzali wyjść, ale czułem potrzebę dowiedzenia się o nich czegoś więcej. Wślizgnąłem się między nich a gablotę, aż nazbyt blisko. Odruchowo cofnęli się o krok, a ja skrzyżowałem ręce na piersi.

– Po co tu panowie dziś przyszli? – spytałem, nieco zbyt groźnie. Na ułamek sekundy pozwoliłem opaść masce banalnego dzieciaka z college'u, i od razu to zauważyli.

Ojciec Gregory zdenerwował się trochę i zaczął jąkać. Ale rabiego nie tak łatwo było zastraszyć. Spojrzał na mnie złym okiem i przemówił chłodnym angielskim z wyraźnym rosyjskim akcentem.

– Chyba nie oczekuje pan po nas szczerzej odpowiedzi, skoro pan nie powiedział nam ani słowa prawdy.

– Nie zasłużyli sobie panowie na moje zaufanie. Nie znam panów i nie odpowiedzieliście panowie na żadne z moich pytań.

– Na nasze pytania odpowiedział pan stekiem kłamstw – syknął rabbi. Taki miły facet.

– Być może odpowiedziałbym zgodnie z oczekiwaniami panów, gdybym wiedział, że nie chcą panowie mojej krzywdy.

Ojciec Gregory postanowił znów zagrać na dobroduszości.

– Mój drogi chłopcze, jesteśmy obydwaj, jak widzisz, duchownymi...

– Którzy przypadkiem znaleźli się w New Ageowej księgarni i zadają dziwne pytania – wtrąciłem. – A poza tym ledwie mieliśmy Halloween i te kostiumy mogliście panowie z łatwością sobie po prostu załatwić.

Obydwaj wyglądali na wstrząśniętych sugestią, że nie są prawdziwymi duchownymi – a zatem uzyskałem odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie. A skoro naprawdę byli kapłanami, powinno się ich łatwo znaleźć potem w Internecie.

Ojciec Gregory złożył dłonie jak do modlitwy.

– Pan wybaczy, panie O'Sullivan. Wygląda na to, że niefortunnie jakoś zaczęliśmy naszą znajomość. Kolega i ja reprezentujemy pewną grupę, która wierzy, że mógłby pan nam pomóc.

– Pomóc panom? – Zmarszczyłem brwi zdezorientowany. – Mam stronę internetową.

Mogę zamieścić na niej banner czy coś, jeśli o to panom chodzi.

– Nie, nie, źle mnie pan zrozumiał...

– On tylko udaje, że nie rozumie – wycedził rabbi. – Chodź, Gregory, nie ma co tracić czasu.

Chwycił księdza za ramię i ruszył w stronę drzwi. Ojciec Gregory posłał mi przepaszające spojrzenie, ale ruszył za rabbinem z miną przegranego. Pozwoliłem im wyjść, bo musiałem natychmiast dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Nie ulegało wątpliwości, że wiedzą o mnie więcej niż ja o nich, a to bardzo nieprzyjemne uczucie dla tak starego druida.

– O co tu chodzi? – spytała Granuaile, gdy dołączyłem do niej za ladą kącika aptecznego.

– Nie wiem. – Pokręciłem głową. – Ale się dowiem.

Żeby się tym nie zamartwiać, zająłem się przygotowywaniem mieszanek ziołowych, aż wreszcie nadeszła pora na rozmowy o pracy. Pierwszych dwóch kandydatów okazało się na wpół przytomnymi chłopcami, którzy wpatrywali się we mnie z rozdziawionymi gębami, gdy tylko coś do nich mówiłem. Ich oczy nie zdradzały cienia świadomości, póki nie spytałem ich, czy przypadkiem nie lubią gier wideo. Pewnie mieliby problemy z ułożeniem książek alfabetycznie. Miłą odmianę stanowiła Rebecca Dane, która pojawiła się jako trzecia. Miała ostro zarysowaną brodę oraz wielkie oczy, które uznała za stosowne podkreślić rzęsami à la Betty Boop. Jasne włosy do ramion spięła spinkami w kształcie srebrnych motyli, a jej równo obcięta grzywka kończyła się ledwo nad brwiami. Odziana była w czarne spodnium, na ramionach miała lśniąca niebieską chustę, która opadała jej na tors, a imponująca ilość srebrnych błyskotek na szyi ogłaszała jej przynależność do praktycznie każdej światowej religii. Przy krzyżu, który tak często widywałem w Ameryce, wisiała tu gwiazda Dawida, islamski księżyc, niedźwiedzi fetysz plemienia Zuni oraz egipski anch. Kiedy ją o nie spytałem, złapała się za anch i uśmiechnęła nieśmiało.

– Ach, cały czas nie mogę się zdecydować na jedną religię – powiedziała z lekkim akcentem z Wisconsin. – Właśnie postanowiłam wypróbować cały bufet, no wiesz, żeby może po jakimś czasie zdecydować, co takiego chcę sobie zapakować na talerz.

Uśmiechnąłem się do niej zachęcająco.

– Czyli mówisz, że masz taki religijny szwedzki stół, tak? Niezłe. Niech harmonia będzie z tobą. Ale jaki miałabyś stosunek do ludzi, którzy szukają konkretnej książki, na przykład jakiejś dotyczącej religii, z którą się nie zgadzasz?

– Ech, mam do religii podejście dość leseferystyczne. No, wiesz: żyj i daj żyć. Nie przeszkadza mi to, że ktoś tam sobie czci Boginię albo Allaha, albo Latającego Boga Spaghetti. Wszyscy oni szukają boskości.

Mógłbym zatrudnić ją tylko dlatego, że miała tak zdrowe podejście do sprawy i duży dystans do samej siebie, ale na dodatek okazała się zielarką amatorką – znała się na ziołach akurat tyle, by stanowić zagrożenie dla społeczeństwa, ale i na tyle, by dało się ją odpowiednio wyszkolić. Zacząłem nawet fantazjować o tym, jak to będę zostawiał sklep pod opieką jej i Perry'ego na całe dni, gdy tymczasem my z Granuaile zajmiemy się wreszcie ziemią wokół Tony Cabin.

– Przyjmuję cię do roboty – oświadczyłem, a jej usta ułożyły się w wielkim uśmiechu. – Zacznieś od stawki o trzy dolary wyższej niż minimum, ale naucz się w miesiąc, co trzeba wiedzieć o aptekarskiej części biznesu, a podwoję ci pensję.

Wyglądała na uszczęśliwioną i to sprawiło, że wypełnienie wszystkich tych rządowych papierków nie wydawało mi się aż tak straszne. Z początku nie wiedziała, co myśleć o Perrym, ale ten problem rozwiązał się natychmiast, gdy tylko się do niej uśmiechnął, udowadniając, że bynajmniej nie jest zimnym jak gład gotem, na jakiego wyglądał.

Udało mi się skusić Granuaile, żeby spędziła ze mną trochę czasu po pracy, bo obiecałem jej, że może mi zadać wszelkie pytania historyczne, jakie jej przyjdą do głowy, a ja odpowiem, jeśli tylko będę w stanie. Wyjaśniłem jej też, że chciałbym, żeby mnie zawiozła na lotnisko po Lakshę, to jest, gdy tylko Laksha do mnie zadzwoni... jeśli zadzwoni. Mieliśmy też do odbębnienia uciążliwy obowiązek wypicia kapki irlandzkiej whisky w towarzystwie wdowy.

– Dlaczego uciążliwy? – spytała Granuaile.

– A, tak tylko sobie żartuję. Jestem pewien, że polubisz wdowę.

Granuaile poznała już panią MacDonagh, ale nie zostały sobie jeszcze oficjalnie przedstawione. W głowie Granuaile mieszkała wtedy także Laksha, a wdowa była zbyt zajęta obserwowaniem wilkołaków hasających po jej ogródku. Myśl o tym, że w końcu je sobie naprawdę przedstawię, trochę mnie niepokoiła – a jeśli nie przypadną sobie do gustu? Ale powinienem był wiedzieć, że nie ma się o co martwić. Pani MacDonagh jest uosobieniem gościnności dla każdego, kto nie jest Anglikiem, tym bardziej jeśli ma do czynienia z rudowłosymi, piegawatymi dziewczętami o tak irlandzkich imionach jak Granuaile. Przedstawiłem ją jako moją pracownicę, żeby wdowa nie założyła przypadkiem, jak to zwykły czynić osoby w pewnym wieku, że chłopak i dziewczyna muszą ćwiczyć głośny seks z akrobacjami, gdy tylko się spotkają.

– Czy to znaczy, że Granuaile nie zna twoich wszystkich sekretów, Atticusie? – Wdowa puściła do mnie oczko, gdy rozsiadliśmy się na werandzie ze szklaneczkami whisky. Był to sprytny wybieg, by się dowiedzieć, czy może rozmawiać przy niej otwarcie.

– Owszem, Granuaile wie, ile naprawdę mam lat. Sama zamierza zostać druidką, więc może pani mówić przy niej, o czym pani zechce.

– Zostanie druidką? – Wdowa posłała dziewczynie spojrzenie pełne zaskoczenia. – Czy to znaczy, że nie wychowano cię na porządną katoliczkę?

– Obawiam się, że nie jestem niczym porządnym – odpowiedziała Granuaile. –

Studiowanie filozofii chyba zawsze zmienia wszystkie pewniki w wątpliwości. – Była to jedna z tego typu uwag, które szczerze podziwiałem u mojej uczennicy. Jej filozoficzne wykształcenie w dużym stopniu rekompensowało nieco spóźniony start w terminowaniu na druidkę. Jej umysł w ogóle nie stracił na elastyczności i z niezwykłą szybkością wylapywała wszystkie trudności, jakie ją czekały we współczesnym świecie jako użytkowniczkę magii i w dodatku poganę.

Gawędziliśmy sobie miło o tym i owym aż do zachodu słońca. Czas już było jechać do domu do Oberona. Wskoczyłem na rower, a Granuaile pojechała za mną swoim niebieskim chevroletem aveo. Pozwoliłem jej zająć się drapaniem Oberona po brzuchu na werandzie, a sam zadzwoniłem do Leifa. Nie tracił czasu na żadne miłe formułki typu „cześć”. Odebrawszy, powiedział od razu:

– Zmieniłeś zdanie co do Thora?

– Yyy... nie – wybąkałem, a on natychmiast się rozłączył.

Moje rozczarowanie musiało być widoczne, bo Granuaile spytała mnie, co się stało.

– Mam wrażenie, że mojemu prawnikowi krew uderzyła do głowy – wyjaśniłem. –

Niewykluczone, że nastąpił kres naszych serdecznych stosunków.

– Nie da się ich jakoś naprawić, co?

– Hmm, nie, raczej nie. Obawiam się, że nawet jakbym mu wysłał bombonierkę, to nic by nie pomogło. Zawsze mam skrupuły, jak mu wysyłam ludzi na kolację. I po prostu nie jestem w stanie zrobić tego, o co mnie poprosił.

– Czyli?

– Chce, żebym zabił boga piorunów. – Nim Granuaile miała czas odpowiedzieć, w dłoni zadzwonił mi telefon. Nieznany numer.



– Wróciłam, Atticusie – oznajmiła Laksha Kulasekaran po drugiej stronie. – Odbierz mnie spod północnej strony czwartego terminalu.

Czas, byśmy zapolowali na pewne bachantki. Zanim wskoczyliśmy z Granuaile do samochodu, zarzuciłem Fragaracha na plecy, bo choć bez pochwy na niewiele mi się zda, być może będę mógł walić w nie samą pochwą, jeśli zajdzie taka potrzeba, a zresztą naprawdę już straciłem rachubę, ile razy żałowałem, że zostawiłem go w domu.

## Rozdział 11

Tak rozpowszechniona wśród współczesnych Amerykanek tendencja do wykrzykiwania „Hiiiiiiiiiiii!” sopranem i rzucania się sobie w objęcia może wprawiać w zakłopotanie osoby nie zaznajomione z tym zwyczajem. Nie ulegało wątpliwości, że do takich należała Laksha, sądząc po tym, jak szeroko otworzyła oczy i jak zeszywniała w panice, gdy Granuaile rzuciła się na nią z tym serdecznym powitaniem. A w każdym razie założyłem, że to jest Laksha – Granuaile ścisnęła młodą dziewczynę o oliwkowej skórze, odzianą w tradycyjne indyjskie szarawary i tunikę ze złotą lamówką z brokatem na dekolcie i rękawach. Rozpoznawałem jedynie ten charakterystyczny naszyjnik z rubinów i złota, który ozdobił jej szyję (był to przedmiot magiczny, który, jak twierdziła, został sporządzony przez demony). Na ramionach miała misternie udrapowaną dupattę z czarnego szyfonu, także zdobioną lamówką z brokatu. I w tę właśnie szatę natychmiast zaplątała się Granuaile. Widziałem w życiu niejednego dziwny uścisk, ale mało aż tak zabawnych i w tak oczywisty sposób wprawiających w zakłopotanie osobę ścisną.

Granuaile w końcu zorientowała się, że Laksha chyba pojęcia nie ma, co się w ogóle dzieje, więc z trybu „ekstaza” w tempie 5 Machów przeszła w zmieszanie.

– Ojej, strasznie cię przepraszam – jęknęła, próbując bez większego powodzenia ułożyć dupattę Lakshy z powrotem na jej ramionach. – Ciągłe zapominam, że jeszcze się nie przyzwyczaiłaś do tutejszych obyczajów. Amerykanki zawsze wpadają w wielką ekscytację, jeśli się spotkają po rozłące.

– Ale przecież widziałyśmy się w zeszłym tygodniu – zauważyła trzeźwo Laksha.

– No, tak, ale byłaś tak daleko i w ogóle – tłumaczyła się Granuaile.

– Czy to znaczy, że należy także brać pod uwagę odległość, kiedy się decyduje, czy trzeba kogoś w ten sposób powitać?

– Yyy, no, nie wiem, jakoś nigdy przedtem tak o tym nie myślałam, ale chyba tak by to wyglądało – wybąkała Granuaile niepewnie.

Otworzyłem bagażnik jej samochodu i uśmiechnąłem się do Lakshy, zabierając jej torby.

– Witaj, Laksho. Wyglądasz świetnie.

– Dziękuję, O’Sullivan. – Uśmiechnęła się do mnie skromnie. Jej usta koloru wina ozdobiły twarz w kształcie serca otoczoną kaskadą lśniących, czarnych włosów. Na lewo od ust miała mały dołeczek, a w prawej części nosa pobłyskiwał diamentowy kolczyk. Brwi miała idealnie wyskubane czy wydepilowane, czy jak to się tam nazywa, ale w każdym razie na pewno było to wykonane przez eksperta w dziedzinie kosmetyki. Jej ciemne oczy były wesołe i zupełnie jakoś nie takie, jakie powinna mieć potężna wiedźma wchodząca w podejrzane układy z rakszasami i przenosząca sobie duszę z ciała do ciała. – Przyznam, że dość mi się podoba ta powłoka. – Uniosła lewą rękę, dzwoniąc wdzięcznie złotymi bransoletami, i przyjrzała jej się z dumą. – Chyba sobie ją na jakiś czas zatrzymam, szczególnie że jej poprzednia właścicielka chętnie się jej zrzekła. Nie miałam żadnego ciała wolnego od karmicznego długu, odkąd zużyło się to, w którym się urodziłam, i muszę wyznać, że ma to dla mnie wyjątkowy urok.

– Nie ma żadnych usterek? No wiesz, jakichś pozostałości po tym wypadku samochodowym, który przytrafił się tej młodej damie?

Laksha pokręciła lekko głową.

– Nic na powierzchni. Miała kilka złamanych kości, ale dawno się już pozrastały. Straciła śledzionę. Uraz głowy, który spowodował śpiączkę, mogę tymczasowo ignorować, a z czasem może uda mi się go wyleczyć. Oczywiście mięśnie są w strasznym stanie i bardzo łatwo się męczą, ale wzmocnię je odpowiednimi ćwiczeniami.

– Fascynujące – powiedziałem. – Może dokończymy tę pogawędkę w samochodzie. Lepiej jedźmy już, zanim zainteresują się nami goście od bezpieczeństwa.

Gdy tylko Granuaile wjechała na obwodnicę, Laksha obwieściła, że ma chętkę na kuchnię meksykańską.

– Znam jedną świetną knajpę – powiedziałem i podałem Granuaile namiary na Los Olivos, restaurację w Scottsdale, już od lat pięćdziesiątych niezmiennie słynącą z wybornego jedzenia. Znajdowała się i tak na naszej drodze do Satyrna, a będziemy tam mieli szansę pogadać w spokoju.

Laksha opowiadała nam właśnie z radością o zbliżającym się rozwodzie z panem Chamkannim.

– Taki wyjazd bez jego męzowskiego pozwolenia sprowokuje go do zupełnie irracjonalnych działań – wyjaśniała nam z uśmiechem. – Będzie mu się zdawało, że stracił nade mną kontrolę, nie, żeby kiedykolwiek ją miał, a jego przyjaciele będą mu radzić, żeby mi pokazał, gdzie moje miejsce. Gdy tylko wrócę, zaczniesz ode mnie żądać bogowie wiedzą czego, i wtedy właśnie zamacham mu przed nosem papierami rozwodowymi.

– Już je masz? Zaledwie po tygodniu?

– Granuaile poradziła mi, żebym sprawdziła go, zanim przejęłam ciało Selai. I rzeczywiście ma kochankę, jak można się było spodziewać po mężczyźnie z żoną w śpiączce. Mam już dowody fotograficzne i odpowiedniego prawnika. Myślę, że zatrzymam sobie dom – zakończyła zadowolona z siebie.

W Los Olivos – w sali z niebieskiego szkła i szarego kamienia z fontanną szemrzącą w tle – pogadaliśmy sobie miło nad chipsami i salsą o niezliczonych urokach Karoliny Północnej. Jednak wraz z pojawieniem się na stole burros z zielonym chili à la enchilada nasza rozmowa stała się równie poważna jak jedzenie.

– Dobrze więc, O'Sullivan. Mów, czego ode mnie chcesz – zażądała Laksha.

– Chcę, żeby bachantki zniknęły z tego miasta.

Wiedźma zaśmiała mi się w twarz, nieco za późno zasłaniając usta dłonią dla zachowania pozorów grzeczności.

– Rozumiem. Zaczniemy od opcji humanitarnej. Wyobrażasz sobie może, że mam taką moc przekonywania?

– Liczyłem na to, że przynajmniej rozważysz tę opcję, zamiast z miejsca ją wyśmiewać.

– Pan Chamkanni powiedział dokładnie to samo, gdy znaleźliśmy się w łóżku pierwszej nocy po powrocie ze szpitala!

Granuaile mało nie zapłula się tym, co akurat przeżuwała, i kilka razy uderzyła dłonią w stół, bezskutecznie próbując opanować swoją nagłą wesołość. Złożyłem palce nad talerzem, łokcie oparłem na stole i czekałem cierpliwie, aż obie się trochę uspokoją.

W końcu Laksha przemówiła do mnie z wyrazem twarzy zarezerwowanym dla małych dzieci i idiotów.

– O'Sullivan, wiesz przecież, że nie należę do wiedźm, które zmieniają ludzi. Ja jestem z tych, które kończą ich życie. I dlatego tu przyleciałam, tak?

– Tak.

Granuaile natychmiast przestała uważać naszą rozmowę za zabawną.

– Sekundka. – Popatrzyła na Lakshę, potem na mnie. – Czy ty sugerujesz, że Laksha miałaby jakoś zabić te bachantki?

– Dobrze wiesz, jak ona działa – zauważyłem.

– Atticusie, ale jak możesz? – spytała oburzona Granuaile. – To by było morderstwo.

– I bardzo zła karma – dodała lekko Laksha.

Wiedziałem dobrze, że dojdzie do tej potyczki, i chciałem nie tylko ją wygrać, ale przede wszystkim dać Granuaile jasny sygnał, że może – a nawet że powinna – otwarcie mi mówić o wszelkich wątpliwościach, szczególnie jeśli dotyczą one moralnego aspektu naszych działań. Tak jak Tuatha Dé Danann spoglądają na świat z perspektywy właściwej epoce brązu, tak ja utknąłem poniekąd w epoce żelaza i choć staram się to łagodzić pewnymi bardziej współczesnymi skrupułami i stuleciami doświadczenia, moje pierwotne celtyckie wartości kulturowe nie zawsze się pokrywają z amerykańskimi prawami i obyczajami.

– Słuchaj, one naprawdę nie są już w pełni ludźmi – wyjaśniłem. – To raczej chodzące nosicielki choroby, szerzące zarazę szaleństwa wśród społeczeństwa. Mają zero szans na to, żeby znów stać się tymi osobami, którymi były, zanim zniewolił je Bachus.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że to jakieś potwory, prawda? Wydaje mi się, że trzeba na nie raczej spoglądać jako na ofiary Bachusa i jego magii. Nie można karać ofiar.

– Może i były kiedyś ofiarami, ale powinnaś się raczej skupić na tym, czym są teraz, a są tuzinem supersilnych kobiet odpornych na broń żelazną oraz ogień. Jeszcze dziś w nocy mogą zmienić kolejny tuzin kobiet w takie same potwory i w ten sposób zniszczyć wszelki ludzki potencjał, jaki te kobiety mają. A szaleństwo będzie się rozwijało w postępie geometrycznym, jeśli ktoś ich nie powstrzyma. – Poszperałem w głowie w poszukiwaniu jakiejś współczesnej analogii i w końcu tak jej to wyłożyłem: – To trochę jak w tych filmach o zombi. Ich bohaterowie nie patrzą na zombi, które właśnie sobie zajada czyjś mózg, i nie myślą: „biedna ofiara”, po czym pozwalają mu odejść w spokoju.

– Dobra, ale bachantki to nie zombi, tak? Musi być jakiś lepszy sposób, żeby je powstrzymać, niż zwykle morderstwo – upierała się Granuaile.

– Jaki na przykład? Chcesz je wsadzić do więzienia? Nierealne. Policjanci albo sami wpadną w szal, albo zginą przy wszelkiej próbie oporu.

– No, ale nie mógłbyś po prostu posłużyć się magią? – spytała Granuaile.

– No, właśnie, O'Sullivan, co z twoją magią? – zainteresowała się nagle Laksha.

– Moja magia pochodzi z ziemi. – Wzruszyłem ramionami, rzucając okiem na smakowicie wyglądające burro. – Będziemy przecież w zupełnie sztucznym środowisku. Zresztą wątpię, żebym był w stanie oprzeć się ich szaleństwu. Obawiam się, że jestem na nie podatny tak jak każdy normalny człowiek. A poza tym, nawet gdyby tak nie było, naprawdę nie mam w zanadrzu żadnego zaklęcia, które by zmieniało bachantkę z powrotem w normalną kobietę.

– A nie mógłbyś po prostu pogadać z Bachusem albo od razu najlepiej z Jowiszem? Przecież rozmawiasz z Morrigan i Flidais, to czemu nie z innymi bogami?

Wzięłem kęs burro i pokręciłem głową ze smutkiem, gdy tymczasem wołowina, zielone chili i tortilla rozpływały mi się bosko w ustach.

– Bachus to rzymski bóg wina, a Rzymianie nienawidzili druidów jak nikt inny. To oni wraz z chrześcijanami wszystkich nas wybili, no, z wyjątkiem twojego rozmówcy, a zresztą mnie też by dorwali, gdyby nie Morrigan. – Odłożyłem widelec i odchyliłem się na krześle, ocierając usta serwetką. – Z czego wnioskuje, że Bachus spaliłby mnie żywcem, nim udałoby mi się wydukać choć trzy słowa wyjaśnienia. A gdyby wiedział, że w ogóle istnieję, a tym bardziej że planuję pozabijać dziś w nocy jego bachantki, to pewnie stawiłby się tu we własnej osobie.

– A nie robi tego i tak? – spytała Laksha.

– Bardzo wątpię – odparłem. – Liczba jego wyznawczyń jest płynna jak żadna inna. Ich zastępy mnożą się jak wirusy, póki nie trafią na jakąś większą armię, lub, co pewnie bardziej prawdopodobne, na jakichś użytkowników magii, którzy nie zechcą oddać swojego terytorium, a wtedy bachantki zostają bezlitośnie rozgromione. Bachus idzie wówczas w tango, żeby to jakoś odreagować, a potem męczy się chwilę z kaczem, tak jak jego wyznawczyni muszą się męczyć ze

skutkami swojej rozpusty.

– A więc skoro zamierzamy zrealizować nasz plan, czas omówić zapłatę – uznała Laksha.  
– Chwileczkę. – Granuaile uniosła dłonie. – Nadal nie rozumiem, czemu w ogóle rozważamy tę możliwość. Mówicie tu o zabijaniu ludzi za pieniądze.

– Nie za pieniądze. – Laksha pokręciła głową.  
– Za cokolwiek. Tak nie można!  
– Wydawało mi się, że to już sobie wyjaśniliśmy – przypomniałem jej. – To tak jak z zabijaniem zombi.

– Ale zombi są już martwe i w dodatku chcą ci zjeść mózg. Bachantki natomiast są żywymi ludźmi i jedyne, czego chcą, to trochę pijanego seksu na parkiecie. To istotna różnica. „Make love not war” i tak dalej, nie?

Powtarzając słowo w słowo wyjaśnienia Maliny, przedstawiłem jej wszystkie złożone konsekwencje jednej nocy bachanaliów na tak zwanym naszym terytorium. Poza tym wytłumaczyłem jej także, że druidzi wierzą w nieśmiertelność duszy, toteż zabicie ciał bachantek de facto tylko uwolni ich dusze z Bachusowej niewoli. Nawet połączenie tych dwóch argumentów w pełni jej nie uspokoiło, ale w końcu się poddała i pozwoliła, by moje rozwiązanie weszło w życie.

Po tej rozsądnej rozmowie nagle Laksha wyskoczyła z zupełnie nierozsądnym żądaniem wynagrodzenia.

– Ponieważ wykonuję dla ciebie usługę, której nie byłbyś w stanie sam wykonać, w zamian żądam podobnej – oświadczyła.

– Czy jest to usługa, którą potem mi wskażesz, czy też masz coś konkretnego na myśli?  
– O, tak, mam na myśli coś bardzo konkretnego. – Uśmiechnęła się, trąc palcami po brzegu szklanki. – Chcę, żebyś zdobył dla mnie jabłka Idunn.

Roześmiałem się.

– Nie, no, ale poważnie, czego chcesz?

– Mówię zupełnie poważnie. Tego właśnie chcę.

Uśmiech zsunął się z mojej twarzy i spadł smętnie w moje burro.

– Jak niby ma to być podobna usługa? Mówimy tu o zupełnie innej skali.

– Nie wydaje mi się. Tuzin rozszalałych bachantek zostanie uciszony na zawsze w zamian za kilka jabłek. Przecież nie żądam wiele.

– Owszem żądasz, jeśli mówimy o jabłkach, które są w Asgardzie!

– W Asgardzie? – jęknęła Granuaile. – Wiesz, jak możemy się dostać do cholernego Asgardu?

– Tak, druidzi są w stanie przemieszczać się z krainy do krainy. To dlatego ona mnie potrzebuje... hola! Granuaile, w tym planie nie ma żadnego „my”, jasne? – Odwróciłem się z powrotem do ubawionej tą wymianą zdań indyjskiej wiedźmy. – Laksho, to sprawa między mną a tobą. Moja uczennica nie ma nic wspólnego z naszą umową i w żadnym razie nie odpowiada za jakiegokolwiek moje długi wobec ciebie, czy to jest jasne?

Laksha pokiwała leniwie głową.

– Jasne jak indyjskie słońce.

– To dobrze. Jak już mówiłem, te usługi bynajmniej nie są tej samej wartości, ani tym bardziej ryzyko z nimi związane nie jest nawet podobne. Ty możesz pozabijać te bachantki ot, tak i prawdopodobnie nie będzie ci za to groził żaden odwet ze strony Bachusa, gdy tymczasem ja nie mogę ukraść złotych jabłek Idunn bez poważnego ryzyka odwetu ze strony literalnie każdego członka nordyckiego panteonu. Będzie mnie chciała za to dorwać nie tylko Idunn – tłumaczyłem jej cierpliwie, wyliczając kolejnych bogów na palcach – ale i Freja, i Odyn z tymi

jego cholernymi krukami, i wreszcie pan Wysoki Blondyn z Piorunami we własnej osobie.

Laksha uśmiechnęła się porozumiewawczo i pochyliła do przodu.

– Wiesz, jak Baba Jaga przeżywa Thora?

Także pochyliłem się w jej stronę.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie w tym rzecz.

Na co Granuaile też pochyliła się do przodu.

– Znasz Babę Jagę?

– Przeżywa go „przypakowanym kozojebcą”! – Laksha uderzyła dłonią w stół, odchyliła się na krześle i roześmiała serdecznie, a my patrzyliśmy na nią lekko zbici z pantafelku.

Może innym razem też bym się z tego uśmieł – szczególnie że zdarzało mi się wyzywać do walki wielu Szkotów na mniej więcej podobne obelgi – ale nie teraz, kiedy właśnie próbowałem się obronić przed dopisaniem zadania „Wpaść do Asgardu po jabłka” do mojej listy uczynnego misiaczka. Wyglądało na to, że Granuaile też jakoś nie może się skupić na komizmie sytuacji. Chyba nadal nie mogła przetrwać jeszcze informacji, że Baba Jaga to prawdziwa, istniejąca osoba, w dodatku zaznajomiona z intymnym życiem Thora.

Starsza pani zajądająca coś przy stoliku obok już od dłuższego czasu czekała tylko na jakąś okazję, by móc pogapić się na tę egzotyczną dziewczynę z rubinami na szyi, a teraz Laksha dostarczyła jej świetnej wymówki, śmiejąc się nieco za głośno. Zauważyła spojrzenie starszej pani, zamachała do niej wdzięcznie dłonią i wyjaśniła:

– Właśnie mówiliśmy o jebaniu kóz, sama pani rozumie.

Oczy starszej pani wybałuszyły się ze zdziwienia, jak i zresztą wszystkich przy jej stoliku, ale zamiast zganić Lakshę za wulgarne słowa, wszyscy pośpiesznie zaatakowali enchiladas swoimi protezami dentystycznymi, a oczy wbili z uwagą w talerze pełne topniejącego sera i czerwonego sosu.

– Skąd u ciebie taka niecierpliwość, O'Sullivan? – spytała drwiąco Laksha, zwracając się z powrotem ku mnie. – Byłam przekonana, że ktoś tak mądry i doświadczony docenia miłą pogawędkę na kilka tematów naraz.

– W tego rodzaju rozmowach jak ta wołałbym się jednak trzymać głównego tematu, jeśli nie masz nic przeciwko.

Laksha zabębniła palcami o blat, po czym skrzywiła się rozczarowana.

– Niech i tak będzie. Jeszcze dziś w nocy wyekspeduję twoje bachantki na tamten świat, jeśli dasz mi słowo, że zdobędziesz dla mnie złote jabłka przed Nowym Rokiem. Jeśli nie zgodzimy się co do takiego planu, podziękuję ci bardzo za posiłek i podróż, a potem wrócę do męża, który z pewnością zamartwia się już o swoją drogą Selai.

– Po co ci te złote jabłka właściwie?

Zamiast wzruszyć ramionami, Laksha ograniczyła się do uniesienia brwi i lekkiego przechylenia głowy.

– Podoba mi się to ciało. Nie chcę, żeby mi się zestarzało. Nie chce mi się ciągle zmieniać powłoki co kiladziesiąt lat.

Umilkliśmy na chwilę, gdy mężczyzna w białej koszuli napełniał nam szklaneczki wodą.

– Są inne sposoby na przedłużenie sobie życia – powiedziałem cicho, gdy zniknął.

– A, tak. – Czarownica pokiwała głową. – Słyszałam o tych całych witaminach. Może i przedłużają życie, ale nie zatrzymują procesu starzenia.

– Nie żartuj sobie. Mówię o prawdziwie cudownych sposobach.

Laksha uniosła brew.

– Na przykład?

– Piwo Goibhniu – powiedziałem. – Warzy je dla Tuatha Dé Danann. Jest to trunek

dający nieśmiertelność.

– Ach tak, to jeden z twoich bogów. Sądziś więc, że łatwiej je będzie zdobyć?

– Należy mi się jakaś nagroda za zabicie Aenghusa Óga. – Pokiwałem głową, myśląc jednocześnie, że już naprawdę najwyższy czas, by Brighid wypełniła daną mi obietnicę.

– Moje gratulacje, ale to nie byłby akceptowalny zamiennik. Piwo Goibhniu z pewnością trzeba pić w miarę regularnie, a to by oznaczało, że moja vitalność zależałaby od jednego z twoich bogów. Na coś takiego nie mogę się zgodzić.

Z tego komentarza wywnioskowałem, że nie będzie też zainteresowana moją herbatką „Młodości Czar”. I dobrze, bo i tak nie zamierzałem jej dla niej parzyć.

– Jabłka to zupełnie co innego – ciągnęła Laksha. – Jak już będę je miała, mogę sobie spokojnie wyhodować własne drzewko z pestek.

Zupełnie mnie zatkało.

– Myślisz, że byłabyś w stanie wyhodować drzewo z Asgardu tutaj, w Midgardzie? No, coś ty! To niemożliwe. Mówimy tu o zupełnie innych warunkach glebowych.

– Gówno prawda, jak mawiacie wy, Amerykanie.

– On jest Irlandczykiem – zwróciła jej uwagę Granuaile.

– Irlandczycy też mają zwyczaj mówić gówno prawdę – odparła Laksha. – A zresztą on teraz i tak udaje Amerykanina. – Wycelowała we mnie palec i rzekła: – Nawet nie próbuj na mnie tych swoich druidzkich gierek słownych. Ontologiczna natura mitycznego drzewa nie zawiera szczegółów dotyczących składu chemicznego gleby. To jest magiczne drzewo, a zatem będzie sobie pięknie rosło za sprawą magii bez względu na to, na jakiej glebie się je zasadzi.

Sprytna wiedźma.

– Może i będzie rosło za sprawą magii w każdym zakątku każdego świata, ale najprawdopodobniej tylko i jedynie na życzenie Idunn.

– Nie jest to zupełnie wykluczone. – Laksha wzruszyła ramionami. – Ale tego nigdy się nie dowiem, póki nie spróbuję.

Pokusa, by po prostu wstać i wyjść, była przemożna. To przecież nawet nie była moja walka. Była to walka Maliny. I nawet jeśli jej sabat nie zdoła zlikwidować tych bachantek, to przecież zawsze Leif może je rozszarpać czy coś, albo Magnusson może je poszczuć swoimi chłopakami, kiedy już spieprzą mu dość klienteli. Nie po to przeżyłem dwa tysiące sto lat, żeby teraz nagle zgłaszać się na ochotnika do każdej magicznej bójki w okolicy. Poza tym miałem przecież uczennicę, którą powinienem chronić i uczyć. Granuaile i ja możemy uciec stąd dokądkolwiek, zmienić tożsamość, założyć nowy sklep i zostawić za sobą te całe sabaty i inne kreatury, żeby się sobie rzucały na siebie do woli w walce o te ciepłe posadki konsultantów i mieszkania w szklanych wieżowcach. I niemal tak właśnie zrobiłem. Moja noga drgnęła, a ramiona się napięły.

Ale.

Wokół Tony Cabin ziemia wciąż była martwa. Ktoś musi ją przecież uzdrowić. Toteż to jednak była moja walka – i to niezwykle ważna. Nikt nie był w stanie wygrać jej za mnie. Ziemia wyleczyłaby się sama pewnie w ciągu jednego tysiąclecia, ale gdybym zdołał ją wyleczyć, oznaczałoby to wymazanie z tego świata wszelkich śladów pracy Aenghusa Óga. Przecież nie mogłem pozwolić, by leżała tam obumarła, skoro pośrednio to ja byłem odpowiedzialny za to, co się stało. Samo istnienie tego pustkowiecia męczyło mnie, nie dawało mi spokoju, czułem je przez tatuaże wiążące mnie z ziemią. Było jak rana z martwicą na dłoni, która niby nie zaburza funkcjonowania kończyny, ale powoli zatruwa ją, niszcząc zdrowie i harmonię niezbędną duszy. Wyleczenie tej ziemi zajmie mi lata, a to oznaczało, że muszę pozostać w mieście, żeby bronić przysłowiowego zamku.

Oznaczało to także, że muszę być grzecznym chłopcem i ładnie się bawić we wspólnej piaskownicy, a jeśli Malina potrzebuje pomocy, nie odwracać się od niej plecami, bo ona przynajmniej wykazywała wobec mnie pokojowe zamiary, gdy tymczasem *die Töchter des dritten Hauses* dość jasno dały do zrozumienia, że ich nie mają.

Należało też wziąć pod uwagę, że nie jest zupełnie wykluczone, iż ktoś mnie obserwuje i być może już nie będzie tak łatwo po prostu zniknąć jak dotąd. Ojciec Gregory i rabbi Yosef z pewnością albo sami mieli mnie od dłuższego czasu na oku, albo pozostawali w bliskich stosunkach z kimś, kto miał. Czy mi się to podobało czy nie, przez zabicie Aenghusa Óga stałem się troszkę sławny, a jeśli kolejne stworzenia zamierzały sprawdzać, czy moja sława dorównuje ich skuteczności w walce, to wołałem jednak bronić się tu, gdzie od lat obwarowywałem się przecież odpowiednimi zabezpieczeniami.

Ale czemu Fortuna wyraźnie chciała mnie popchnąć do walki z Thorem? Kradzież złotych jabłek poderwie go na równe nogi tak samo skutecznie jak posadzenie go na jeżozwierza.

– Czy ty przypadkiem rozmawiałaś może ostatnio z moim prawnikiem, Leifem Helgarsonem? – spytałem Lakshę. – Kojarzysz go, nie? Taki blady, stary drań z jasnymi włosami i w angielskim gajerku?

– Nie. – Pokręciła głową, marszcząc brwi. – Wydawało mi się, że twój prawnik to ten wilkołak, którego uratowaliśmy wtedy w górach.

– To prawda, ale mam dwóch prawników. Obaj nienawidzą Thora. Czy to któryś z nich cię do tego namówił?

– Kogo tylko spytasz, nienawidzi Thora. – Laksha się uśmiechnęła. – Ale nie, twoi prawnicy nawet ze mną o tym nie rozmawiali.

– Czy w ten sposób próbujesz zmusić mnie do walki z Thorem? Mam wrażenie, że wszyscy chcą sobie zorganizować jakiś *Thunderdome* z moim udziałem i jeszcze dostać miejsca w pierwszym rządzie.

– Nie, w ten sposób próbuję jedynie zachować obecne tu ciało, żeby uniknąć pogłębiania swojego karmicznego długu.

Westchnąłem, żeby rozluźnić jakoś napięte mięśnie, i przetarłem oczy kłykciami.

– No dobra. Przeanalizujmy to raz jeszcze. Jeżeli twoim celem jest wyhodowanie sobie superanckiego owocu wiecznej młodości, to tak naprawdę nie potrzebujesz przecież wszystkich jabłek Idunn, prawda? Wystarczy ci jedno, z którego wyciągniesz sobie pestki.

– Nie. – Laksha znów pokręciła głową i popukała w stół dla podkreślenia swych słów. – Chcę mieć je wszystkie na wypadek, gdyby mi się trafił jakiś bubel.

– A ja chcę mieć choć szansę na przeżycie tego szaleństwa, jeśli w ogóle mam brać twoje żądanie poważnie. Jeżeli ukradnę tylko jedno jabłko, być może uda mi się umknąć niezauważenie, bo według mitów Idunn trzyma te jabłka w koszyku, który zawsze jest pełen. Ale jeśli ukradnę je wszystkie, każdy nordycki bóg będzie chciał mnie dorwać. I to nie tylko mnie, ale i ciebie. Bądźże rozsądna. Jedno jabłko ci wystarczy.

– Skąd będę miała pewność, że jabłko, które mi dajesz, to jabłko Idunn?

– Bo po pierwsze, będzie złote, a po drugie, jak już je ugryziesz, to poczujesz się zupełnie odlatowo. Jeśli wierzyć przekazom.

Laksha się roześmiała.

– No, dobrze. Zresztą jak dotąd udowodniłeś, że można polegać na twoim słowie. Dwanaście martwych bachantek dziś w nocy w zamian za złote jabłko Idunn przed Nowym Rokiem.

Dobiliśmy targu, co ostatecznie dobiło Granuaile. Uścisnęliśmy sobie dłonie, a ona pokręciła głową.



– Kiedy pracowałam w barze, miałam okazję wysłuchiwać różnych bardzo dziwnych rozmów – stwierdziła. – Ale tak pojebanej wymiany zdań to jeszcze w życiu nie słyszałam.

## Rozdział 12

Ludzie, którzy nie mieszkają w Scottsdale, mają zwyczaj drwić sobie z tego miejsca i przezywać je Snotsdale, sugerując, że jego mieszkańcy zadzierają nosa, czyli są „snotty”. Ludzie, którzy mieszkają w Scottsdale, mają zwyczaj twierdzić, że wszyscy inni po prostu im zazdroszczą. I jedni, i drudzy mają trochę racji.

Scottsdale ma większy odsetek operacji plastycznych niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie z wyjątkiem Beverly Hills. Niektóre dzieciaki dostają kasę na operację jako prezent na koniec szkoły. Szerokie ulice wysadzone willami konkurują między sobą, zawzięcie walcząc o artykuły w miesięcznikach dla architektów i designerów, a kształtne luksusowe samochody w garażach podwyższają testosteron panom w średnim wieku, biorącym raz dziennie magiczną niebieską pigułkę, by zadowolić swe kształtne, luksusowe dziewczyny. To miasto to właściwie jeden wielki kurort, w którym lwia część nieruchomości zajmują pola golfowe i próżność.

Spora grupa młodej i pięknej populacji Scottsdale regularnie tłoczyła się w Satyrnie, jednym z najgorętszych klubów w mieście. Odziana w najdroższe ciuchy, wypachniona czymś francuskim, wyszorowana, wyfiokowana, natapirowana, push-upnięta i przyozdobiona odpowiednią ilością świecidełek młodzież ta pochodziła z najbogatszych domów, przyzwyczajona była do drogich szaleństw i zawsze żadna ich więcej – innymi słowy, stanowiła idealną ofiarę dla bachantek.

Wysławszy Granuaile do domu, wzięliśmy z Lakshą taksówkę do Targetu, gdzie nabyłem dwa drewniane kije baseballowe. Kasjerka skuliła się nieco, gdy mi je podawała, unikając kontaktu wzrokowego i popatrując na mnie tylko z ukosa. Z pewnością poważnie wątpiła w moją stabilność emocjonalną, jako że miałem na plecach miecz i w środku nocy kupowałem akcesoria sportowe. Ochrona z pewnym opóźnieniem zorientowała się, że paraduję po ich sklepie z bronią, więc gdy kasjerka drżącą dłonią podawała mi rachunek, pojawili się za mną duzi panowie i eskortowali mnie do wyjścia. Uśmiechnąłem się do nich miło i podziękowałem za troskę, licząc na to, że dzięki takiemu mojemu zachowaniu nie zawołają policji i nie skomplikują mi reszty nocy.

Taksówkarz musiał widać uznać, że jesteśmy jakąś podejrzaną parą, bo nie przestawał zadawać nam tysiąca pytań. Powiedzieliśmy mu, że jesteśmy ekspertami sztuk walki i przyjechaliśmy do miasta na zjazd, a on to na szczęście kupił. Zapewnił nas, że zamierzał zostać ninja, ale życie potoczyło się inaczej, niż to sobie zaplanował. Poprosiliśmy go, żeby wysadził nas na odległym krańcu parkingu, jak najdalej wejścia odgradzonego aksamitną linią. W drzwiach nie było żadnego ochroniarza. Zły znak. Jakiś mix techno dance pulsował w nocnym powietrzu, obiecując granatowe światła i wirujące ciała.

– Wie pan, że w życiu pana nie wpuszczą do środka z tymi gratami, nie? – zatroszczył się kierowca, kiedy już mu zapłaciłem.

– Podejrzewam, że teraz już każdego tam wpuszczą – odpowiedziałem. – Dzięki za podwiezienie. Miłego wieczoru.

Gdy odjechał, a ja zakaszlałem kilka razy z wyczerpania, Laksha uniosła rękę w stronę wejścia i spytała:

– To jak? Wchodzimy, żeby się rozeznać w sytuacji?

– Nie musisz najpierw wyśpiewać jakiegoś zaklęcia, zabić kota albo coś?

– Nie. – Uśmiechnęła się do mnie z politowaniem i ruszyła w stronę klubu.

Podreptałem za nią, przemawiając do jej pleców.

– No, nie gadaj. Może chociaż jakieś koło trzeba wyrysować na ziemi? Albo pentagram?

Albo może świece postawić, nie? – Niby wiedziałem, że czuje się pewnie i nie obawia się magii bachantek, ale nie miałem tak naprawdę pojęcia, jak w zasadzie się chroni. Czy to możliwe, że jej naszyjnik z rubinów ma wszystkie moce ochronne mojego amuletu i jeszcze coś na dodatek? Byłem pewien, że przynajmniej będzie musiała przygotować sobie jakieś zaklęcie. Bo jeśli o mnie chodzi, to miałem tylko mój amulet i twarde postanowienie, że będę myślał li tylko o baseballu; jeśli to zawiedzie, nie umknę szalowi bachantek.

– Nie – mruknęła mi tylko przez ramię.

– Poczekaj chwileczkę! – zawołałem, gdy już dochodziliśmy do drzwi. – Naprawdę nie jestem pewien, czy powinienem tam wchodzić. Obawiam się, że mogę nie być odporny na ich magię.

Laksha odwróciła się i obrzuciła mnie zaciekawionym spojrzeniem.

– Nie jesteś w stanie kontrolować własnego ciała?

– Jestem, oczywiście. Do pewnego stopnia. Czy to cała twoja ochrona przeciw nim?

Kontrola nad ciałem?

– Właśnie tak. Mam całkowitą kontrolę nad układem nerwowym tego ciała. W pewnym sensie znajduję się poza nim. Kiedy pojawią się bodźce, te tam hormony czy feromony, o których gdzieś nawet czytałam, zabronię ciału na nie reagować. Nie pozwolę mu odczuwać podniecenia, jeśli nie będę miała na nie ochoty.

– To wszystko? To na tym polega magia bachantek? Feromony? – Już wcześniej to podejrzewałem, ale zawsze myślałem, że jest w tym coś jeszcze.

– Tak, moim zdaniem tak właśnie działają bachantki. Używają magii, by dotrzeć do układu limbicznego mózgu kilku osób znajdujących się najbliżej nich, a wtedy ciała tych osób dążą do... jak to się mówi?... dzielenia się miłością?... z osobami tuż obok i tak szaleństwo się rozszerza, aż w końcu wszyscy w okolicy stają się niewolnikami swoich seksualnych pragnień. Dodatkowo alkohol osłabia opór, zmniejsza zahamowania, przyspiesza cały proces. Potem bachantki żerują już na feromonach i energii całej grupy, spijają ją i stają się nieludzko silne.

– Coś w tym jest. – Pokiwałem głową. – Zupełnie inny mechanizm działania niż u sukubów. Ale to oznacza, że nie jestem w stanie się przed nimi bronić. Nie znajduję się poza własnym układem nerwowym, tak jak ty.

Laksha nadęła się poirytowana.

– Dobrze. Ale chociaż wejdź tam ze mną się rozejrzeć. Obiecuję, że wyprowadzę cię natychmiast, jak się zaczniesz dotykać.

– Co? Nie, no weź nie pozwól, żeby do czegoś takiego doszło, dobrze? To nie w porządku.

Na ustach Lakshy zaigrał uśmiech, ale zniknął natychmiast, gdy znów skupiła się na biznesie.

– Zostaw te kije przy drzwiach. Od razu rozpoznają je jako zagrożenie.

– A nie mój miecz?

– Nie, przecież nie przedstawia dla nich żadnego niebezpieczeństwa. Za wszelką cenę nie należy wytrącać ich z ekstazy. Bo wtedy natychmiast zmieni się ona we wściekłość.

Posłuchawszy jej rady, z pewnymi oporami wszedłem za nią do klubu i zanurzyłem się natychmiast w dudniące w czaszce rytmy techno oraz kolorowe światła stroboskopu migającego gdzieś wysoko nad parkietem, który znajdował się po naszej lewej. Na prawo był bar, na szynach wisiały kieliszki do martini, a mocniejsze trunki stały przed lustrem. Było też kilka różnych piw z beczki, ale nie tak znowu wiele, bo ten rodzaj klienteli nie zniżał się raczej do poziomu piwa, a bar zbijał tu kasę na znacznie bardziej szalowych drinkach. Podłoga w części barowej pokryta była miękką wykładziną udającą biały marmur o cienkich wstęgach kobaltowego błękitu. Wokół

baru stało kilka wysokich białych stolików bez krzeseł, zresztą w ogóle nie widać było ani jednego nawet barowego stolka czy zacisznej kanapy. Satyrn wyraźnie zakładał, że klienci nie będą chcieli w ogóle usiąść, i miał rację. Trzy szklane żyrandole żarzyły się elektrycznym światłem wysoko nad barem, rzucając na ten zakątek klubu miękką poświatę. Od części do tańczenia oddzielało go pięć wielkich, białych kolumn, a sam parkiet tonął w ciemności, jeśli nie liczyć stroboskopowych mignięć. Cała ta długa, wąska przestrzeń klubu wypełniona była wijącymi się ciałami w najróżniejszych stadiach nagości i zapamiętania. Nawet za barem barmani i barmanki, zamiast się zająć wstrząsaniem drinków dla klientów, trzęśli zgoła czym innym. Mimo to jednak część barowa była nieco spokojniejsza od parkietu, gdzie większość ubrań została już zrzucona, a wszyscy zajęli się robieniem dzieci.

Kiedy poczułem pierwsze objawy pożądania, przypomniałem sobie, że Diamondbacks naprawdę muszą zacząć lepiej kraść bazy, i to nie tylko w leadoffie, ale mówię tu też o drugiej bazie, bo jeśli nie nauczą się wreszcie wytrącać miotaczy z równowagi i nie poprawią swoich obiegów, mogą się stać zbyt łatwą ofiarą. Nie mogą przecież polegać jedynie na swoich wielkich pałkarzach i liczyć na to, że wystarczy, jak będą zdobywać punkty na pałce. Muszą naprawdę wziąć się za siebie i potrenować tęgo, choćby się mieli przy tym zasapać na amen. A skoro już mowa o sapaniu... Nie! Muszą przecież znaleźć kilku potężniejszych koleśki, którzy byliby w stanie miotać po dwie czy trzy zabójcze piłki w każdej grze. Nie może być przecież tak, że jak tylko ich pałkarz ma zły dzień, to od razu muszą oddać mecz.

– Brak miejsca do siedzenia jest mi bardzo nie na rękę – gderała tymczasem Laksha. – Muszę przecież się upewnić, że moje ciało jest w bezpiecznej pozycji.

– Co takiego? Dlaczego?

– Czy ty w ogóle nie rozumiesz, co ja tu zamierzam zrobić?

– Nie, właściwie to nie. Wypchnąć im jakoś dusze z ciał?

– Nie, to robię jedynie wtedy, jeśli chcę przejąć ciało na własny użytek. A ty przecież chciałaś tylko, żebym je pozabijała. Dlatego muszę powchodzić do ich mózgow i odciąć podwzgórze, które odpowiada za bicie serca. I tak u każdej po kolei. W ten sposób ich dusze opuszczają ciała w sposób naturalny, w wyniku zwykłej śmierci. Zajmie mi to mniej niż minutkę.

Zmarszczyłem brwi.

– A co się będzie działo z twoim ciałem w tym czasie?

– Ciało pozostaje w stanie wegetatywnym, póki nie wrócę. Co oznacza, że jest narażone na wszelkie niebezpieczeństwa, i dlatego właśnie powinnam usiąść.

Jakiś dupek wymoczony w Drakkar Noir podszedł nagle do Lakshy z tyłu, wsunął jej rękę pod pachy i złapał za piersi. W okamgnieniu nadepnęła mu z całych sił na stopę, skoczyła do przodu i zwinęła się na prawo, wbijając mu łokieć w skroń. Osunął się jak worek mąki kukurydzianej. Wykrzywiła się z obrzydzeniem i oświadczyła:

– Musimy się pospieszyć. Tu się już zaczęło robić dość absurdalnie.

– Gdzie są bachantki? – spytałem.

– Jedna jest tam, na samej krawędzi parkietu.

Wskazywała na kobietę odzianą w coś, co jak dla mnie wyglądało jak śmiertelnie biała koszulka nocna, i ocierającą swój zadek o biodra jakiegoś młodego mężczyzny za nią. Twarz wykrzywioną miała w pijackim uśmiechu i w słabym świetle klubu wydawało mi się, że jej zęby są koszmarnie ostre. Aury wszystkich dosłownie jarzyły się na czerwono od pożądania.

Straciłem ją nagle z oczu, gdy wyuzdana, smagła dziewczyna przyłgnęła do mnie, całując mnie w usta. Jej prawa noga owinęła się wokół mojej lewej łydki, a język wślizgnął się między moje zęby. Z całych sił starałem się myśleć o wiadomym sporcie drużynowym, ale ona smakowała czereśniami i czymś jeszcze...

Oderwano ją ode mnie, aż jęknęła głucho, a moja głowa poleciała boleśnie w bok, gdy Laksha trzasnęła mnie po głbie. A, racja, baseball. Dobrze byłoby pomyśleć o jakimś home runie. Gdzie się podziała ta dziewczyna?

– Wynoś się stąd. Już się zupełnie do niczego nie nadajesz – orzekła Laksha, pchając mnie w stronę wyjścia. Nie minęła chwila, a już byliśmy na świeżym powietrzu, bo tak naprawdę nie weszliśmy daleko w głąb klubu, ale kiedy próbowałem ją powstrzymać, powiedziała tylko: – Nie, idź przed siebie. Jeśli zostaniesz choć chwilę, będzie cię kusilo, żeby wrócić do środka.

– A co z moimi kijami?

– Weź je, ale szybko.

Chwyciłem więc kije, a Laksha eskortowała mnie aż na sam kraniec parkingu i oświadczyła, że tam będę bezpieczny, więc mam się nie ruszać, póki ona nie skończy. I tak mnie zostawiła. Stałem niepewnie, trzymałem dwa kije baseballowe, miecz wciąż wisiał mi na plecach i gapilem się tępo na wejście do klubu. Nie miałem świadomości, jak szaleńczo musiałem wyglądać z okien przejeżdżających samochodów, póki nie zatrzymał się przy mnie radiowóz, migając światłami, żeby omijały go inne samochody.

– Dobry wieczór! – zawołał policjant.

Kiwnąłem mu głową i wróciłem wzrokiem do wejścia do klubu, przeklinając w duchu własną głupotę. Zajście w Targecie powinno było już przywołać mnie do porządku, ale byłem tak skupiony na zadaniu „bachantki”, że jakoś cały czas zapomniałem o tym, że powinienem je wykonać nie tylko skutecznie, ale i dyskretnie. Noszenie przy sobie miecza jest dla człowieka epoki żelaza czymś zupełnie odruchowym, ale w oczach współczesnych świadczy o natychmiastowej potrzebie terapii.

– Co pan tu robi? – spytał policjant.

Usłyszałem głośnie huknięcie zamykanych drzwiczek radiowozu. Naprawdę nie miałem teraz na to ani czasu, ani cierpliwości. Jeśli ci kolesie zamierzają mi się tu kręcić, mogą tylko zwiększyć nasz problem, a do tego poważnie utrudnić mi działanie, jeśli tenże problem jednak wypłynie z klubu na ulicę.

– Tylko czekam na kolegę – mruknąłem.

– Z mieczem i dwoma kijami baseballowymi? Jest pan pewien, że to aby kolega?

Zły, że muszę zużyć trochę mocy z moich zapasów, rzuciłem cicho kamuflaż na

Fragaracha i spytałem głośno:

– Jakim mieczem?

– Z tym, który... hej, co pan zrobił z mieczem?

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie władzo. Nie mam żadnego miecza. – Usłyszałem kolejne huknięcie drzwiczek. To drugi policjant wysiadł z samochodu, żeby pomóc koledze, i z pewnością zamierzał zająć mnie z lewej.

– Dobra, słuchaj pan, rzuć pan te kije na ziemię i pokaż mi jakiś dowód tożsamości.

Rzuciłem kamuflaż na kije i spytałem:

– Jakie kije?

Oczywiście nadal je trzymałem, ale wyglądało to w zasadzie tak, jakbym stał sobie z pięściami na bokach. Powinienem był tak od razu zrobić, a ci goście w ogóle nie zostaliby do mnie wezwani. Ale wiedziałem dobrze, że teraz już mnie nie zostawią w spokoju. Facet ze znikającą bronią był zbyt intrygującym zjawiskiem, a poza tym zrobiłem z nich przecież głupków. Na pewno będą się chcieli jakoś mi za to odwdziżyć.

– Proszę pokazać mi dowód tożsamości – zażądał znów policjant.

Stanowczo był jak dla mnie za bardzo stanowczy. No poważnie, przecież staram się tu walczyć po tej dobrej stronie, tak? Bywały w moim życiu takie chwile, gdy pewnie należało mi

się lekkie podręczenie ze strony stróżów prawa, ale nie tym razem.

Rzuciłem kamuflaż na samego siebie i spytałem:

– Do kogo pan mówi? – po czym bezgłośnie przeszedłem kilka kroków dalej.

Wpadli w kompletną panikę. Natychmiast złapali za pistolety i zaczęli się nawzajem pytać, gdzie ja się mogłem podziąć. Mój kamuflaż nie jest zupełnie niewidoczny, ale w nocy wystarczy. Przeszedłem w prawo jakieś dziesięć metrów, gdy oni tymczasem rozglądali się wokół i zaczęli mnie wołać. Kierowca zasugerował, że może trzeba wezwać posiłki.

– Posiłki w jakiej sprawie, Frank? – mruknął oficer. – Nic tu nie mamy.

– Może wbiegł do klubu? – zastanawiał się Frank.

– Myślisz, że powinniśmy tam zajrzeć? – Widziałem już, dokąd zmierza ta wymiana zdań, i bynajmniej mi się to nie podobało. Wpakuj dwa pistolety w sam środek bachanaliów, a masz jak w banku, że zostaną użyte.

– No – zgodził się Frank. – Chodźmy. Facet wyglądał na naprawdę niebezpiecznego.

Ja wyglądam na niebezpiecznego? Coś niebezpiecznego, to i owszem, znajdowało się właśnie w klubie, ale z pewnością nie byłem to ja. Musiałem coś zrobić i to szybko, więc zdecydowałem się na wyjście slapstickowe. Policjanci podeszli bliżej siebie i ramię w ramię ruszyli w stronę klubu pełnego napalonych bachantek i ich ofiar. Druidzka zdolność widzenia połączeń między wszystkimi naturalnymi rzeczami i splatania ich z sobą prowokuje czasem do podłych żartów, i choć zwykle robię je tylko dla śmiechu, tym razem miałem nadzieję, że w ten sposób uratuję im życie. Wymamrotałem zakłęcie splatające komórki skóry tak, żeby musiały się jak najszybciej do siebie zbliżyć – a dokładniej, mówię tu o komórkach prawej dłoni oficera z komórkami lewego policzka Franka. Następnie zerwałem splot, gdy tylko komórki zbliżyły się do siebie, czyli wtedy, gdy oficer trzasnął Franka po gębie w pięknym stylu.

Frank zareagował tak, jak należało się tego spodziewać po Amerykaninie spoliczkowanym ni z tego, ni z owego przez kolegę z pracy.

– Auć! Eric, ty dupku, co ci odpierdoliło?

Czyli teraz już znałem imiona ich obu.

Franka szlag trafił i zamachnął się na Erica, nim ten miał szansę wyjaśnić, że nic mu nie odpierdoliło, tylko że był to zupełnie mimowolny spazm mięśni. I wtedy się zaczęło.

Patrzenie sobie na dwóch gliniarzy walących się po gębach dostarczyło mi jako takiej rozrywki w tej wolnej chwili. Rzadko człowiek bywa tak świetnie zabawiany, gdy na kogoś czeka. Eric miał przewagę w postaci dłuższej ręki, ale Frank był za to znacznie szybszy. Udawało mu się trzepnąć dwa czy nawet trzy policzki na każdy Ericowy i po jakichś trzydziestu sekundach Eric miał już serdecznie dość. Złożył dłoń w pięść i trzasnął nią Franka w nos. Frank zawył i zatoczył się do tyłu, unosząc rękę do twarzy. Gdy ją od niej odjął, była cała we krwi.

– O, cholera! Przepraszam, Frank – wybąkał Eric, unosząc rękę.

– Mam gdzieś twoje przepraszam – ryknął Frank i rzucił się na kolegę, usiłując go staranować na modłę baseballową.

Eric jakimś cudem wywinął mu się i upadał tak, że runął na ziemię ramieniem, a nie głową, do przodu. Poturlali się trochę, to w tę, to we w tę, i przez chwilę żaden z nich nie zdobywał przewagi, ale w końcu na górze wylądował Frank, którego wściekłość była tak potężna, że był nawet w stanie przejąć kontrolę nad większym od siebie przeciwnikiem. Zadał Ericowi kilka porządnych ciosów prosto w twarz, więc teraz krwawili już obydwaj. Eric trzepnął Franka w uszy i zepchnął go z siebie, ale już go nie gonił. Obaj zmagali się właśnie z bólem znacznie większym niż ten, do którego byli przyzwyczajeni, zdecydowali się więc poleżeć w spokoju i skupić na krwawieniu obficie, obrzucaniu się rozmaitymi epitetami natury anatomicznej i oskarżaniu matki przeciwnika o przygody erotyczne ze zwierzętami

hodowlanymi. Ech, ale się ubawiłem.

Laksha wciąż jeszcze nie wróciła i nikt nie wyszedł z klubu przez cały ten czas. Muzyka dudniła przez ściany i przyszło mi do głowy, że może jednak powinienem zacząć się martwić.

Policjanci podnieśli się powoli z ziemi i natychmiast postanowili zgodnie a podstępnie zrzucić wszystkie swoje obrażenia na mnie. Według ich historyjki napadłem na nich z moimi kijami baseballowymi, połamane im obu nosy i uciekłem. W ten sposób oni dostaną odznaczenia za walkę, a ja list gończy za napad na policjanta. No świetnie.

Gdy wrócili do radiowozu, by przekazać swój stek kłamstw do komisariatu, usłyszałem jakby cichy krzyk z otchłani klubu – dźwięk znacznie wyższy niż pulsujące techno. Na świat wyłoniła się Laksha z dziwnym uśmiechem na twarzy, a za nią więcej osób, część z nich jedynie w bieliźnie, a wszyscy w kompletnej panice i popłochu.

Uśmiech Lakshy zbladł, gdy zamiast mnie ujrzała światła radiowozu. Szła jednak dalej naprzód, bo inaczej tłum by ją po prostu stratował. Syknąłem na nią, żeby mnie zauważyła.

– Gdzie ty jesteś? – spytała.

– Użyj innych zmysłów. Jestem zakamuflowany.

Laksha przewróciła oczami i natychmiast mnie namierzyła. Stałem tuż na lewo od niej.

– A, świetnie.

– Co się stało? – Wskazałem na klub.

– Zabiłam dwanaście bachantek, tak jak się umawialiśmy – powiedziała uprzejmie.

– Czy to dlatego ci ludzie tak panikują?

– Po części. Ale głównie dlatego, że w środku są jeszcze trzy inne bachantki i właśnie rozdzierają ludzi na części.

Jako iż jestem Irlandczykiem, mam naprawdę dość bladą skórę, lecz ta informacja sprawiła, że z białej jak śnieg przeszła w trupio bladą. Albo Malina pomyliła się w swoich wróżbach, albo kilka dodatkowych bachantek dołączyło do gry w ostatniej chwili.

– Ale czemu ich nie zabiłaś? – spytałem.

– Ponieważ umówiliśmy się, że zabiję dwanaście.

– W takim razie muszę pamiętać, żeby nie przynieść ci żadnego dodatkowego jabłka.

Gdzie one są?

– Z pewnością zaraz tu za mną wybiegną. Poznasz je po białych szatach poplamionych krwią i tych ich laskach. Mają takie mordercze spojrzenia i kawałki mięsa między zębami. Nie da się ich przeoczyć.

Nie żartowała. Moją uwagę przyciągnął wyjątkowo przesywający krzyk tuż przy wejściu, gdzie drobniutka brunetka w białej koszuli nocnej chwyciła właśnie kobietę znacznie od siebie wyższą za włosy i kawał materiału na plecach. Na moich oczach ta szczupła dziewczyna – nie mogła ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilogramów – uniosła tamtą, zakręciła nią niczym dyskobolka i cisnęła wysoko, a jej biedna ofiara poszybowała pięknym, wrzeszczącym łukiem przez parking, ponad naszymi głowami, by wylądować w końcu wprost na radiowozie Franka i Erica.

Niemal pożałowałem, że nie ma ze mną Granuaile. Gdyby to zobaczyła, chyba przestałyby się ludzić, że bachantki są niewinnymi ofiarami. Laksha się roześmiała, najwyraźniej ubawiona śmiercią tej biednej kobiety. Dotarło wówczas do mnie, że mamy jednak bardzo odmienne poczucie humoru.

Nie mogłem dłużej stać z założonymi rękami. Było już dla mnie jasne, że po pierwsze: Laksha nie zamierza zrobić nic więcej, po drugie: zaraz włączy się do gry policja. Musiałem wyeliminować główne zagrożenie, nim zaczną latać kule, które z pewnością będą się odbijać rykoszetem od magicznych osłon bachantek. Nie istniało już żadne niebezpieczeństwo, że mnie

wciągną w orgię; czas rozrywek minął. Nastąpił czas szaleństwa.

Nie zrzucając z siebie kamuflażu, zaatakowałem tę malutką bachantkę, która właśnie rzuciła się na kolejnego spanikowanego klubowicza. Z knajpy wyłoniła się jej towarzyska, zalana krwią i miotająca wściekle spojrzenia. Chwyciła potężnego mężczyznę i złamała mu rdzeń kręgowy o kolano jednym z tych zapaśniczych manewrów, które po prostu nie są na pokaz. Jego już nie ocale, ale miałem jeszcze szansę uratować kolejnego biedaka, którego upatrzyła sobie ta malutka. Gdy chwyciła go za kołnierz koszuli prosto od Dolce & Gabbana, podbiegłem schylony i zamachnąłem się kijem w lewej ręce, powalając ją na ziemię, tak że upadła mało elegancko na tyłek. Wydała z siebie dźwięk typowy dla kotów, którym się nadeptnie na ogon. Teraz, gdy już byłem tak blisko, zdumiałem się jej młodym wiekiem. Pewnie kiedyś była całkiem ładna i miała na imię Brooke albo Brittney, albo może Stacy. Może była kapitanką drużyny cheerleaderek albo i królową balu absolwentów, a do szkoły zajeżdżała różowym kabrioletem, który kupił jej tatuś. Teraz jednak jej paznokcie przypominały raczej pazury, a zęby spiłowane były w upiorne szpikulce. Z jej ust kapą krew – bynajmniej nie jej własna. Uderzyłem z całych sił prawym kijem w jej głowę, nim miała czas skoczyć na równe nogi. Nawet walnąłem jeszcze raz, by się upewnić, że sprawa jest załatwiona raz na zawsze, żałując szczerze, że nie było innego wyjścia. Niestety człowiek nigdy się nie przyzwyczaja do roztrzaskiwania czaszek. Dopiero wtedy podniosłem wzrok, żeby rozejrzeć się za tamtą drugą.

Pędziła w moją stronę. Nie widziała mnie, ale wiedziała dobrze, że coś zabiło jej siostrę i że to coś jest jeszcze w pobliżu. Ta nigdy nie była ładna. Miała kędzierzawe włosy z tych, co to wyglądają jak jakaś aureola z kudłatej wykładziny. Pełno w nich było teraz krwi i resztek ofiar. Nos miała niczym dziób, brwi zrastały jej się nad oczami jak paskudna, włochata gąsienica, a jej zęby były tak samo zaostrzone jak tamtej mniejszej. Jej ramiona przypominały obwisłe podudzia barana, ale czaiła się w nich nadnaturalna siła. Przekonałem się o tym, gdy zamachnąłem się na nią moim prawym kijem, licząc na to, że trzepnę ją nim w głowę, ale ona jakoś przeczuła ten cios i rozwalila mi kij na pół jednym sprawnym ruchem rodem z *Karate Kid*. Zacisnąłem niepewnie dłoń na połowce kija zakończonej ostrymi drzazgami i myślałem w panice, co mam robić, gdy tymczasem ona już wyciągała po mnie swoją prawą łapę i zamachiwała się lewą. Jeśli dostanie mnie w swe pazury, raczej długo nie pozostanę cały. Przesunąłem dłoń na rączce kija tak, że kciukiem trzymałem go teraz od dołu, i gdy jej paznokcie wbiły się boleśnie w moje lewe ramię, dźgnąłem ją ostrym końcem złamanego kija w szyję i pchnąłem go, aż drzazgi weszły po obojczyk. To ją dotknęło do żywego, zawyla i puściła mnie, żeby zająć się własną szyją. Zrzuciłem kamuflaż z kija, żeby mogła się zorientować, co spowodowało ból. Wyrwała kij, gdy ja wycofałem się nieco i przełożyłem kij z lewej ręki do prawej, ale mimo że tryskała na mnie fontanna krwi, bachantka nie wyglądała, jakby miała zemdleć ani nic. Jedyne, co zrobiła, to osiągnęła kolejny poziom wkurzenia, choć jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że nigdy w życiu nie widziałem kogoś tak rozjuszonego.

Odsunąłem się na prawo jak najciszej i patrzyłem, jak się drze ta wariatka. Bez względu na jej niesamowitą siłę to jednak była śmiertelna rana, więc liczyłem na to, że już długo nie pociągnie, skoro traci takie ilości krwi. Bachantki są słabe w leczeniu się, a ona nie była w stanie przejrzyć mojego kamuflażu, więc wydawało mi się, że wystarczy, bym chwilę odczekał i upewnił się, że już nikogo więcej nie skrzywdzi. Ale ta cholerna potwora wzięła głęboki oddech, żeby wrzasnąć, i nagle mnie wywachała.

Zakrwawiony, połamany kij awansował natychmiast do funkcji kołka i już zbliżał się do mojego serca, bo bachantka zdołała się zwinąć i cisnąć go w moją stronę. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to rzucić się na ziemię, żeby mnie nie trafił, ale nim zdołałem się przeturłać dalej, już była na mnie. Szybko zamachnąłem się drugim kijem na jej szyję, zdejmując z niego kamuflaż,



bo założyłem, że może skupi się wtedy na nim, zamiast na moim gardle. Gdyby tylko dorwała moją głowę, bez trudu mogłaby mi ją oderwać. Chwyliła przynętę, łapiąc za kij z obu jego końców i usiłując mi go wyrwać. Wytrzymałem pierwsze szarpnięcie, ale ledwo ledwo. Jej krew lała się na mnie równym strumieniem i rozpuszczała mój kamuflaż. Pewnie też pozbawiała ją sił, ale nie ulegało wątpliwości, że mimo to jest ode mnie silniejsza o kilka turów. Zebrała się w sobie, by szarpnąć naprawdę potężnie, i uświadomiłem sobie od razu, że muszę to zakończyć, nim uda jej się zebraną siłą wykorzystać przeciwko mnie. Więc gdy szarpnęła po raz drugi, nawet nie próbowałem utrzymać kija, tylko go puściłem, przez co jej ręce poleciały do góry, nad jej głowę, bo nieoczekiwanie nie napotkała żadnego oporu. To zbiło ją z tropu, na co liczyłem, pobrałem więc resztki mocy z niedźwiedziego charmsa i przesłałem je sobie do lewej ręki. Wykonałem pokazowy brzusek i wbiłem jej pięść w brodę, łamiąc sobie pierwszy staw wskazującego i środkowego palca, ale też skręcając jej kark.

Choć rozwiązałem tym samym mój najbardziej palący problem, stworzyłem sobie kilka nowych. Kompletnie wypompowany z wszelkiej magicznej energii nie byłem już w stanie się leczyć ani nawet zablokować bólu. A na dodatek całe zmęczenie porannym rzucaniem Zimnego Ognia wróciło nagle w jednej chwili, gdy kudłata bachantka osunęła się ciężko na moich biodrach. Z Satyrna wciąż wylewały się tłumy spanikowanych klubowiczów, a Frank i Eric pędzili w moją stronę z pistoletami na wierzchu i połamanymi nosami. Jakby tego było mało, byłem już tak wyczerpany, że nie dawałem nawet rady podtrzymać zakłęcia kamuflującego, więc stałem się zupełnie widoczny. To po prostu był zły czas i złe miejsce na tę bitwę i dlatego ją przegrałem.

Ależ się ucieszyli na mój widok. Nie tylko ja byłem widoczny, ale i mój miecz, który wcześniej im zniknął, a na mnie leżała kobieta z wielką, krwawą raną. I nieważne, że miecz znajdował się nadal w pochwie, a ja leżałem na nim. Nieważne, że najbardziej pobieżne badanie sądowe wykazałoby, że to bynajmniej nie jest rana zadana mieczem. W ich wyobraźni właśnie zabiłem mieczem tę biedną niewiastę o mało twarzowej fryzurze.

Toteż zaraz były rączki do góry, odsuń się od tej kobiety, rozstaw nogi, rzuć broń i na moich nadgarstkach zamknęły się kajdanki, gdy tymczasem półnadzy ludzie nadal uciekali w panice – nie przede mną przecież, ale przed czymś, co czaiło się w środku. Gdy już mnie skuli, zaczęło do nich powoli docierać, że jednak chyba nie stanowią bardzo poważnego zagrożenia dla ludności – ludność wyraźnie czuła się zagrożona czymś innym. Wtedy Frank znów wpadł na odkrywczy pomysł, żeby może jednak zajrzeć do klubu.

– Nie rób tego, Frank. Jedna nadal jest w środku.

– Zamknij się pan – mruknął Eric, trącąc mnie w żebra spluwą. Ustaliwszy w ten sposób, kto tu rządzi, spytał: – Że kto niby jest w środku?

– Jedna z tych pań w białych sukieneczkach, z tych, które zabijają ludzi. Jeśli musicie już tam wchodzić, posługujcie się pałkami, ale nie pistoletami.

– Jasne – powiedział sarkastycznym tonem Frank. – Panie w białych sukieneczkach zabijające ludzi. Że niby takie jak ta tu na prawo, co? Na pewno posłuchamy pana rady.

I Frank ruszył w stronę klubu z wyciągniętym przed siebie pistoletem, a Eric skupił się na próbach odebrania mi Fragaracha, który leżał sobie przy moim boku na asfalcie. Ale miecz był ze mną spleciony w taki sposób, że nie dało się go odsunąć od mojego ciała na więcej niż pięć stóp, i w przeciwieństwie do kamuflażu to zakłęcie nie zależało zupełnie od moich poziomów mocy, bo nie wymagało dodatkowego podtrzymywania. Miecz będzie spleciony ze mną, dopóki nie zdejmę zakłęcia, więc w tej walce ze złośliwością rzeczy martwych Eric był na z góry przegranej pozycji. Tak się zdziwił, że miecz go odpycha, iż za pierwszym razem po prostu go upuścił. Znów spróbował i znów upuścił.

- Co jest, do diabła? Pan to robi? – spytał.
- Że co niby robię, panie władzo? Leżę twarzą do nawierzchni parkingu i mam ręce skute na plecach. Jakie macie pociski w tych pistoletach?
- Zamknij się pan. Pełnopłaszczowe.
- Błagam, powiedz mi pan, że są miedziowe.
- Mówiłem już: zamknij się pan. Są stalowe.
- Tego się obawiałem.
- Stul pan dziób.

Eric już chciał znów chwycić za mój miecz, gdy jego uwagę odwróciły strzały w klubie. Dziewięć strzałów. Dziewięć strzałów z policyjnego pistoletu, wymierzonych w bachantkę, zupełnie odporną na żelazo. I wtedy usłyszeliśmy męski głos wrzeszczący straszliwie, głośniejszy nawet niż dudnienie techno.

- Frank! – ryknął Eric.
- Nie idź tam, Ericu. Poczekać na posiłki – powiedziałem.
- Stul pan dziób, do cholery! W środku jest mój partner!
- Już nie. Jego partner już był w kawałkach.
- To przynajmniej pamiętaj, żeby posługiwać się pałą! Pistolet jest tu na nic!
- Po prostu stul pan dziób i się stąd nie ruszaj! Zaraz wracam.

Westchnąłem. Nie wróci. Z budynku nie wybiegało już więcej klubowiczów. Wszyscy wskakiwali właśnie do swoich samochodów i uciekali gdzie pieprz rośnie, trąbiąc zapamiętałe, żeby inni zjechali im z drogi. Wstałem resztkami sił i podreptałem na tył parkingu, licząc na to, że jakimś cudem nie przejedzie mnie audi z turbosprężarką. Fragarach posłusznie sunął jakieś pięć stóp za mną, bo już nawet nie miałem jak go podnieść.

Z klubu dobiegły mnie kolejne strzały, ale Ericowi nie udało się ich wystrzelić aż tyle co jego partnerowi, nim zaczął się jego krzyk, który dość szybko się urwał – na zawsze. Zawłyły syreny pędzące w stronę klubu, tak więc nie miałem wiele czasu, by się ulotnić. Między chodnikiem a parkingiem znajdował się wąski pasek ziemi. Rosły na nim dwa krzaki palo verde i kilka agaw. Gdy tylko tam dotarłem, pobrałem moc, żeby poradzić sobie jakoś z bólem w palcach i zacząć zrastać kości. Potem znów rzuciłem na siebie kamuflaż i podładowałem niedźwiedzi charms. Wtedy dopiero przyszedł czas na kajdany. Koncentrując się na połączeniach molekularnych w dwóch ogniach między kajdanami, osłabiłem je na tyle, że po chwili mogłem już zerwać je jednym szarpnięciem, wdzięczny losowi, że były mimo wszystko wykonane z naturalnej rudy pochodzącej z ziemi. Parking opustoszał już niemal, a syreny stawały się coraz głośniejsze. Lakshy nigdzie nie było widać. Wykonawszy swoją część roboty, pewnie już była w taksówce na lotnisko.

Gdy zarzuciłem sobie w końcu Fragaracha na plecy, ujrzałem, jak z Satyrna wylania się ostatnia bachantka. Jej biała sukienka była niemal zupełnie czerwona od krwi policjantów i kto wie ilu jeszcze ofiar. W prawej ręce trzymała tyrs. Nie miałem właściwie żadnej broni, którą mógłbym jej cokolwiek zrobić, poza schowanym w pochwie mieczem, toteż zapowiadało się na walkę wręcz, przy czym moje wręcz będzie raczej połowiczne, jako że jedną rękę już miałem złamaną.

Okazało się jednak, że jej nie interesowała walka. Szła prosto w moją stronę, głęboko oddychając nocnym powietrzem. Czuć było zapach nadchodzącej burzy, ale ona najwyraźniej skupiła się na innym zapachu – moim. I robiła to tak skutecznie, że równie dobrze mogłem w ogóle nie mieć na sobie tego całego kamuflażu. Zatrzymała się z dziesięć metrów ode mnie, a ja przykucnąłem w pozycji obronnej.

- Kim jesteś? – syknęła. – Wiem, że tu jesteś. Czuję magię. Jesteś wiedźmą? Jedną z tych

Polek?

Była wyższa niż jej siostry i pięknie zbudowana. Gdyby nie cała ta krew i inne resztki, których pełno było na jej ciele, z pewnością byłaby zachwycająca... jeśli nie liczyć ostrych zębów.

– Nie – odpowiedziałem. – Zgaduj dalej. Daję ci jeszcze dwie szanse.

– Czy jesteś wampirem zwanym Helgarsonem?

Hmm, interesujący strzał. Nie tylko odkrywał przede mną, że wie o Leifie, ale i że uznaje go za zdolnego do osiągnięcia czegoś na kształt niewidzialności oraz do dbania o to, czy jakieś tam bachantki urządzają sobie imprezy w Scottsdale czy nie.

– Nie. Nie mam problemów ze światłem słonecznym.

– A zatem jesteś druidem. Nazywasz się O'Sullivan.

Tak mnie tym zaskoczyła, że mogłaby mnie w tej chwili powalić byle pianką cukrową. Ale oczywiście nie mogłem jej na to pozwolić.

– Bardzo mi miło – rzekłem uprzejmie, ale od razu zepsułem wrażenie, dodając bardziej szczerze: – Choć w sumie nie tak miło.

– Pan mój, Bachus, dowie się o tym – mruknęła i z tym oświadczeniem na ustach odwróciła się i popędziła z zawrotną szybkością w stronę klubu. Nie wbiegła jednak do środka, tylko skręciła w uliczkę tuż przy budynku.

– A niech to – westchnąłem zupełnie bezradny. Na parkingu nie było przecież korzeni, które mogłyby ją złapać, ani ziemi, która mogłaby ją unieruchomić. Nie miałem żadnych szans, by dorównać jej prędkością: ja byłem zupełnie wypompowany z mocy, gdy tymczasem ona właśnie pobrała ją od tylu ofiar.

Splunąłem na chodnik, dając wyraz swojej samoocenie na ten wieczór. Udało mi się w pięknym stylu sakramencko spieprzyć tę robotę. Choć większość bachantek zakończyła swój marny żywot, ta jedna, która uciekła, z pewnością sprowadzi ich więcej, a być może i samego Bachusa żadnego zemsty. Poległo dwóch policjantów i co najmniej dwóch cywilów, których widziałem na zewnątrz, ale wolałem nie myśleć, ilu jeszcze mogło zginąć w klubie. Za kilka chwil to będzie najważniejsza informacja w wiadomościach. Może nawet na poziomie krajowym.

Malina się na mnie wścieknie i będzie miała do tego pełne prawo. Ogół społeczeństwa nie powinien być świadkiem walk społeczności paranormalnych. A jeśli ta informacja przedostanie się do krajowych mediów, każdy, kto wie, na czym świat stoi, będzie przecież czytać między wierszami i pojmie w lot, że Wschodnia Dolina stała się niebezpiecznie niestabilna.

Radiowozy i wozy strażackie zaparkowały z piskiem opon, przy czym jeden z nich zastawił wyjazd z parkingu, odcinając w ten sposób drogę ucieczki kilku ostatnim świadkom. Nie było mowy o tym, żebym przeprowadził własne małe śledztwo w klubie. Jedyne, co mogłem teraz zrobić, to usunąć odciski palców z kijów baseballowych poprzez odplątanie znajdujących się na nich wiązań farby, a potem powlec się do domu, żeby jakoś dojść do siebie.

Poczłapałem ledwo żywy na południe, zostawiając za sobą pozostałości masakry. Gdy dotarłem do Shea Boulevard, znów mnie złało. Na południowym jego krańcu znajduje się centrum handlowe. Tam, z Oregano's Pizza Bistro, udało mi się zamówić taksówkę do domu.

Kierowca spojrzał podejrzliwie na mój miecz i na zerwane kajdanki zwisające mi z nadgarstków, ale zapłacił mi z góry, więc nic nie powiedział. Na wszelki wypadek, gdyby potem miała go przesłuchiwać policja, kazałem mu się wysadzić pod Starbucksem na Mill Avenue, a potem znów rzuciłem na siebie kamuflaż i resztę drogi przebiegłem w strugach deszczu.

Wytarłem Fragaracha i odłożyłem na komodę w sypialni, po czym zdjąłem splot łączący go z moim ciałem i zamiast tego związałem go z komodą. Musiałem naprawdę się porządnie dziś

w nocy podleczyć, deszcz czy nie, więc zrzuciłem ubrania i ułożyłem się w ogródku za domem tatuażami do ziemi, narzuciwszy na siebie kawał impregnowanego materiału, żeby mieć jako takie schronienie. Skontaktowałem się jeszcze z żywiołakiem od żelaza, który czaił się w okolicach mego sklepu, żeby wpadł tu do ogródka i zechciał zjeść mi te okropne kajdany, a gdy wreszcie przestało padać, mój umysł znalazł w końcu wytchnienie na brzegu Lety.

## Rozdział 13

Przyznaję się bez bicia: mam czasem takie poczucie, że to i owo mi się należy. Na przykład: skoro dożyłem już tak sędziwego wieku – niezliczoną ilość razy osiągając liczbę lat kwalifikującą mnie do ulg dla emerytów – uważam, że powinienem mieć prawo obudzić się w świętym spokoju i rankiem napawać prostymi przyjemnościami dnia codziennego, takimi jak patrzenie na Oberona wymachującego mi ogonem na powitanie. Jak słoneczne światło w kuchni, gdy parzę sobie kawę. Gitara klasyczna, gdy ubijam jajko na omlet i przygotowuję kielbaski. A gdy akurat budzę się po zimnej nocy spędzonej na mokrej ziemi, naprawdę nie pogardziłbym ciepłym prysznicem. Jeśli potem cały dzień ma być kompletnie do dupy, to trudno – ale dajcie mi te kilka minut harmonii na samym początku, żebym chociaż pamiętał, jak to jest, gdy jest dobrze. Innymi słowy: gdy o świcie ledwo otwieram zaspane oczy, nie witajcie mnie krakaniem cholernej olbrzymiej wrony, która w mojej kulturowej pamięci kojarzy się nieodmiennie ze zwiastunem śmierci.

– Krrra! – ryknęła mi prosto w twarz, gdy odskoczyłem do tyłu, z pewnością wydobywając z siebie żalony pisk. Potoczyłem się po ziemi w panice, by uciec od ostrego dzioba, a wodoodporny materiał pozostał za mną, na mojej skórze zaś zastąpiła go zimna rosa i mokra trawa.

Wrona odrzuciła łebek w tył i roześmiała się głośno. Śmiechem nie ptasim, ale zupełnie ludzkim – gardłowym kontraltem prosto z cholernego ptasiego gardła.

– Na złote kamienie Lugh, druidzie – zakrakała. – Czyś ty się tu wylegiwał przez cały ten czas? Zostawiłam cię tak całe tygodnie temu i jakby nic się nie zmieniło!

– Witaj, Morrigan – powitałem ją nieco kwaśno, wstając z ziemi i strzepując trawę z torsu. Szybko się jednak zreflektowałem i znacznie łagodniejszym tonem dodałem: – Nie, nie leżałem tu cały ten czas. Tylko wczoraj miałem akurat wyjątkowo ciężki dzień. Daj mi chwilę, żebym się ogarnął, a zaraz przywitam cię jak należy.

– Oczywiście. Bez pośpiechu, Siodhachanie – odrzekła łaskawie, posługując się moim prawdziwym, irlandzkim imieniem. Głośno trzepocząc skrzydłami, poleciała na mój stolik ogrodowy, gdzie leżała już mała, czarna skórzana sakwa przewiązana rzemykiem. Pewnie chciała, żebym ją o nią zapytał, ale nie zamierzałem zaczynać żadnej rozmowy, dopóki się chociaż nie umyję. Minąłem ją więc, jakby w ogóle jej tam nie było.

<Atticusie, czy mi się zdaje, czy ty z kimś rozmawiałeś?> spytał zaspany Oberon z kanapy, gdy wszedłem przez kuchenne drzwi.

– Ta, z tą wielką wroną za domem – odpowiedziałem, machając znacząco ręką w stronę okna. – Tylko na nią nie szczekaj ani nic, bo to Morrigan.

<O. To ja może zostanę w środku>.

– Słuszna decyzja.

Pokręciłem głową i westchnąłem cicho, gdy odkręciłem prysznic i czekałem, aż zacznie lecieć ciepła woda. Jeśli Morrigan przyleciała tu znów ostrzec mnie przed czymś, co tam sobie wyróżyla, mogę mieć pewne trudności z ukryciem szyderstwa. Lecz być może powie mi chociaż, co robiła przez te całe trzy tygodnie. Może chciała mi obwieścić, że jest już gotowa do pracy nad własną wersją ochronnego amuletu, a ta sakiewka zawierała jej zimne żelazo.

Morrigan wślizgnęła się do mojej łazienki w ludzkiej formie, gdy właśnie wchodziłem pod prysznic. Była naga i piękna, a jej półprzymknięte oczy pełne były pożądania. O cholera, pomyślałem.

Gdy zabiłem Aenghusa Óga, Morrigan powiedziała mi wprost, że całe to wydarzenie tak

ją podnieciło, iż zamierza „wziąć mnie” przy pierwszej lepszej okazji. Ludzie epoki brązu nie wstydziła się mówić o seksie i nigdy nie udawali, że nie mają na niego ochoty. Jako dziecko epoki żelaza byłem tylko odrobinę mniej rozpustny, jeśli w ogóle, ale Morrigan, mimo całej swej boskiej urody, naprawdę nie znajdowała się na liście moich wymarzonych kochanek. Może i teraz wyglądała, jakby wyszła z „Playboya”, ale ona w swej wroniej postaci jadła umarłych, i naprawdę wszystkiego mi się odechciewało na samą tę myśl. Prawdę powiedziawszy, miałem dotąd nadzieję, że już dawno zapomniała o swoich pożądliwych wyznaniach, ale wyglądało na to, że jednak planowała mnie sobie zdobyć.

Bardzo trudno odmówić Morrigan czegoś, czego naprawdę chce. Właściwie jest to niemożliwe. Zresztą w ogóle obrażanie Szafarki Śmierci nie należy do najlepszych pomysłów. Dyplomatycznym wyjściem z takiej sytuacji – bezpiecznym wyjściem – byłoby dać jej, czego chce, i starać się jeszcze z tego cieszyć. A gdy Morrigan wbije sobie do głowy, że ma ochotę uwieść jakiegoś nieszczęśnika, jest w stanie wykorzystać w tym celu wszystkie sztuczki sukubów i to bez tej bezsensownej klauzuli o wiecznym potępieniu. Przyznaję, że nie stawiałem oporu. Może nawet pomyślałem sobie: „Wow!”

Tylko że Morrigan nie należy do tych kobiet, które lubią powolny, czuły seks. Przez następne kilka godzin był może jeden moment, kiedy coś mnie nie bolało: pierwszy pocałunek – delikatny, czuły i tak pyszny, że aż sobie pomyślałem, iż może nawet to będzie miłe doświadczenie. Ale już po chwili jej paznokcie drapały moje ciało, zaliczyłem kilka policzków i więcej gryzienia niż kiedykolwiek w całym moim długim życiu oraz straciłem garść włosów. A gdy tylko nie chciałem robić, co powinienem – na przykład wtedy, kiedy dzwonił telefon i starałem się go jednak mimo wszystko odebrać, bojąc się, czy to może nie dzwoni Granuaile zaniepokojona, że nie pojawiłem się w pracy – oczy Morrigan błyskały czerwonym światłem i przemawiała do mnie takim samym tonem jak Sigourney Weaver, kiedy mówi Billowi Murrayowi w *Pogromcach duchów*: „Nie ma Dany, jest tylko Zuul”. Jak ktoś wpada w takie klimaty, to raczej trudno się klócić. Innymi słowy, po prostu zeszytywniałem ze strachu. I to właśnie lubi Morrigan.

W ciągu ostatniej godziny zaczęła nagle przemawiać językiem starszym niż ja – był to chyba protocoeltycki, bo pewne samogłoski i głoski przydechowe zupełnie mi niczego nie przypominały, ale ponieważ nie wyglądało na to, że oczekuje ode mnie jakichkolwiek odpowiedzi, pozwoliłem jej tak sobie nawijać. Brzmiało to coraz bardziej rytualnie, aż w końcu doszło do mnie, że chyba mamy tu do czynienia z jakimś rodzajem erotycznej magii, choć pojęcia nie miałem, w jakim niby celu ją wykonywała. Wreszcie oświadczyła, że się zadowoliła, i łaskawie pozwoliła mi przestać. Od dłuższego czasu byliśmy już wtedy w sypialni i dobrze, bo po prostu opadłem na prześcieradło, sapiąc z wyczerpania.

Po tego rodzaju seksie naprawdę nie następuje żadne miłe uczucie spełnienia czy coś – jedyne, co się wtedy czuje, to ulgę, że się jednak przeżyło, plus: olbrzymią potrzebę litrów napoju energetyzującego.

- Ooo – wyszeptalem.
- Nie ma za co – zachichotała Morrigan.
- Za ból?
- Nie, za ucho.
- Co takiego? – Wyciągnąłem rękę w kierunku mojej żalostnej chrząstki i złapałem się palcami za coś, co kształtem zadziwiająco przypominało ucho. – Jest prawdziwe?
- Oczywiście, że tak.
- Czy to właśnie to robiłaś na końcu? No wiesz, po to było to całe nucenie i... tego... różne rzeczy?

– Tak.

Zatkało mnie z wdzięczności. Odtworzenie ucha, które zeżarł mi tamten demon, okazało się zupełnie powyżej moich możliwości. A teraz nagle znów miałem normalne, całe ciało.

– Dziękuję, Morrigan! Jesteś naprawdę kochana...

Straciłem dech, gdy jej pięść wylądowała w moim brzuchu, przepychając przeponę zupełnie nie tam, gdzie powinna być.

– Coś ty powiedział? – Chwyliła mnie za szczękę i brutalnie przysunęła ją do swojej twarzy tak, że prosto w oczy błysnęły mi jej czerwone ślepie, gdy walczyłem o oddech.

– Przekłete niech będzie twoje wtrącanie się we wszystko – wybełkotałem z trudem.

– Tak lepiej – stwierdziła i puściła mnie.

Domyśliłem się, że raczej się nie zapowiada na miłą godzinkę przytulank po seksie.

<Yyy, Atticusie, skończyliście już może? Umieram tu z głodu>.

*Przepraszam, Oberonie. Ale ona mnie nie chce wypuścić.*

<Dobra, dobra. Nic ci nie jest? Bo to brzmiało, jakby chciała ci wyrwać wszystkie włosy, wiesz skąd>.

*No, założę się, że twoje francuskie pudlice nigdy cię tak nie traktują.*

Odwrociłem się do Morrigan i przypomniawszy sobie o obowiązkach gospodarza, spytałem:

– Czy nie miałabyś może ochoty na jakąś przekąskę? Mogę ci zaproponować coś skromnego na ząb? Moja spiżarnia nie jest może zbyt dobrze zaopatrzona, ale...

– Zjem, co uznasz za stosowne mi zaproponować – odparła.

Deklaracji tego typu nie należy brać dosłownie. Zabrzmiało to tak, jakby miała się zadowolić sardynką na byle krakersie, ale oczywiście, gdybym jej zaproponował cokolwiek innego niż najlepsze, co mogę znaleźć w domu, potraktowałaby to jako osobistą obrazę.

Wymknąłem się więc z łóżka na palcach – posiniaczony, zakrwawiony i z ranami piekącymi od potu, który w nie wsiąkł, a przede wszystkim odczuwający cały ten ból, bo nie miałem już żadnych mocy, żeby go zablokować. Znów będę musiał wyjść na podwórze i pobrać tyle energii z ziemi, ile się da, żeby w ogóle rozpocząć leczenie. Miałem coraz częściej wrażenie, że nic innego w życiu nie robię, tylko ciągle łatam swoje poturbowane ciało.

<A niech to kot drapnie, Atticusie! Ale cię załatwiła> powiedział Oberon, gdy wyłoniłem się z sypialni.

*No, to był istny festiwal bólu. Daj mi chwilkę. Tylko pozamykam te rany i zajmę się naszym bardzo spóźnionym śniadaniem.*

Jako że kompletnie ominęła mnie cała poranna krzątanina, o której tak marzyłem, gdy się budziłem, uznałem, że i tak sobie ją zafunduję, mimo że było już grubo po południu. Nastawiłem wodę na kawę i spędziłem kilka chwil w ogródku, żeby uśmierzyć trochę ból skóry. Poczuvszy się ciut lepiej, wróciłem do środka i włączyłem sobie najnowsza płytę Rodriga y Gabrieli, żeby mi się lepiej szykowało olbrzymie śniadanie: omlety z trzech jaj z serem, szynką i szczypiorkiem, kilka opakowań kiełbasek z syropem klonowym (głównie dla Oberona), smażone ziemniaczki z cebulką i czerwoną papryką oraz tosty z masłem i pomarańczową marmoladą.

Morrigan pojawiła się na dole, gdy kładłem te dobra na talerze. Była już czyściutka, uczesana i nadal zupełnie naga. Zasiadła przy moim kuchennym stole bez cienia zażenowania. Mnie też to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, miło było przez chwilę znów móc się zachowywać jak prawdziwi Celtowie i nie przejmować się amerykańskimi obyczajami.

Morrigan naprawdę starała się być bardzo miła, gdy podawałem jej śniadanie. Odniosłem wrażenie, że nawet usiłowała się do mnie uśmiechnąć, gdy podałem jej kawę (pije czarną), ale oczywiście tak ambitny plan skończył się porażką, więc udałem, że tego nie zauważyłem. Oberon

natomiast jadł najciszej jak potrafił, oglądając się na nią nerwowo, wyraźnie przerażony, że może nagle rzucić się i na niego z tymi pazurami.

Morrigan skomplementowała mój posiłek i wypła pięć filiżanek kawy (na moją jedną) oraz szklankę soku pomarańczowego i szklankę wody. Następnie poprosiła o jeszcze jeden omlet i dwa kolejne tosty.

<Jakim cudem ona jest taka chuda, jeśli tyle je?> spytał Oberon, gapiąc się z przerażeniem na znikające jedzenie.

*Pojęcia nie mam. Ale jak chcesz, to sam ją spytaj.*

<Nie, dzięki. Wolalbym jeszcze trochę pożyć.>

Gdy w końcu oświadczyła, że się najadła, i wymieniliśmy się kolejnymi obowiązkowymi uprzejmościami, przeszła do konkretów.

– Zastanawiałaś się pewnie, co porabiałam w ciągu ostatnich tygodni – rzekła.

– Rzeczywiście, to pytanie przeszło mi przez myśl.

– Byłam bardzo zajęta wojną domową w Tír na nÓg. Rozegrały się wspaniałe bitwy.

– Co? Ale kto walczył z kim?

– Zwolennicy Aenghusa Óga postanowili wystąpić przeciwko Brighid i mnie, mimo że ich przywódca poległ i nie wypełnił danych im obietnic. Gdy minęła pierwsza fala powstań, wystąpiła konieczność przeprowadzenia czystek i to zajęło mi większość czasu.

– Czy poległ któryś z Tuatha Dé Danann?

Morrigan pokręciła głową.

– Nie, wszystko to były pomniejsze faerie. Ale miały do dyspozycji dość imponującą broń, którą odziedziczyły po Aenghusie Ógu. Nowa zbroja Brighid przeszła porządną próbę.

– Brighid osobiście stanęła do walki? – Tuatha Dé Danann nie cierpią wystawiać się na śmiertelne niebezpieczeństwo i zdecydowanie woła, żeby raczej inni za nich umierali.

Morrigan pokiwała głową.

– Tak było. I muszę przyznać, że dobrze się spisała. Jest tak przerażającym wrogiem jak nigdy.

– Czy walki się już skończyły?

Morrigan wzruszyła ramionami.

– Walki tak, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Z pewnością odbywają się teraz jakieś tam gierki polityczne, ale nigdy mnie takie rzeczy nie interesowały. Natomiast bardzo interesuje mnie co innego – zmrużyła oczy i wskazała na mój amulet. – Interesuje mnie ten twój naszyjnik. Zawarliśmy umowę, ty i ja, i nadszedł czas, byś wywiązał się ze swoich obietnic.

Nasza umowa była bardzo prosta: ja nauczę ją, jak ma zrobić swoją wersję naszyjnika, który chronił mnie przed większością magii poprzez nasycanie mojej aury zimnym żelazem, a ona nigdy, przenigdy nie odbierze mi życia. To nie ratowało mnie jeszcze przed obrażeniami czy skutkami podeszłego wieku, ale i tak miło było wiedzieć, że nie mogę nagle zakończyć żywota, jeśli Morrigan nie złamie danego mi słowa.

– Z przyjemnością. Czy przyniosłaś swoje zimne żelazo?

– Tak. Chwileczkę – rzekła i poszła po skórzaną sakwę, którą widziałem wcześniej na moim stoliku ogrodowym. Sprzątnąłem talerze ze stołu i zapewniłem Oberona, że jest najlepszym psem, jakiego kiedykolwiek miał jakikolwiek druid.

*Wykazałaś się dziś rano wyjątkową cierpliwością i bardzo to doceniam – powiedziałem mu.*

<No, wiesz, ona napędza mi takiego pietra, że wcale nie jest trudno siedzieć przy niej grzecznie w kącie i trząść się ze strachu.>

*Doskonale cię rozumiem. Będę usiłował się jej pozbyć jak najszybciej.*



<Dzięki, Atticusie. To może ja sobie utnę drzemkę w sypialni, żeby wam nie wchodzić w drogę>.

Podrapałem go trochę po głowie i zaraz potem Oberon powędrował na górę, a do kuchni wróciła Morrigan. Rozwiązała rzemyk na sakwie i wysypała na mój stół kilka kawałków meteorytów różnej wielkości i jakości. Żaden jednak nie był większy niż moja dłoń.

– Który powinnam wybrać? – spytała.

Usiadłem i zacząłem podnosić każdy po kolei, uważnie im się przyglądając.

– Cóż, jak powiedział pewien mały zielony ludek, rozmiar nie ma znaczenia – odparłem.

– Przynajmniej w wypadku prawdziwego meteorytu. Potrzebujesz jak najczystszy amulet, ale bez rezygnacji z siły. Zupełnie czyste żelazo jest tak naprawdę słabsze niż aluminium, więc będziesz musiała stopić je z czymś innym, żeby osiągnąć jakiś rodzaj stali. Ten kawałek tutaj wygląda na połączenie żelaza z irydem, a nie niklem, więc jesteśmy na dobrej drodze. Możesz to po prostu stopić i uformować, w cokolwiek tam sobie chcesz.

– Stopić? O czym ty mówisz, druidzie? Czyż amulet nie powinien być wykuty na zimno?

– Nie, to tylko mit krążący wśród śmiertelnych. Siła zimnego żelaza nie tkwi w temperaturze, w której wykuwasz amulet. Pewnie lepiej byłoby nazywać ten rodzaj żelaza niebiańskim, jako że jego moc związana jest z jego pochodzeniem z nieba.

– Rozumiem – mruknęła Morrigan. – Skoro nie jest związane z ziemią, będzie odpierać lub niszczyć magię znacznie lepiej niż wszelkie żelazo zrodzone przez Gaję.

– Otóż to – przytaknąłem. – Mój amulet waży sześćdziesiąt gramów – powiedziałem, wskazując na swój naszyjnik – i to już po zrobieniu dziurki, przez którą przewlekłem łańcuszek.

– Czy sam łańcuszek zrobiony jest ze srebra czy z białego złota?

– Mój jest srebrny, ale możesz użyć do tego, co ci się tam podoba.

– Czy amulet będzie miał większą moc, jeśli będzie ważył więcej niż te sześćdziesiąt gramów?

– Tak, da ci większą ochronę, ale jednocześnie będzie cię bardziej powstrzymywał przed rzucaniem twoich własnych zaklęć. Dla mnie był to poważny minus. Musisz odnaleźć taką wagę, która będzie idealnym kompromisem między ochroną a magiczną siłą, i dla mnie było to właśnie sześćdziesiąt gramów. Nie mam pojęcia, czy jest to stała uniwersalna. Być może dla ciebie zupełnie inna waga okaże się idealna. Ja dotarłem do tej wagi po wielu próbach i błędach.

– Mogę nakazać Goibhniu zrobić ten amulet – powiedziała.

Goibhniu był nie tylko piwowarem magicznych trunków, ale i doskonałym kowalem Tuatha Dé Danann. Przewyższała go w tej sztuce chyba jedynie sama Brighid.

– Świetny pomysł. – Kiwnąłem głową. – Każ mu zrobić jak najwięcej amuletów z tego materiału, który masz. Na moje oko powinien być w stanie zrobić co najmniej dwa, a może aż cztery. Jeśli będziesz miała nadmiar, przyda mi się jeden dla mojej uczennicy, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Oczywiście, że nie. To dobrze, że znów kogoś nauczysz. Powinieneś może przyjąć na naukę większą liczbę uczniów, Siodhachanie. Przydałby się na tym świecie mocny gaj druidów.

To zdanie było jak na Morrigan naprawdę podejrzanie bliskie komplementu. Wymówiła je nawet miłym tonem. Uznałem jednak, że lepiej jej nie zwracać na to uwagi, więc tylko szybko powiedziałem:

– Dziękuję. Jeśli pojawią się odpowiedni kandydaci, zastanowię się nad tym.

Morrigan natychmiast wróciła do interesu.

– Założmy więc, że już mam od Goibhniu amulet z zimnego żelaza ważący sześćdziesiąt gramów oraz srebrny łańcuszek. Jaki jest następny krok?

– Będziesz musiała wtedy spleść swoją aurę z zimnym żelazem. Chyba że chcesz go po

prostu używać jako talizmanu.

– E tam. Wiem dobrze, jak robić talizmany. Przydają się tylko w wypadku bezpośrednich zagrożeń zewnętrznych i zupełnie nie zmieniają aury.

– Tak. Więc spójrz teraz na moją aurę. Gdzie widzisz żelazo?

Morrigan zmrużyła oczy i spojrzała trochę ponad moją głowę.

– Wygląda jak opiłki w obrębie białego obszaru twojej magii. Jak kawałki ciasteczek w waniliowych lodach.

– Co? W życiu bym nie przypuszczał, że lubisz lody.

Oczy Morrigan błysnęły złowieszczo.

– Jeśli komuś powiesz, wyrwę ci nos.

– Jasne – bąknąłem. – Wracając do aury, te żelazne kawałki, które widzisz, to tak naprawdę małe węzły. Wplotłem żelazo do mojej aury za pomocą sieci małych supelków tak, że jeśli stają się celem jakiegokolwiek zaklęcia, trafia ono od razu na żelazo i gaśnie. Trzeba to zrobić bardzo starannie, dbając o odpowiedni wzór supłów, żeby nie pozostały żadne dziury, przez które mogłoby się przedostać zaklęcie, oraz by zaklęcia obejmujące całe ciało nie były w stanie wyodrębnić ciała od żelaza. To właśnie uratowało mi życie ledwie dwa dni temu.

– Co się stało?

– Pewne niemieckie wiedźmy zaatakowały mnie takim piekielnym przekleństwem.

Gdyby zadziało, stanąłbym cały w płomieniach. Ale jako że sploty żelaza w mojej aurze stają się aliasami, które...

– Czekał. Jakimi znowu aliasami?

Skrzywiłem się, uświadomiwszy sobie swoją głupotę.

– Przepraszam, Morrigan. Zapominam, że nie znasz żargonu komputerowego. Alias to po prostu mały plik, który wskazuje na inny, większy plik. Jedynie reprezentuje prawdziwą rzecz, ale nią nie jest. Nie byłbym przecież w stanie paradować z prawdziwą chmurą żelaznych cząsteczek wokół siebie, prawda? Magiczne aliasy natomiast, które wskazują prawdziwy amulet z zimnego żelaza, nic nie ważą i są łatwe w użyciu.

– Genialne.

– Dziękuję. Kiedy tamto zaklęcie we mnie uderzyło, nie spaliło mojego ciała, a żelazne aliasy wplecione w moją aurę przekierowały je na amulet. – Poklepałem się po nim, dla podkreślenia słów. – Rozgrzał się natychmiast i poparzył mi skórę, ale nic poza tym. Bez niego spaliłbym się jak plaster bekonu. To samo zaklęcie zmieniło pewną wiedźmę z sąsiedztwa w garstkę popiołu.

– Niesamowite – mruknęła. – Mówisz, że to się stało dwa dni temu?

– Tak.

– Nie miałam żadnych przeczuć co do grożącej ci śmierci. – Pokręciła głową z fascynacją. – Byłeś w pełni zabezpieczony.

Zacząłem się zastanawiać, czy uważa, że byłem również w pełni zabezpieczony przed wczorajszymi bachantkami. A potem nagle przyszła mi do głowy straszna myśl: skoro przyrzekła nigdy nie odbierać mi życia, może już nie będzie miała żadnych przeczuć na temat mojego losu.

– No, ale to poparzenie było naprawdę straszne. Normalnie czułem się tak źle, jakbym musiał wysłuchiwać szkolnego przedstawienia opery Wagnera.

Morrigan machnęła tylko na to ręką.

– Przecież masz odpowiednie środki, by radzić sobie z takimi rzeczami. Nie groziło ci śmiertelne niebezpieczeństwo. I chroni cię to również przed piekielnym ogniem, prawda?

– Tak, nawet jeśli jest miotany przez upadłego anioła.

– Ale jak spleść zimne żelazo z aurą? Czy nie opiera się twojej magii?

– Tak, to rzeczywiście delikatny moment. Nawet kiedyś w jedenastym wieku miałem pewien pomysł i spędziłem kilka dziesięcioleci, próbując się z tym samodzielnie uporać, ale nie zdołałem, bo masz rację, zimne żelazo ma w nosie wszelkie próby robienia z nim czegokolwiek. Dlatego właśnie potrzebujesz pomocy żywiołaka żelaza. Musisz się z jakimś zaprzyjaźnić, innego wyjścia nie ma, bo widzisz, to wymaga od nich też sporo pracy. Jak już ci mówiłem przed tym całym zamieszaniem z Aenghusem Ógiem, sam ten proces ochronny zajął mi trzy wieki.

Morrigan zakłęła w tym swoim protoceltyckim, a jej oczy poczerwieniały.

– Nie jestem boginią kowali! Nie mam talentu do żelaza ani do przyjaźni!

– Być może należałoby postrzegać to nie jako przeszkodę, lecz jedynie jako okazję do rozwoju swej osobowości. Jako że jesteś boginią śmierci, pewnie lepiej, żebyś za bardzo się z nikim nie przyjaźniła, bo w końcu i tak wszystkich musisz zabrać, ale mogę cię tego nauczyć, jeśli chcesz. To nie jest jakiś bardzo trudny proces.

– Owszem, jest.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z tym stwierdzeniem. Żywiołaki żelaza lubią jeść faerie. Jestem pewien, że możesz im kilka dostarczyć.

– Z łatwością – zgodziła się, kiwając głową. – W Tír na nÓg mnożą się te faerie jak króliki.

– Świetnie. No i potem, kiedy już żywiołak podziękuje ci za faerię i powie, że to był bardzo miły gest z twojej strony tak mu podarować smaczny kąsek, nie rzucaj się na niego z groźbami. Zamiast tego uśmiechnij się ładnie i powiedz, że cała przyjemność po twojej stronie. Możesz nawet mu powiedzieć, że ty osobiście to wolisz lody i że domyślasz się, że faerie są dla nich jak lody.

Z twarzą Morrigan zaczęły się dziać dziwne i niepokojące rzeczy. Jej brwi zjechały się razem, a dolna warga zdawała się bliska drżenia, potem nagle wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia, a w jej oczach pojawił się znowu błysk wściekłości. Raptem zniknął równie szybko, jak się pojawił, i zamiast niego na jej licu zaczęła się jawić niepewność. Wbiła wzrok w stół, a krucze włosy opadły jej na twarz. Przemówiła do mnie zza tej czarnej zasłony.

– Tego nie mogę zrobić. Przyjaźnienie się nie leży w mojej naturze. Ani tym bardziej uprzejmość.

– Nonsens. – Wskazałem jej moje piękne, nowe ucho. – To najlepszy dowód na twoją uprzejmość. Na to, że płynie w tobie krew hojnych i serdecznych Irlandczyków, Morrigan.

– To co innego. To był seks. Przecież nie mogę uprawiać seksu z żywiołakiem.

Ale ma fuksa ten żywiołak, przemknęło mi przez myśl.

– To prawda, ale jest wiele innych sposobów, by okazać ludziom przychyłność, o czym z pewnością dobrze wiesz. Myślę, że twój problem tkwi tak naprawdę w tym, że ty nigdy nie pozwalasz ludziom okazywać ci jakiegokolwiek uprzejmości. Może zrobmy tak: zanim spróbujesz z żywiołakiem, poćwicz przyjaźnienie się na mnie. Zostać twoim przyjacielem to byłby dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Morrigan zerwała się z krzesła i zgarnęła szybko swoje meteoryty z powrotem do sakwy. Twarz nadal miała skrytą za włosami.

– Dziękuję za seks, za posiłek i za instrukcje – przemówiła bardzo oficjalnym tonem. – Jesteś niezwykle gościnnym gospodarzem. – Zawiązała rzemyki na sakwie. – Udam się z wizytą do Goibhniu i wrócę, gdy będę już miała amulety.

I bez słowa więcej zmieniła się we wronę wprost przy moim stole, chwyciła sakwę w szpony i wyleciała kuchennymi drzwiami, które same otworzyły się przed nią posłusznie.

## Rozdział 14

Następne trzydzieści sekund spędziłem na roztrząsaniu tego, czy aby nie zniknęła tak pospiesznie urażona moją propozycją przyjaźni.

Naiwny.

Grzeczne puknięcie do drzwi zaskoczyło mnie zupełnie. Oberon zaszczekał trzy razy i powiedział:

<To Brighid. Przywitała się już ze mną>.

*Za moimi drzwiami stoi Brighid?*

Panika w moim mentalnym głosie wprawiła psa w szczerze rozbawienie, bo wiedział równie dobrze jak ja, że w tej chwili zdecydowanie nie jestem w stanie otworzyć drzwi. Byłem nadal zupełnie goły i tylko częściowo zaleczony po torturach zadanych przez Morrigan – i nagle uświadomiłem sobie, że dokładnie o to jej chodziło. Te dwie wizyty nie nastąpiły po sobie przypadkiem. Po raz kolejny zostałem w tyle za intrygami tych bogiń i nadszedł czas, by rozpracować ich prawdziwe zamiary. Ledwie kilka tygodni temu wspólnymi siłami pięknie mnie wrobiły w odwalenie za nie całkiem niebezpiecznej roboty i teraz czułem, że mamy powtórkę z tej rozrywki. Powinienem był zadać Morrigan kilka dodatkowych pytań na temat tej wojny domowej w Tír na nÓg, bo to z pewnością miało jakiś związek z nagłym pojawieniem się Brighid na moim progu jak bum-cyk-cyk, albo żabi tyłek nie jest wodoodporny.

– Hmm, wiem, jak zdobyć kilka odpowiedzi – mruknąłem w stronę drzwi i popędziłem do sypialni. Oberon już tam na mnie czekał, wymachując ogonem.

<Odpowiedzi na co?>

– Na wszystkie moje pytania – powiedziałem, wciągając na siebie krótkie bojówki khaki i zielony T-shirt.

Znów rozległo się pukanie do drzwi, choć już nie tak uprzejme jak poprzednio. Tym razem słychać w nim było pewną dozę zniecierpliwienia.

– Słuchaj, Oberonie, ona oczywiście słyszy twoje myśli, więc chciałbym, żebyś się zupełnie wyciszył, poszedł do salonu i czekał. Kiedy wejdzie, stań, proszę, za nią i staraj się zawsze być za jej plecami.

<Dlaczego?>

– Po prostu zrób, o co cię proszę – powiedziałem i natychmiast zrobiło mi się głupio, że mówię do niego takim tonem. Zwykle bardzo lubię się z nim spierać. Jest w tym naprawdę dobry, ale tym razem w ogóle nie rozumiał, o jaką stawkę toczy się ta gra, a nie miałem jak mu tego wszystkiego wytłumaczyć, skoro Brighid byłaby w stanie usłyszeć jego część rozmowy.

<Dobra>. Spuścił ogon i wyszedł z pokoju, a ja poczułem się jeszcze gorzej, ale jeśli ma nam się udać, to Brighid naprawdę nie może niczego podejrzewać. Nie wiedziałem nawet przecież, czy w ogóle moje rozumowanie było słuszne, ale musiałem być przygotowany na każdą ewentualność. Chwyciłem Fragaracha z komody, zarzuciłem go sobie na plecy i popędziłem do drzwi.

Gdy tylko otworzyłem, Brighid powitała mnie uśmiechem i było zupełnie jak w tych tandetnych reklamach, które puszczają w kółko w przerwach meczów: zabójczo piękna, zmysłowa kobieta odziana w bardzo skąpą odzież pojawia się nie wiadomo skąd; tajemniczy wiatr zza kamery rozwiewa jej włos, przywodząc na myśl dziką pasję; kobieta posyła seksowny uśmiech skończonemu debilowi o słabo zarysowanej szczęce, a on natychmiast porzuca swoje przekonanie, że ona nigdy w życiu się nim nie zainteresuje. Bo on ma w dłoni zimne piwo. Tylko że tym razem tajemniczy wiatr był prawie na pewno jej własną sprawką i miał na celu owiać

mnie jej zapachem. Był dokładnie taki, jak go zapamiętałem: mleko, miód i miękkie, dojrzałe jagody. Cholera.

Może powinienem w tym miejscu zaznaczyć, że nie jestem skończonym debilem i wcale nie mam słabo zarysowanej szczęki. Mimo to jednak jestem tak podatny na reklamy piwa jak każdy inny facet. I co z tego, że to naiwne marzenia na poziomie dorastających chłopców? W każdym razie żadna z tych reklam nie była nawet w połowie tak dobra jak prawdziwa, żywa bogini na moim własnym progu.

Brighid wyglądała tak, jakby zeszła właśnie ze stron jakiegoś magazynu dla dorosłych. Miała na sobie kilka warstw przezroczystej, błękitnej tkaniny tak jakoś zawiązanej czy upiętej, że ledwie zakrywała jej najbardziej niegrzeczne części, a jednocześnie przez materiał prześwitywał magiczny ich zarys. Złoty torques błyszczał na jej szyi, drugi podkreślał linię jej lewego bicepsa, a delikatne sploty metalu zdobiły przeguby jej dłoni. Kilka cienkich, złotych łańcuszków owijało jej kibić. Jej rude włosy spływały leniwymi falami niczym u Jessiki Królik, a na dodatek miała w nie tu i ówdzie wplecione złote nitki. A ta minka mówiąca „podejdź bliżej”, te wydęte lekko usta, te niby to zaspane oczy? Było aż tak źle. Panienki w reklamach piwa naprawdę robią wrażenie, ale jeśli postanowi z nimi konkurować bogini, to nawet nie, że odpadają w przedbiegach – po prostu nie mają co w nich startować.

Brighid zdecydowanie była bardziej w moim typie niż Morrigan. Przede wszystkim nie miała zwyczaju zjadać trupów w żadnej postaci, a to już duża różnica. Po drugie to ona przecież rozpalala w sercach Irlandczyków ogień pasji i kreatywności. Lecz nawet gdybym chciał dać jej to, po co tu przyszła – a prawdę powiedziawszy, nie byłem nawet pewien, czy chciałem – to było dla mnie jasne, że Morrigan zrobiła wszystko, bym nie był w stanie.

Całe znaczenie wizyty Morrigan zmieniło się kompletnie, gdy stanęła przede mną Brighid. Te dwie panie nigdy nie były wrogami, ale nigdy też się nie przyjaźniły. Zawsze darzyły się zdrowym szacunkiem z pewną domieszką nieco mniej zdrowej zazdrości i rywalizacji o pierwsze miejsce wśród nich wszystkich. Jak dotąd nie rzuciły się sobie do gardła pewnie głównie dlatego, że musiały działać razem przeciwko Aenghusowi Ógowi i wystrzegać się jego intryg, ale teraz, po czyszkach w Tír na nÓg, być może wybiła godzina walki między nimi, a ja byłem tu nagrodą? Środkiem do zdobycia władzy? Seks, drapanie, ucho, drugi omlet... wszystko to były tylko machiaweliczne machinacje Morrigan!

<Atticusie, ty sobie zdajesz sprawę z tego, że słyszę twoje myśli, jak tak panikujesz, tak? Pozwoliłeś sobie na nieco za dużo aliteracji nawet jak na drżącego druida deliberującego nad dziwnymi drogami deistycznych decyzji>.

– Witaj, Brighid. Przepraszam, że tak stoję, ale mowę mi odjęło z wrażenia – powiedziałem szybko, żeby zagłuszyć kpiny Oberona. Jeszcze Brighid zaczęła się, nie dajcie bogowie, zastanawiać nad tym, co ja takiego sobie myślałem.

– Atticusie – zamruczała.

I nie żartuję: naprawdę zamruczała jak kotka. Brighid nie tylko mogłaby pobić Hanka Azarię w naśladowaniu głosów, ale na dodatek umie wydawać z siebie kilka głosów naraz. Jest w stanie zaśpiewać sobie coś na trzy głosy sama jedna i jeszcze naśladować akompaniament. Przydaje jej się to jako bogini poezji w nuceniu ballad, ale teraz dopiero pojąłem, odczuwając to na własnej skórze, że umie się tym posłużyć także w innych celach.

– Nie przeszkadzam? – przemówiła głosami, które natychmiast kazały mi pomyśleć o dzikiej róży, karmelu i jedwabiu.

Zrobiło mi się gorąco w środku, ale na zewnątrz zadrżałem niczym kamerton w gorącej czekoladzie.

– Ależ skąd. Może wejdiesz? – Odsunąłem się i zrobiłem zapraszający gest, znów

gotowy wrócić do roli gospodarza rodem z epoki brązu.

– Dziękuję – zagruchała, mijając mnie cała w drżących błękitach i pulsującym złocie. Cholera. Cholera.

Obrzuciła mój salon pobieżnym spojrzeniem.

– Twój współczesny dom jest bardzo interesujący.

– Dziękuję. Co mogę ci zaproponować do picia po tak długiej podróży z Tír na nÓg?

– Piwo, jeśli masz jakieś.

– Już przynoszę. – Pobiegłem do kuchni, dając jej znak, żeby raczyła pójść za mną, i wygrzebałem z lodówki dwie butelki jasnego piwa Newcastle, które kryły się za Stellami.

Podziękowała mi, gdy jej jedną podałem, i powiedziała:

– Po tym, jak zabiłeś Aenghusa Óga, w Tír na nÓg nastąpił czas niepokoju i zamieszania. Jego wspólnicy ujawnili się nagle i byłam zmuszona spędzić chwilkę na pozbywaniu się ich. Wyobraź sobie, że posunęli się nawet do szerzenia propagandy.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– Wyobrażam sobie. Cóż za nonsensy wymyślili?

– Głównym ich zarzutem przeciwko mnie było to, iż nie mam małżonka. – Brighid prychnęła z pogardą. – Jakby Bres zrobił w swym długim życiu cokolwiek pożytecznego. Był w stanie jedynie siedzieć i wyglądać. Był to bardzo przystojny mężczyzna – dodała z westchnieniem, po czym zmarszczyła lekko brwi. – Tylko nader małostkowy.

W sprawie Bresa naprawdę nie miałem nic do powiedzenia. Przecież to ja go zabiłem, a teraz proszę: wdowa po nim stoi sobie w mojej kuchni ubrana jak na heroiczny sport łózkowy i rzuca tu na niego jakieś drobne kalumnie. Nie zdobyłem się nawet na niezobowiązujące chrząknięcie. Z tego, co mi było wiadomo, podręczniki z zakresu etykiety milczą na temat takich sytuacji, więc po prostu wziąłem duży łyk piwa.

– Ale ty nie jesteś małostkowy, prawda?

– Nie wypada mi powiedzieć, że jestem, kiedy tak to ujmujesz.

Zaśmiała się głośno z mojego słabego żartu i wtedy wreszcie zrozumiałem, co miał na myśli Chris Matthews, kiedy mówił o tym, że mu drżała noga, jak przemawiał Obama. Nie przyszło mi nic innego do głowy, jak wziąć kolejny łyk piwa, żeby zatuszować jakoś swoją reakcję.

– Nie, nie jesteś małostkowy. I masz poczucie humoru. Bres nie miał za grosz poczucia humoru. I dlatego właśnie uważam, że to ty powinieneś zostać moim nowym małżonkiem.

Na co oplułem linoleum piwem.

<Ha! Jeśli ci się wydaje, że to wyliżę, to ci zupełnie odbiło> ostrzegł mnie Oberon.

– O, przepraszam. Chyba cię trochę zaskoczyłam – powiedziała Brighid.

Rozłożyłem kciuk i palec wskazujący tak, że oddzielało je kilka centymetrów.

– Trochę – przyznałem.

– Wiem, moja propozycja może brzmi nieco dziwnie, ale zrozumiem: ty tak jak Tuatha Dé Danann odkryłeś tajemnicę wiecznej młodości. Jesteś znacznie potężniejszy od Bresa i udowodniłeś, że dorównujesz... a raczej że przewyższasz dwóch z nas. Jeśli z moim imprimatur, pod moją egidą, zasiądziesz przy moim boku, nikt nie będzie podważał twojego prawa do władzy, a już na pewno nikt nie ma prawa wtrącać się w to, kogo sobie biorę do łóżka.

Ignorując niebezpieczny koniec tego zdania, skupiłem się na jego pierwszej części.

– Wybacz, Brighid, ale ja naprawdę nigdy nie miałem żadnych ambicji władać czymkolwiek i kimkolwiek.

– Nic nie będziesz musiał robić – odparła, wruszając ramionami, by dać mi do zrozumienia, że moje wątpliwości nie mają tu znaczenia. – Bres nigdy nic nie robił. To

symboliczna pozycja, ale faerie chcą koniecznie, by jednak ktoś sprawował tę funkcję.

– Rozumiem. A gdzie musiałbym przebywać, by sprawować tę symboliczną funkcję?

– W Tír na nÓg, oczywiście. – W końcu wzięła łyk piwa, o które poprosiła całe wieki temu.

– A nie mógłbym pozostać tutaj, skoro w rzeczywistości nie musiałbym nikim rządzić?

– Będziesz miał inne obowiązki – zamruczała tym swoim potrójnym głosem, który zmienił moje wnętrze w galaretkę owocową.

– Ale widzisz, podoba mi się ta kraina. Tak dużo się tu dzieje i zmienia, i tyle ciągle się trzeba uczyć.

– Nadal będziesz mógł czasem cieszyć się tymi rzeczami, robiąc sobie wycieczki do świata śmiertelnych tak często, jak ci się będzie podobało. Lecz jako mój małżonek będziesz miał znacznie bardziej interesujące doświadczenia niż najnowsze technologiczne zabawki. Będziesz musiał przyjmować ambasadorów przybywających do świata bogów i cudów oraz podróżować w moim imieniu do innych krain.

– A moja uczennica? Mój pies? Oni przecież nie mogą zamieszkać w Tír na nÓg.

<Co? Hej, sekundka, moim zdaniem to nie jest najlepszy pomysł, tak?>

– Dla Oberona znajdzie się miejsce. – Brighid się uśmiechnęła. – Gorzej z twoją uczennicą, ponieważ jako istota śmiertelna będzie ciągle zagrożona i może paść ofiarą jakichś bardziej złośliwych faerii. Tír na nÓg to nie miejsce dla niej i wątpię, by długo tam przeżyła. Ale przecież nie będzie to dla niej takie znowu wielkie wyrzeczenie. Z pewnością tak wiele znowu się nie nauczyła o naszych tajemnicach w ciągu tych kilku tygodni. Zapłać jej za stracony czas i tyle.

– To nie takie proste. Dałem jej moje słowo, że ją wyszkolę.

– No to zabierz ją ze sobą, jeśli koniecznie musisz. Ale nie mogę zagwarantować jej bezpieczeństwa.

– A jesteś w stanie zagwarantować bezpieczeństwo mnie i Oberonowi?

Brighid wzruszyła ramionami.

– Nie ma takiej potrzeby. Sam umiesz o siebie zadbać.

<Hm>.

*Tak, chłopie, wiem, wiem, pogadamy później.* A do Brighid powiedziałem:

– Twoja propozycja jest niezwykle, niezwykle szczodra. Zupełnie mnie zaskoczyłaś.

Ożenić się z własną boginią to... to... Po prostu nigdy nie miałem takich ambicji. Muszę wyznać, że nie jestem nawet w stanie udzielić ci w tej chwili odpowiedzi, bo tak wiele przecież zależy od tego, co zrobię, że czułbym się źle, gdybym wcześniej nie rozpatrzył wszystkich implikacji mojej decyzji.

– Cóż za oficjalna przemowa. – Brighid pokręciła głową. – Widać w moich ustach zabrzmiało to jak propozycja transakcji biznesowej. Źle mnie zrozumiałeś.

Odstawiła piwo na blat stołu i podeszła do mnie. Jej ręka zanurkowała za mój pasek, lecz od razu wysunęła się stamtąd zawiedziona.

Brighid spochmurniała.

– Co się dzieje, Atticusie? Czy nie jestem dla ciebie atrakcyjna? Nie pożądasz mnie?

<Na gwiazdnego star treka! Beam him up, Scotty! No już!>

– To nie tak, to zupełnie nie tak – wybąkałem, odchrząkując znacząco, by przypomnieć Oberonowi, że Brighid naprawdę go słyszy. – Chodzi tylko o to, że akurat jestem niezwykle zmęczony... zupełnie wykończony... i choć oczywiście poza tym mogę zrobić dla ciebie, co zechcesz, to jednak nie mogę... no wiesz. Znacząco, nie w tej chwili. Potem bardzo chętnie – dodałem z uśmiechem. – Nawet bardzo, bardzo chętnie.

Brighid zmarszczyła nos. Usłyszałem, jak węszy, i nagle odskoczyła ode mnie na krok, a potem rozdarła mi koszulę, wydobywając na światło dzienne siniaki, zadrapania i inne pozostałości moich porannych wysiłków. Jej twarz oblał rumieniec, a oczy rozszerzyły się nieprzyjemnie, gdy dotarło do niej, że nie może to być nic innego jak dowody na moje figle z jej rywalką.

– Wiedziałam! – krzyknęła. – Spaleś z nią! Jesteś po stronie Morrigan! – I to było całe ostrzeżenie, nim zapalała gniewem, a raczej postanowiła, że to ja mam zapalać. Z jej palców i dłoni wystrzelił ogień, by zrobić ze mnie tosta w mojej własnej kuchni. Nie spalił mnie jednak, dzięki memu amuletowi, choć zachował się inaczej niż piekielny ogień upadłego anioła. Tamten wybuchnął falą gorąca, by zaraz potem zniknąć, nie czyniąc mi krzywdy, gdy tymczasem ogień miotany przez Brighid od razu spłynął cały na mój amulet, który zaczął mnie niemiłosiernie piec, zupełnie jak tamto zaklęcie niemieckich heks sprzed kilku dni. Było to bardzo dziwne, ale nie miałem czasu się teraz nad tym zastanawiać, ponieważ musiałem przede wszystkim: ochronić przyjaciela, zaleczyć skórę i ugasić ogień w kuchni.

<Hej, nie wypinaj się na mojego Brata!> warknął Oberon.

*Właśnie dlatego chciałem, żebyś się trzymał za nią. Jeszcze jej nie atakuj. Nic mi nie jest.*

Obnażyłem Fragaracha, wdrygając się mimowolnie, gdy rozgrzana stal dotknęła moich dłoni, i przyłożyłem go szybko Brighid do szyi.

– *Freagróidh tú!* – ryknąłem.

– Nie! Puszczaj mnie natychmiast! – wrzasnęła.

Usiłowała wyrwać mi się, ale nie była w stanie nawet drgnąć, gdy trzymała ją mocno niebieska poświata zaklęcia stworzonego wieki temu przez jej pobratymców.

– Rozkazujesz mi? Ty, która ledwie co chciałaś mnie usmażyć, teraz wydajesz mi rozkazy? Bardzo mi przykro, ale tak to nie działa. To ty przecież powiedziałaś, że ten miecz powinien zostać w moich rękach.

– Ale nie po to, żebyś go podnosił na mnie! – warknęła.

– To prawda – przyznałem – ale przecież właśnie usiłowałaś mnie zabić.

Jej oczy odszukały Oberona.

– Wypuść mnie natychmiast, bo inaczej...

Urwała, gdy przycisnąłem Fragaracha mocniej do jej szyi.

– Zrozum mnie, Brighid. Jeśli tylko tkniesz Oberona, twoje życie skończy się bardzo szybko. Wiesz dobrze, że potrafisz przemieszczać się między krainami, jeśli tylko zechcę. Nie będzie miejsca w żadnej krainie, w którym mogłabyś się przede mną ukryć.

– Jak śmiesz mi grozić?! Jestem twoim gościem!

– To ty odrzuciłaś prawa gościnności, gdy wybuchnęłaś gniewem. Nadszedł czas, byśmy sobie pogadali od serca, ty i ja, a Fragarach da mi gwarancję, że mnie nie oszukasz.

<Atticusie, chciałem tylko zauważyć, że szafki za tobą stoją w ogniu>.

*Dzięki, chłopie.*

– Zanim zaczniemy, gdybyś była tak miła i pogasiła te wszystkie ognie, które mi tu wzniciłaś.

– Czemuż nie miałabym po prostu poczekać, aż cały twój dom spłonie?

– Ponieważ byłoby to bardzo niegrzeczne z twojej strony, jako że ugaszenie tych ogni to dla ciebie betka. Ugaś je, proszę, żebyśmy mogli sobie porozmawiać w spokoju.

– W spokoju? – zadrwiła Brighid. – Z mieczem na moim gardle?

– Touché. Ale to zupełnie nie byłoby potrzebne, gdybyś zachowała się z większą powściągliwością. Pytam cię raz jeszcze: ugasisz te ognie?

– A jeśli nie? Będziesz mnie tortuował?



– Nie. Co ja jestem? Inkwizycja czy co? Sam znajdę sposób, by je zgasić, jeśli ty tego nie zrobisz. – Fragarach nie zmusi jej do żadnego działania; jest w stanie wymuszać tylko mówienie prawdy. Gaśnicę miałem w garażu, więc gdyby się nie zgodziła mi pomóc, musiałbym ciągnąć ją za sobą tam i z powrotem.

Bogini ognia skrzywiła się nieuprzejmie, ale jednak popatrzyła na coś za mną i rzuciła:

– *Múchaim*. – Spojrzała z powrotem na mnie i powiedziała: – Zrobione.

– Zrobione? – spytałem Oberona.

<No, zgasła je>.

– Oczywiście, że zgasłam – mruknęła Brighid, przypominając nam tym samym, że słyszy Oberona.

– Dziękuję. – Kiwnąłem jej głową. Dym kłębił się nadal pod sufitem. – Może usiądziemy. – Przesunąłem powoli miecz, żeby Brighid mogła, może w mało elegancki sposób, ale jednak przejść w stronę krzesła przy kuchennym stole, a potem zniżałem ostrze po milimetrze, aż wreszcie powoli usiadła. Zająłem miejsce naprzeciwko i szybko odstawiłem piwo ze stołu. – Doskonale. A teraz chciałbym przeanalizować wydarzenia z ostatniej chwili, jeśli nie masz nic przeciwko. Pojawiasz się tu z niezapowiedzianą wizytą, a ja witam cię grzecznie. Proponuję ci coś do picia, ty życzysz sobie piwa. Oświadczasz mi się, ja mówię, że muszę się nad tym zastanowić. Następnie zdierasz ze mnie koszulę i usiłujesz mnie zabić. Pozwól, że cię zapytam: twoim zdaniem, w którym to momencie zostały naruszone prawa gościnności wyznawane przez twój lud?

– Pomiñałeś to, że cudzołożyłeś z Morrigan.

– Nie. I nie kiedy ty tu byłaś. Odpowiedz na moje pytanie.

Nadąsana Brighid wycodziła:

– Kiedy zerwałam z ciebie koszulę, troszkę nadużyłam twojej gościnności.

– Robimy wspaniałe postępy – pochwaliłem ją entuzjastycznie. – A kiedy usiłowałaś mnie zabić? Czy to też nie było odrobinę niegrzeczne zachowanie jak na gościa?

– Tak... jeśli chodzi o ścisłość. Ale dałeś mi powód!

– Nie, Brighid, nie dałem. Gdybym zgodził się na małżeństwo z tobą, a następnie cudzołożył z Morrigan na twoich oczach z Def Leppard na cały regulator, to wtedy miałabyś prawo spalić mnie żywcem. Ale jestem nadal wolny i nie dałem ci powodu do takiego zachowania. Poza tym nie pojmuję, czemu zareagowałaś jak porzucona nastolatka. Przecież twoje zachowanie nie było podyktowane zazdrością, prawda?

– Nie – przyznała Brighid. – Nie kierowała mną zazdrość.

– Tak mi się wydawało. I nie zaproponowałaś mi małżeństwa dlatego, że naprawdę żywisz do mnie jakieś uczucia?

– Nie.

– Oczywiście, że nie. Nim wyjawisz mi prawdziwe powody tych oświadczeń, chciałbym odpowiedzieć na twoje zarzuty. Gdybym naprawdę był po stronie Morrigan, jak to ujęłaś, już dawno bym cię mógł zabić, a wręcz nawet powinienem, i pewnie bym to zrobił. Nie rozmawialibyśmy tak sobie tu w spokoju, gdybym był podporządkowany jej woli lub gdybym wspólnie z nią spiskował przeciw tobie w jakimś celu.

– To co jest między wami? – spytała.

– Morrigan odtworzyła mi ucho – wyjaśniłem, wskazując na małżowinę. – Magia erotyczna.

Brighid rozszerzyła oczy ze zdumienia.

– Nie wiedziałam, że je straciłeś. Nikt mi nie powiedział.

– No. Straciłem je wtedy w górach, kiedy zabiłem dla ciebie Aenghusa Óga. À propos,

czy to ty kazałaś Flidais porwać Oberona, żebym na pewno się stawił na miejsce walki?

Bogini westchnęła.

– Tak.

<Wrr. To znaczy, że wcale nie jesteś taka miła, jak mi się zdawało>.

– Nie mogę się z tobą nie zgodzić, Oberonie – powiedziałem. – Brighid, chciałbym, żebyś zastanowiła się przez chwilę, co ty tu wyprawiasz. Jestem ostatnim człowiekiem na tym świecie, który czci cię według starych tradycji. Ledwie kilka nocy temu, w Samhain, pokłoniłem ci się jak należy...

– Tak, ale Morrigan też się pokłoniłaś.

– Bo tak należy! Pokłoniłem się także Ogmie. I Manannanowi Mac Lirowi i reszcie. Jako że wszyscy oni są moimi bogami, tak jak i ty. Od tysiąclecia wierzę święcie w twoją boskość, piękno, czystość ducha... i na co mi przyszło? Odpowiedzmy sobie na kilka pytań. Dlaczego tak naprawdę chciałaś, żebym został twoim małżonkiem?

– Chcę poznać tajemnicę twojego amuletu. W Tír na nÓg mogłabym mu się lepiej przyjrzeć.

– Czy to jedyny powód?

– Nie. To by udaremniło plany Morrigan.

– Jakie plany? Bo to jest dla ciebie ważniejsze, nieprawdaż?

– Tak. Morrigan chce być najpotężniejszym bogiem w Tír na nÓg i wykorzystuje cię, by osiągnąć ten cel.

– Ty nie jesteś lepsza – zwróciłem jej uwagę. – Też chcesz być najpotężniejsza i też chcesz mnie wykorzystać. Jestem zgorszony zachowaniem was obydwu. Wiesz, co mnie już kompletnie powaliło?

<Mów!>

– To, że tak dramatycznie zeskoczyłaś ze swojego piedestału. Nawet nie mogę mieć porządnego kryzysu wiary i wahać się rozpaczliwie między moim obrazem idealnej bogini a utraconymi złudzeniami, bo nie pozostawiłaś mi żadnych wątpliwości co do swojej natury. Czy ty naprawdę nie widzisz, jak strasznie się poniżyłaś? Wydaje ci się nadal, że postąpiłaś słusznie, usiłując mnie zabić? Poczekaj, nie odpowiadaj jeszcze na to pytanie. – Brak spójności nie służył mojej sprawie. – Dlaczego usiłowałaś zabić mnie ogniem?

Brighid wzruszyła ramionami.

– Zwykle to załatwia sprawę.

To zdanie, wypowiedziane podczas działania zaklęcia wykluczającego wszelkie kłamstwa, powiedziało mi rzecz najważniejszą: Brighid nie wiedziała jeszcze o mojej umowie z Morrigan, bo w innym wypadku nawet by mnie nie próbowała zabić. A jednak nadal czegoś tu nie rozumiałem.

– Ale przecież wiedziałaś, że mój amulet chroni mnie przed magią – powiedziałem. – Zapomniałaś o tym czy co?

– Nie. Tylko myślałam, że nie będzie dość silny, żeby oprzeć się mojej magii.

– Aha. Czyli że myślałaś, że twoja magia jest potężniejsza od mojej.

– Tak.

– Kiedy śmiertelni popadają w pychę, nazywa się to z grecka *hybris*. Ale nie wydaje mi się, żeby istniał jakiś odpowiednik na takie samo zachowanie u nieśmiertelnych.

Patrzyła na mnie niewzruszona moim wywodem i bynajmniej nie było widać u niej żadnych objawów wyrzutów sumienia.

– Dobrze, więc co zrobisz, gdy cię już wypuszczę?

Naprawdę nie chciała odpowiadać na tak zadane pytanie i musiałem chwilę odczekać, aż

zaklęcie wymusi na niej odpowiedź.

– Zerwę ci amulet z szyi, a potem spalę cię żywcem, gdy już nie będzie cię nic chroniło.  
<Co? Coś tu jest nie w Sosie!>

Westchnąłem. I tak nie byłaby w stanie zerwać mi tego amuletu, ale to nie miało takiego znaczenia. Jej zamiary wobec mnie trochę mnie martwiły.

– Hmm. To nas stawia w dość niewygodnej sytuacji, nieprawdaż? Wolałbym, żebyśmy obydwójce przeżyli to spotkanie i rozeszli się w przyjaźni. Powiedz mi, Brighid, czemu uważasz, że zasłużyłem na śmierć?

– Bo nadal myślę, że jesteś człowiekiem Morrigan. A w dodatku poniżyłeś mnie.

– Nie jestem najemnikiem Morrigan. Do nikogo nie należę. Jestem wolnym człowiekiem. Jeśli czujesz się poniżona, to tylko dlatego, że zachowałeś się karygodnie. Ustaliliśmy już przecież, że to twoje działania, a nie moje, stanowią pogwałcenie prawa uprzejmości. Zachowujesz się jak rozkapryszony dzieciak i w ogóle nie bierzesz odpowiedzialności za swoje czyny, zupełnie jak jakiś nawalony Olimpijczyk. Chciałbym zauważyć, że nikt nie był świadkiem twojego poniżenia. Nikt nie wie, co zrobiłaś. Całe to wydarzenie może pozostać między nami. Wydaje mi się, że mimo wszystko nasze relacje mogą jeszcze się poprawić. Co ty na to? Czy zechcesz negocjować ze mną w pokoju czy też nadal jesteś przekonana, że muszę zginąć za jakieś wymaginowane przez ciebie przewinienia?

– Uwolnij mnie, a będę z tobą negocjować.

Roześmiałem się jej w twarz.

– Nie urodziłem się wczoraj, jak mawiają ludzie. Może i popertraktujesz ze mną przez chwilę, a potem znów będziesz mnie usiłowała zabić, prawda?

Brighid zazgrzytała zębami wściekła, że z taką łatwością przejrzałem jej „prawdę”.

– Tak – przyznała po krótkiej próbie oporu wobec Fragaracha.

– Tak właśnie myślałem. Toteż sama rozumiesz, że muszę cię trzymać pod zaklęciem, żeby mieć pewność, że negocjujesz w dobrej wierze.

– Ale ja nie mam takiego zapewnienia, jeśli o ciebie chodzi.

– Nie zabiłem cię przecież, chociaż miałem powód po temu. Nie złamałem wobec ciebie praw gościnności. Oraz: częściej cię wiernie od dobrych dwóch tysięcy lat. Wydaje mi się, że to naprawdę nie czas ni miejsce, żeby kwestionować moją moralność. Ty natomiast nie możesz mi się niczym odwdzięczyć. Zachowałeś się pochopnie, by nie powiedzieć głupio, bo się boisz, że Morrigan chce cię dorwać. Gdybym ja zachował się równie porywczo, już byś nie żyła, a Morrigan byłaby Pierwszą wśród faerii. I to się nadal może zdarzyć. – Celując w nią palcem wolnej ręki, pochyliłem się w jej stronę. – Postąpiłaś wobec mnie bardzo nieładnie, Brighid. Należą mi się przeprosiny. Dużo zależy od twojej odpowiedzi. Co na to powiesz?

– Przeprosiny z mieczem na szyi nic nie znaczą.

– Wybacz, ale nie mogę się z tym zgodzić. Z tym konkretnym mieczem na szyi musiałabyś mnie przeprosić ze szczerego serca, bo inaczej nie byłabyś w stanie w ogóle wypowiedzieć przeprosin. Toteż jest to podstawowy sprawdzian twojej osobowości. Czy jesteś w stanie przyznać się do błędu? Większość bogów nie jest, po prostu nie potrafią tego zrobić. Lecz ty byłaś kiedyś człowiekiem, to jest, nim my, Irlandczycy, zrobiliśmy z ciebie boginię. Zastanów się nad tym.

Oczy Brighid błysnęły niebieskim ogniem i przeszło mi przez myśl podejrzenie, że nie jest wykluczone, iż nauczyła się tej sztuczki tylko po to, by móc konkurować z czerwonymi błyskami ślepiów Morrigan. Może powinienem wykombinować, jak tu świecić oczami na zielono. Mógłbym wtedy straszyć kelnerki w Starbucksie. „Nie, ty głupia śmiertelniczko – mówiłbym do nich, błyskając zielonym okiem. – Przecież zamówiłem latte na *odtłuszczonym*

mleku!"

Bogini zerwała kontakt wzrokowy i skupiła się na nicości za mną, zaciskając usta tak mocno, że aż widziałem, jak chodzą jej mięśnie szczęki. Następnie zamknęła dłonie w pięści, a całe jej ciało zaczęło lekko dymić, wypuszczając tu i ówdzie na skórze pojedyncze płomienie. Domyśliłem się, że ma pewne problemy z opanowaniem wściekłości.

*Siedź teraz bardzo cicho, dobrze? Zapomniała chyba, że w ogóle tu jesteś, a wolalbym jej o tym nie przypominać.*

Oberon tylko pokiwał łbem na znak, że rozumie.

Po jakimś czasie płomienie zniknęły, Brighid się uspokoiła, jej mięśnie rozluźniły się, a ramiona opadły. Wzięła kilka głębokich, rozedrganych oddechów, aż w końcu zrobiła głośny wydech, położyła dłonie płasko na stole i wbiła wzrok w swoje kolana.

– Siodhachanie, podczas naszego spotkania naruszyłam wszelkie prawa uprzejmości i to w sposób skandaliczny. Bardzo cię za to przepraszam.

– Dobrze powiedziane, Brighid. Przyjmuję twoje przeprosiny, więc porozmawiajmy teraz o przyszłości. Kiedy uwolnię cię z zaklęcia Fragaracha, czy będziesz usiłowała uczynić krzywdę mnie lub mojemu psu?

– Nie. Nie będę też szukać zemsty za upokorzenie, którego doświadczyłam. Nie mogę ci jednak obiecać, że nigdy nie nastąpi między nami żaden konflikt.

– To rozumiałe, ale być może uda nam się uniknąć choć części ewentualnych nieprzyjemności, jeśli teraz szczerze sobie porozmawiamy i o innych sprawach. Jak ci się wydaje, co może spowodować konflikty między nami w przyszłości?

– Twoje powiązania z Morrigan.

– Dlaczego? Czy nie powinienem mieć prawa współpracować, z kim mam ochotę?

– Parz się z nią, ile chcesz – syknęła drwiąco Brighid – choć podejrzewam, że więcej w tym bólu niż przyjemności. – Znacząco wskazała brodą zadrapania na mojej piersi. – Nie to mnie martwi, ale twoje knowania z nią, które zagrażają mojej pozycji w Tír na nÓg.

– Dobrze więc. Wyjaśnij mi konkretnie, co cię niepokoi. Myślisz, że pomagam Morrigan odebrać ci władzę?

– Tak, tak właśnie myślę.

– Mogę cię spokojnie zapewnić, że nie chciałbym, żeby coś takiego nastąpiło, i to równie szczerze jak i ty. Znacznie bardziej bym wolał, żebyś to ty zajmowała się wszystkim, nie ona.

– Dziękuję – powiedziała ostrożnie Brighid po chwili wahania, gdy próbowała ocenić moją prawdopodobność.

– Czuję się jednak w obowiązku poinformować cię, że przysięgłem Morrigan, iż podzielę się z nią i z nikim innym sekretem mojego amuletu.

Oczy Brighid znów błysnęły na niebiesko.

– O tym właśnie mówię! Z taką ochroną z łatwością mnie pokona!

– Nie martw się. Masz masę czasu na zrobienie własnego. Morrigan nie jest w stanie stworzyć amuletu w jedną noc. To zajmuje całe wieki. I choć czuję, że zdecydowanie muszę odrzucić twoją jakże szczerą ofertę małżeństwa, to zawsze jesteś tu mile widzianym gościem i możesz przyglądać się mojemu amuletowi, kiedy tylko masz na to ochotę.

– Co takiego ci obiecała w zamian za amulet?

– Nic takiego, co mogłoby cię obchodzić. To w żaden sposób nie zagraża twojej pozycji.

– Strzeż się, druidzie. To podstępna i zdradziecka bogini.

– Postąpiła wobec mnie znacznie uczciwiej niż ty, Brighid. Oraz interesowała się moim życiem przez większość czasu. Nic dziwnego, że szybciej niż ty odkryła moją tajemnicę. Ty tymczasem ignorowałaś mnie przez całe stulecie, by nagle zainteresować się mną, gdy się

zorientowałaś, że mam coś, co chcesz mieć. Jeśli wydaje ci się, że tym razem z nią przegrałaś, nie możesz za to winić nikogo poza samą sobą.

Brighid zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, wyraźnie starając się ze wszystkich sił nie dać się znów ponieść emocjom.

– Tak, dziś mam rzeczywiście dzień podsumowywania moich życiowych błędów. Skończyłeś już?

– Prawie. Czy zgodzisz się opuścić mnie teraz w pokoju, a w przyszłości z wyprzedzeniem informować mnie o swoich wizytach?

– Tak.

– A moja obiecana nagroda za zabicie Aenghusa Óga? Zamiast zostawać twoim małżonkiem, wolałbym, byś po prostu wybaczyła mi dzisiejsze zajście. – Odjąłem Fragaracha od jej szyi i odłożyłem go na stół, ale nadal trzymałem dłoń na rękojęści. – Będzie mi bardzo miło, jeśli znów mnie odwiedzisz, i mam nadzieję, że przebieg naszego następnego spotkania będzie znacznie przyjemniejszy.

– Nie nadużyję już twojej gościnności – obiecała Brighid, wstając. – Lecz nie usłyszysz już też nigdy oferty takiej jak dziś. Wszystko to – ujęła dłońmi swoje piersi – mogło być twoje, druidzie, ale już nigdy nie będzie. Pomyśl o tym, gdy następnym razem Morrigan znów będzie maltretować twoje ciało.

Wychodząc, upewniła się, żebym zobaczył całkiem sporo z tego, co mnie ominie. Cholera. Cholera. Cholera.

<Już mogę mówić?>

*Jasne, Oberonie. Co tam?*

<Zwykle wydaje mi się, że twoja paranoja jest naprawdę śmieszna. Ale w tej chwili jestem ci bardzo wdzięczny za to, że kazałeś mi tak stanąć, żeby nie spaliła mnie Ta od Potężnych Huśtawek Emocjonalnych>. Uniósł swoje wielkie cielsko, oparł przednie łapy na moich ramionach i liznął mnie soczyscie po twarzy. <Dzięki, Atticus>.

## Rozdział 15

Na mojej komórcie nazbierało się całkiem sporo nieodebranych telefonów. Kilka było od Granuaile, kilka od Maliny, a kilka od Hala Hauka. Najpierw zadzwoniłem do mojego prawnika.

– Atticus! Powiedz mi tylko, że nie byłeś w żaden sposób zaangażowany w całą tę Masakrę w Satyrnie – zażądał bez zbędnych wstępów.

– Masakrę w Satyrnie?

– Tak o tym piszą gazety. Masakra z wielkiej litery.

– Oj. Słuchaj, a może byś tak tu do mnie wpadł? – zaproponowałem, bo przecież każdy mógł nas podsłuchiwać.

– Bogowie światła i ciemności, miejcie nas w swojej opiece. Ani się rusz. Zaraz tam będę – warknął i się rozłączył.

Potem zadryndałem do Granuaile.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytała.

– Chyba musisz określić, co masz na myśli, mówiąc „w porządku”.

– Jesteś w jednym kawałku i wszystko ci działa?

– Zatem tak, wszystko u mnie w porządku.

– To dobrze. Pomyślałam sobie, że może chciałbyś wiedzieć o tym księdzu i rabinie.

Znow tu byli.

– Byli w sklepie? – Zmarszczyłem brwi. – Czego chcieli?

– Poprosili, żebym otworzyła im gąbłkę z białymi krukami. Powiedziałam, że niestety nie jestem w stanie.

– Bo i nie jesteś.

– Nie jestem. Wyglądali na dość wkurzonych. Potem zaczęli zadawać mnóstwo pytań na twój temat. Takich religijnych, jak czy jesteś chrześcijaninem, żydem czy poganinem i czy należycie wypełniasz swoje religijne obowiązki.

– Co im powiedziałaś?

– Że na takie pytania lepiej, byś odpowiedział im sam. Wtedy chcieli koniecznie wiedzieć, kiedy będziesz w sklepie, więc powiedziałam im, że naprawdę nie wiem.

– Mam nadzieję, że przyjadę jeszcze dziś. Czy Perry i Rebecca poradziliby sobie jutro sami?

– Jasne. A co ja mam robić?

– Skup się na łacinie i zrób coś, żeby odzyskać pracę w Rúli Búli.

– Już ją odzyskałam. Wystarczyło zadzwonić i trochę się poprzymilać do Liama.

– Doskonale! Chciałbym, żebyś wpadła tu rano, bo muszę zadbać o twoje bezpieczeństwo. Nie miałem ostatnio czasu na żadne wróżby, ale opadło mnie dziwne przecucie.

– Takie paranoiczne?

– A istnieją jakieś inne? Kochanie – powiedziałem, a mój głos przeszedł natychmiast w tony słodko-misiowate – wiesz, za co cię tak strasznie kocham? – Nie był to objaw nagłego rozkwitu uczuć między nami, ale tajne hasło, które wymyśliła Granuaile.

– Słuchaj, sensei – powiedziała po powrocie z Karoliny Północnej. – Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze przeżyjemy takie wariactwo jak z tym Aenghusem Ógiem, ale na wszelki wypadek powinniśmy ustalić sobie jakiś kod na porozumiewanie się przez telefon. Nie możesz wysyłać do mnie prawnika za każdym razem, kiedy musimy coś obgadać. Może nie być na to czasu. Gliny mogą do mnie dotrzeć szybciej niż on. Albo mogę być poza miastem, gdy ty

mnie potrzebujesz. A cała ta afery była taka chaotyczna. Tyle rzeczy mogło się nie udać. Uważam, że powinniśmy mieć plan, no wiesz, Czuj ducha i Czuwaj i takie tam.

– Chrząć czucie ducha – mruknąłem. – Ale „Czuwaj” było moim mottem życiowym na wieki, zanim powstały nawet ulice, przez które harcerzyki czy inni skauci mogą sobie teraz przeprowadzać te swoje staruszki.

– O. Aha. – Granuaile zamilkła, ale kiedy nie zrobiłem nic, żeby przerwać ciszę, spytała: – Czy to znaczy, że już masz plan, sensei?

– Nie, tylko ustalam kolejność w hierarchii ze skautami.

Kąciki ust Granuaile drgnęły w kierunku górnym.

– Przyjęłam do wiadomości. Ale mam plan, sensei, jeśli jesteś go ciekaw.

– No jasne, że jestem. Takie planowanie to jest właśnie cecha dobrego druida. Powaga – dodałem, bo byliśmy jeszcze tak do siebie nieprzyzwyczajeni, że nie rozpoznawała, kiedy naprawdę ją chwale, a kiedy sobie żartuję.

– Dziękuję. – Jej policzki oblały się lekkim rumieńcem. – Otóż w dzisiejszych czasach należy założyć, że na podsłuchu są wszystkie telefony komórkowe, a może i niektóre stacjonarne. Co oznacza, że należy posługiwać się kodem. Ale jeśli kod jest zbyt dziwny albo jest to obcy język, albo coś, natychmiast cię namierzają i pakują na no-fly listę i możesz zapomnieć o lataniu samolotem...

– Przepraszam – przerwałem jej. – Ale jacy oni?

– Rząd. Gliny. Faceci w czerni. Może nawet i skauci. Generalnie: oni.

– Aha. Mów dalej, proszę.

– No więc potrzebujemy prostego kodu i tak sobie pomyślałam, że skoro i tak już udawaliśmy, że coś nas łączy, przy jednym alibi, może powinniśmy wykorzystywać ten pomysł także w innych sytuacjach.

– Powinniśmy, tak? – Poczulem, że mimowolnie się uśmiecham.

– Tylko tak na niby – wyjaśniła z naciskiem, a jej policzki zaróżowiły się jeszcze bardziej. – Wtedy, jeśli zajdzie potrzeba, po prostu dzwoniemy do siebie, rzucamy hasło i nadajemy kodem zgodnym z alibi.

– To jakie jest hasło?

– Yyy. Tego... no... chodzi o to, żeby pasowało do tej fikcji, że niby jesteśmy razem. I dlatego hasło brzmi: „Kochanie, wiesz, za co cię tak strasznie kocham?”. I wtedy druga osoba odpowiada: „Za co?” i wtedy możesz zacząć opowiadać, czego to nie robiliśmy wczoraj wieczorem i jak to było miło, oczywiście z masą przesłodzonego misiowania dla większego realizmu i bam! przemycasz swoją informację tak, że wielkie uszy militarno-przemysłowych dupków w ogóle się nie orientują!

Uniosłem brwi i pokiwałem głową.

– Niezłe, niezłe – przyznałem z szacunkiem. – Nawet jakby ktoś podsłuchiwał, to natychmiast przestanie, jak usłyszysz słodkie kizi-mizi w naszych głosach. Słuchanie, jak inni ciuciąją, gwarantuje mdłości u każdego. Dobra, to niech to będzie nasz tajny plan i miejmy nadzieję, że nigdy nie będzie potrzeby wprowadzać go w życie.

Teraz, kiedy musieliśmy go wcielić w życie ledwie tydzień po tym, jak tak genialnie go wymyśliła, Granuaile podjęła mój ton, niemal bez żadnego wahania w głosie.

– Za co, Atticusku? – spytała głosem jak syrop klonowy. – Wiesz, że uwielbiam, kiedy mi mówisz, jak mnie kochasz, misiu.

– No, wiesz, kiedy wczoraj wieczorem pojechaliśmy do tego parku na północ od Indian Bend Road, co to w nim się palą latarnie przez całą noc, i tak sobie odbijaliśmy te piłki baseballowe tymi nowymi kijami, żeby Oberon mógł je sobie pogonić, to wiesz, tak sobie

pomyślałem, że naprawdę strasznie cię kocham za to, że tak podnosisz te wszystkie piłki takie ociekające jego śliną i pogryzione i w ogóle, bo przecież wiem, że tego nie cierpisz.

– Oj, Oberon jest taki słodki – odparła Granuaile. – Strasznie długo tam byliśmy, nie? Jak myślisz, ile piłek mu odbiliśmy?

Mało nie pękłem z dumy. Ja to mam bystrą uczennicę.

– Na pewno z tuzin – odpowiedziałem. – I nie zapomnij, że te dwa kije cały czas jeszcze leżą u ciebie w samochodzie.

– W moim? Zupełnie jakoś zapomniałam, one są twoje własne czy powinnam je gdzieś oddać czy coś?

Co za bystrzacha. Wie dokładnie, o co spytać. Kiedy przyjmowałem ją na uczennicę, robiłem to poniekąd pod przymusem, ale teraz wiedziałem już, że był to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Te są moje. Te drewniane, wilsonsy. Tamte aluminiowe były pożyczone, ale już je oddałem.

– Aha. I to wszystko?

– Tak. Kije i piłki są w bagażniku, a ty jesteś moją najkochańszą landryneczką, moim wookiee-wookiee, moim tuli-tuli.

– Yyy... Czekaj no. Czy ty mnie nazwałeś Wookiem?

Zachichotałem.

– Wyłapałaś to?

Zakończyłem tę słodką rozmowę i skupiłem się na ostatnim telefonie do wykonania. Zostawiłem go sobie na koniec, bo wiedziałem, że zostanę zganiony. Skrytykowany. Być może nawet opieprzony. I to wszystko z polskim akcentem.

– Nie rozegrał pan tego wczoraj wieczorem najlepiej, panie O'Sullivan – powiedziała natychmiast Malina.

– Tego rodzaju przeciwnicy nie należą do moich specjalności – odparłem, bojąc się użyć słowa „bachantki” przez telefon, bez względu na to, czy rzeczywiście ktoś nas podsłuchiwał czy nie. – Ale udało mi się dorwać większość z nich.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „większość”?

– Było ich piętnaście, a nie dwanaście, jak błędnie wykazały pani wróżby, toteż trochę jest w tym i pani winy, pani Malino. – Rozmawianie o wróżbach i zaklęciach przez telefon to zupełnie inna sprawa. Nie należy się tym przejmować, bo jeśli nawet ktoś nasłany przez rząd nas teraz słucha, od razu to zignoruje jako banialuki New Age'owskich hippisów.

– Ile umknęło? – spytała Malina.

– Tylko jedna.

– Cóż, zatem pewnie wróci do Vegas. Ale następnym razem może zabrać ze sobą większe posiłki.

– Hmm, następnym razem to ja już pani nie będę w stanie pomóc. Gdyby ta ostatnia chciała walczyć, pewien jestem, że bym sobie z nią nie poradził. Jak tam pani heksy?

– Udało nam się pożegnać już z dwiema.

– I żegnały się panie tak z odległości, z pani apartamentu?

– Tak – potwierdziła z zadowoleniem w głosie.

– Znała je pani?

– Nie, były to młodsze członkinie, nie dość dobrze chronione i nie dość mądre, by starannie ukrywać swoją prawdziwą naturę.

Z czego wynikało dla mnie jedno: Malina wcale nie potrzebowała włosów lub krwi, żeby przypuścić śmiertelny atak, i to z oddali. A w dodatku była w stanie wyłapać w tłumie osoby



posługujące się magią. Dobrze wiedzieć.

– To wspaniale – powiedziałem. – Czy to oznacza, że wie pani, gdzie przebywają pozostałe?

– Niestety nie. Ale jesteśmy coraz bliżej. Zawężyliśmy obszar do Gilbert. Przydałoby się nam więcej krwawnika.

– Nie ma sprawy, zaraz wyślę paniom jeszcze ze trzy funty. A nikt nie będzie pytał o te dwie, które panie pożegnałyście?

– Tak jak to ludzie mają w zwyczaju pytać o to, co się robiło zeszłego wieczoru? Nie, w ich zniknięciu nie było nic podejrzanego.

– Aha, rozumiem. – Wypadki chodzą po ludziach.

– I pan mógłby czasem spróbować subtelniejszych metod. Ale, ale, teraz już wiedzą, że nie udało im się za pierwszym razem, więc będą pewnie znów próbować. Radziłabym się panu jakoś przygotować na kolejne ataki.

– Ataki takie jak ten pierwszy?

– Nie, domyślam się, że raczej spróbują czegoś nowego. Pewnie z mniejszymi fajerwerkami, ale jeśli się pan nie przygotowuje, może pan to tak czy siak przyplacić życiem.

– Dobra, dzięki za ostrzeżenie.

Przed domem z piskiem opon zahamował jakiś samochód.

<Twój wilkołaczy prawnik już tu jest> mruknął Oberon. <Zakład, że znów pachnie tym cytrusowym odświeżaczem?>

*Ja stawiam na wanilię.*

Szybko pożegnałem się z Maliną i otworzyłem drzwi, by powitać Hala, który już wchodził na frontowe schodki z marsem na czole i gazetą w ręce.

– Dzień dobry panu! Ho, ho, cóż za wspaniały garnitur!

Hal zamarł i obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Co ci się stało, do cholery? – spytał, patrząc na moje poobijane, podrapane i odarte z koszuli ciało. Machnął w stronę ran i spytał: – To po wczorajszym?

– Nie, to po dzisiejszym nieco brutalnym seksie.

– Niektórym to dobrze. To już o nic nie pytam. O, czyżbyś odzyskał ucho?

– No. To naprawdę najlepsze, co mi się dziś przydarzyło.

Hal odetchnął z ulgą i pomachał mi znacząco gazetą przed nosem.

– Słowo daję, ale masz fuksa. Policja szuka faceta, który wygląda tak jak ty, ale nie ma prawego ucha. Bałem się, że już po tobie.

Uniosłem ręce zdezorientowany.

– Ale skąd policja w ogóle wie, kogo szukać? Przecież ci dwaj gliniarze, którzy mnie widzieli, nie żyją.

– A jeden z tych lalusiów z klubu widział, jak ci funkcjonariusze, dziś już nieżyjący, trzymali cię skutego na ziemi, toteż żyjący policjanci oczywiście zaniepokoiли się, co się właściwie stało z tym podejrzanym. Mają wszystko: opis twoich ciuchów, kolor włosów i nawet brak ucha. Ale nie wiedzą, jak wyglądała twoja twarz, bo miałeś ją ponoć wbitą w asfalt.

– A wspominali coś o tatuażach?

– Na szczęście nie. Tatuaże musiały akurat też dotyczyć ziemi czy co, bo szukają faceta bez tatuaży i bez ucha. – Hal zaczął nagle węszyć i zmarszczył brwi. – Coś się przypala?

– Mój dom się ździebko palił, ale już jest po sprawie.

– O – powiedział i płomień jego ciekawości zgasł w jednej chwili. – Ten smród jest dość irytujący, nawet tutaj, więc jeśli ci to nie przeszkadza, wołałbym usiąść na werandzie.

– Jasne. – Wskazałem mu krzesło, a on podał mi gazetę, gdy na nim siadał.

Oberon zaczął walić ogonem o krzesło i wepchnął łeb pod rękę Hala.

– Co tam, psinko? – spytał Hal i uczynnie podrapał Oberona za uchem.

<Wygrałem. Śmierdzi cytrusami, to jest, jeśli nie liczyć zapachu mokrego psa>.

*Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może próbuje tymi cytrusami właśnie zatuszować smród mokrego psa?*

<Ale to by było bez sensu, Atticusie. Zapach mokrego psa to idealny aromat dla wilkołaka. Myślę, że jest dokładnie odwrotnie>.

MASAKRA W SATYRNIE – krzyczała tymczasem gazeta. „Dwadzieścia pięć osób, w tym dwóch funkcjonariuszy policji, zginęło w koszarze w nocnym klubie”. Na zdjęciu widać było zapakowane już ciała leżące rzędem przed lokalem.

SCOTTSDALE: Policja nadal poszukuje podejrzanych w sprawie najgorszego masowego morderstwa w mieście, które miało miejsce wczoraj wieczorem w klubie Satyrn na Scottsdale Road. Świadkowie nie są pewni, w jaki sposób doszło do masakry, ale zakończyło ją zabójstwo dwóch policjantów z komisariatu w Scottsdale.

Przebiegłem tekst oczami.

– Ha. Piszą o połamanych kijach, ale nie o mieczu – powiedziałem.

– Wymachiwałeś mieczem na oczach tych wszystkich świadków?

– Nie, nie. – Wyjaśniłem mu, co się wczoraj wydarzyło, po czym opowiedziałem, jakie wymyśliliśmy alibi z Granuaile podczas naszej misiackowej rozmowy. – Mam jeszcze rachunek z Targetu – dodałem – więc jeśli tylko ochrona znajdzie kasetkę z nagraniem z wczoraj, a jeśli znają się na swoim fachu, to raczej ją znajdą, to powiemy, że kije Granuaile to moje kije, tylko trochę zużyte i brudne po wczorajszym rzucaniu piłek z psem.

<Jak rozumiem, oznacza to, że mam przeżuć kilka piłeczek baseballowych, tak?>

*Na to by wyglądało. Ale jeśli będziesz grzeczny, umoczę ci je najpierw w jakimś sosie.*

– Odciski na kijach? – spytał Hal.

– Tym się zająłem.

– Czyli że po prostu nie możesz być tym facetem z klubu, bo masz ucho i w dodatku twoje kije są całe. Rozumiem. – Hal pokiwał głową. – To może im rzeczywiście pomieszać szyki, jeśli dojdzie do procesu, szczególnie że tak wszędzie trąbili o tym braku ucha. Powinni mieć tak zwane uzasadnione wątpliwości. Ale i tak będziesz miał masę kłopotów, jeśli jakkolwiek świadek wspomni coś o mieczu. Od kilku tygodni cały czas jeździsz z tym żelastwem wszędzie, w tę i we w tę po Mill Avenue, i chyba nie ma tu osoby, która by cię jeszcze z nim nie widziała. No i ktoś mógł zauważyć, że przez jakiś czas nie miałeś ucha.

– No i co z tego? Fragarach ani razu nie opuścił pochwy. Nikt nie zginął od ran zadanych mieczem.

– Ale posłużą się mieczem, żeby cię namierzyć, Atticusie. Słuchaj, czy ty go tu ciągle masz?

– No, jasne. Teraz mam nawet dwa wypasione miecze.

Ten drugi należał do Aenghusa Óga, nazywał się Moralltach – Potężny Gniew – i przypadł mi w udziale, gdy wygrałem go w pojedynku z jego poprzednim właścicielem.

– Radzę schować je oba w tej chwili, i to dobrze. Nie trać ani minuty.

– Co? Dlaczego?

– Myślę, że komisariat z Tempe będzie pomagał chłopcom ze Scottsdale, żeby się upewnić, że wszystko idzie jak trzeba, a nie zostanie znów tak kapitalnie spieprzone jak wtedy w twoim sklepie – wyjaśnił Hal, robiąc aluzję do przeszukiwania mojej księgarni, które poszło trochę niezgodnie z planem i zakończyło się strzelaniną, w której zabity został pewien policjant z Tempe, a ja odniosłem rozległe rany. – A to z kolei oznacza, że zaraz tu pewnie przyjadą i będą

mieli porządny nakaz przeszukania twojego domu. Myślę, że tym razem zrobią wszystko bardzo starannie i zgodnie z prawem, ale jeśli znajdą miecz, od razu zabiorą cię do miasta na dłuższą rozmowę.

– A co z łukami, strzałami i inną bronią, taką jak miecze do miotania i takie tam?

– A co? Nie mów mi, że to wszystko trzymasz w domu?

– Nie, w garażu.

Zaklął siarczyście po staronordycku i dopiero po chwili przeszedł z powrotem na angielski.

– Niech cię diabli, Atticusie, załatw ty sobie na te swoje gówniane zabawki jakąś jaskinię z nietoperzami czy coś.

– Dlaczego? Myślałem, że to wszystko jest legalne.

– Bo jest, ale w takiej sytuacji jak ta lepiej, żeby nie wyczuli dymu, bo się domyślą, że był jakiś ogień. Co w twoim wypadku można też rozumieć dosłownie. – Pociągnął nosem i skrzywił się okropnie. – Co właściwie doprowadziło do tego pożaru?

– Wizyta bogini.

– Mówisz poważnie czy strzyżesz ze mnie wariata?

– Zupełnie poważnie. – Postanowiłem nie wyjaśniać mu w tej chwili, że mówi się „strugać wariata” i to w dodatku w trochę innym kontekście, bo naprawdę tak świetnie już sobie radził. Hal był jednak znacznie młodszy od Leifa, a przede wszystkim o wiele bardziej się starał posługiwać potocznym językiem amerykańskim. Zwykle też doceniał to, że go poprawiam, ale teraz nie chciałem go rozpraszać.

– Czy to coś, czym powinienem się przejmować?

– Nie, irlandzka polityka i tyle.

Hal spojrział na mnie ostro i pomachał mi palcem przed nosem.

– Irlandzka polityka jest zwykle cholernie niebezpieczna. Lepiej się w to nie mieszaj.

Bądź ostrożny.

Rozdziawiłem usta ze zdumienia.

– Własnym uszom nie wierzę, że to powiedziałeś.

<No, bo ty to normalnie zawsze jesteś ostrożny. Fetyszystycznie ostrożny>.

– Niby dlaczego? – spytał Hal, robiąc urażoną minę i wzruszając ramionami.

– Wczoraj dzwoniłem do Gunnara, żeby mi pomógł z tymi bachantkami, i po prostu mnie olał. Żadnych tam „powodzenia”, „bądź ostrożny”, nic z tych rzeczy. Teraz zmagamy się ze skutkami tego, że musiałem tam iść sam, a ty mi tu mówisz, że mam być ostrożny, kiedy ci opowiadam o irlandzkiej polityce?

<Czy mogę dostać jakiś smakołyk za użycie słowa „fetyszystycznie” w zdaniu?>

– Dobrze rozumiem, co Gunnar miał na myśli. Nie do nas należy utrzymywanie w okolicy magicznego ładu i porządku.

– Ale do mnie też nie.

<Bo wiesz, to jest naprawdę trudne słowo. Jak się nie wymawia go dostatecznie ostrożnie, to wychodzi: fety-szytyty-tysztysztycznie i normalnie się czujesz wtedy jak szczeniaczek, co to zapomniał podnieść nogi, wiesz?>

– No to po co się w to angażowałeś? – spytał Hal.

Przeszło mi przez myśl, żeby mu powiedzieć o bezpiecznym miejscu, które jest mi potrzebne, by żyć tu i pracować nad tą martwą ziemią wokół Tony Cabin, ale potem stwierdziłem, że to może zbyt skomplikowane i że pewnie nie zrozumie, czemu miałbym się porywać na projekt, który mi zajmie całe lata, więc zamiast tego wzruszyłem tylko ramionami i powiedziałem:

– Irlandzka polityka.  
– Sam widzisz. Cholernie niebezpieczna. A nam płacisz za to, żeby cię wyciągać z więzienia, gdy już się wpakujesz w kłopoty, a nie, żeby ci pomagać się w nie wpakować. – Wstał z krzesła i wskazał na dom. – Pomogę ci wszystko pochować.

<Myślę, że Halowi też się będzie należał jakiś smakołyk, jeśli mu się uda ciebie obronić przed więzieniem> oświadczył Oberon, gdy weszliśmy do środka.

*Nie należy proponować wilkołakowi żadnych smakołyków, jeśli się chce zachować kończyny. Wilkołaki uważają, że smakołyki to coś ubliżającego i poniżej ich godności.*

<Wiesz, ten księżyc musi im coś robić z głową, jeśli tak uważają, bo ja naprawdę nie widzę niczego złego w smakołykach. Poważnie, Atticusie, te wilkołaki to normalnie pojęcia nie mają o Kodzie Psowatych>.

*Że co, przepraszam?*

<O Kodzie Psowatych. Czy nikt ci nie wyjaśnił może, że smakołyki to z definicji pyszne przekąski, które dobrze zjeść zawsze i wszędzie, no może z wyjątkiem pogrzebów?>

*Nie. Pewnie sam to wszystko właśnie wymyśliłeś.*

<No, jasne, że tak! Jestem tak kreatywnym psem, że należy mi się za to smakołyki!>

*Na to wygląda. Zatrzymałem się w kuchni, żeby wyciągnąć z lekko przypieczonej spiżarni kilka smakołyków dla Oberona. Jak już je zjesz, stań, proszę, na czatach przed werandą i daj mi znać, gdyby ktokolwiek się zbliżał.*

<Dobra! Ale chłopie, te smakołyki mają zupełnie przesmakowity smak. Wilkołaki to naprawdę nie wiedzą, co tracą>.

Potem poszedłem do garażu po Moralltacha, kilka mieczy do ćwiczenia fechtunku i materiał wodoodporny (taki prawdziwy, impregnowany olejem, a nie jakieś syntetyczne świństwo, bo naprawdę wolę naturalne materiały). Jako że nie miałem żadnej jaskini do dyspozycji, z nietoperzami czy bez, musiałem ukryć to wszystko za pomocą magii. Chwyciłem nożyczki i zacząłem ciąć materiał na kawałki, a potem Hal zawijał w nie kolejne miecze.

– Masz jakąś taśmę czy coś, żeby to się jakoś trzymało kupy?

Przestałem ciąć materiał i spojrzałem na mojego prawnika.

– Hal? Jestem druidem. Zapomniałeś czy co?

Hal zaczerwienił się i wymamrotał jakieś przeprosiny.

– Racja. To jesteś w stanie to jakoś spleść, tak?

– Tak, jestem. Ten już zawinąłeś?

– Jest gotowy.

– Przytrzymaj te krawędzie – poprosiłem i odczekałem, aż to zrobi. – *Dún* – powiedziałem po irlandzku. Włókna z krawędzi połączyły się, tworząc jednolity materiał, aż powstało coś w rodzaju wstęgi Möbiusa bez początku i końca, przynajmniej bez widocznego początku i końca.

W oczach Hala wyglądało to tak, jakby krawędzie po prostu zniknęły i zmieniły się w nieprzecięty materiał. Pokręcił głową.

– Szkoda, że nie obchodzisz Bożego Narodzenia. Twoje prezenty byłyby tak świetnie zapakowane.

Powtórzyliśmy ten proces jeszcze trzy razy, a potem zebrałem wszystkie miecze i zaniósłem za dom. Hal podreptał za mną, węsząc podejrzliwie nad moimi ziołami.

– Nie hodujesz tu niczego, co by choć odrobinę przypominało marihuanę, co?

Prychnąłem tylko.

– Trzeba by być skończonym kretynem, żeby pomylić te zioła z marihuaną.

– Gliniarze bywają czasami skończonymi kretynami.

– Nie ma tu nic cennego. Mogą sobie wszystko skonfiskować, jeśli uważają, że muszą chronić społeczeństwo przed moimi ziołami.

– Dobra. To gdzie je chowamy? – Hal rozejrzał się za najlepszym miejscem do zakopania mieczy, ale to nie był właściwy kierunek.

– Widzisz to drzewo palo verde u mojego sąsiada? Jego gałęzie wchodzą mi do ogródka. Tam to wszystko upakujemy.

– Oookej. Niby jak? – Pień rósł sobie po drugiej stronie bardzo wysokiego drewnianego płotu, z tych, których raczej się nie przeskoczy, więc nie mogłem wspiąć się po pniu, żeby dotrzeć do gałęzi wysoko nad nami.

– Wykorzystaj te swoje wielgachne włochate mięśnie i rzuć mnie wysoko na gałęzie, a potem podrzuć mi też miecze. Splotę je z gałęziami, żeby je tam umocować, i zakamufluję.

– Te gałązki wyglądają dość delikatnie. Myślisz, że utrzymają taki ciężar?

– Jasne. To drzewo mnie kocha. Jego korzenie przechodzą pod płotem i gadamy sobie czasem od serca o pyłkach, azocie i tych okropnych chrząszczach.

Hal popatrzył na mnie sceptycznie.

– Poza tym mogę tymczasowo wzmocnić drewno.

– Aha, to w takim razie okej. To odłożę tu marynarkę...

Nie minęło pięć minut i już było po sprawie, a Hal nawet się nie napocił specjalnie od tego ciskania mną na drzewo. Zwykle ubierał się tak, żeby ukryć swoją muskulaturę, bo na sali sądowej takie ilości mięśni kojarzą się raczej z oskarżonymi niż z prawnikami. Nawet wtedy jednak jego postura robiła wrażenie – „męski mężczyzna” o ostro zarysowanej brodzie i szerokim uśmiechu. Nosił okulary, ale nie dlatego żeby miał jakiegokolwiek problemy ze wzrokiem, tylko uważał, że to go w oczach sędziego czyni inteligentniejszym i delikatniejszym.

– Niezłe to zakłęcie – powiedział teraz, wpatrując się w gałęzie, na których zakamuflowałem miecze. – Niby wiem, że tam są, ale nie mogę ich dojrzeć.

– Kamuflaż będzie się utrzymywał, póty będę miał choć odrobinę mocy. Same sploty mocujące będą tam, dopóki ich nie odplączę.

– Świetnie. To co robimy z resztą twoich śmiertcionośnych zabawek?

– A jak myślisz, ile jeszcze nam zostało czasu?

Hal wzruszył ramionami.

– Może dwie godziny, może dwie minuty.

<Atticus! Na ulicy pojawiły się trzy samochody pełne facetów ubranych à la Wielki Brat>.

*Dzięki, Oberon. Przejdź na tylne podwórze.*

– Chyba raczej dwie sekundy – powiedziałem do Hala. – Już zajechali przed dom.

– No to pozostaje nam improwizować.

– Tak. – Wzruszyłem ramionami. – Może być zabawnie.

– Ale bądź tak miły i włóż koszulę, dobrze? Szukają kogoś, kto zabił wczoraj masę ludzi, a z tymi siniakami wyglądasz na idealnego podejrzanego.

– A, racja. – Spojrzałem w dół, na mój tors, który nadal był w oplakany stanie po pieszczotach Morrigan. Bez trudu bym go wyleczył porządnie zaledwie w kilka chwil, gdybym tylko je miał, a nie cały dzień przyjmował gości.

– I nie odpowiadaj na ani jedno pytanie, póki ich nie pomęcę za każdym razem, aż im się odechce.

– Tak jest.

Gdy weszliśmy do środka – Hal, żeby otworzyć drzwi, a ja, żeby włożyć koszulę – wydałem Oberonowi odpowiednie instrukcje.

*Najlepiej będzie, jak posiedzisz sobie na podwórku, gdy my będziemy tu z nimi walczyć – powiedziałem mu. Udawaj, że jesteś megalagodnym i lekko przygłupim pieskiem. Gdyby ktoś czegoś od ciebie chciał, machaj słabo ogonem, ale ani się rusz.*

<Czy muszę pozwolić Wielkiemu Bratu mnie głaskać?>

*No, możesz się nieśmiało od niego odsunąć, ale na pewno nie możesz warczeć, szczeakać ani gryźć.*

Gdy szperałem w szufladzie z koszulkami, w nagłym olśnieniu chwyciłem starą koszulkę anime z masą ostrych nosów, wielkich oczu i gigantycznych mieczy. Wystarczy włożyć i człowiek od razu wygląda jak skończony nerd!

Gdy wyłoniłem się z sypialni, w salonie tłoczyła się już cała masa facetów w garniturach. Żaden z nich nigdy mnie przedtem nie widział, więc być może uda mi się odegrać skończonego idiotę i ujdzie mi to płazem.

– Ja cię kręcę? Co się tu dzieje? Skąd wyście się tu wzięli, chłopaki? I kim jesteście? – powiedziałem, z miejsca obniżając sobie IQ w oczach wszystkich zgromadzonych w moim pokoju.

– Atticusie, to policja – wyjaśnił mi Hal.

– Atticus O'Sullivan? – Wysoki mężczyzna o piaskowych włosach, w zielonej koszuli i jedwabnym krawacie wystąpił naprzód i zamachał mi przed nosem legitymacją. – Jestem detektyw Kyle Geffert z komisariatu w Tempe. Mamy nakaz przeszukania pana domu w poszukiwaniu wszelkich mieczy, jakie pan ma, jak również broni tępej, takiej jak na przykład kije baseballowe.

Jego imię coś mi mówiło, ale nijak nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie już je wcześniej słyszałem.

– Oj, ale fajnie – powiedziałem. – Może by się panom udało przy okazji znaleźć ten mój miecz, którego w cholere nigdzie nie mogę znaleźć.

– Zgubił pan miecz?

– No chyba tak, no. – Wzruszyłem ramionami. – Pojęcia nie mam, gdzie on jest.

– Zatem przyznaje się pan do posiadania miecza?

– No, niby tak, tylko że gdzieś mi się podział. Trenuję, żeby zostać ninja.

Detektyw zamrugał i spojrzał kontrolnie na Hala, żeby ustalić, czy strugam wariata, czy nie. Hal zachował kamienną twarz – więcej, nawet lekko kiwał głową, żeby wesprzeć moją historyjkę.

– Od jak dawna nie ma pan tego miecza?

– Bo ja wiem. Chyba się gdzieś podział wczoraj w nocy.

– Ciekawe. Widzę, że ma pan obydwójce uszu – zauważył Geffert.

Popatrzyłem niepewnie to na niego, to na Hala.

– Yyy, no dzięki... yyy, nawzajem.

– Otrzymaliśmy raport o mężczyźnie bez prawego ucha, który jeździł po Tempe z mieczem.

– Serio? Oj. Kurczę, powinien być bardziej uważać, jak wywija tym mieczem, nie? – Zarechotałem z własnego żartu, ale po chwili spuściłem potulnie głowę, bo nikt się nie śmiał. – Sorki. Normalnie nikt się nigdy nie śmieje z moich żartów.

Faceci w garniturach już zaglądali pod meble i za obrazy w poszukiwaniu ukrytych mieczy. Jeden zameldował, że w moim garażu znalazł dużą kolekcję broni ostrej i tępej.

– Jakież miecze? – spytał Geffert.

– Na razie nic. Tylko noże.

– Melduj mi na bieżąco. – Odwrócił się w moją stronę i spytał: – Panie O'Sullivan, czy

mógłyby mi pan powiedzieć, gdzie był pan wczoraj wieczorem?

– Nie musisz odpowiadać na to pytanie – wtrącił się Hal.

– E nie, spoko – uspokoiłem Hala, a do Gefferta powiedziałem: – Chillowałem się z moją laseczką i psiakiem. Odbijaliśmy sobie piłki w parku. Zdjąłem miecz, żeby lepiej się zamachnąć, sam pan rozumie? Ale cholera, jakiś kretyn musiał chyba się zakraść i mi go zarębać, jak nie patrzyłem. Ale mnie wkurzył, skurczybyk no. Jak go dorwę, to normalnie mu pokażę, co to kung-fu.

– Przed chwilą powiedział pan przecież, że miecz się panu zgubił. A teraz mówi pan, że ktoś go panu ukradł?

– Może coś mi się pomieszało. Czasem tak mi się robi. To chyba od tego ninjowego transu, bo potem czasem nie pamiętam niektórych rzeczy.

Szczęki detektywa rozchyliły się i popatrzył na mnie, jakbym z byka spadł. Spuściłem wzrok i zacząłem przestawać z nogi na nogę.

– Albo może to przez te wszystkie dragi, które brałem, jak byłem młodszy. Czasami mi się urywa film.

Geffert pokiwał powoli i przeniósł wzrok na Hala. Potem nagle jego oczy zwęziły się i spytał:

– Panie O'Sullivan, czym pan się zajmuje?

– Trenuję na ninja.

– Czy z tego się pan utrzymuje?

– E, nie. Mam księgarnię. – Ten facet i tak już na pewno to wiedział. Przecież Hal i ja pozywaliśmy policję za to, że mnie postrzeliła w zeszłym miesiącu (ten nieprzyjemny incydent nastąpił wyłącznie z winy Aenghusa Óga) i nie było szansy, żeby ten gliniarz dostał nakaz przeszukania mojego domu bez starannego przejrzania wszystkiego, co o mnie mieli.

– Czy uważa pan, że pańska księgarnia odnosi sukces jako przedsiębiorstwo?

Zignorowałem go i pozwoliłem wzrokowi powędrować gdzieś za jego prawe ramię.

– Panie O'Sullivan...?

– O! Co co, koleś? Sorki, ale jakoś nie zakumałem, co mówisz.

Geffert postanowił więc mówić powoli, żebym zrozumiał.

– Czy zarabia pan dużo pieniędzy w tej księgarni?

– A, chodzi ci o mońce? Ta, chłopie, mońców to mam masę.

– Dość, żeby zapłacić za bardzo drogich prawników?

– No, chłopie – powiedziałem, wskazując na Hala – no jeden stoi tu koło mnie, nie?

– Po co właścicielowi księgarni tacy prawnicy jak Magnusson & Hauk?

– Bo gliniarze z Tempe strzelają do mnie bez powodu, przeszukują mi dom, wmawiając mi, że mam jakieś gównno, którego nie mam, i dziwią się bardzo, że mam dwoje uszu.

Ta moja wypowiedź sprawiła, że zacisnął na chwilę szczęki, ale trzeba mu przyznać, że nic nie powiedział. Zamiast tego zadał mi kolejne pytanie.

– Wspomniał pan, że wczoraj grał w baseball z pańskim psem. Czy nie jest to przypadkiem wilczarz irlandzki?

– Tak, ale nie tamten stary. Tamten nadal się nie znalazł, nie wrócił, ani nikt go nie oddał czy coś. Teraz mam nowego. Kupiłem go kilka tygodni temu. Jest zarejestrowany, zaszczepiony i w ogóle.

Wystarczyło wykonać właśnie te kilka czynności, by wmówić światu, że mój stary pies jest moim nowym psem. Także przez Aenghusa Óga Oberon był poszukiwany za przestępstwo, które popełnił Óg. Na szczęście znacznie łatwiej zdobyć nową tożsamość dla psa niż dla człowieka.

Biuro Rejestracji Psów nie podejrzewa ludzi o wyrabianie fałszywych dokumentów dla swych ulubieńców. Biorą twój formularz i czek, wydają ci zestaw błyszczących zawieszek na obrożę i po wszystkim.

– Gdzie on jest? – spytał Geffert.

– Za domem.

– Mogę go zobaczyć?

– Jasne, jak tam pan sobie chce. – Machnąłem w stronę drzwi i Geffert ruszył ku nim, żeby obejrzeć sobie mojego nowego psa.

*Uwaga, Wielki Brat nadchodzi. Pamiętaj, jesteś małym, potulnym typkiem, turboułożonym.*

<Widzę go. Wygląda, jakby sprzedawał ciężarówkę. Już mu nie ufam. Ale odwalę teraz Oscarowy pokaz posłusznego pieska>.

Spojrzałem przez okno w kuchni i zobaczyłem, jak Geffert podchodzi do Oberona, a mój pies rzeczywiście spełnia swoje obietnice. Jego ogon przymilnie zabębnił o ziemię, łeb się pochylił, a potem obrócił się na grzbiet i nadstawił brzuch do głaskania, bezsilnie zwieszając łapy przy klatce. To po prostu nie mogła być ta mordercza bestia, której szukała policja po zabójstwie strażnika parku.

*Ja cię...! Ale daleś popis! Gdzieś ty się tego nauczył?* Zwykle gdy głaskałem go po brzuchu, Oberon wiercił się i kłapał mnie ostrożnie pyskiem po ramieniu. Nigdy nie leżał wtedy spokojnie i bezwolnie, przekonany, że głaskanie po brzuchu należy do przeżyć interakcyjnych.

<To właśnie robią wszystkie małe pieski w parku, kiedy widzą, jak biegnę w ich stronę>.

Geffert jednak nie pogłaskał Oberona po brzuchu. Przykucnął tylko i sprawdził jego znaczki na obroży, żeby się upewnić, że są świeże. Wstał i rozejrzał się po podwórku.

<Wielki Brat należy chyba do kociarzy. Może powinieneś mu zrobić jakiś dowcip czy coś>.

Geffert zaczął obchodzić mój ziołowy ogródek, uważnie przyglądając się ziemi, jakby sprawdzał, czy nie jest świeżo skopana.

*Niby jaki na przykład? Nie wiem, czy jestem w stanie przebić twój Oscarowy popis.*

<Na pewno coś wymyślisz>.

Hał przystanął obok i zrelacjonował mi przebieg przeszukiwania.

– Tym razem są znacznie grzeczniejsi i wszystko ładnie odkładają na miejsce. Geffert nic też nie wspomniał o tym, żeby miał cię gdziekolwiek zabierać na przesłuchanie, więc myślę, że cię nie wezmą, jeśli nie znajdą żadnego miecza.

Usłyszałem jakiś hałas w salonie i poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Pani detektyw jakimś cudem wysypała na podłogę całą moją kolekcję DVD. Uznałem, że to świetna okazja, żeby jeszcze poprawić mój image patetycznego, emocjonalnie niestabilnego typka, który na zawsze utknął w krainie młodzieńczych fantazji.

– O! – krzyknąłem, wybałuszając oczy, a potem spuszczać je jakby w poczuciu winy i chowając ręce do kieszeni. – Jeśli znajdziecie tam jakieś pornole... to... to nie moje. – Posłała mi spojrzenie, które w sześćdziesięciu procentach wyrażało zdegustowanie, a w pozostałych czterdziestu odrazę. – Przysięgam. – Wycofałem się, starając się z całych sił nawet nie uśmiechnąć, póki nie dotarłem do kuchni.

Hał chichotał cichutko.

– Ty to masz nasrane w głowie – szepnął.

– Dbalność o alter ego jest rodzajem sztuki, tak? – odparłem równie cicho. – Oto nadchodzi detektyw. Tylko czekaj, jak zapyta o ślady pożaru.

Geffert wkroczył do kuchni zmarszczony z frustracji i zrobił taką minę, jakby dopiero



teraz zauważył szerniałe części moich mebli.

– Co się stało w pańskiej kuchni, panie O'Sullivan?

– A, to. – Przewróciłem oczami. – Wie pan, jak wyglądają te małe kuchenne palniki, którymi się podpala crème brûlée. No to wczoraj wieczorem właśnie włączyłem taki, żeby podpalić mój pyszny deserek, ale jednocześnie machałem sobie głową do różnych takich oldskulowych, hardrockowych kawałków i tego... no palnik cały czas się palił, a ja machałem rękami i w ogóle, no jak to przy takich kawałkach, i w sumie to się zupełnie nie zorientowałem, co się dzieje.

Tym razem Geffert po prostu otwarcie mnie wyśmiał.

– Nieświadomie spowodował pan wszystkie te szkody malutkim palnikiem acetylenowym?

– No bo chodzi o to, że jak się tak sobie poguje do Mötley Crüe, to to jest normalnie jak jakiś religijny trans, nie? No to oczy miałem zamknięte, kumasz bazę, nie? Obcowaleś kiedyś z tymi bogami dźwięku, kolo? Wiesz, jak to jest, kiedy czujesz, jak muzyka szarpie ci kości, nie?

Geffert tylko pokręcił głową i zaczął kartkować swój notes. Potem poprosił mnie o nazwisko i adres Granuaile, żeby móc z nią potwierdzić moje alibi na wczorajszą noc. Zapewniłem go, że moje kije znajdzie u niej w samochodzie, ale zapomniałem wspomnieć, że ją samą znalazłby w moim sklepie. Inny detektyw podszedł do nas i oświadczył, że jeszcze nie znaleźli żadnego miecza, a broń tępa w garażu pokryta jest grubą warstwą kurzu i nie wygląda na niedawno używaną. Szperali jeszcze to tu, to tam przez następną godzinę, ale nie znaleźli niczego, co by wskazywało na to, że brałem jakikolwiek udział w Masakrze w Satyrnie. Czas ten spędziłem na dworze, podlewając ziółka i drapiąc Oberona po brzuchu, a Hal tymczasem miał na nich swoje prawnicze oko. Tymczasem zanurzyłem stopy w trawie i wreszcie skupiłem się na leczeniu ran i siniaków zadanych rano przez Morrigan. Zanim wreszcie odjechali (grzecznie mnie poprosiwszy, abym raczył pozostać w mieście, póki nie skończą dochodzenia), czułem się już jak młody bóg i miałem w pełni załadowane baterie.

Otworzyliśmy sobie z Halem po Stelli, stuknęliśmy się szyjkami butelek i wznieśliśmy toast za udaną ściemę. Oberon dostał kilka dodatkowych smakołyków w nagrodę za swój popis godny samego Tespisa, a potem się okazało, że pani detektyw ułożyła wszystkie moje płytki DVD w porządku alfabetycznym. Czułem się z tego powodu jak młody bóg przez całe trzy minuty. Potem zadzwonił telefon.

– Atticusie, dałbyś radę tu wpaść na chwilę? – spytała Granuaile. – Ci dwaj goście znów tu są i mówią, że się nigdzie nie ruszą, póki z tobą nie porozmawiają.

## Rozdział 16

Ci dwaj działają mi na nerwy bardziej niż policja – powiedziałem Halowi, zapewniwszy Granuaile, że zaraz tam będę.

– Jacy dwaj?

Szybko opowiedziałem mu wszystko, co o nich wiedziałem, bo też i nie było tego wiele, oraz przyznałem, że przydałaby mi się pomoc w zdobywaniu informacji na ich temat.

– Nie masz przypadkiem jakiegoś spryścaśnego sposobu na przeprowadzenie małego prywatnego śledztwa, ale tak, żeby w życiu nikt nie połączył go z tobą? Bo jedno jest pewne: za wszelką cenę trzeba uniknąć jakiegokolwiek zaangażowania Watahy, i w ogóle, żadnych jej członków, a nawet przyjaciół. Za śledztwo zapłacę oczywiście.

– Nie ma sprawy – powiedział, patrząc, jak wskakuję na rower. – Może powinienem wpaść do księgarni za chwilę i rzucić na nich okiem. Udawałbym klienta oczywiście.

– Hmm. No nie wiem. Jak uważasz.

– Myślisz, że nie powinienem?

– Sęś w tym, że nadal kompletnie nie wiem, co to za ludzie. Wiem tylko, że są dziwni. Nie chcę, żebyś niepotrzebnie się narażał.

– No coś ty – prychnął Hal. – I tak pojedę za tobą, na wypadek gdybyś potrzebował znów moich wielgachnych włochatych mięśni, żeby ich wyrzucić ze sklepu na przykład. – Nacisnął guziczek przy kluczach, a alarm w jego samochodzie zapisał wesoło.

– Dobra – powiedziałem, bo już nie chciało mi się z nim kłócić. Pożegnałem się mentalnie z Oberonem i popedałowałem tak szybko, jak byłem w stanie. Będę na miejscu w ciągu pięciu minut, czyli mam masę czasu, żeby się zastanowić, w co się tym razem pakuję.

Skoro ci dwaj już drugi raz tego samego dnia pojawili się w sklepie, nie ulegało wątpliwości, że nie wiedzą, gdzie mieszkam, co było zastanawiające, biorąc pod uwagę, jak dużo poza tym o mnie wiedzieli. A to, jak bardzo naciskali na spotkanie, wskazywało, że przejrzeni moją maskę durnego studencika. Rabin zresztą już za pierwszym razem wydawał się nadmiernie podejrzliwy, ale od tamtego spotkania musieli widać zdobyć jakiś dowód potwierdzający moją magiczną tożsamość, co z kolei oznaczało, że pewnie wiedzą już, jak rzadkie są te książki, które trzymam w gablotce. Czegokolwiek ode mnie chcieli, już czułem, że ja chcę czegoś innego.

Była trzecia po południu, czas kompletnego zastoju w interesie, więc w sklepie byli tylko Granuaile, Rebecca, ojciec Gregory oraz rabbi Yosef. Perry miał dziś wolne.

– Panie O'Sullivan, czekaliśmy na pana... – zaczął ojciec Gregory, ale pozwoliłem mu gadać w przestrzeń, a sam zwróciłem się do moich pracowników.

– Jesteście już dziś obie wolne. Oczywiście dostaniecie normalną stawkę za ten dzień. Aha, Granuaile, nie zapomnij wpaść do Targetu, zanim pojedziesz do domu. Trzeba kupić kilka sportowych rzeczy, wiesz – powiedziałem, żeby jej o tym przypomnieć. Musieliśmy jak najszybciej przygotować sobie całe alibi, bo Geffert już był na tropie.

– Jasne, sensei. – Granuaile puściła do mnie oko, szybko zbierając rzeczy i ruszając do drzwi, a za nią podreptała Rebecca z zaniepokojoną miną.

– Czego wy chcecie? – spytałem rabina, gdy zamknęły się za nimi drzwi. Wyraźnie to on tu rządził i to on był tu tym złym; ksiądz robił za faceta od piaru.

– Chcemy przejrzeć twoje rzadkie książki – powiedział ze swoim eleganckim rosyjskim akcentem.

Pokręciłem głową.

– Nie są na sprzedaż.

- W celach badawczych – wtrącił się ojciec Gregory.
- Co jest przedmiotem tego badania?
- Magia i okultyzm.
- Radzę się wybrać w tej sprawie do biblioteki.

Rabin już miał odpowiedzieć, lecz jego wzrok powędrował nagle w stronę drzwi. Wszedł Hal. Oczy rabina mało nie wyskoczyły z orbit, a jego twarz wykrzywiła się straszliwie. Wyglądało na to, że zaraz szlag go trafi, ale mnie już się skończyła cierpliwość. Pospieszenie sprawdziłem, czy ma na sobie naturalne materiały, i szybko splotłem rękawy jego marynarki z jego bokami, tak żeby miał unieruchomione ręce. Ale rabin był jeszcze szybszy: nim skończyłem wymawiać zakłęcie, zdążył wyciągnąć z marynarki srebrny sztylet i krzyknąć po rosyjsku:

– Zdychaj, wilku!

Zakłęcie zadziało, gdy już miał rękę za sobą, by cisnąć sztyletem, więc skończyło się na tym, że jego ostrze wbiło się po prostu w moją wykładzinę u jego stóp, a Hal wcale nie zdechł.

Wtedy nastąpiło masę plucia się i awanturowania, ale ja jeszcze nie skończyłem. Z tymi typami koniecznie należało pogadać, tylko bez żadnych broni latających wokół, więc rzuciłem to samo zakłęcie na księdza, a potem jeszcze na ich nogi, choć piskliwie żądali, bym zaniechał swych działań. Włókna materiału ich spodni splotłem szybko z mocnymi nićmi mojej wykładziny, co oczywiście sprawiło, że natychmiast upadli na kolana, trochę boleśnie, o czym zaraz mnie poinformowali.

Hal, co zrozumiałe, zaniepokoił się, że kompletnie mu nieznany facet chce go zabić na miejscu, ale bardzo chciałem, żeby już bardziej się w to nie angażował. Gunnar i tak był na mnie wściekły, a gdybym jeszcze doprowadził do śmierci Hala, toby mnie zjadł na najbliższy lunch. Stałem między Halem a tymi dwoma wrzeszczącymi, klęczącymi panami i uniosłem dłonie.

– Bardzo pana przepraszam, ale sklep jest dziś po południu zamknięty. Gdyby mógł pan wrócić jutro, chętnie panu wtedy pomogę. – Jeśli uda mi się wmówić im, że Hal i ja kompletnie się nie znamy i że pojęcia nie mam, kim on jest, będzie wspaniale. Kiwnąłem Halowi lekko, starając się przekazać mu wzrokiem, że panuję nad sytuacją. Odpowiedział mi skinieniem, choć oczy miał już lekko żółte, i wyszedł bez słowa. Jedno jest pewne: śledztwo w sprawie tych dwóch panów nastąpi teraz w trybie przyspieszonym.

Tymczasem ojciec Gregory i rabbi Yosef domagali się dość głośno, bym natychmiast ich wypuścił, jeśli chcę uniknąć najstraszliwszych konsekwencji. Odwróciłem się w ich stronę i powiedziałem:

– Powaga, że chyba w życiu nie miałem aż tak upierdliwych klientów. Nie tylko zamęczacie mi tu moich pracowników i zmuszacie mnie do przerywania bardzo miłego i relaksującego dnia w domu i przybycia tu nie wiadomo po co, ale jeszcze usiłujecie mi zabić klienta i w dodatku narzekacie, że utrudniam wam popełnienie poważnego przestępstwa. No sam powiedz, padre – zwróciłem się do ojca Gregory'ego. – Co by zrobił w takiej sytuacji Jezus?

Drżąc z bezsilnej wściekłości, z pianą na ustach ksiądz zawył:

– Spuściłby na ciebie deszcz ognia za to, że żyjesz w harmonii z pomiotami piekła!

– Hola, niech ksiądz wyluzuje. Odnoszę wrażenie, że popełnił tu ksiądz kilka wielkich skoków logicznych i przyznam, że nie nadążam. Po pierwsze, nie znam żadnych pomiotów piekła. Po drugie, na pewno nie żyję w harmonii z nikim takim, a w dodatku naprawdę nie przepadam za tym sformułowaniem. A po trzecie, czy kiedykolwiek w ogóle rozmawiał ksiądz z Jezusem? Bo ja tak i słowo daję, że to nie jest facet, który by miał w zwyczaju spuszczać na księgarnie deszcz ognia, z ręką na sercu. A teraz powiedzcie mi ładnie, kim wy w ogóle jesteście, co?

– Pojęcia nie masz, z kim masz tu do czynienia – warknął rabin.

– No tak, i właśnie stąd to pytanie.

Jego broda wydawała się naprawdę podejrzanie ruchliwa jak na zwykłe owłosienie twarzy. Powiedzmy, że kiedy facet z okazałym zarostem coś mówi, nikogo nie dziwi to, że trochę mu się rusza broda. Ale sęk w tym, że kiedy rabin milczał, jego włosy na brodzie nadal się nieco ruszały.

– Te, rabbi, masz tam karaluchy w tej brodzie czy jak? – Ruch ustał, gdy tylko zadałem to pytanie. Włączyłem moje szkło faeryczne, ale broda wyglądała jak każda inna. Moją uwagę zwrócił natomiast srebrny nóż wbity w wykładzinę. Błyszczał jakimś dziwnym czary-mary i co ciekawe, wcale nie na ostrzu, ale na rękojeści. – Jaki ładny nóż, rabbi – powiedziałem, kucając, żeby lepiej się przyjrzeć tym dziwnym czerwonym błyskom. Dziesięć kropek układało się w znajomy wzór, który się powtarzał, otaczając całą rękojeść. Kabalistyczne Drzewo Życia.

– Możesz go sobie zatrzymać, jeśli nas wypuścisz – powiedział głos z otchłani jego brody.

– Serio? Nie zalewasz? – mruknąłem. Rabin nie wyglądał mi na faceta, który lubi negocjować, więc pewnie liczył na to, że po tych słowach złapię nóż. Ani chybi to zaklęcie na rękojeści robi coś złego każdemu, kto jej dotknie, poza rabinem oczywiście.

– Nie, mówię poważnie, niech to będzie prezent od nas dla ciebie.

– Mamusia zawsze mi powtarzała, że bym nie przyjmował żadnych prezentów od włochatych facetów.

Na co ojciec Gregory znów przemówił swym nadętym angielskim:

– Zawsze myślałem, że do greckich tradycji należy obdarowywanie się prezentami.

Zamarłem, by przyjrzeć mu się na chłodno. Był to bardzo dziwny gość. Niby mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem, jak rodzony Angol, niby musiał się piąć całkiem sprawnie po drabinie katolickiej hierarchii kościelnej, ale zarazem płynnie posługiwał się rosyjskim i wyraźnie grał tu drugie skrzypce, pozwalając temu Żydkowi traktować się jak tresowanego pieska. Może właśnie dlatego tak bardzo chciał mieć słuszność. Albo stać po słusznej stronie. Albo i to, i to.

– Moja mamusia nawet nie wiedziała o istnieniu Greków – wyjaśniłem mu. – Martwili ją raczej złodzieje bydła z terenu, który nazywany jest dziś hrabstwem Tipperary.

– Złodzieje bydła? Ale to było jeszcze przed czasami świętego Patryka. Ile ty masz lat?

– Czyżbyście jeszcze tego nie wiedzieli? Bo odniosłem wrażenie, że wiecie już o mnie wszystko – odparłem. – A teraz zamknijcie się na chwilę, bo muszę coś sprawdzić.

Nie byłem pewien, czy magiczne zabezpieczenia w sklepie zdołają wywęszyć te kabalistyczne zaklęcia. Jak dotąd nie miałem nigdy okazji ich wypróbować na tego rodzaju magii. W zasadzie były zaprojektowane tak, żeby chronić to miejsce przed zaklęciami faerycznymi i piekielnymi oraz co bardziej oczywistymi czarami wiedźm. Raz na kilka wieków wpadałem na jakiegoś kabalistę tu i tam, ale zawsze byli tak miłymi ludźmi, że nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby ich traktować jako wrogów. Do teraz. Zaklęcie na sztylcie nadal było aktywne, ponieważ moje zabezpieczenia nie odczytywały go jako magii. Byłem przekonany, że to nic dobrego, szczególnie skoro niedoszły morderca – rabin – chciał, że bym dotknął sztyletu, więc zwróciłem moje zwykłe zabezpieczenia na rękojeść i poszerzyłem definicję magii o kabalistyczne Drzewo Życia. Zaklęcie zniknęło, natychmiast zaatakowane moimi zabezpieczeniami, a czerwone błyski zgasły. Włączyłem szkło faeryczne i przyjrzałem się rękojeści normalnym wzrokiem. Była zrobiona z gładkiego, czarnego onyxu wysadzanego złotem, które układało się w dwa zbiory malutkich znaków. Przy samym ostrzu widać było trzy hebrajskie litery – Necach, „zwycięstwo”, siódma sefira kabały. Na samym dole rękojeści

znajdowało się dziwne logo, trochę jakby litera P z aureolką.

– Konfiskuję to – oświadczyłem, wyciągając nóż z wykładziny bez żadnych fajerwerków, co wyraźnie zaskoczyło rabin. – Nie przyjmuję od was żadnego prezentu. Jeśli chodzi o noże w moim sklepie, to obowiązuje prosta polityka: użyj go, a na pewno go stracisz. – Pomachałem nim rabinowi przed nosem kilka razy, żeby na pewno zobaczył, że jego magia nie zrobiła mi żadnej krzywdy, a potem spokojnym krokiem podszedłem do blatu w części herbacianej. – No to jak, ojczy, może czas na coś miłego? Gdybym był takim potworem, za jakiego mnie macie, to czy już dawno nie wysysałbym szpiku z waszych kości czy coś równie obrazowego? Zamiast tego może zaparzę nam po herbacie, wypuszczę was i sobie spokojnie pogadamy, co?

– *Nie dowierajcie jemu!* – syknął rabin.

„Nie ufaj mu”. Wolałem jeszcze nie zdradzać się z tym, że rozumiem rosyjski, ale może ksiądz odpowie na ogólny apel.

– Słuchaj, ojczy Gregory – powiedziałem. – Nie mam pojęcia, co ten tam powiedział, ale jeśli poucza cię w kwestii manier czy dyplomacji, to wydaje mi się, że udowodnił już, że nie ma pojęcia o tych sprawach.

– Może i jest trochę impulsywny – przyznał ksiądz – ale miał rację, że zaatakował tamtego wilka.

– Jakiego wilka?

– Tamten mężczyzna, który wszedł do sklepu, był wilkołakiem. Nie udawaj, że tego nie wiesz.

Ciekawe, jakim sposobem tak szybko rozpoznali go jako wilkołaka. Uznałem jednak, że lepiej będzie zagrać na jego poczuciu tego, co słuszne, bo to może mi dostarczyć więcej informacji o tej dziwnej parze.

– A nawet jeśli jest wilkołakiem, to co z tego? Był w swojej ludzkiej postaci i tylko chciał kupić książkę. Nie było żadnego powodu, żeby go zabijać.

– Wilkołaki należy zabijać na miejscu!

– Kto tak powiedział?

Rabin miotał się właśnie w swojej marynarce, usiłując oswojzić ręce poprzez zdjęcie całosci przez głowę... czy coś. Kapelusz spadł mu z głowy, twarz miał zaczerwienioną od wysiłku, a broda znów zaczęła się poruszać. Mogłem niby spleść mu dół płaszcza z górą spodni i to by go z pewnością powstrzymało przed dalszym wierceniem się, ale jego wysiłki były dość zabawne, a poza tym byłem naprawdę ciekaw, co zrobi, jak już się uwolni. Stałem za ladą i starałem się nie robić żadnych groźnych ruchów.

– Wilkołaki to obraza natury. Niemal wszystkie religie świata o tym wiedzą.

– A, rozumiem. Czy macie też fioła na punkcie wampirów?

– Jeśli masz na myśli, że i je zabijamy, to tak, zabijamy.

– A co myślicie o wiedźmach?

– Nie może przeżyć ani jedna! – Ksiądz aż się zarumienił, co uznałem za znak, że wiedźmy to dla niego delikatny temat.

– Aha. Oczywiście, jakżeby mogło być inaczej. A co ze mną w takim razie? Jak wam się wydaje, z kim właściwie rozmawiacie?

– Z przedstawicielem kleru, takim jak my.

Ta odpowiedź zbiła mnie z tropu.

– Yyy, ale czy nie mówiliście przed chwilą, że Jezus powinien spuścić na mnie deszcz ognia czy coś?

Wyjaśnił mi to tonem z serii „to dla twojego własnego dobra”:

– Oczywiście powinieneś odpokutować za ten czas, który spędziłeś na brataniu się

z piekielnymi istotami, ale doceniamy, że podążasz wiernie starą ścieżką druidyzmu.

Brwi same podskoczyły mi do góry. A więc jednak wiedzieli, kim jestem.

– A gdzie jest niby powiedziane, że druidzi bratają się z piekielnymi siłami? Bo bynajmniej się nie bratamy.

– To magia druidów otworzyła bramę do piekieł w Superstition Mountains – odparł ojciec Gregory. – I ty tam byłeś.

Cholerny Aenghus Óg.

– Byłem, żeby pozabijać ile się dało z tego, co wyszło przez tę bramę. I tyle miałem do czynienia z tymi piekielnymi istotami, tak? Niszczyłem je.

– A demon ze Skyline High School?

– Był to upadły anioł Basasael. Jego także zabiłem.

Ksiądz zbladł chyba jeszcze szybciej, niż się przedtem zarumienił, co świadczyło o niezwyklej skłonności do szybkich przepływów krwi w skórze.

– Zabiłeś upadłego anioła? – wyszeptał.

– *On nie takoj silnyj!* – warknął rabin spod swojej marynarki. „Nie jest taki silny”.

Hmm. Na pewno jestem dość silny, żeby zrobić z ciebie idiotę, pomyślałem. Wyglądało na to, że rabin zaraz się uwolni.

– Tak, zabiłem, proszę księdza. Słuchajcie, chłopaki, naprawdę z miłą chęcią was stąd wypuszczę i nie straciecie nic poza nożem i odrobiną godności, ale nie chciałbym już was nigdy więcej oglądać. Nie jesteście tu mile widzianymi gośćmi i nigdy nie pokażę wam moich ksiąg. Nie sprzedaję ich żadnym fanatykom. Żyję i daję żyć innym, i wam też to radzę. A jeśli chodzi o piekło, i tak jesteśmy po tej samej stronie. To co? Zgoda?

– Mogę mówić tylko za siebie – powiedział ostrożnie Gregory, rzucając znaczące spojrzenie na rabina, który wiał się tuż obok. – Ale jeśli o mnie chodzi, to zgadzam się z tobą.

Rabin w końcu wyłuskał z marynarki jedną rękę, z drugą poszło mu już bardzo szybko. Wtedy natychmiast zaczął coś nucić po hebrajsku i wywijać rękoma w powietrzu. Włączyłem szkło faeryczne, żeby sobie na to popatrzeć. Gdy mówił i wymachiwał palcami, pojawiły się wokół niego malutkie punkciki światła w najróżniejszych kolorach i zaczęły łączyć w świetlistą pajęczynę. Było to zaklęcie oparte na kabalistycznym Drzewie Życia, więc pozwoliłem mu machać do woli. Gdy tylko skończy i będzie próbował zaatakować mnie tym zaklęciem, zabezpieczenia w sklepie rozpoznają magię i odpowiednio zareagują. Ksiądz spojrzał na mnie nerwowo, jakby się zastanawiał, czy zamierzam coś z tymi pieśniami rabina zrobić, ale ujrzał tylko moją obojętną minę.

– Ha! – ryknął rabin, gdy tylko skończył. Zamknął oczy, odchylił głowę w tył, zacisnął dłonie w pięści i wyciągnął je w boki, jakby jechał jakimś wielkim wozem. Wyraźnie na coś czekał. Może liczył na to, że pojawi się jakiś anioł i mi skopie tyłek albo da mu nadludzką siłę, albo poczęstuje go ciasteczkiem. Po kilku sekundach wzdychania otworzył oczy, odwrócił głowę i ujrzał mój uśmiech.

– Ale warto było spróbować, rabbi Yosefie. – Odplątałem więzy na ubraniach księdza i powiedziałem: – Jest ksiądz wolny. Ale jeśli kiedykolwiek jeszcze ksiądz tu wróci, nie będę już taki miły ani wybaczący. To jedyne moje ostrzeżenie.

– Rozumiem – powiedział ksiądz, gramoląc się na równe nogi. Potrząsnął rękami i zrobił kilka niepewnych kroków w stronę drzwi. – Chodź, Yosefie – powiedział.

– A, rabbi. Rabbi dołączy do księdza za chwileczkę. – Uśmiechnąłem się. – Musimy najpierw zamienić kilka słów na osobności, jeśli nie ma ksiądz nic przeciwko.

Ojciec Gregory spojrzał na rabina pytająco. Najpierw kiwnęła mu broda, a potem dopiero reszta głowy. Ksiądz wyszedł ze sklepu, a dzwoneczki nad drzwiami zadzwoniły głośno w ciszy.

– Ojciec wygląda mi na wybaczonego człowieka – powiedziałem, gdy już byliśmy sami – ale mam przecucie, że ty jesteś raczej z tych, co to chowają urazę. Mam rację, rabbi Yosefie?

– Jeśli przestaniesz mieć do czynienia z piekłem i innymi obrzydlistwami, to i ze mną nie będziesz miał do czynienia – warknął wściekle przez zaciśnięte zęby. – Ale sprawdziłem cię, druidzie. Masz z tymi stworami do czynienia cały czas. Nie martwią cię wilkołaki. Pewien jestem, że ta gablota jest pełna piekielnych ksiąg. Nie zdziwiłbym się też, gdybyś miał znajomości wśród wiedźm i wampirów. Wkrótce moim obowiązkiem będzie stanąć do walki z tobą. Ale to mój obowiązek, a nie uraza, stanie się młotem na ciebie.

– Aha, zachowywanie się jak taki ostatni dupek to twój obowiązek? Teraz już wszystko kumam. Uważasz się za tego dobrego, a mnie za tego złego. Nie ma sprawy, już się do takich rzeczy przyzwyczaiłem. Lecz pamiętaj, rabbi, że mam twój numer... to dziesięć... a tymczasem szczytem moich ambicji jest od lat to samo: żeby mnie wszyscy zostawili w spokoju. Bardzo więc proszę, żeby nie zakłócał rabbi więcej już mojego spokoju. – Rozplątałem więzy na jego nogawkach i zrobiłem gest wskazujący drzwi. – Jest rabbi wolny.

Skoczył na równe nogi i posłał mi nienawistne spojrzenie, po czym powoli otrzepał sobie kolana i równie wolno wziął płaszcz i kapelusz, żeby mi pokazać, jak to wcale się mnie nie boi. Ale nic już nie powiedział, a jego broda ani drgnęła, gdy pchnął mocno drzwi mojego sklepu i wyszedł na zalaną popołudniowym słońcem ulicę.

Zamknąłem za nim drzwi na klucz i przekręciłem tabliczkę z napisem OTWARTE na ZAMKNIĘTE. Najpierw wziąłem trzy funty krwawnika, zapakowałem i zadzwoniłem po kuriera, żeby go odebrał sprzed sklepu i jak najszybciej dostarczył Malinie. Potem zgasilem światło w sklepie i schowałem się w części Filozofii Wschodu, z dala od okien. Usiadłem na ziemi po turecku i położyłem dłonie na kolanach. I tak spędziłem trzy pracowite godziny na mozolnym updatowaniu moich osobistych zabezpieczeń tak, żeby chroniły mnie przed magią kabalistyczną (czyli przed czymś, czym jak dotąd nigdy nie musiałem się przejmować) oraz na wzmacnianiu natychmiastowych zabezpieczeń w wewnętrznej części sklepu, które następnie skopiowałem na jego zewnętrzną część.

Nadal snuło mi się po głowie wiele pytań bez odpowiedzi – głównie na temat tej tajemniczej organizacji, do której należeli ci dwaj, oraz o źródłach ich wiedzy o mojej działalności. Ale przynajmniej miałem już jakieś konkretne dane. Byli fanatykami religijnymi usiłującymi ratować świat przed diabelskimi siłami; no i miałem bardzo interesujący nóż dla Watahy z Tempe.

Podejrzewałem, że rabin zamierza obserwować mój sklep, a potem albo mnie śledzić aż do domu, albo próbować jakichś innych sztuczek, więc postanowiłem mu je udaremnić. Z pozoru mój sklep ma tylko jedno wejście. Nie ma tylnego wyjścia, ani pożarowego, ani w ogóle żadnej innej drogi ucieczki poza tymi jednymi szklanymi drzwiami z całkiem solidnym zamkiem. To oczywiście mnie, jako typa ogarniętego kompletną paranoją, zupełnie nie satysfakcjonowało. Potrzebowałem wyjścia ewakuacyjnego na wypadek, gdyby zjawilo się coś dużego i paskudnego lub oficjalnego. W schowku oznaczonym „nieupoważnionym wstęp wzbroniony”, zaraz przy łazience, znajdowała się stalowa drabina przymocowana do ściany, która prowadziła do klapy na dachu. Klapy tej nie dało się otworzyć z zewnątrz ani technicznymi, ani magicznymi sposobami. Tylko ja byłem w stanie ją podnieść.

Żeby umknąć przed rabinem, wspiąłem się po drabinie z nożem w zębach w stylu pirackim i wypelzłem na dach, kryjąc się w wieczornych cieniach. Rzuciłem na siebie kamuflaż, rozebrałem się, zły trochę, że muszę zostawić komórkę. Przywiązałem jeden koniec sznurka do kluczy, a drugim obwiązałem rękojeść sztyletu. I wtedy dopiero przemieniłem się w puchacza wirginijskiego. Złapałem sznurek w szpony i bezgłośnie uniosłem się, niewidzialny, w miejską

noc. Nie poleciałem wprost do domu, tylko poszybowałem wysoko, aż na gałęzi wielkiego drzewa eukaliptusowego koło Mitchell Parku. Tam spędziłem dobry kwadrans na rozglądaniu się wokół, czy aby coś mnie nie śledziło, przy czym obserwowałem zarówno zwykły, jak i magiczny wymiar okolicy. Jak wiadomy rabin miałby wyśledzić niewidzialnego ptaka, nie było dla mnie jasne, ale paranoja stała się już dawno moją zwyczajową procedurą w czasach niepokoju.

Uspokoiwszy się w końcu, zleciałem w stronę domu i kołując, opadłem na tylne podwórze, gdzie zrzuciłem z siebie kamuflaż i przybrałem znów ludzką postać. Oberon strasznie się ucieszył na mój widok.

<Pan Semerdjian wrócił ze szpitala> poinformował mnie. <Możemy znów się na niego wypiąć, kiedy tylko poczuje się lepiej. Mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje>.

Ugotowałem nam obu kolację, a potem zadzwoniłem do Hala z telefonu stacjonarnego, żeby mu zaproponować srebrny sztylet jako element pomocny przy dochodzeniu w sprawie ojca Gregory'ego i rabiego Yosefa. Zostawiłem dla niego nóż na werandzie, najpierw starannie owinąwszy ostrze materiałem, żeby sobie nie zrobił krzywdy, a następnie rzuciłem się zabezpieczać dom przed kabalistami. Gdy skończyłem wreszcie wiele godzin później, byłem tak wykończony, że padłem bez sił na łóżko, ale nim zasnąłem, zdążyłem jeszcze pomyśleć, że w sumie nie jest źle, skoro nie muszę spędzać kolejnej nocy na podwórzu.



## Rozdział 17

Morrigan próbowała obudzić mnie tym razem znacznie delikatniej, ale i tak zerwałem się z łóżka przerażony, że zaczyna się koszmar.

– Aaa! Błagam, powiedz mi tylko, że nie jesteś dziś napalona – wyjąkałem, łapiąc rozpaczliwie za prześcieradło i usiłując się schować za poduszkę.

– Nie – odparła z drwiącym uśmiechem, choć siedziała na brzegu mego łóżka zupełnie naga, a jej kruczoczarne włosy spływały imponująco na alabastrową skórę. – Wróciłam, bo mam już amulety. – W jej dłoni pobrzękiwały cztery czarne krople zimnego żelaza. – Goibhniu zrobił je bardzo szybko.

– O, świetnie. – Odsunąłem poduszkę i westchnąłem z ulgą. – To bardzo dobrze, bo powaga, że nie wiem, czybym podolał jeszcze jednemu takiemu porankowi jak wczoraj.

Morrigan roześmiała się szczerze ubawiona i nie dosłyszałem w tym dźwięku ani odrobiny złośliwości.

– Wyglądasz bardzo dobrze, Siodhachan. Zupełnie już doszedłeś do siebie.

– Fizycznie, tak. Ale postawiłaś mnie w bardzo niezręcznej sytuacji względem Brighid i dobrze o tym wiesz.

Bogini śmierci prychnęła tylko.

– Tak, widziałam już, że postanowiła zmienić ci trochę wystrój kuchni.

– Usiłowała mnie zabić, Morrigan. Mało nie zabiła mojego psa.

– Nie przeczuwałam żadnego niebezpieczeństwa. – Pokręciła powoli głową, a na jej twarzy pojawił się uśmiezek.

– Ale może teraz, skoro obiecałaś, że nie odbierzesz mi życia, już nie będziesz przeczuwała żadnego niebezpieczeństwa, co?

– Będę, będę. Wiem to na pewno, bo już je czuję. Zbliża się.

– Zbliża się?

– Jest już blisko. Czeka cię bitwa z postaciami, które wyłonią się z cienia. Może dziś, może jutro.

Tym mnie dość rozbawiła.

– To... to trochę brzmi jak horoskop.

Morrigan znów się roześmiała. Była w wyjątkowo dobrym humorze.

– Może lepiej sam wykonaj odpowiednie wróżby. I to szybko. Ale na razie przybywam tu z upominkami. Te trzy dodatkowe amulety są dla ciebie. Zrobisz z nimi, co zechcesz. A w kuchni leży paczka świeżych kielbasek.

– Dziękuję, Morrigan – powiedziałem, biorąc od niej amulety. Każdy miał kształt spadającej kropli z dziurką na górze, żeby przewlec łańcuszek. – Oberon na pewno strasznie się ucieszy z kielbasek. Zrobić ci śniadanie? Jesteś głodna?

– O tak, umieram z głodu. A te twoje omlety są naprawdę przepyszne.

– Dobra! – zawołałem, odrzucając kołdrę i pędząc na bosaka do kuchni. Musiałem pójść do łazienki, ale postanowiłem odłożyć to na później, kiedy Morrigan będzie zajęta jedzeniem. Naprawdę nie miałem ochoty na powtórkę z wczorajszej zabawy.

*Ale z ciebie dzielny stróż* – powitałem Oberona, który siedział skulony pod lodówką.

<Ona mnie przeraża>.

*No coś ty? W życiu nie widziałem jej w tak wybornym humorze.* Podrapałem go z czułością pod brodą i zabrałem się do parzenia kawy.

<To właśnie mnie przeraża. Nigdy nawet mnie nie pogłaskała, a teraz przynosi mi

kielbaski? Chce mnie utuczyć i potem zrobi ze mną coś strasznego. Czuję to przez skórę>.

*To chyba nie to, chłopie. Myślę, że po prostu jest szczęśliwa, bo wydaje jej się, że wygrała z Brigid w jakiejś rozgrywce.*

<Hmm, to dość niepokojące. Nie, czekaj, konfundująco-ambarasujące. Powinienem dostać za to smakołyka. Jest konfundujące, bo nigdy się tak nie zachowywała, a ambarasujące, bo nie wiem, jak mam zareagować. W każdym razie należy mi się smakołyk>.

*Powinieneś zareagować jak najlepszymi manierami. Na tym polega gościnność.*

Morrigan weszła do kuchni i zasiadła przy stole.

– Dzień dobry, Oberonie – powiedziała z uśmiechem.

<A niech mnie kocur drapnie! Atticus, ona do mnie mówi!>

*No to podejdź do niej i pomachaj ogonem. Nic ci nie robi, obiecuję.*

Oberon wstał i z pochylonym łbem zaczął ostrożnie merdać ogonem, jakby oczekiwał, że zaraz zginie na miejscu.

– Ojej, ty naprawdę podchodzisz się ze mną powitać? Cóż za zaszczyt – powiedziała Morrigan, a ogon Oberona zwiększył prędkość. – To nie byle co, zostać zauważonym przez tak sławnego psa – dodała, a Oberon wpakował jej nos pod ramię tak, żeby jej ręka wylądowała mu na karku. Natychmiast zaczęła go głaskać i masować, chichocząc przy tym z cicha.

<Ona uważa, że głaskanie mnie to zaszczyt> oświadczył Oberon, coraz entuzjastyczniej merdając ogonem. <To dość nieoczekiwane wyznanie jak na boginię śmierci, ale doceniam to, że odrzuciła swoją dotychczasową konwencję>.

Śniadanie upłynęło nam w miłym nastroju. Morrigan radziła się mnie, co ma zrobić teraz w sprawie amuletu, a ja powiedziałem jej, żeby na razie nosiła go jako talizman i od czasu do czasu rzucała z nim jakieś zaklęcie, żeby zobaczyć, na czym polega różnica. Musi sama odkryć, jak rzucać zaklęcia, tak żeby żelazo ich nie zakłócało. Powinna też zapoznać się z jakimś żywiołakiem żelaza i podarować mu kilka faerii, nie żądając nic w zamian. Powtórzyć ten zabieg kilka razy, aż wreszcie żywiołak zapyta, czy nie mógłby czegoś dla niej zrobić.

– To może ci zająć kilka lat – ostrzegłem ją. – Mnie zajęło trzy, a ja jestem naprawdę przyjacielskim typem. I nigdy się nie zdradź nawet z odrobiną niecierpliwości.

– Ale skąd brałaś tyle faerii, żeby go karmić?

– No, Aenghus Óg ciągle mi jakieś podsylał, bo miały mnie niby zabić.

– Ha! – ryknęła Morrigan. – Zatem w pewnym sensie sam pomógł ci stworzyć system ochrony, który pozwolił ci stawić mu czoło.

Gdy Morrigan sobie poszła, wreszcie mogłem ulżyć mojemu pęcherzowi, po czym odkryłem, że jestem tylko trochę spóźniony na wycieczkę z Granuaile. Moja komórka nadal leżała na dachu sklepu, więc zadzwoniłem ze stacjonarnego w kuchni i poprosiłem Granuaile, żeby po mnie przyjechała. Wtedy dopiero wyciągnąłem z garażu różdżki. Już dawno temu powinienem był się zabrać do tej wróżby.

Moje różdżki to nic innego jak dwadzieścia patyków ze znakami Ogham wrytymi na jednym końcu. Każdy z patyków odpowiada innej literze z alfabetu Ogham, które z kolei symbolizują różne irlandzkie drzewa, a co za tym idzie, odpowiednie znaczenie prorocze.

Zabrałem je na tyły domu i oczyściłem umysł z wszystkich innych myśli. Skupiłem się na swych przyjaciółach i ich bezpieczeństwie, a potem, nie patrząc, wylosowałem z torby pięć kijków i rzuciłem je ostrożnie w powietrze tak, żeby spadły przede mną. To, jak upadną – i jak je zinterpretuję – powinno pozwolić mi uchylić rąbka tajemnicy przyszłości.

Otworzyłem oczy i ujrzałem wierzbę, olchę, głóg, tarninę oraz cis. To ostatnie drzewo przyprawiło mnie o dreszcz paniki; było przepowiednią śmierci. Na szczęście nie krzyżowało się ani z wierzbą, ani z olchą – które uznałem za oznaczające moich żeńskich i męskich przyjaciół –

ale jednak zagrażało obu grupom, bo leżało między nimi, jak niebezpieczna możliwość, możliwe niebezpieczeństwo. Głóg i tarnina – magiczna opieka i niebezpieczeństwo. Moi przyjaciele potrzebują magicznej ochrony: niemieckie heksy znów zaatakują, i to być może wkrótce.

– Hańba ci, zmienna Fortuno! – zakrzyknąłem z takim przejęciem jak Charlton Heston.

<O czym ty mówisz?> zapytał Oberon.

– Cytuję. Szekspira. W oryginale było „Out, out, thou strumpet Fortune”.

<Co to znaczy „strumpet”?> chciał wiedzieć Oberon.

– W szekspirowskim języku to to samo co dziwka.

<Fajowe słowo! Rymuje się z „trumpet”, trąbka, i masą innych słówek. Czemu Black Eyed Peas tego nigdzie nie użyli? Przecież raperzy zawsze szukają nowych, fajowych rymów, nie? Stanowczo powinni pójść w stylowy oldskul z Bardem>.

Parsknąłem.

– W samej rzeczy.

<I kogo tam wyzwałeś od strumpetek?>

– Fortunę. To z *Hamleta*. Chodzi o to, że Fortuna jest tak zmienna i niestała jak dziwka.

Dalej ten bohater mówi tak: „Bogowie. Wy wszyscy, którzy zasiadacie owdzie, W radzie Olimpu, odejmcie jej władzę!”, bo generalnie nie podoba mu się to, co Fortuna dla niego szykuje. No i wiesz, ani nie jestem bogiem, ani nie zasiadam owdzie, ale być może uda mi się odebrać Fortunie władzę, by cię nie skrzywdziła. – Miałem trzy amulety z zimnego żelaza, które mogły działać jak talizmany. Mogłem zapewnić ochronę trzem osobom. – Chodź tu, Oberonie. Dawaj tę obrozę.

<No, nie! Jeszcze jedna zawieszka?>

– Nie. To specjalny magiczny talizman, który będzie cię chronił przed Wielkim Bratem.

<Ale sośnie! Dzięki, Atticus!>

– Teraz musisz postać chwilę bez ruchu, żebym mógł go aktywować. Muszę się upewnić, że Wielkiemu Bratu nie uda się przebić przez moje czary-mary, żeby się do ciebie dostać, kumasz?>

<Jasne. Dawaj. Ani drgnę. Będę udawał, że jestem jednym z tych szalonych sfinksowatych kotów>.

– Doskonale. – Talizmany ochronne są stosunkowo proste w wykonaniu, ale ich siła waha się w zależności od materiału oraz zdolności osoby rzucającej czar. Zimne żelazo zapewnia oczywiście najlepszą ochronę, z kolei jego właściwości magiobójcze sprawiają jednak że naprawdę trudno nagiąć je do swoich celów. Chyba że się przyjrzało, jak to robi żywiołak. Tak jak przy innych zabezpieczeniach, trzeba jasno określić, przed czym konkretnie ma dany talizman chronić. Nie da się po prostu powiedzieć: „Chron mnie przed wszystkim”, bo tak sformułowane żądanie nie tylko jest niemożliwe do wykonania, ale i bardzo niebezpieczne. Zimne żelazo jest zresztą niemalże absolutem samo w sobie, ale talizman Oberona zaprogramowałem tak, żeby chronił go przed magią faeryczną, zaklęciami pochodzenia piekielnego, kilkoma innymi sztuczkami ze Starego Świata, które mogły znać heksy, oraz formułami kabalistycznymi. Niestety był nadal podatny na czary Obi, wudu oraz wiccańskie, nie licząc już nawet wszelkich praktyk indyjskich, azjatyckich i całej otchłani rozwiązań szamańskich, ale przecież na coś musiałem postawić.

Ledwie skończyliśmy, a już do drzwi pukała Granuaile, więc gdy tylko potwierdziła, że zdobyła odpowiednie kije i piłki, żeby podtrzymać moje alibi w sprawie Masakry w Satyrnie, zabrałem się do powtórzenia całego procesu także na niej.

– O, sensei, naprawdę nie trzeba było – powiedziała, gdy pokazałem jej amulet. Już i tak miała na szyi złoty łańcuszek, ale amulet wyglądał przyciężkawo, kiedy go sobie zawiesiła.

Tuż przy obojczykach miała kilka piegów i twardo postanowiłem zatrzymać na nich wzrok i nie spuszczać go ani na milimetr w dół.

– Mam nadzieję, że to nie naruszy za bardzo twojego stylu – powiedziałem – ale odtąd powinnaś go nosić bez przerwy. Kiedy nie masz go na sobie, jest zupełnie bezużyteczny. Z czasem splotę go z twoją aurą tak, jak zrobiłem z moim, ale na razie działa tylko jako talizman. Wzmocnię ci go teraz. Chcesz zobaczyć, jak to będzie wyglądało?

– Co masz na myśli?

– Mogę włączyć moje szkło faeryczne, żeby widzieć magię, a następnie spleść twój wzrok z moim, żebyś mogła zobaczyć to co ja.

– Jesteś w stanie sprawić, żebym zobaczyła, jak działa jakieś zajeby druidzkie czary-mary?

– Ano. Tylko postaraj się pamiętać, żeby mówić o tego typu rzeczach z należytym szacunkiem, dobrze?

Przestawiła się w jednej chwili.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz wprowadzić mnie w święte misterium druidzkiej sztuki?

– Brawo. Tak zabrzmiało to znacznie lepiej. – Włączyłem szkło faeryczne, odnalazłem nici świadomości Granuaile i splotłem je z moimi. Aż jęknęła, kiedy zakończyłem węzeł i jej punkt widzenia przesunął się poza jej głowę.

– Ja cię kręcę! – Jej ramiona rozłożyły się na boki, gdy zachwiała się lekko. – Moje pierwsze doświadczenie bycia poza ciałem.

– Nie ruszaj się, bo upadniesz. Najlepiej zamknij oczy.

– Dobra. Już. A, znacznie lepiej. Hej, ale gdzie ta magia? Mówiłeś, że zobaczę magię.

– Cierpliwości. Przecież jeszcze nawet nie zacząłem. Ale spójrz tutaj. – Uniosłem rękę tak, żeby widać ją było przez moje oczy, i przyjrzałem się mocy lśniącej na białym w pętli mojego tatuażu. W normalnej wizji moje tatuaże nie wyglądały jakoś szczególnie, ale gdy tylko spoglądałem na prawdziwe oblicze rzeczy, moc ziemi przebłyskiwała przez nie jak światło neonu. Po prawej stronie ciągnęły się pasy jak te malowane na samochodach wyścigowych, tylko że w kolorze indygo. Pulsowały białą poświatą.

– Wow! Świecisz się jak Las Vegas! Skąd się bierze ten blask spod tatuaży? Albo nie, powiedz mi, co oznaczają te wszystkie plecionki i węzły... Nie. Czekaj. Co to za jakieś dziwne nitki wychodzące z mojej głowy? Są jakieś takie strasznie poplątane.

– To sploty łączące twój wzrok z moim.

– Nie gadaj! Widzisz zaklęcia? Po prostu wiszą tak sobie w powietrzu jak jakieś celtyckie plecionki?

Zaśmiałem się cicho.

– Większość celtyckich plecionek to są zaklęcia, albo przynajmniej kiedyś nimi były. Druidzi widzą wszystkie połączenia między żyjącymi istotami i są w stanie nimi manipulować. Tych powiązań i splotów jest tak wiele, że zdolność wybierania tego, co się chce w danej chwili widzieć, i skupienie na tym wzroku to jedna z najważniejszych rzeczy, jakich będziesz się musiała nauczyć.

– Naprawdę? Nie czuję żadnych problemów ze skupieniem wzroku.

– To dlatego, że posługujesz się moimi oczami – przypomniałem jej.

– A, racja. Należą mi się ośle uszy. Czy to znaczy, że wszystkie zaklęcia tak wyglądają?

– Nie, tylko druidzkie. Części zaklęć w ogóle za dobrze nie widzę albo nie jestem w stanie zrozumieć, ale zawsze można zauważyć, że coś jest nie tak, kiedy ludzie w jakiś sposób są odcięci od świata, kiedy ich węzły są zbyt wygładzone albo podejrzenie udziwnione. Pokażę

ci, jak wyglądają inne zaklęcia, gdy tylko nadarzy się okazja.

– Ale zajedwabiście.

– Należyty szacunek? – przypomniałem jej delikatnie.

– Chciałam powiedzieć, że ta błogosławiona tajemnica napełnia moją duszę światłem zadziwienia.

– Ha! To było niezłe. Dobra, a teraz naprawdę muszę się skoncentrować. Gdybyś mogła przez jakiś czas zachować dla siebie swoje zachwyty, dobrze? – poprosiłem, skupiając wzrok na amulecie. – I nie ruszaj się.

– Dobra.

Założyłem na Granuaile takie same zabezpieczenia, jakie dałem wcześniej Oberonowi. Choć siedziała cicho, gdy zobaczyła, jak ciemnozielona sieć ochronna wynurza się z amuletu i otacza jej ciało, to jednak jęknęła z wrażenia, kiedy splatanie dobiegło końca i nici rozbłyły białym światłem, które po chwili zniknęło i znów zastąpił je miękki odcień zieleni.

– Dobra, skończyłem. To chroni cię tylko przed magicznymi atakami przypuszczanymi w zasięgu wzroku. Jeśli ktoś zdobędzie twój włos czy krew, to na wiele ci się ta ochrona nie przyda, bo taka osoba jest w stanie atakować cię od środka, więc dostaje się pod warstwę ochronną.

– Masz na myśli tego typu sztuczki, które umie robić Laksha.

– Otóż to. Oraz sabat mieszkający piętro nad tobą. Teraz spójrz, co się stanie, kiedy zdejmiesz amulet z szyi. Dasz radę to zrobić, posługując się moimi oczami?

– Chyba tak. Poczekaj. – Sięgnęła ręką na kark i złapała za łańcuszek. Zdjęła amulet i trzymając go w prawej ręce, zwiesiła ją przy boku. Pajęczyna nici mego zaklęcia natychmiast schowała się z powrotem do amuletu niczym taśma miernicza.

– Widziałaś? – spytałem. – Jeśli nie masz go na sobie, zupełnie cię nie chroni.

– Czyli że muszę go nosić cały czas?

– Tak by było najlepiej, choć oczywiście możesz go zdjąć, kiedy wiesz, że znajdujesz się na bezpiecznym terenie. Na przykład w twoim mieszkaniu, bo już je przecież zabezpieczyłem.

– Czyli gdybym spojrzała na moje drzwi przez twoje oczy, to zobaczyłabym zabezpieczenia, które tam rzuciłeś?

– Tak. Możesz zobaczyć zabezpieczenia mojego domu, jeśli chcesz. Mogę cię wprowadzić na zewnątrz, żebyś sobie na nie rzuciła okiem.

– To by było zaje... fajnie... znaczy, to byłby dla mnie zaszczyt, sensei.

Zachichotałem.

– Najpierw załóż z powrotem amulet i zobacz, jak znów zaczyna cię chronić.

Wykonała moją prośbę z niesamowitą uwagą. Potem oparłszy mi ręce na ramionach, wyszła za mną na dwór aż na krawędź trawnika, komentując wszystkie sieci zaklęć, które mijaliśmy – na werandzie, trawie i jadalni, który pomógł mi w walce z robakowatym demonem. Już mieliśmy się obrócić i spojrzeć wreszcie na zabezpieczenia na domu, gdy usłyszałem za sobą jakiś głuchy odgłos, jakby ktoś walił dłonią po kanapie. Granuaile stęknęła cicho, poczułem, jak jej palce zaciskają się rozpaczliwie na moich ramionach, a potem już ich nie czułem. Obróciłem się natychmiast i zobaczyłem, jak leci do tyłu na trawnik. Nim miałem czas zrozumieć, co się stało, albo chociaż spytać, czy nic jej nie jest, mój amulet walnął mnie w klatkę i to z taką siłą, że zatoczyłem się do tyłu aż na ulicę. Coś takiego zdarzyło mi się już kiedyś, ale było to podczas drugiej wojny światowej na południowym zachodzie Francji. Między jednym niepewnym krokiem a drugim doświadczyłem jednego z tych rzadkich momentów gestaltu, kiedy to urywki różnych wspomnień i inne wskazówki czające się gdzieś w nieświadomości nagle łączą się i wypychają na poziom świadomości to jedno, słuszne słowo, tym razem o dużym ładunku

wściekłości, odrazy i gorzkiego ziarna odwlekanej za długo zemsty: *one*.

Jakiś ledwie zauważalny ruch gdzieś na skraju mego pola widzenia kazał mi odwrócić głowę w prawo i udało mi się zauważyć szczupłą kobietę, całą w piekielnych oparach magii, uciekającą w stronę Mitchell Parku. Skręciła za róg i tyle ją widziałem. Gdyby nie moje faeryczne szkło, pewnie w ogóle bym jej nie zobaczył. Najprawdopodobniej była magicznie skryta lub zakamuflowana, niewidoczna przy normalnej wizji, ale z pewnością była jedną z *nich*. Teraz miałem już nazwę tego starego wroga, którego nie spotkałem od wczesnych lat czterdziestych dwudziestego wieku. Teraz wiedziałem już z całą pewnością, że wiedźmy, które zaatakowały mnie i moich podopiecznych podczas drugiej wojny światowej, to te same wiedźmy, które od kilku dni dybią na moje życie. To *die Töchter des dritten Hauses*.

## Rozdział 18

Nie było czasu do stracenia. Odplątałem wzrok Granuaile od mojego, przywracając jej normalną wizję, i krzyknąłem do niej, biegnąc już ulicą:

– Szybko do domu i nie ruszaj się stamtąd!

W środku powinna być bezpieczna. Wydłużyłem krok i popędziłem sprintem, licząc na to, że uda mi się dopaść wiedźmę, która przed kilkoma sekundami usiłowała zabić mnie i moją uczennicę.

Gdy wypadłem zza rogu Jedenastej i Judd Street, zobaczyłem, jak skręca w prawo, w Dziesiątą. Zaraz będzie na Mitchell Drive, a tam pewnie skręci na północ, w stronę parku – lub University Drive – żeby mi umknąć. Ale gdy dotarłem na Mitchell Drive, stukot jej obcasów po asfalcie kazał mi się zwrócić na południe. Ledwie zdążyłem zauważyć, jak znika za rogiem z 10th Place, króciutkiej ulicy zupełnie pozbawionej zabudowań mieszkalnych. Ta uliczka wyprowadzi ją na Roosevelta, gdzie, jak znów założyłem, skręci pewnie na północ. I na tę myśl zrobiło mi się słabo.

Ta heksa będzie biegła wprost pod oknami pani MacDonagh.

Czy wiedziała, że przyjaźnię się z wdową? Pani MacDonagh nie miała żadnej ochrony, była zupełnie bezbronna i pewnie siedziała sobie właśnie na werandzie wystawiona na wszelkie ewentualne ataki. Jeśli w ogóle ta wiedźma już nie złożyła jej wizyty.

Dawno, dawno temu miałem zwyczaj chronić wszystkich przyjaciół w okolicy, ale stopniowo uświadamiałem sobie, że już to, że są magicznie chronieni, naznaczało ich często jako cele ataków lub dawało podpowiedzi co do mojej kryjówki. Ponieważ metoda ta dawała efekty przeciwne do zamierzonych, dawno już ją zarzuciłem. Dopiero teraz, biegnąc za niemiecką czarownicą, uświadomiłem sobie, że sytuacja znacznie się zmieniła, a ja przeoczyłem tę zmianę: już się nie ukrywałem, a zatem moi przyjaciele równie dobrze mogliby nosić na sobie wielgachne tablice reklamowe z napisem: „Zrób mi krzywdę, a skrzywdzisz druida”.

Podwoilem wysiłki i nawet przeszło mi przez myśl, żeby w celu zwiększenia prędkości sięgnąć do zapasów mocy z amuletu, ale znów mi mignęła gdzieś w oddali i nagle pojąłem, że o to właśnie jej chodzi. Celowo biegła środkiem ulicy, czyli że wie, iż pobieram moc z ziemi. Wyraźnie omijała szerokim łukiem wszelkie trawniki, z których mógłbym pobierać energię i zupełnie się nie męczyć. Gdybym chciał ją zaatakować magicznie, bez kontaktu z ziemią ryzykowałbym całkowite wypompowanie się z mocy.

Jednym słowem: pułapka.

Moje możliwości wydawały się nieco okrojone. W niedźwiedzim charmsie zostało mi magii zaledwie na jedno czy dwa zaklęcia, no może trzy, gdybym miał naprawdę dużo szczęścia. Większość zużyłem przy tworzeniu talizmanu dla Granuaile i splataniu jej wzroku z moim.

Na stopach miałem buty, więc nie mogłem nawet pobrać energii bez zatrzymywania się, żeby je zdjąć. Nie mogłem zmienić się w wilczarza, bo do tego najpierw musiałbym się rozebrać, a to dałoby jej za dużo czasu i mogłaby mi zupełnie umknąć. Poza tym ryzykowałbym ujawnienie się, i to na różne sposoby. Inne wyjście pojawiło mi się w głowie właściwie samo, gdy tak pędziłem za wiedźmą. I ono z pewnością było dość ryzykowne pod tym względem, że mogłem przy okazji ujawnić swoją prawdziwą naturę, oraz po prostu dlatego że nigdy jeszcze nie próbowałem czegoś takiego. Uznałem jednak, że tu, na 10th Place, gdzie na ulicę nie wychodziły właściwie żadne okna, ryzyko niepożądanych świadków jest minimalne. Im usilniej o tym myślałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że warto postawić wszystko na tę jedną kartę. Przecież nie mogłem pozwolić, by ta wiedźma uciekła zupełnie bezkarnie. Zadarła ze mną – musi

ponieść konsekwencje swojej beczelności. Biegając, zdjąłem koszulę i rzuciłem ją na ulicę, a następnie aktywowałem ten charms, który pozwala mi się przemienić w sowę. Moje ręce zwinęły się w skrzydła, nogi zbiegły się momentalnie, a dżinsy i sandały opadły na ziemię. Mimo że przemiana nastąpiła w biegu, nie zawiesiłem się ani nic, a w dodatku nikt jej nie zauważył – nawet wiedźma! – więc pogratulowałem sobie w duchu niezłego pomysłu.

Machnąłem mocno skrzydłami, żeby zyskać wysokość, i poleciałem wprost na północny wschód, licząc na to, że uda mi się odciąć drogę wiedźmie, która pędziła na północ wzdłuż Roosevelta.

Znów pojawiła się w polu mojego widzenia, gdy wyleciałem za ostatni dach na 10th Place. Wciąż biegła idealnie środkiem ulicy. Wzniosłem się na tyle wysoko, by się nie bać, że mnie zauważy choćby kątem oka. Lecząc nad nią, widziałem, jak kilka razy obraca głowę za siebie, żeby sprawdzić, czy wciąż pędzę za nią piechotą. Nie zauważyła jednak, że doganiam ją właśnie z powietrza. Zacząłem na nią spadać, gdy właśnie dobiegała do posesji pani MacDonagh. Trawnik wdowy był tuż po jej lewej. Skupiwszy wzrok na celu, nawet nie widziałem, czy wdowa siedzi na swojej werandzie czy nie. Heksa nie zauważyła cienia na czas, a gdy usłyszała ledwie dosłyszalny szelest ptasich piór, już było za późno, by się schylić. Moje szpony wbiły jej się w głowę, a ja zacisnąłem je ze wszystkich sił i pociągnąłem na prawo, choć darła się i wrywała. Dzięki temu zdobyłem całkiem sporo jej włosów – znacznie więcej, niż było trzeba, bym sam lub z pomocą Maliny mógł jej zrobić jakieś kuku.

Tylko że najpierw musiałem przeżyć ten pojedynek. Wiedźma niemal od razu się domyśliła, co się stało. Normalne sowy nie atakują biegających ludzi, żeby sobie zdobyć włosy do wicia gniazd. Wiedziała, że to ja. Wiedziała, co mogę zrobić z garścią, a dokładniej ze szponami pełnymi jej włosów. Zatrzymała się i skłęła mnie po niemiecku, a jej przekleństwo uderzyło mnie z taką samą mocą jak poprzednie. Amulet uderzył mnie w pierś tak potężnie, że odrzuciło mnie do tyłu. Spazmatycznie wymachiwałem skrzydłami, żeby odzyskać kontrolę, ale byłem już bardzo nisko i wiedziałem, że zaraz trzepnę o ziemię z dużą siłą – na tyle dużą, żeby potrzaskać natychmiast moje delikatne ptasie kości. Musiałem coś wymyślić i to szybko, więc pospiesznie pozbyłem się sowej powłoki i na ulicę upadłem już w ludzkiej formie, waląc w asfalt z takim hukiem, że aż mi odebrało na chwilę dech w piersiach. Potoczyłem się, przejechałem po jezdni i podrapałem sobie skórę, aż zaczerwieniła się pięknie tak zwaną wysypką asfaltówką. Włosy hekсы wyleciały mi z palców stopy, które oczywiście przestały być chwytne. Wiedźma znów przeklęła mnie siarczyście, a mój amulet ponownie trzepnął mnie w pierś. Odebrało mi to resztki tchu. No, starczy tego dobrego.

Toczyłem się jeszcze po upadku i celowo tego turlania nie przerywałem, aż w końcu wylądowałem nagi plecami na pierwszym z brzegu trawniku. Zatopiłem palce w trawie i zdołałem pobrać ledwie ociupinkę mocy do mojego niedźwiedziego charmsa, nim zostałem oderwany od ziemi i zaciągnięty za włosy na ulicę.

Zamiast stawiać opór i próbować wrywać się do przodu, postanowiłem zrobić salto w tył. Ten nieoczekiwany manewr zmusił ją do puszczenia mojej czupryny, bo nie była w stanie utrzymać jedną ręką całego mojego ciała odpychającego się od ziemi. Poleciałem na łeb na szyję, a gdy zerwałem się z ziemi, spinając się cały w pozycji obronnej, ujrzałem przed sobą nie jedną, ale dwie hekсы. Niby skąd, u licha, wzięła się ta druga?

Stałem tyłem do domu wdowy, a one odcinały mi dostęp do trawnika naprzeciwko. Wyglądały teraz inaczej – ich diabelskie czary-mary było jakieś wyciszone i w zielonej poświacie mojego szkła faerycznego widziałem zarysy ich twarzy, więc uznałem, że pewnie są teraz widoczne dla ludzi, i przerzuciłem się na zwykłą wizję, żeby zobaczyć, jak wyglądają.

Ich idolką ewidentnie była Pat Benatar. Chyba że jednak Joan Jett. Miały na sobie czarne,



obcisłe skórzane spodnie, kozaczki do pół łydki i czarne topy z ramiączkami spaghetti, które ledwie zakrywały ich imponujące biusty rodem z komiksów dla chłopców. Spod nastroszonych, natapirowanych, kapiących od sprayu grzyw z lat osiemdziesiątych wystawały wściekle ślepia i masa obnażonych groźnie zębów. Ta, którą gonilem, była blondynką. Nowa – brunetką. Z pewnością widziałem właśnie jedynie kosmetyczną fasadę. Tak jak Malina i jej sabat te niemieckie czarownice na pewno ukrywały swój prawdziwy wiek za pomocą magicznych sztuczek. W przeciwieństwie jednak do Maliny i jej towarzyszek co do tych wiedźm nie miałem żadnych wątpliwości – ich intencje były jednoznacznie złe. W zmarszczkach wokół oczu czaiło się okrucieństwo, a ich wąskie usta uśmiechały się jedynie na widok czyjegoś bólu. *Die Töchter des dritten Hauses* próbowały mnie już zabić podczas drugiej wojny światowej, a teraz polowały nie tylko na mnie, ale i na Granuaile.

Gdzieś całkiem blisko usłyszałem ryk syren policyjnych i przemknęło mi przez myśl, czy to możliwe, że Granuaile zadzwoniła po radiowóz. Gdy tak popatrywaliśmy na siebie, czekając na pierwszy ruch przeciwnika, za moimi plecami odezwała się moja pięta Achillesa:

– Atticusie, chłopcze złoty, czy ja tu patrzę na twój goły tyłek, czy mam już jakieś zwidy?  
– zawołała wdowa z werandy.

Mogły ją zabić jednym słowem. Wystarczyło to samo zwięzłe niemieckie przekleństwo, którego próbowały na mnie już trzy razy. Nie byłem w stanie nic zrobić, by je powstrzymać. Ta prosta prawda dojdzie do nich za jakąś sekundę i natychmiast będą chciały sprawdzić, jak bardzo mogą mi dopiec, zabijając staruszkę. Musiałem więc jakoś odwrócić ich uwagę.

Garść włosów tej blondynki nadal leżała na asfalcie na prawo ode mnie, tam gdzie wypadła mi ze szponów, gdy te zmieniły się w palce u nóg. Rzuciłem się po nie, chwyciłem je i wsadziłem sobie między zęby, jakby były jakimś włochatym kneblem. Potem resztką magicznych sił zmieniłem się w wilczarza i popędziłem wzdłuż Roosevelta na południe, w stronę domu. Czarownice zawyły wściekle i natychmiast podjęły pościg, zupełnie zapominając o wdowie – to jest o ile w ogóle zarejestrowały jej istnienie. Jeśli tylko uda mi się dobiec do domu, moje zabezpieczenia obejmą mnie całkowitą ochroną. Wiedziały dobrze, że do tego nie mogą dopuścić.

Potknąłem się i runąłem z hukiem na ulicę, gdy amulet trzepnął mnie aż dwa razy pod rząd, ale zerwałem się na równe nogi i popędziłem w stronę domów po zachodniej stronie ulicy, gdzie mogłem wbiegać na trawniki, żeby pobierać moc podczas biegu. Usilnie starałem się nie połykać śliny ani w ogóle nie wyczyniać nic, co mogłoby spowodować upuszczenie włosów tkwiących mi między zębami.

Choć byłem znacznie szybszy niż heksy, nawet się nie starałem rozwijać pełnej prędkości. Chciałem, żeby skupiły się na pogoni i nie miały czasu myśleć o wdowie. Zaczynałem się też zastanawiać, czy to możliwe, że w swoim repertuarze mają tylko to jedno przekleństwo, którym wciąż mnie obrzucają. Bywają i takie wiedźmy, które są niebezpieczne, tylko jeśli da się im czas na odprawienie odpowiednich rytuałów, a tymczasem w walce twarzą w twarz niewiele umieją zdziałać. Inne z kolei są dość niesamowite podczas walki, ale mają za mało wiedzy czy doświadczenia, by wykrzesać jakiegokolwiek bardziej skomplikowane czary-mary, kiedy już się je posadzi w kółeczku i każe zabrać do roboty. Duża część wiedźm europejskich należy do pierwszego typu. Dajcie im czas i składniki, a otworzą całe rzędy puszek pełnych świństw. Znacznie rzadziej trafiają się tam czarownice przygotowane do aktywnego udziału w porządnym mordobiciu – a jeszcze rzadziej takie, które umiałyby dogonić zmieniającego się w zwierzę druida. Właśnie myślałem sobie, że wciąż właściwie nie wiem za wiele o możliwościach sabatu Maliny oraz że Laksha jest jedyną znaną mi wiedźmą, która jest równie niebezpieczna twarzą w twarz jak wtedy, gdy ma tylko kroplę twojej krwi, gdy nagle heksy postanowiły wypróbować

nową sztuczkę. Za pomocą jakiegoś zmyślnego zaklęcia usiłowały odebrać mi naszyjnik, domyśliwszy się widocznie, że to on mnie osłania przed ich zabójczym przekleństwem. Poczułem się jak młody wół powalany na ziemię. Mój naszyjnik zaczął szarpać i ciągnąć.

Nigdzie oczywiście nie mógł sobie pójść. Był ze mną spleciony i nie można mi go było odebrać. Tylko ja mogłem go z siebie zdjąć własnymi rękoma, które teraz zresztą były psimi łapami. Ale wiemy chyba i tak były zadowolone z efektu. Nie zdołały zrobić mi żadnej poważniejszej krzywdy, ale mogły mnie powalać na ziemię w ten czy inny sposób i były coraz bliżej. Pobrawszy trochę mocy z ziemi, bo upadłem akurat na trawnik, spałem się gotowy na następne ataki ze strony własnego naszyjnika i skoczyłem przed siebie, znów zostawiając je w tyle. Strasznie chciało mi się sapnąć, ale bałem się ryzykować, że zgubię włosy tej wiedźmy. W końcu był to jedyny powód, dla którego nadal mnie gonili.

Właśnie przeklinały po niemiecku swój ubiór; jedna zauważyła nawet, że te kozaczki naprawdę nie są najlepsze do biegania, a miały go dziś całkiem sporo. Druga odparła, że nie byłoby tego całego niepotrzebnego latania, gdyby ludzie po prostu umierali jak należy.

Nim dotarły do mojego domu, kompletnie mi się złachaly. Ja tymczasem byłem odświeżony i naładowany mocą wszystkich okolicznych trawników. Syreny policyjne ucichły, ale chyba dopiero gdzieś bardzo blisko, może w okolicy University Drive albo trochę na wschód.

Granuaile zamknęła moje drzwi na klucz, tak jak się tego spodziewałem. Już chciałem się zmienić z powrotem w człowieka i po prostu zapukać, ale przypomniałem sobie w ostatniej chwili, że Oberon mówił coś o powrocie pana Semerdjiana. Obejrzałem się i rzeczywiście: wiele mówiąca szpara między żaluzjami świadczyła jednoznacznie o tym, że mój sąsiad znów jest czujny. Jeśli teraz się przemienię w człowieka, jak nic zadzwoni na policję, że jestem ekshibicjonistą albo i gorzej. Zamiast tego więc podrapałem tylko po drzwiach łapami i zawałęm na Oberona. Wiemy tymczasem pocily się, sapały, stękały srogo i odgrażały się, że już po mnie, bo nie dość, że zabrałem im kilka włosów, to jeszcze całkiem popsulem tej blondynce fryzurę.

Oberon stał już w oknie, wbijając wzrok w czarownice na chodniku, i warczał cicho, a ja usłyszałem, że Granuaile idzie mi otworzyć.

<Czy mam tam podbiec i pogryźć im te wielgachne cyce?>

*Nie. Mamy świadka. Musisz się zachowywać.*

<A jeśli one nie będą się zachowywać?>

*Jeśli tylko wejdą na trawnik, uruchomią zabezpieczenia. Myślę, że dobrze o tym wiedzą.*

Granuaile otworzyła mi wreszcie, więc wpadłem do kuchni, a ona zamknęła za mną drzwi na klucz.

– Atticus? Co się dzieje? – Wyjrzała przez okno. – Skąd się wzięły te gwiazdy porno?

Zrzuciłem psią powłokę i aż się zakrztusiłem włosami wiedźmy, które usiłowałem wypluć na kuchenny stół. Na blacie nadal leżał trzeci amulet od Morrigan, więc chwyciłem go i powiedziałem tylko:

– To wiemy. Usiłowały nas zabić. Nie wychodź na dwór, póki nie wrócę.

– Znowu wychodzisz? Telefon dzwoni bez ustanku, ale nie odbierałam.

– Wdowa jest w wielkim niebezpieczeństwie. Muszę ją ochronić. Nie przejmuj się telefonem i nie ruszaj się ani na krok – powiedziałem, idąc szybko w stronę kuchennych drzwi.

– No dobrze, ale nic ci nie jest? Wyglądasz trochę, jakby cię kto smażył na wolnym ogniu

– zauważyła, patrząc na obrażenia po moim nieszczęśliwym upadku na asfalt.

– Nic mi nie będzie. – Na co znów rozdzwonił się telefon, zgodnie zresztą z zapowiedzią Granuaile. – Nie martw się, zaraz będę w domu – rzuciłem w drzwiach.

– Dobra. Niezły tyłeczek, sensei – stwierdziła, gdy już je zamknąłem.

Była to uwaga, którą będę mógł się podelektować dopiero później. Rzuciłem amulet na kępkę trawy, pobrałem moc i znów zmieniłem się w sowę. Od lat nie zmieniałem formy tyle razy na dzień i zaczynało to już być trochę bolesne. Chwyciłem amulet w szpony i wzniosłem się w powietrze na tyle wysoko, żeby przelecieć nad płotem sąsiada, ale potem trzymałem się tuż nad dachami, nie chcąc się rzucać w oczy heksom przed domem. Miałem cichą nadzieję, że są na tyle głupie, by chociaż próbować przetestować moje domowe zabezpieczenia albo przynajmniej postać na chodniku i podrzeć się na mnie.

Szybko jednak tę nadzieję straciłem. Ledwie zdążyłem zarzucić na siebie kamuflaż i wylecieć na ulicę, żeby pofrunąć jak najszybciej na północ, w stronę domu wdowy, a już więdźmy biegły z powrotem na Roosevelta, ponure, sfrustrowane i z wyraźnym zamiarem wyładowania swej złości na pierwszej lepszej ofierze.

Wylądowałem na werandzie wdowy z wielkim piskiem, żeby zwrócić jej uwagę. Rozszerzyła oczy ze zdumienia. Przemieniłem się znów w człowieka, pospiesznie zakrywając co trzeba, a wtedy wdowa uśmiechnęła się szeroko i zachichotała.

– Ho! Ho! Atticusie, czyżbyś przyleciał zrobić mi tu jakiś show? Chyba nawet mam kilka dolarów w torebce. Czeka, pójdę po nią do środka.

Kucając ostrożnie, żeby podnieść amulet z werandy, powiedziałem:

– Świetny pomysł, chodźmy szybko do środka. – Musiałem zabrać ją jak najszybciej z widoku, nim dotrą tu więdźmy.

– Otwarte. Zabieraj stąd swój goły tyłek i marsz do domu. – Wskoczyłem za próg, błagając ją, żeby się pospieszyła, i natychmiast pobiegłem do łazienki, żeby zerwać ręcznik i owinąć go sobie na biodrach.

– O nie! Już chowasz swoje jagódki i patyczek? – zawołała wdowa, gdy wyłoniłem się z łazienki. – A myślałam, że będę się miała z czego spowiadać w niedzielę.

– Musimy natychmiast zamknąć drzwi – wyjaśniłem. – Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Zaraz będą tu więdźmy. Ma pani jakiś łańcuszek, na którym mogłaby to pani zawiesić? – Pokazałem jej amulet.

Wdowa mieszkała w Irlandii w latach sześćdziesiątych. Wystarczyło jej usłyszeć mój ton, a już wiedziała, że nie czas na pytania.

– Tak, w sypialni mam kilka złotych łańcuszków – powiedziała, a w jej głosie nie pozostał ani cień żartobliwości.

– Proszę szybko pobiec po jakiś i spotykamy się zaraz w łazience. Musimy się trzymać z dala od wszelkich okien, póki tego na panią nie założę.

– Dobrze, ale bardzo proszę, żebyś mi to potem wszystko wyjaśnił – powiedziała, drepcząc pospiesznie do sypialni.

Zacząłem biegać po całym domu, pełnym koronek i dębowych mebli zarzuconych pękatymi poduszkami. Zamknąłem wszystkie drzwi na klucz. Szybko splotłem metal z zamków z ościeżami tak, żeby stanowiły lity metal. W ten sposób nawet jeśli więdźmy posłużą się zakłębieniem otwierającym zamki, tych drzwi nie będą w stanie ruszyć. Mimo to jednak, ponieważ dom wdowy nie był w żaden sposób zabezpieczony magicznie, takie drzwi zatrzymają hekсы na ledwie kilka chwil. Włamią się przez okna, jeśli tylko naprawdę chcą nas dorwać. A miałem przecucie, że chcą.

Wdowa była już w łazience i czekała na mnie, dzierżąc w dłoniach złoty łańcuszek. Zamknąłem drzwi łazienki na klucz, a potem, nakładając amulet na łańcuszek i zawieszając go jej na szyi, pokrótce wyjaśniłem, co się dzieje. Moim słowom towarzyszyło walenie do drzwi wejściowych.

– Przed domem stoją dwie niemieckie więdźmy, które chcą zabić nas obydwój. Jeśli nie

będzie miała pani na sobie tego amuletu, są w stanie zabić panią jednym słowem. To talizman i kiedy wymierzą w panią przekleństwo, wisior uderzy w panią, ale to właśnie będzie oznaczało, że działa, proszę więc go pod żadnym pozorem wtedy nie zdejmować, jasne?

– Jak słońce, mój chłopcze drogi. Ale czemu one w ogóle chcą nas zabić?

– Tak w skrócie: jedna z nich ma dziś nieznośne problemy z włosami – powiedziałem. –

A dłuższą wersję przedstawię pani potem.

Wielkie frontowe okna nie rozbijają się od razu z wielkim hukiem jak te ze szkła cukrowego, których zawsze używają na filmach. Są w stanie wytrzymać kilka potężnych łup-łup, a może nawet pęknąć, nim rozsypią się w drobny mak. Po pierwszym łupnięciu koty zawyły w panice i ukryły się po kątach. Brzmiało to tak, jakby do wybicia szyb heksy postanowiły posłużyć się fotelami z werandy. Przyjąłem to do wiadomości i natychmiast skupiłem się na aktywowaniu talizmanu wdowy. Nawet kiedy szkło huknęło i usłyszałem, jak Niemki klną głucho, ładując się do salonu wdowy, nie przestałem koncentrować się na zadaniu. Skończyłem właśnie w chwili, kiedy jedna z nich zaczęła się dobijać do drzwi łazienki.

– *Sie sind hier drinnen!* – zawołała na koleżankę.

– Niech pani natychmiast wchodzi do wanny i zaciągnie za sobą zasłonę – szepnąłem do wdowy. – Zajmę się tym.

Zacząły kopać w drzwi, które naprawdę nie były z tych, co mogłyby długo wytrzymać takie tortury. Zameczki w drzwiach łazienkowych istnieją generalnie po to, żeby powstrzymać członków rodziny od włożenia ci do toalety, kiedy właśnie gimnastykujesz swoją okrężnicę; nie są natomiast stworzone, by stanowić fortecę nie do zdobycia dla morderczych heks. Jeśli pozwoliłbym im wpaść do środka, straciłbym inicjatywę i wystawiłbym wdowę na niebezpieczeństwo. Toteż nie pozwoliłem.

Koncentrując się na mechanizmie zamka, mocno już naruszonym po dwóch pierwszych kopnięciach, zacząłem szeptać zaklęcie rozplątujące metal, czekając jednocześnie na kopnięcie numer trzy. Gdy tylko nastąpiło – niemal całkiem roztrzaskując zamek – zakończyłem rozplątowanie i pozwoliłem metalowi odpocząć. Szarpnąłem i otworzyłem drzwi na oścież, a stal pokruszyła się jak wczorajsza muffinka. Kopiająca heksa straciła równowagę i opadła z powrotem na swoje obcasy. Była to ta brunetka. Walnąłem ją pięścią w zaskoczoną paschtzschkę. Głową uderzyła boleśnie w ścianę, a kolana się pod nią wdzięcznie ugięły i pociągnęły ją na podłogę. Blondynka, która czaiła się za drzwiami po prawej, ryknęła na mnie:

– *Gewebetod!* – i natychmiast mój amulet wepchnął mnie z powrotem do łazienki.

Zupełnie mi się poluzował ręcznik, więc skorzystałem z okazji i skryłem się w środku, a tymczasem blondynka zachęcała tę drugą w dość przekonujących słowach, żeby wstawała i walczyła. Zauważyłem jednak, że nie rzuciła się za mną; stała tylko i darła się na tamtą, żeby przestała się wygłupiać. Naciągnąłem ręcznik i zrolowałem go, jak to się zwykło robić w szatni, aż był zwinięty mocno niczym gruby sznur.

– Ładna dupka – szepnęła bardzo cicho wdowa, gdy ruszyłem w stronę drzwi, przez co mało nie parsknąłem śmiechem. Mając jednak na uwadze ten przykry fakt, że za drzwiami wciąż czyha blondynka, postanowiłem nie dać jej żadnej podpowiedzi; śmiech zdradziłby z kretesem moje coraz bliższe wobec niej położenie.

Brunetka nawet kątem oka nie zerknęła na drzwi, bo skupiona była na czołganiu się z powrotem do salonu. Zobaczyłem, jak wyciąga rękę do tej drugiej, której nie widziałem. Jej spojrzenie wskazało mi dokładne położenie jej koleżanki. Bingo.

Skoczyłem do przodu i zamachnąłem się prawą ręką, celując ręcznikiem w głowę. Usłyszałem miłe memu uchu trzaśnięcie o coś, a zaraz potem okrzyk bólu blondynki. Douglas Adams miał rację: zwykły ręcznik jest jedną z najużyteczniejszych rzeczy na świecie.

Rzuciłem ręcznik i zrobiłem salto, żeby wyskoczyć na korytarz. Kiedy wylądowałem, obie wiedźmy właśnie wycofywały się do salonu w celu przegrupowania szeregów. Blondynka przyciskała dłoń do prawego oka, a brunetka wyglądała na zupełnie zszokowaną ilością krwi płynącej jej strugami po twarzy.

– *Vielleicht sollten wir ihn später erledigen* – jęknęła brunetka. „Może powinniśmy z nim skończyć później”.

– *Nein!* – syknęła blondynka, ruszając w stronę kuchni. – *Er ist allein und unbewaffnet. Wir machen es jetzt.* „Jest sam i nieuzbrojony. Musimy zrobić to teraz”.

No jasne, że byłem sam. Czy jej się zdawało, że mam na stanie jakiś tajny oddział czy co? Prawdą było również, że jestem nieuzbrojony. Ona natomiast sięgała właśnie po noże do mięsa. Nie powinienem był zostawiać ręcznika na ziemi przy łazience. Właśnie zastanawiałem się, czy po niego nie wrócić, kiedy uwagę nas wszystkich zwrócił pisk opon przed domem. Niebieski kabriolet bmw Z4 umilkł, a ze środka wyskoczył Hal, poruszając instynktownie nozdrzami, bo już wyczuł w powietrzu krew.

– *Er ist ein Wolf! Das ändert die Sache* – zdenerwowała się brunetka. „To wilk. To wszystko zmienia”.

Żebyś wiedziała, że zmienia, hekso jedna.

## Rozdział 19

Uwikłanie wilkołaka w walkę z wiedźmami można by porównać do rzucenia czołgu w kłębowisko żmij. Żmije mogą sobie mieć tyle jadu, ile im się żywnie zamarzy, ale co z tego, skoro czołg i tak nie odczuje ich ugryzień. Podobnie wiedźmy mogłyby sobie rzucać na Hala przekleństwo za przekleństwem, a on tylko by powiedział: „Oj, przestańcie, bo mam gilgotki”, a następnie rozszarpałby im gardła.

Heksy wnet pojęły, że ich szanse na przetrwanie zmalały znacząco wraz z pojawieniem się Hala, i nie marnowały czasu na ogłaszanie, że wycofują się na z góry upatrzone pozycje. Musiałem tylko zrobić unik przed dwoma pospiesznie ciśniętymi nożami, które miały im chyba zagwarantować, że nie stanę nikomu na drodze do wolności. Hal spiął się gotów do ataku, a kły same wyskoczyły mu w jednej chwili, gdy ujrzał, jak wiedźmy wyskakują przez okno i pędzą po trawniku w stronę ulicy, ale nie zrobił ani kroku w ich kierunku. Podązał tylko za nimi wzrokiem, śledząc z uwagą ich oddalające się sylwetki.

Rzuciłem się w pogoń, ale nim wyskoczyłem przez okno, przypomniałem sobie o braku odzienia. Widok gołego faceta pędzącego za dwiema paniami o apetycznie zaokrąglonych kształtach mógłby zostać przez ogół społeczeństwa mylnie zinterpretowany.

– Przekłete heksy – wysapałem, ale mój głos stał się zaraz znacznie donośniejszy ze złości. – Przekłete w siedemdziesięciu umarłych językach. Hal, czemu ich nie zatrzymałeś? Skrzywił się, ale odpowiedział spokojnie, choć wciąż nie spuszczał oczu z wiedźm: – Rozkazy alfy, Atticusie. Wiesz dobrze, że nie możemy się angażować w twoje bójki.

Ruszył powoli w stronę werandy, wciąż patrząc na wiedźmy, póki nie wskoczyły do chevroleta camaro i nie odjechały z piskiem opon w stronę University Drive. Wtedy dopiero odwrócił się, żeby spojrzeć przez zbitą szybę, i stanął jak wryty.

– Bogowie kipiącej ciemności! – wykrzyknął, podpierając się pod boki – czemu, do diabła, paradujesz zupełnie goły po domu wdowy?

– Co? O, cholera.

– I masz w dodatku nowe zadrapania i siniaki. Jeśli mi powiesz, że to znowu od brutalnego seksu, to chyba cię zdziwię.

– Zaczekaj, Hal, to nie to, co myślisz...

– Dzwonię do ciebie i dzwonię, i ani raczysz odpowiedzieć. No, teraz już wiem dlaczego.

– Nie, to nie to. Nic nie rozumiesz.

W tej właśnie chwili wdowa uznała za stosowne wyjść z korytarza prowadzącego do sypialni i z lekkim rumieńcem i szerokim uśmiechem oświadczyć głośno:

– No, dawnom się tak nie ubawiła, kochanieńki. Trochę się nagimnastykowałeś, nie?

Dała mi małego klapsa w tyłek i zachichotała.

– To jest po prostu chore – wyszeptał Hal.

– Hal, proszę cię.

– Jeśli to właśnie się dzieje z męskim poczuciem smaku, gdy dobiega się do twojego wieku, to naprawdę mam nadzieję, że umrę, nim go osiągnę.

– Cholera! Po prostu przyleciałem tu jako sowa i zaraz potem zaatakowały nas te wiedźmy, tak? To wszystko! Pani MacDonagh, niech mu pani powie!

– Tak było. A ten czemu się tak tym denerwuje? I kto to w ogóle jest?

– To mój prawnik – wyjaśniłem i dopiero wtedy dotarło do mnie, że sprawia wrażenie, jakby bardzo mu zależało na znalezieniu mojej skromnej osoby. – Dlaczego tu przyjechałeś, Hal?

– Cóż, musiałem w końcu zadzwonić do Granuaile na komórkę, żeby ustalić, gdzie się

podziewasz, bo nie raczyłeś odbierać ani stacjonarnego, ani komórki. Ale ona ma już dla ciebie alibi, nic się nie martw.

– Jakie alibi?

Westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Przecież chyba słyszałeś te syreny, nie?

– No. A co?

– Otóż syreny te pochodziły z samochodów policyjnych, które stoją właśnie wszystkie razem kilka przecznic stąd. Pod twoim sklepem. A twój pracownik leży martwy na chodniku.

Oboje z wdową jęknęliśmy cicho.

– Który pracownik? – wyszeptalem. – Mam teraz już dwóch, nie licząc Granuaile.

– Jakiś chłopak – wymamrotał Hal. – Nie podali mi nazwiska. Klient wezwał policję.

– Perry? Perry nie żyje?

– Jeśli ten twój drugi pracownik to pracowniczka, to wychodzi, że Perry.

– Bogowie niejedyni – szepnąłem, układając sobie w głowie ostatnie wydarzenia. – Ta brunetka musiała go zabić, gdy blondynka zaatakowała mnie w domu. Atak symultaniczny. I dlatego spotkały się z blondynką na Roosevelta, bo tu stał samochód, którym miały uciec... A niech mnie Manannan Mac Lir, jestem skończonym głupcem!

– Hmm, myślę, że byłbym w stanie jeszcze je namierzyć, jeśli chcesz. Daleko nie mogły uciec – zaproponował Hal. – Nie mogę walczyć, ale mogę cię przecież do nich podrzucić.

– Nie, nie, już je i tak mam. – Machnąłem na niego ręką, żeby go uspokoić. – Mam włosy blondynki. Już mi nie ucieknie, a brunetka na pewno będzie tuż przy niej. Jak i cała reszta.

– Jaka reszta?

– Zaraz ci wytłumaczę. Tylko pójdę po ręcznik.

Wdowa spytała, czy nie zjedlibyśmy kilku kanapek, choć do pory lunchowej było jeszcze daleko. Próbowwała nas też namówić na whisky, ale w końcu stanęło na herbacie. Widać było, że bardzo chce nas czymś poczęstować. Zaczęła się krzątać po kuchni, a my z Halem siedliśmy w salonie, żeby wyjaśnić sobie to i owo. Wiedziałem dobrze, że śmierć Perry'ego zacznie boleć dopiero za jakiś czas. Na razie jednak musiałem przede wszystkim zrobić wszystko, żeby nikt inny już przeze mnie nie zginął.

– Muszę to załatwić jeszcze dzisiaj – powiedziałem, zrelacjonowawszy Halowi wydarzenia tego poranka. – Zabiły Perry'ego, próbowały dorwać Granuaile i wdowę... nie mogę, u licha, pozwolić im latać bezkarnie i atakować to mnie, to moich przyjaciół. Zresztą to nie pierwszy raz, Hal. Poznałem je już kilkadziesiąt lat temu. Trzeba je zlikwidować. Zasłużyły sobie na to, zaufaj mi.

– Ufam ci – zapewnił mnie. – Co mogę zrobić, żeby ci pomóc?

– Trzy rzeczy – powiedziałem, odliczając mu je na palcach dla ścisłości. – Po pierwsze, ktoś się musi opiekować wdową, póki to się nie skończy. Czy myślisz, że Wataha zgodziłaby się mieć na nią oko? Wdowa i tak już przecież o was wie.

Hal skrzywił się lekko.

– Gunnarowi się to nie spodoba. Ale mogę sam jej popilnować, jeśli nie będzie wyjścia.

– Z tym może być ciężko, bo ciebie muszę prosić o drugą rzecz. Leif powiedział mi, że mój traktat o nieagresji z Siostrami Trzech Zórz jest już właściwie gotowy. Jesteś w stanie zrobić to ze mną w tej chwili? Być przy podpisywaniu?

– Mogę, jasne, ale po południu – powiedział. – O pierwszej muszę być w sądzie w sprawie innego mojego klienta. A ty musisz złożyć odpowiednie oświadczenie na policji, bo idę o zakład, że będą chcieli z tobą porozmawiać o Perrym.

– No tak. Masz rację. Dobra, to zrobimy to zaraz potem. Trzecia rzecz. Załatw mi jakies

alibi na dzisiejszy wieczór. Coś lepszego niż oglądanie telewizji z Granuaile dla zabicia czasu. Wydaje mi się, że za bardzo już się opieram na niej, a jeśli dzisiejszej nocy wszystko się znów spieprzy, chciałbym mieć jakieś alibi nie do podważenia.

Hal pokiwał głową.

– Dobra. Wyślę ci kilku wzorowych obywateli, żeby razem z wami pozabijali sobie czas. Zorganizują ci w domu festiwal *Władcy pierścieni* czy coś, a jeśli będzie trzeba, zeznają ładnie, że całą noc prażyłeś popcorn.

– A niech mnie, co za genialny pomysł. Naprawdę chętnie bym sobie poprzyżył, zamiast zajmować się tymi bzdurami.

Hal podzwonił, gdzie trzeba, i już po chwili załatwił jednego wilka wdowie na resztę dnia, a trzy inne dla Granuaile. Miały wpaść do mnie do domu wieczorem.

– No, dobra, to czas teraz pogadać z glinami – mruknąłem, starając się, żeby wypadło to lekko i niefrasobliwie, choć wcale się tak nie czułem. Najchętniej w ogóle bym tam nie szedł, bo wiedziałem dobrze, że przed sklepem czeka mnie okrutny dowód na to, że śmierć Perry'ego jest prawdą, i że gdy tylko zobaczę jego ciało, nie będę już umiał sobie poradzić z jego nieobecnością.

Hal zsunął się wzrokiem w dół i znacząco uniósł brwi.

– W ręczniku?

– Wyluzuj. Ciuchy i komórę mam na dachu sklepu. Podrzuc mnie tylko na tyły budynku, żebym mógł je włożyć.

Hal oparł twarz na dłoniach.

– Pozwolę sobie spytać: a co one tam robią? – wycedził przez palce.

– Musiałem je tam zostawić, żeby zmylić tego koszmarnego rosyjskiego rabina. A właśnie! Wiesz już coś o nim?

– Nie. – Hal pokręcił głową. – Wciąż czekam na informacje. Ale pracuje nad tym wybitny specjalista.

Poczekaliśmy razem na członka Watahy, który miał dotrzymać dziś towarzystwa wdowie. Okazało się, że to Greta, która kilka tygodni temu mało nie przypłaciła życiem walki w Superstition Mountains. Spojrzała dziwnie na mój ręcznik, ale nic nie powiedziała.

– Zabierz panią MacDonagh na jakąś miłą wycieczkę za miasto – poprosił Hal, wkładając jej w dłoń studolarówkę. – Przywieź ją z powrotem rano, a my w tym czasie zrobimy porządek z tym oknem.

– Ojej! – Wdowa aż klasnęła w dłonie z radości. – A możemy pojechać do Flagstaff? – spytała z nadzieją w głosie. – Jest tam taka wspaniała restauracja, w której są pyszne steki i śpiewający kelnerzy! Taka miła wilcza panienka jak ty na pewno lubi zjeść sobie czasem dobry stek, prawda?

Greta słowem się nie odezwała, tylko posłała Halowi znaczące spojrzenie. Westchnął i dał jej trochę więcej pieniędzy, a potem skinął na mnie, żebyśmy już szli do samochodu.

Pożegnałem się grzecznie z wdową i obiecałem jej, że załatwię wszystko do jutra.

– Ależ wiem, że załatwisz, chłopcze złoty – powiedziała, a potem ze złośliwą iskrą w oku dodała: – Święta już niedaleko, słońce ty moje. Czy nie chciałbyś dostać od Mikołaja kilku par ładnych bokserek?

– Pani MacDonagh! – wybąkałem zawstydzony.

– A co? Nie nosisz bokserek, tak? Więc mam kupić slipy? W dzisiejszych czasach można je dostać w takich różnych wymyślnych kolorach, że byś nie uwierzył. Kiedy żył jeszcze mój Sean, facet musiał mieć białe majtki i tyle. Serce mi się kraje, kiedy widzę, jak latasz na komandosa.



– Na komandosa? – wykrzyknąłem. Hal i Greta, którzy dotąd usiłowali ukryć rozbawienie, teraz śmiali się już zupełnie otwarcie. – Gdzie pani usłyszała takie wyrażenie?

– No w telewizji oczywiście. – Wdowa spojrzała niepewnie na mnie, a potem na wilkołaki ocierające łzy i śmiejące się do rozpuku. Nastroszyła się nieco, jakby podejrzewając, że być może to z niej się śmieją, i z przejściem wyjaśniła: – Znowu puszczali *Przyjaciół* i to było w tym odcinku, co Joey wkłada ciuchy Chandlera i się gimnastykuje... i cały czas lata na komandosa... Czy powiedziałam coś nie tak?

– Nie, nie, wszystko powiedziała pani tak jak trzeba, tylko... mniejsza z tym. – Naprawdę trudno mi było przekrzyczeć ryki dwóch rozbawionych wilkołaków. – Milej zabawy w Flagstaff, pani MacDonagh. Chodź już, Hal. Naprawdę nie płacę ci za to, żebyś się ze mnie nabijał, tak?

– Dobra, dobra, ale upewnij się, że masz toto zawiązane porządnie na tyłku – wysapał, wskazując na ręcznik. – Nie ma mowy, żebyś mi siadał gołą dupą na skórzanej tapicerce, jasne?

## Rozdział 20

Hal zajechał swym lśniącym Z4 na uliczkę za księgarnią i zaparkował ledwie jeden budynek dalej, bez skrępowania ustawiając samochód na czyjejs posesji.

– Stań tu na dole, a ja ci wszystko zrzucę – powiedziałem. – Tylko uważaj, bo najpierw zrzucę komórkę, to postaraj się ją złapać, dobrze?

– Mam całkiem niezły refleks, Atticusie – przypomniał mi Hal.

– Jasne. A teraz: zakryj oczy! – ostrzegłem, wyskakując z samochodu i puszczając ręcznik. – Nadciąga goły Irlandczyk.

– Aaa! Oślepiasz gorzej niż śnieg! – zawołał za mną Hal. Pokazałem mu, gdzie się zgina dziób pingwina, a potem zmieniłem się w innego ptaka, a konkretnie: sowę, i pofrunąłem na dach sklepu, gdzie nadal leżały sobie spokojnie moje ciuchy wraz z komórką. Gdy przysiadłem na tylnej krawędzi dachu, nie widziałem w ogóle radiowozów zaparkowanych przed sklepem, a to oznaczało, że i oni mnie nie widzą. Kiedy Hal zawołał szeptem, że jest już gotów, ostrożnie zrzuciłem mu telefon, dzinsy i koszulę, a potem sandały, po jednym naraz. Na samym końcu zrzuciłem majtki, żeby sobie nie myślał, a on ostentacyjnie ich nie złapał. Cóż. Po prostu znów będę musiał latać na komandosa.

Odczytawszy długą listę nieodebranych połączeń, zadzwoniłem do Granuaile.

– Cześć, sensei. Czy wdowie nic się nie stało?

– Nie, wszystko w porządku. Ale wiesz już o Perrym?

– Tak. To straszne. Ale dorwiesz je, prawda?

– Tak, dziś w nocy. Teraz jednak muszę pogadać z glinami.

– Okej, ale zanim się tym zajmiesz... kochanie, wiesz, za co cię tak strasznie kocham?

– Za co? – spytałem, rozpoznając nasz kod sygnalizujący alibi.

– Jak oglądaliśmy *Kill Billa 2*, żebyś mógł się nauczyć tej techniki Pięciu Punktów Dłoni Rozsadzających Serce, to twój rozporek był cały czas rozpięty, wiesz? To było takie słodkie.

– No jasne, kochanie, ninja nigdy niczego nie ukrywa – powiedziałem, bezskutecznie usiłując zmusić się do beztróskiego tonu. Teraz naprawdę pożałowałem całego tego pomysłu zgrywania się na fana sztuk walki. Kiedy na to wpadłem, wydawało się to takie zabawne, ale teraz nie bardzo miałem ochotę nadal grać tę rolę, gdy musiałem zmierzyć się ze śmiercią Perry'ego. – Dzięki – mruknąłem. – Aha, wpadnie dziś do mnie kilku kumpli i zrobimy sobie festiwal *Władcy pierścieni*.

– O?

– No, będzie super, zobaczysz. Ale może lepiej wyciągnij z zamrażarki kilka steków, bo ci kolesie naprawdę lubią mięcho, wiesz? – Rozłączyliśmy się i kiwnąłem głową do Hala. – Dobra. Jestem gotowy. Już lepiej chodźmy, bo chciałbym mieć to za sobą.

Wynurzyliśmy się z zaułka przy sklepie i od razu natknęliśmy się na policyjnych fotografów skupionych na robieniu zdjęć ciała Perry'ego, leżącego twarzą do góry z dłonią na klatce w małej kałuży krwi wyciekającej spod głowy, którą rozbił sobie o cement.

Widziałem już w swoim życiu tylu zmarłych. Patrzenie na nich staje się trochę łatwiejsze, gdy ma się aż takie doświadczenie. Chociaż nadal zupełnie nie radzę sobie z widokiem martwych dzieci – tych niewinnych istot, które jeszcze nie miały nawet szansy wybrać między mieczem a lemieszem.

Perry na pewno nie należał do tych, którzy przekuwaliby lemiesz na miecze. Całe swoje skromne zasoby przemocy wyładował na własnych małżowinach usznych, wkręcając w nie te śmieszne srebrne tunele. Choć prawdę powiedziawszy, z lemieszem też by sobie nie poradził –

nie był w stanie odróżnić rumianku od mięty, mimo że chyba z tysiąc razy tłumaczyłem mu już, że to całkowicie różne rośliny.

Musiła jakoś go wywabić na dwór. W sklepie nie dałaby rady rzucić tego zabójczego zaklęcia. Zresztą to pewnie wcale nie było trudne. Perry'emu pewnie wystarczyło jedno spojrzenie na tę czarną skórę i imponujący biust, by natychmiast wyskoczyć przed sklep i grzecznie spytać, w czym może jej pomóc.

Kiedy zauważył mnie detektyw Geffert, nawet nie musiałem udawać smutku. Powiniennem był przewidzieć to zagrożenie. Przepowiednia ostrzegła mnie przecież, że śmierć czai się na jednego z moich męskich przyjaciół, ale uznałem, że chodzi o Oberona, a nie Perry'ego.

– Panie O'Sullivan – powiedział detektyw Geffert, podchodząc dziarskim krokiem do mnie i Hala. Nie byłem w stanie oderwać oczu od Perry'ego, a detektyw uznał, że widać go nie usłyszałem. – Panie O'Sullivan – powtórzył. – Bóg jeden wie, jak się pan musi czuć w tej chwili, ale mimo to mam obowiązek zadać panu kilka pytań.

Zaskakujące słowa. Spodziewałem się raczej, że będzie się zachowywał arogancko i podejrzliwie.

– Niech pan pyta – odpowiedziałem cicho.

– Pan wybaczy, panie detektywie – wtrącił się Hal – ale pan jest z wydziału zabójstw, nieprawdaż? Na jakiej podstawie wnioskuje panowie, że to zabójstwo?

– Tego nie będziemy wiedzieli na pewno, póki nie otrzymamy raportu koronera – przyznał Geffert. – Ale na wszelki wypadek zbieramy dowody i oświadczenia. Chodzi o należytą staranność, pan rozumie. – Hal kiwnął głową i się poddał, a detektyw znów zwrócił się w moją stronę. – Panie O'Sullivan, gdzie był pan dziś rano, zanim pan tu przyjechał?

– W domu – powiedziałem. – Z dziewczyną. Oglądaliśmy *Kill Billa 2*.

– Czy pana dziewczyna nadal jest w pańskim domu?

– Tak.

– Czy zmienił pan numer telefonu? Dzwoniliśmy od jakiegoś czasu na numer, który mamy w naszej bazie, ale nikt nie odbierał.

– Nigdy nie odbieram telefonu. Zawsze dzwonią ci okropni telemarketerzy. – Mój głos był barwy cementu.

– Czy zwykle nie pracuje pan tu o tej porze?

– Zwykle tak. Ale dziś mieliśmy jechać w góry Superstition, a Perry miał sam otworzyć sklep.

– Jak się pan dowiedział o tym, co się stało?

– Hal po mnie przyjechał. – Kiwnąłem głową, by wskazać swojego prawnika.

– A pan? Jak pan się o tym dowiedział, panie Hauk, dobrze pamiętam nazwisko?

– Tak, bardzo dobrze – pochwalił go Hal, po czym wyjaśnił: – W biurze mamy radio policyjne. Usłyszałem adres mego klienta i oczywiście od razu przyjechałem, żeby sprawdzić, co się stało.

– Rozumiem. – Geffert przez chwilę zapisywał sobie to, co od nas usłyszał, w małym notesie, a gdy skończył, wrócił do mnie. – Od jak dawna ofiara pracowała dla pana?

– Od ponad dwóch lat. Musiałbym sprawdzić dokładną datę w dokumentach, jeśli panu potrzebna.

– Czy był pracownikiem, na którym można polegać?

– Najlepszym.

– Czy miał jakichś wrogów, jakieś problemy poza miejscem pracy?

Pokręciłem głową.

– To był bardzo spokojny facet. Jeśli miał jakieś problemy, to nic o nich nie wiem. Niczego nie dawał po sobie znać.

– A w pracy? Były może jakieś tarcia między nim a panem? A może innym pracownikiem? Albo jakimś stałym klientem?

– Świetnie się dogadywaliśmy. Byliśmy jak dżem i masło orzechowe. Co do reszty ekipy to nie wiem.

– Mógłby pan mi podać nazwiska pozostałych pracowników oraz stałych klientów?

– Moją drugą pracowniczką jest Rebecca Dane. Zatrudniłem ją ledwie przedwczoraj. Moi stali klienci to Sophie, Arnie, Joshua i Penelope... Ale nie znam ich nazwisk. Codziennie rano, w słońce czy słońce, przychodzą na „Wesołe Życie Staruszka”. Powinni już tu być, nim to się stało.

– Co to jest „Wesołe Życie Staruszka”?

– Herbatka, którą im parzę na artretyzm.

– Czy ma pan w sklepie kamerę przemysłową?

– Tak. Dam panu taśmę z nagraniem. – Po co o to pytał? Przecież musiał dobrze wiedzieć, że mam kamerę, skoro nagranie z niej było głównym dowodem używanym przez Hala w pozwaniu przeciwko policji z Tempe za postrzelenie mnie kilka tygodni temu.

– Miał może jakieś problemy z narkotykami?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jakiegolwiek inne problemy ze zdrowiem, które można było zauważyć albo z których się panu zwierzył?

– Nic, chłopie, nic zupełnie.

– W porządku. Czy nie przychodzi panu do głowy nic innego? Nie było nic, co by zapowiadało tę tragedię?

Poza moją wróżbą z rana? Nie. Poczułem, jak opadają mnie straszliwe wyrzuty sumienia, jak wbijają bezlitosne szpony w moje serce.

– „Daj pokój” – wyszeptalem przez ściśnięte gardło. – „Drwię z wróżb”.

– Co proszę?

– „Lichy nawet wróbel nie padnie bez szczególnego dopuszczenia Opatrzności” – szepnąłem, a ciało Perry'ego zamazało mi się przed oczami.

– Co pan powiedział o wróblach?

Otarłem oczy i spojrzałem na Gefferta, jakbym go pierwszy raz w życiu widział.

– Nic takiego. Nieważne.

– O! Ale o co panu chodziło? Coś pan mówił o opatrzności?

– To taki rodzaj modlitwy za zmarłego – wybąkałem smutno. – Nie wnosi nic do śledztwa.

Przekręcił głowę na bok i przyjrzał mi się uważnie.

– Zasób pańskiego słownictwa znacznie się od wczoraj poprawił, panie O'Sullivan.

Cholera. Dwaj podwładni koronera przynieśli już worek na ciało. Odwróciłem się, żeby ich zobaczyć.

– Trza se, chłopie, ćwiczyć czajnik, żeby nie zardzewiał, nie? – odparłem tym samym pozbawionym wyrazu głosem, którym się posługiwałem, odkąd pojawiłem się przed sklepem. – Nie tylko sprzedają książki, nie? Czasami też je czytam.

– To by miało sens – zgodził się detektyw życzliwie, lecz czułem, że skoro raz już pozwoliłem opaść masce durnego młokosa, nie będzie mi go tak łatwo zwodzić. – Pan wybacz, ale mam jeszcze jedno pytanie. Udało się panu znaleźć tamten miecz, który się zgubił?

– Nie.

Detektyw w milczeniu zapisał sobie coś w notesiku, choć musiało to być coś znacznie dłuższego niż moje „nie”.

– Dobrze, to tyle na razie – powiedział. – Byłbym jednak wdzięczny, gdyby odbierał pan telefon, na wypadek gdybyśmy znów pana potrzebowali.

– Jasne.

Geffert poszedł sobie, przydzieliwszy mi jeszcze policjanta, który miał mnie zaprowadzić do środka, żebym przyniósł nagranie z kamery. Nawet jeśli pokazywała tę wiedźmę, która wywabiła Perry'ego na zewnątrz, dużo im to nie pomoże. Odwróciłem tabliczkę tak, żeby informowała o zamknięciu sklepu, i przekręciłem klucz w zamku. Potem zadzwoniłem do Rebecki Dane, żeby jej przekazać smutne wieści i poprosić, żeby przez kilka dni została w domu. Gdy zabrali ciało Perry'ego, pojechałem do domu na rowerze, który stał sobie spokojnie tam, gdzie go zostawiłem poprzedniego dnia.

Detektyw Geffert już tam był i przepytywał Granuaile, żeby potwierdzić moją historyjkę o tym, co dziś robiliśmy, a przy okazji oglądał kije i piłki, które Granuaile kupiła w Targecie, bo poprzedniego wieczoru nie dali rady do niej przyjechać, żeby potwierdzić moje alibi na noc Masakry w Satyrnie. Granuaile rozegrała to naprawdę genialnie. Nawet pamiętała, by poprosić Oberona o odpowiednie przeżucie tych piłek, Geffert dotykał ich więc teraz z wyraźnym obrzydzeniem. Stał właśnie nad otwartym bagażnikiem, gdy zajechałem pod dom. Granuaile była tuż obok i przewróciła oczami na powitanie. Oberon leżał na werandzie i przekazał najistotniejsze jego zdaniem wieści.

<Wielki Brat znów tu jest. Nadal nie próbował mnie nawet pogłaskać. Śmierdzi spleśniałymi skarpetami i tuńczykiem>.

– A, pan O'Sullivan – powiedział detektyw, wrzucając piłeczkę z powrotem do bagażnika Granuaile i zatraskując go z hukiem. – Dawnośmy się nie widzieli.

Nic na to nie odpowiedziałem, tylko skinąłem głową.

– Przyszedł pan wcześniej do sklepu piechotą – powiedział. – Ale teraz przyjechał pan rowerem. Skąd on się wziął?

– Sprzed mojego sklepu.

– Sprzed pańskiego sklepu. A skąd się tam wziął?

– Zostawiłem go tam wczoraj.

– Dlaczego?

– Bo czasami mam ochotę iść do domu piechotą. – A czasami nawet frunąć na skrzydłach.

Detektyw Geffert przyjrzał mi się uważnie, szukając jakichkolwiek oznak kłamstwa, a ja w zamian posłałem mu najspokojniejsze spojrzenie świata. Pierwszy odwrócił wzrok, chowając ręce do kieszeni i odkrywając nagle, że jego buty są niezmiernie interesujące.

– Wie pan, tak naprawdę mam całkiem niezły słuch. Słyszałem, co pan wtedy powiedział. Powiedział pan: „Lichy nawet wróbel nie padnie bez szczególnego dopuszczenia Opatrzności”.

– No i?

– To mi wcale nie brzmiało na żadną modlitwę. Zadzwoniłem na komisariat i zamieniłem słowo z naszą dyspozytorką. Studiowała anglistykę. Powiedziała, że to z *Hamleta*. – Jego wzrok wrócił na moją twarz. Chciał zobaczyć, jak zareaguję.

– No – zgodziłem się, zachowując obojętny wyraz twarzy.

– No więc, co pan ma do ukrycia, panie O'Sullivan?

Wzruszyłem ramionami.

– Nic.

– To nieprawda. – Pogroził mi palcem. – Wczoraj, kiedy przeszukiwaliśmy pana dom,

zachowywał się pan tak, jakby pańskie IQ plasowało się gdzieś na poziomie osiemdziesięciu. A dziś ni z tego, ni z owego cytuję mi pan Szekspira?

Moja cierpliwość wyparowała jak krople rosy w arizońskim skwarze i z wściekłości padło mi na mózg.

– „Czy ci nie dość, żeś mój ogród naszedł, przez moje mury jak złodziej się wdrapał, zapewne, żeby me grzędy rabować, jeszcze śmiesz do mnie przemawiać tak hardo”?

Brwi Gefferta uniosły się zadziwiająco wysoko.

– A to co za sztuka?

– *Henryk VI*, Część 2 – powiedziałem.

Detektyw zmarszczył czoło.

– Ile Szekspira nauczył się pan na pamięć?

– Całogo, chłopie. – Nie wiem, czemu posłałem mu szyderczy uśmiech. To było bardzo nierozsądne. Nie powinienem z niego drwić ani prowokować do poprzysiężenia mi osobistej krucjaty. Mimo to jednak wytrzymałem jego spojrzenie, podejmując ten pojedynek, a testosteron zaszumił mi w żyłach, przez co Geffert ujrzał w moich oczach inteligencję, której przebłysk zauważył już wcześniej. Wtedy dotarło do niego, że dzień wcześniej wcisnąłem mu kupę kitu, a jego i jego osilków wystrychnąłem na dudka. Jego szczęki zacisnęły się, a ramiona napięły, co nie uszło uwagi ani Granuaile, ani Oberona.

<Hej! Atticusie! Pa-nie pa-wku pa-rzaj pa-gli pa-nia pa-rza>.

– Czy to już wszystko, detektywie Geffert? Czy może jeszcze mogę w czymś pomóc? – spytała Granuaile.

– To by było na tyle – odparł, wciąż wytrzymując moje spojrzenie. – Na razie. Nieźle pan to sobie wszystko wymyślił, panie O'Sullivan. Pańska dziewczyna pokazała mi nawet rachunek z Targetu sprzed dwóch dni. Ale nie była mi w stanie wyjaśnić, czemu na nagraniu kamer ze sklepu nie miał pan ucha, kiedy teraz pan je ma.

– Miałem je i w Targecie – skłamałem.

– Nagranie pokazuje, że nie.

– To jest z nim coś nie tak. To zwykłe ucho, żadna atrapa, a uszy przecież nie odrastają ludziom tak po prostu, nie? Proszę bardzo, detektywie, może pan sobie go dotknąć. Ma pan moje pozwolenie.

Przekręciłem głowę na lewo i wskazałem mu ręką na ucho.

Jego wzrok powędrował do mojego prawego ucha. Uniósł lewą rękę i pociągnął za nie lekko, żeby sprawdzić, czy zachowuje się jak prawdziwa chrząstka, czy nie. Rozczarowany wynikiem tego eksperymentu oświadczył:

– Muszę teraz udać się na sekcję zwłok. Proszę pozostawać w mieście, byśmy mogli zadać panu ewentualnie dodatkowe pytania.

Żadne z nas nic na to nie odparło. Po prostu gapiliśmy się na niego, jak wsiadał do samochodu i odjeżdżał. Potem spędziłem dłuższą chwilę na omawianiu z Granuaile i Oberonem ostatnich wydarzeń. Było to dla nas bardzo ponure i smutne popołudnie. W końcu przyjechał po mnie Hal. Choć nigdy w życiu nie przypuszczałbym, że to powiem, oto ruszałem zawrzeć pokój z wiedźmami.

## Rozdział 21

Zadzwoniliśmy, żeby zapowiedzieć się z wizytą i by miały czas zdjąć wszystkie zaklęcia, zanim przyjedziemy. Gdy dotarliśmy na miejsce kilka minut po szesnastej, w apartamencie Maliny zastaliśmy cały sabat.

– To Bogumila – powiedziała Malina, wskazując nam smukłą brunetkę, która spojrzała na mnie bacznie jednym wielkim okiem; drugie kryło się za ciemną zasłoną włosów opadającą jej na pół twarzy. Bałem się myśleć, co bym zobaczył, gdybym pod nie zajrzał. Skinęła mi głową, a światło świecy, którą trzymała Malina, oświetliło jej włosy falujące lekko od tego ruchu.

– Przy ludziach proszę mi mówić Mila – poprosiła Bogumila. – Amerykanie brzydko się gapią, gdy ktoś ma zbyt egzotyczne imię.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem, a Hal – którego imię brzmiało tak naprawdę Hallbjörn – powiedział:

– Wiem aż za dobrze, co ma pani na myśli.

– Tam, w kuchni, to Berta. – Malina wskazała inną ciemnowłosą kobietę.

Berta, którą można by określić jako nieco puszystą, zjadła sobie coś ze smakiem i tylko zamachała do nas przyjaźnie, gdy wspomniano jej imię.

Malina przeszła do przedstawiania nam trzech kolejnych członkiń sabatu – samych blondynek. Kazimiera była niezwykle wysoka i miała nogi aż do samej ziemi, a jej opalona skóra i białe zęby miały wyraźnie sugerować, że dorastała na kalifornijskich plażach, a nie pod pochmurnym niebem Europy Wschodniej. Klaudia okazała się kobietą drobną, o lekko zaspanym spojrzeniu i wydętych ustach. Włosy miała krótkie, wycieniowane z tyłu, z grzywką układającą się jakoś tak leniwie, że miało się nieodparte wrażenie, iż skończyła uprawiać jakiś szalony seks dosłownie chwilę przedtem, nim weszliśmy do pokoju, a teraz musi koniecznie zapalić francuskiego papierosa. Dawniej miałem zwyczaj zawsze nosić przy sobie papierośnicę, by móc częstować takie właśnie kobiety, ale ten obyczaj stracił na atrakcyjności, gdy ludzie w końcu zdali sobie sprawę z tego, że podarować komuś papierosa to to samo, co podarować mu raka płuc. Mimo to odruchowo poklepałem się po kieszonce, która powinna znajdować się na mojej piersi, gdybym nadal nosił kamizelkę ze schyłku ery wiktoriańskiej.

Ostatnia z polskich wiedźm, Roksana, miała grube włosy związane tak ciasno, że tworzyły coś w rodzaju kasku, a na karku owijały się kilka razy o srebrną obręcz, by zaraz potem wybuchnąć szaloną kaskadą loków. Jej wielkie jak u sowy oczy spojrzały na mnie z powagą zza okrągłych okularów. Ubrana była w elegancki kostiumik złożony z białej koszuli, fioletowej marynarki z szerokimi poduszkami i czarnych spodni, a do tego miała czarne kozaczki o ostrych noskach, które jak dotąd nieodłącznie kojarzyły mi się z Maliną. Wystarczyła krótka analiza sytuacji, by stwierdzić, że wszystkie mają ten sam rodzaj kozaczków. Wszystkie też miały na sobie coś fioletowego, choć w wypadku Kazimieri była to jedynie broszka przypięta na lewej piersi.

Przedstawiłem Hala, bo część wiedźm jeszcze nie miała okazji go poznać. Wyciągnął z aktówki dwie kopie naszego traktatu o nieagresji oraz siedem niezwykle ostrych piór, którymi mieliśmy go podpisać. Dostaliśmy po jednym piórze, a traktat został rozłożony na czarnym stoliku do kawy stojącym przed sofą Maliny. Wiedźmy, każda po kolei, nakłuwały dłonie piórami i podpisywały obie kopie traktatu własną krwią. Potem nadeszła moja kolej.

Przez jakiś czas, gdy jeszcze trwały negocjacje dotyczące szczegółów traktatu, klóciłem się o to z Maliną i broniłem przed tym podpisywaniem krwią, argumentując, że zwykłe pióro w zupełności by wystarczyło, jeśli chodzi o prawną stronę tego układu. Naprawdę nie chciałem,

żeby jakikolwiek sabat był w posiadaniu mojej krwi, i kropka. Ale sabat walczył o nią zażarcie i w końcu się poddałem. Pod względem magicznym nasz traktat stawał się przez to znacznie bardziej wiążący, a względy magiczne były tu o wiele ważniejsze niż prawne.

– Ludzie wciąż łamią prawo, panie O'Sullivan – argumentowała wtedy Malina. – Ale bardzo rzadko łamią magiczne pakt, a ci, którzy je łamią, szybko kończą potem żywot. Podpisanie traktatu własną krwią zabezpiecza nie tylko nas, ale i pana.

Teraz jednak, gdy już nadszedł ten moment, a sześć krwistych podpisów schło na moich oczach, zawahałem się. Podpisanie krwią równało się przekreśleniu całych stuleci czegoś, co uważałem za „najlepszą praktykę” w zakresie umykania wiedźmom i ich niecznym zamiarom. Tylko że naprawdę nie widziałem żadnego innego wyjścia. Bez ich pomocy nie uda mi się utrzymać na tym terenie względnego spokoju, a bez tego nie będę mógł się zająć ratowaniem ziemi wokół Tony Cabin. Gdy krew kapłała już z mojej dłoni, poczułem ostry ból po ukłuciu, lecz nie zrobiłem nic, by go uśmierzyć; powinienem go czuć.

Gdy skończyłem, z wszystkich ust wyrwało się westchnienie ulgi, a napięcie natychmiast przysło i na twarze wypłynęły uśmiechy.

Berta zaklaskała w dłonie.

– Musimy to uczcić – powiedziała. – Kto chce czekoladkę i sznapsa?

Ta propozycja została natychmiast uznana za genialną, więc popędziła radośnie do kuchni. Inne wiedźmy podchodziły i ścisnęły dłonie mnie i Halowi, dziękując nam za wizję, za gotowość do współpracy; w ogóle to nigdy nie czuły się jeszcze tak cenione i szanowane, itd. itp.

Gorąca czekolada ze sznapssem została podana z całym talerzem świeżo upieczonych ciasteczek, które Berta nagle skądś wyczarowała. Malina zwinęła kopię dla sabatu, a Hal schował moją do swojej aktówki, żeby na stoliku można było postawić ciasteczka. Połowa sabatu usadowiła się na sofie, a pozostali przystawili sobie krzesła, tak że wszyscy zasiedliśmy w jako takiej elipsie wokół stołu z czekoladami i ciastkami przed nami, a pomarańczowo-kardamonowe świece płonęły wesołym ogniem w różnych kątach pokoju. Poczułem się nagle jak w jakiejś starej europejskiej kawiarni, tylko że było nieco za dużo fioletu jak na paryskie czy amsterdamskie standardy.

Skomplementowałem czekoladę Bertę i poprosiłem:

– To opowiedzcie mi, panie, o *die Töchter des dritten Hauses*.

Czarownice zamarły.

– Co chciałby pan wiedzieć? – spytała Malina neutralnym tonem, w którym zabrzmiała nuta napięcia.

Wydawało mi się jednak, że raczej próbuje powstrzymać wściekłość, którą wywołuje nazwa tego sabatu, niż coś przede mną ukrywać.

– Gdyby mogły mi panie wyjaśnić naturę konfliktu między wami... – zaproponowałem. – Wspomniała pani, że jego historia sięga drugiej wojny światowej, ale przyznam, że nie wiem zbyt wiele o tym, czym się panie wtedy zajmowały. Poza tymi kilkoma informacjami, którymi była pani łaskawa podzielić się ze mną przy naszym pierwszym spotkaniu.

– A co ja wtedy panu powiedziałam?

– Wspomniała pani, że spotkałyście się wszystkie w Polsce podczas blitzkriegu – przypomniałem jej. – I że po jakimś czasie wyładowałyście potem panie w Ameryce.

– I to wszystko? Ach, cóż. Spotkałyśmy się wszystkie w Warszawie – zaczęła Malina. – A raczej: Radomila znalazła nas i zebrała razem. Gdy już uformowałyśmy sabat, zaczęły się dyskusje, co robić dalej. Niemal bez ustanku wróżyłyśmy, usiłując zrozumieć, co się stanie, co możemy zrobić, gdzie się udać. Widziałyśmy, jaki koszmar się zbliża, i wiedziałyśmy dobrze, że w Polsce nie zrobimy nic, by go powstrzymać. Wszystko działo się zbyt daleko, zbyt szybko,



byłyśmy bezradne, a ludzie, do których musiałybyśmy dotrzeć w Niemczech, byli poza naszym zasięgiem. Może i byłyśmy potężne jak na wiedźmy, ale nawet my nie byłyśmy w stanie powstrzymać dywizji pancernych czy bezkarnych oddziałów SS-manów. Wkrótce zrozumialiśmy, że istnieje miejsce, gdzie jesteśmy w stanie coś zdziałać, opuściliśmy więc Warszawę na tydzień przed upadkiem i ruszyliśmy do Bułgarii.

– Do Bułgarii? – zdumiałem się. – Ale przecież Bułgaria należała do państw Osi.

– Tak, ale na jakich warunkach? Car Borys III dołączył do sojuszu, żeby zapobiec inwazji Hitlera, ale nie wysłał mu żadnej armii. Führer chciał, żeby Borys wkroczył do ZSRR i odciążył go tym samym nieco na wschodnim froncie, ale car odmówił. Nie chciał też wysłać pięćdziesięciu tysięcy bułgarskich Żydów do obozów śmierci w Polsce. Myślę, że naprawdę nieźle nam tam przez jakiś czas szło.

Rozdziawiłem gębę ze zdumienia, gdy dotarło do mnie, co ona w ogóle mówi.

– Wy naprawdę przypisujecie sobie tę jego politykę?

– Osiadłyśmy w Sofii i zostałyśmy tam aż do zabójstwa. Udało nam się uratować wielu ludzi.

Puściłem mimo uszu jej samochwalstwo i spytałem:

– Do jakiego zabójstwa?

– No, przecież opowiadam właśnie o Borysie III.

– A, tak. Jak pani myśli, kto go zabił. Przecież nie było tam w tym pałacu żadnego trawiastego wzgórza jak przy Kennedym.

– *Die Töchter des dritten Hauses.*

Pokręciłem głową.

– Nie, no bardzo przepraszam, tak się składa, że wiem to i owo o jego śmierci.

Ekshumowano jego ciało i przeprowadzono sekcję zwłok, która potwierdziła, że był to atak serca i nic poza tym.

– Właśnie – rzekła Roksana swoim śmiesznym angielskim i natychmiast spojrzała na Malinę przepaszająco, że się wtrącała. – Nie został otruty przez Niemców, choć krąży nadal taka spiskowa teoria. Nie było to podstępne działanie Rosjan. To te okropne heksy przedarły się przez nasze zabezpieczenia i zabiły go swoim przekleństwem.

– Znają zakłęcie, które powoduje atak serca?

Polskie wiedźmy pokiwały głowami zgodnie, a widoczna połowa ust Bogumili rzekła:

– Jest to zakłęcie, które powoduje martwicę części serca. Wystarczy, że zaatakują mały odcinek tkanki, bo jeśli ta tkanka znajduje się akurat w sercu, skutkiem jej obumarcia jest śmiertelny zawał.

– To ich ulubiona broń w walce – dodała Klaudia.

A więc to tym próbowały mnie zabić. To dlatego amulet za każdym razem uderzał mnie w klatkę. I tak zabiły Perry'ego. Wiedziałem oczywiście, że przekleństwo, którym miały w ludzi, było zabójcze, ale nie wiedziałem dotąd, jaki właściwie jest jego mechanizm. Lekarze sądowi ustaliły tylko, że Perry zmarł na nagły, niewyjaśniony atak serca.

– To w zasadzie ich jedyna broń – prychnęła z pogardą Berta, przeżuwając ciastko. – Poza tym nie są w stanie prawie nic zrobić bez pomocy jakiegoś demona.

– Tak, lecz niestety mają o wiele za dużo demonów chętnych do pomocy – dorzuciła Roksana. – Choć one oczywiście zawsze drogo je kosztują.

– Chwileczkę. – Uniosłem dłonie. – Wróćmy do Borysa. Czemu, do stu diabłów z wszystkich dziewięciu piekieł, te heksy w ogóle miałyby go zabijać?

– Tak jak Hitler chciał, żeby Bułgaria wkroczyła do Rosji – odpowiedziała mi Roksana.

– Czyli mówimy tu o tych słynnych nazistowskich wiedźmach z piekła rodem?

– Nie, nie. – Malina aż pokręciła głową. – Są znacznie starsze niż naziści i z całą pewnością przetrwały wojnę, gdy tymczasem nazistom się to nie udało. Po prostu wykorzystwały nazistów, żeby dostać to, czego chciały.

– Czyli ta ich nazwa, Córki Trzeciego Domu, nie ma się nijak do Trzeciej Rzeszy, tak?

– Nie, z tego, co mi wiadomo, to nie – odpowiedziała Malina niepewnie, a Roksana poparła ją natychmiast.

– Nazywały tak swój sabat na długo przed pojawieniem się nazistów – powiedziała. – Ale nie mamy pojęcia, co oznacza ta nazwa. Jakoś nigdy nie siadłyśmy sobie razem, żeby poplotkować o ich pochodzeniu.

– No dobra, ale o co im chodziło? Czemu chciały śmierci Borysa?

– Chciały tego, czego i Hitler – rzekła Malina. – A raczej: on chciał tego, czego one.

Rosji.

– Co? Czy pani sugeruje, że całą tę głupią wojnę Hitler rozpętał pod ich wpływem?

– Tak, to właśnie sugeruję – potaknęła Malina. – Wysłały mu sukuba i dały odpowiednie sny o Lebensraumie. To samo zresztą zrobiły z kanclerzem Theobaldem von Bethmann-Hollweg podczas pierwszej wojny światowej. Ale potem na wschodnim froncie nie działa się najlepiej, a w czterdziestym trzecim Borys odmówił wysłania tam swoich wojsk... zresztą pod naszym wpływem... heksy więc zabiły go, a wszyscy i tak przypisali to morderstwo Hitlerowi.

– Potem jednak nic nie potoczyło się tak, jak chciały. – Roksana uśmiechnęła się ponuro.

– Liczyły na to, że regenci, którzy po nim nastąpią, będą bardziej ulegli wobec heks, że trudniej będzie nam ich chronić i kontrolować, ale następcy Borysa okazali się po prostu niesamowicie głupi i słabi. Wkrótce zamiast Bułgaria do Rosji, Rosja wkroczyła do Bułgarii i było po sprawie.

– Co nam tak bardzo nie przeszkadzało – wyjaśniła Malina. – Bułgarscy Żydzi byli bezpieczni, a knowania heks spaliły na panewce, więc najważniejsze nasze cele zostały osiągnięte.

– Jednakże od tego czasu usiłują się na nas zemścić – odezwała się znów Roksana. – Pewnie nadal są przekonane, że gdyby tylko Bułgaria naprawdę dołączyła się aktywnie do wojny, wygrałyby.

– Dlaczego tak bardzo zależało im na wkroczeniu do Rosji?

Członkinie sabatu popatrzyły po sobie, niepewne, która ma odpowiedzieć na to pytanie.

W końcu przemówiła Kazimiera.

– Działa tam pewna grupa, która poluje na czarownice w ogóle, ale na heksy w szczególności. Gdyby ludzie ci trafili przypadkiem na nas, z pewnością od razu by zaatakowali, ale tak naprawdę szukają *die Töchter des dritten Hauses* ze względu na ich powiązania z demonami. Heksy liczyły na to, że SS-mani zajmą się tą grupą i w ten sposób zniszczą ich odwiecznego wroga. Himmler miał obsesję na punkcie okultyzmu i gdyby tylko miał w Rosji wolną rękę, bez wątpienia by ich znalazł.

Znów przypomniał mi się rosyjski akcent rabiego Yosefa Bialika i jego tajna organizacja.

– Dziwi mnie, dlaczego więc Stalin się ich nie pozbył. Czy wiedzą panie przypadkiem, jak nazywa się ta organizacja polująca na czarownice?

Polki pokręciły powoli głowami w tę samą stronę i w tym samym tempie. Robiło to dość przerażające wrażenie. Przemknęło mi przez myśl, czy aby tego sobie przypadkiem uprzednio nie przećwiczyły.

– A skąd wiecie, że heksy miały taką rosyjską a raczej antyrosyjską motywację?

Wiedźmy zwróciły głowy jak jeden mąż w stronę Maliny, więc zrobiłem to samo i czekałem na odpowiedź. Spuściła wzrok na kolana.

– Złapałyśmy tę, która zamordowała Borysa III, i przesłuchałyśmy ją. Gruntownie. Radomila się tym zajęła – dodała, wymieniając imię byłej przywódczyni sabatu. – Ale i ja byłam obecna. Nim zmarła, powiedziała nam bardzo dużo. To jeszcze jeden powód, dla którego *die Töchter des dritten Hauses* tak nas nienawidzą.

– Rozumiem. Wygląda więc na to, że cieszyły się bardzo dużymi wpływami po niemieckiej stronie. Mówicie panie, że miały dostęp do samego Führera. Czy to one podsunęły mu, przez sukuba czy jakimś innym sposobem, całą tę bzdurę o rasie panów i tak dalej? Czy to one wpadły na pomysł obozów śmierci?

– Z tego, co wiemy, raczej nie – odpowiedziała Berta, a z jej ust pełnych trzeciego już ciasteczka posypały się okruszki. – Po prostu chciały się posłużyć Niemcami jako maczugą na Rosję. Nie były nazistkami; były oportunistkami. Proszę mi wierzyć, że i ja miałabym ochotę przypisać im całe zło tej wojny, ale obawiam się, że wiele okropnych czynów zostało popełnionych przez ludzi bez żadnych zupełnie piekielnych podszeptów.

– Berta ma rację – zgodziła się Klaudia. – Holocaust nie był ich pomysłem. Choć wygląda na to, że nie miały nic przeciwko niemu. Po prostu przyłączały się, gdy pasowało im to do ich celów.

Zmarszczyłem brwi.

– Co ma pani na myśli?

– W szczególności polowały na kabalistów...

– Kabaliści! – wykrzyknąłem, uderzając się dłonią w czoło. – No jasne! To dlatego on nie umarł.

– Kto nie umarł? – spytały wiedźmy w polifonicznej harmonii. Były jak chór grecki.

Westchnąłem i starałem się zebrać myśli.

– Już od rana wiedziałem, że gdzieś wcześniej spotkałem te heksy... a raczej, że widziałem ich dzieło. Usiłowały mnie zabić przed moim własnym domem tym samym przekleństwem, którym posłużyły się w przypadku Borysa III, ale ochroniły mnie moje zabezpieczenia. – Celowo nie wyjaśniłem im, że właściwie to ochronił mnie mój amulet z zimnego żelaza. Nasz traktat o nieagresji bynajmniej nie zobowiązywał mnie do ujawniania tego typu informacji. – Moje zabezpieczenia już kiedyś zareagowały na coś w ten sposób. Było to podczas drugiej wojny światowej.

Berta przestała przeżuwać i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę? Gdzie pan wtedy przebywał?

– W Pirenejach Atlantyckich. Eskortowałem pewną żydowską rodzinę do Hiszpanii, gdzie mieli wsiąść w pociąg do Lizbony, a stamtąd dostać się do Ameryki Południowej.

Berta uniosła dłonie.

– Proszę zaczekać. To mi brzmi na niezłą opowieść – wyjaśniła i podniosła się z sofy. – Zrobię trochę popcornu. – Pozostałe wiedźmy wydały z siebie okrzyki protestu, przekonując ją, że to niegrzecznie oczekiwać ode mnie, że będę tu snuł opowieść wartą podgryzaczy rodem z kina, ale Berta tylko machnęła na nie ręką. – No, przestańcie. Przecież to druid. Na pewno aż się pali do odegrania roli barda. – Na co znów rozległy się protesty, ale już nie tak zażarte i w końcu wszystkie wiedźmy zwróciły na mnie przeproszające spojrzenia, błagając, bym im wybaczył zachowanie Berty.

Prawda była jednak taka, że to właśnie sprawiło, iż poczułem z nimi dziwną, swojską bliskość. W ciągu tych dwóch tysiącleci jedna rzecz z pewnością nie uległa zmianie – ludzie nadal uwielbiają słuchać wojennych opowieści, to jest o ile ich strona w nich zwycięża. Bogowie wiedzą, że w tej wojnie naprawdę nie było wiele wydarzeń, z których można by się cieszyć, poza tym, że w końcu jednak wygraliśmy. Ale sabat ją przeżył, ja ją przeżyłem, i one i ja walczyliśmy

w niej, choć może w niekonwencjonalny sposób. I to sprawiało, że była między nami więź, a opowiadanie tej historii tylko ją wzmocni i być może da podwaliny do nowych zwycięstw, które jeszcze nadejdą.

Uświadomiwszy sobie, że tym razem będę musiał opowiedzieć wszystko ze szczegółami, przeorganizowałem sobie całą opowieść w głowie. Tak naprawdę nie byłem w stanie wziąć bardziej czynnego udziału w wojnie, bo zabroniła mi tego Morrigan. W tym czasie nasze relacje były ciut niepewne.

– Czy ty masz pojęcie, ile bitew rozgrywa się teraz na świecie? A ja muszę obserwować je wszystkie! – oświadczyła, gdy próbowałem zaciągnąć się do brytyjskiej armii. Nie mogę cały czas się tobą zamartwiać. Nie będę latać i cię ostrzegać przed każdą miną czy bombą Luftwaffe. Trzymaj się z dala od wojny, Siodhachanie, i staraj się za wszelką cenę nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, a w szczególności uwagi faerii.

Teraz jednak nie chciałem w żaden sposób dawać do zrozumienia wiedźmom, że utrzymuję jakieś bliższe stosunki z Morrigan, więc gdy powróciła Berta z misami pełnymi popcornu i dała mi znak, że mogę zaczynać, powiedziałem im część prawdy. Wiedźmy aż się pochyliły do przodu z przejęcia, a wraz z nimi Hal. Nigdy jakoś nie było okazji, bym mu opowiedział, co porabiałem w czasie wojny.

– Jak panie wiedzą, ukrywałem się w tym czasie przed Aenghusem Ógiem, tak zresztą jak przez większą część tego okresu. I w związku z tym nie mogłem sobie pozwolić na to, by dokonywać zbyt magicznych czynów, bo to mogłoby niepotrzebnie zwrócić na mnie czyjąś uwagę. Z drugiej strony jednak nie byłem w stanie ukryć się w Amazonii i przeczekać, aż wszystko minie. Moje sumienie by mi na to nie pozwoliło. Toteż zostałem *maquis*, dołączyłem do francuskiego ruchu oporu na południowym zachodzie i tam pomagałem żydowskim rodzinom przekraczać dziką granicę, by mogli uciec przed nazistami. Inni partyzanci znali mnie jako Zielonego Człowieka. Jeśli ktoś bardzo się uparł, żeby nazywać mnie jakimś chrześcijańskim mianem, rzucałem imię Claude i to im musiało wystarczyć. Rodziny pod moją opieką docierały do Hiszpanii szybciej, bezpieczniej i skuteczniej niż wszystkie inne szmuglowane przez granice osoby. W sumie udało mi się przeprowadzić tak sześćdziesiąt siedem rodzin, czasami w dość sporych grupach. To oczywiście nic w porównaniu do waszych pięćdziesięciu tysięcy w Bułgarii – po cichu trochę wątpilem, czy rzeczywiście wiedźmy mają prawo przypisywać sobie tę zasługę – ale był to mój skromny wkład w walkę o pokój. Weźcie też panie pod uwagę, że wszystko to działo się w Gaskonii, rejonie zupełnie zdominowanym przez nazistów, z dala od większości *maquisard*. Często samo wyprowadzenie moich podopiecznych z miast było trudniejsze niż przeprowadzenie ich przez góry. Tylko jednej rodzinie pod moją opieką nie udało się wydostać z Francji. Spotkaliśmy się przed Pau i zamierzaliśmy przejść Pireneje przełęczą Somport. Ojciec był niezwykle miłym człowiekiem, bezgranicznie zakochanym w swoich dzieciach, jakimś naukowcem, choć nie jestem w stanie podać wam ich nazwiska, nawet gdybym chciał. W takiej pracy dla bezpieczeństwa zwykle nie pyta się o żadne dane osobowe. – Urwałem, żeby wziąć łyk gorącej czekolady, która nieco już wystygła, a Berta posłała mi niecierpliwe spojrzenie. – Obydwoje byli dość młodzi i mieli troje dzieci: dziesięcioletniego chłopca, ośmiolatkę i pięciolatkę. Chłopcy byli obaj w garniturkach, z pewnością swoich najlepszych, a dziewczynka miała szary, wełniany płaszcz z wielkimi guzikami, spod którego wystawała czerwona sukienka. Matka ubrana była podobnie, ciężki płaszcz na sukienkę. Ojciec niośł teczkę z papierami i zdjęciami, ale poza tym ta rodzina nie miała nic, tylko te ubrania na grzbietach. Ojciec... cóż, wyczułem w jego aurze jakieś ślady magii, ale nie marnowałem czasu na ich analizę. Teraz rozumiem już, że był kabalistą, a jego magiczne zabezpieczenia okazały się wystarczające, by oprzeć się temu przekleństwu heks, temu *Gewebetod, ja?*

– *Ja, das stimmt.* – Malina pokiwała głową. – Tego właśnie słowa używają.

– Nim dotarliśmy do połowy drogi do przełęczy, w środku nocy napadło nas sześć wiedzów, jedna na każdego z nas, co kazało mi podejrzewać, że ktoś nas wydał. Matka i dzieci padły na miejscu, chwytając się za piersi, gdy ich ciała osuwały się na jesienne liście. Poczulem uderzenie na moich zabezpieczeniach, odruchowo więc padłem na ziemię, spodziewając się granatu albo ostrzału z karabinu maszynowego. Zarzuciłem na siebie kamuflaż, gdy tylko dotknąłem ziemi, a potem jak najciszej przeczłogałem się z dala od miejsca upadku. Nawet jeśli narobiłem trochę hałasu, z pewnością został zagłuszony. Ojciec jako jedyny stał jeszcze, ale krzyczał, wołając do żony i dzieci po imieniu, potem pochylił się nad nimi i usiłował ich jakoś przywrócić do życia, gdy ja umykałem, by gdzieś się schronić.

– Jego kabalistyczne zabezpieczenia chroniły go w zupełności. – Berta zmrużyła oczy i pokiwała głową.

– Tak. Ale wtedy tego nie wiedziałem. Nie słyszałem ani razu, żeby powiedział choć słowo zaklęcia, a nie miałem głowy przyglądać się porządnie jego aurze, więc choć podejrzewałem, że musi być kimś ważnym – bo w innym razie dlaczego by zwrócono na niego aż taką uwagę? – równie dobrze mógł być kimś o dużym znaczeniu politycznym, a nie magicznym. W każdym razie on sam był zbyt zrozpaczony, by odpowiedzieć jakoś na atak. Nie wiem, dlaczego jego rodzina nie miała odpowiednich zabezpieczeń... może jego zdolności były trzymane w tajemnicy nawet przed najbliższymi, może z jakichś względów się na nie nie godzili. Nie wiem. Jego moc została jednakże wystawiona zaraz potem na poważną próbę. Z lasu wyłoniło się sześć postaci, sześć cieni ciemniejszych niż otaczające nas ciemności, a każda miała w ręku pistolet. Strzeliły jednocześnie i padł martwy na ciało żony, a gdy ciemnym postaciom skończyły się naboje, naładowały pistolety i znów zaczęły strzelać, w znieruchomiałe już ciało, i znów, i znów, wiele, wiele razy w głowę, w pierś, aż jego ciało było tak pokiereszowane, że nie ożywiłyby go już żadne, nawet najpotężniejsze czary. Potem stały jeszcze dłuższą chwilę i obserwowały ciało, aby się upewnić, że nie zaczęło się leczyć, a ja cały ten czas, ledwie dziewięć czy dziesięć metrów dalej, kryłem się za drzewem i patrzyłem na to wszystko. W tamtej chwili nie mogłem już zrobić nic dla tej rodziny. Nie miałem żadnej ochrony przed kulami poza tym, że umiałem się szybko leczyć, ale te tajemnicze osoby pokazały już, co mają zwyczaj robić, gdy kogoś podejrzewają o szybkie leczenie. Z broni miałem przy sobie tylko miecz. Nie wiedziałem też, kim właściwie są zabójcy, podejrzewałem jedynie, że to jakiś rodzaj wiedzów. Mając zbyt mało danych, uznałem wtedy, że to pewnie taki pluton egzekucyjny nasłany przez Himmlera, który ponoć polował na tego człowieka. Po jakimś czasie jedna z nich zauważyła, że mnie nie ma. *Gab es nicht sechs von ihnen? Ich zähle nur fünf Körper*, powiedziała.

– *Scheisse!* – wyrwało się Bercie. – I co wtedy zrobiły?

– Chwileczkę, Atticusie – wtrącił się Hal. – Nie wszyscy tu mówią po niemiecku, tak? Co takiego powiedziałaś?

– Nie było ich aby sześcioro? Naliczyłam tylko pięć ciał.

– Oż, cholera – mruknął Hal i wyrwał Bogumili miskę z popcornem. Jej widoczne oko nieco się rozszerzyło, ale nie zaprotestowała. – I co dalej? – spytał, pakując sobie do ust całą garść popcornu.

– Wyznaczyły jedną, żeby została i pilnowała ciała kabalisty, czy aby się nie leczy, a reszta się rozdzieliła, żeby mnie szukać. Nie były jednak w stanie przejrzeć mojego kamuflażu, szybko więc mnie minęły i zniknęły w lesie.

– Nie mają żadnej noktowizji? Albo chociaż przyzwoitego węchu? – spytał Hal.

Odpowiedziała mu Klaudia, kręcąc głową:

– Jak wspomniała już Berta, są zupełnie do niczego na polu walki, jeśli nie mają ze sobą

demona. Gdyby jakiś akurat był wtedy z nimi, na pewno bez trudu by przejrzały kamuflaż. Pewnie nawet miały coś, co im trochę pomagało widzieć w ciemności, ale na pewno nie przejrzeć zakłęcie osłaniające.

Kamuflaż bynajmniej nie jest zakłęciem osłaniającym, jest tylko kamuflażem, ale oczywiście nie wyprowadziłem jej z błędu.

– W każdym razie zostałem tam sam na sam – podjąłem opowieść – z jedną wiedźmą i postanowiłem wykorzystać szansę, by pomścić jakoś tę biedną rodzinę, nim sam będę się musiał ratować ucieczką. Kurtka mężczyzny uszyta była z naturalnych włókien, więc mogłem z łatwością spleść jego lewy rękaw z bokiem, co spowodowało oczywiście, że jego ramię poruszyło się raptownie w dół. Jak łatwo sobie mogą panie wyobrazić, ten ruch *über*-martwego ciała napędził wiedźmie niezłego stracha. Wrzasnęła w panice i wpakowała w nieszczęsnego mężczyznę jeszcze jedną serię naboju. Wykorzystując hałas, obnażyłem miecz, podbiegłem te kilka metrów i odrąbałem jej głowę.

To zdanie wywołało falę oklasków. Polki wzniosły toast i popłynęło jeszcze więcej trunku.

– Upadła tuż obok swoich ofiar, a ja zbiegłem z gór w stronę Pau, gdy tymczasem pozostałe wiedźmy wróciły, żeby sprawdzić, co to za krzyki. Nim dotarły do ciała i pojęły, co się musiało stać, byłem już daleko. Rzuciły się nawet w pogoń, ale nawet się do mnie nie zbliżyły. Przestałem chodzić przełęczą Somport i nigdy już ich nie ujrzałem ani nie doszedłem do tego, dlaczego właściwie nas zaatakowały, póki przed chwilą nie usłyszałem od pań tych kilku informacji.

– A co się stało, gdy dziś pana zaatakowały? – chciała wiedzieć Kazimiera. – Zabił pan którąś? – spytała z nadzieją w głosie.

– Nie. Okoliczności były niesprzyjające – odparłem ku rozczarowaniu całego sabatu. – Ale zdobyłem małe co nieco – dodałem i sięgnąłem do kieszeni po garść jasnych włosów. – To powinno nam ułatwić ich namierzenie.

– To ich? – wykrzyknęła Malina z niedowierzaniem, mało nie pożerając oczami tych włosów.

– Jednej z nich – sprecyzowałem. – Czy dzięki temu uda się paniom dowiedzieć, gdzie się ukrywają?

Pokiwały głowami wszystkie naraz i powiedziały chórem:

– Oczywiście.

## Rozdział 22

Zmieniłeś zdanie co do Thora? – spytał Leif.

– Tak, tak, tak! – powiedziałem jak najszybciej, ale i tak się rozłączył.

Okazało się jednak, że tylko przez pomyłkę. Po prostu już zamykał kłapkę od komórki pewien, że otrzyma odpowiedź negatywną, gdy usłyszał mój cichy głosik na tak. Natychmiast do mnie oddzwonił.

– Wybacz moje pytanie – rzekł – ale czy ty przypadkiem powiedziałeś, że zmieniłeś zdanie w wiadomej sprawie?

– Tak, tak właśnie powiedziałem – potwierdziłem. – Ale tylko jeśli będziesz dla mnie superhipermiły.

– Co miałbym ci zaoferować w zamian za pomoc? – spytał ostrożnie.

– Pomóż mi zabić kilka wiedźm w Gilbert.

– Tylko tyle?

– No, wiesz, nas jest dwóch, a ich około dwudziestu.

– Tylko tyle?

– One są naprawdę dość paskudne i w dodatku mogą być ubrane jak te laski z Go-Go. Łącznie ze sprejem na włosach i luźnymi podkoszulkami zwisającymi z jednego ramienia... no i w ogóle z całym kompletem.

– To z pewnością okropne, Atticusie, ohydne wręcz do potęgi entej, ale muszę przyznać, że zupełnie nie rozumiem, o czym ty mówisz.

– Dobra, to może inaczej ci to wytłumaczę. Sęk w tym, że może się do nas przypałać przez to jakieś diabelstwo, i to w dosłownym znaczeniu, bo część z nich wkrótce spodziewa się małych demoniątek. A może czeka nas i więcej niespodzianek, kto wie.

– Dobrze, dobrze. To kiedy?

– Dziś w nocy. Zaraz. I zadzwoń do tych swoich ghuli, bo jak już skończymy z wiedźmami, to będzie dla nich pełno żarcia.

– A kiedy zabijemy Thora?

– Wybieram się na małą skautowską misję do Asgardu przed Nowym Rokiem – powiedziałem, pomijając informację o planowanej kradzieży jednego z jabłek Idunn dla Lakshy.

– Po moim powrocie, który mam nadzieję, też powinien nastąpić jeszcze przed Nowym Rokiem, zaplanujemy sobie naszą wyprawę i wszystko zorganizujemy. Ty skrzyknij chłopaków do tej swojej Drużyny A, a ja was przerzucę do Asgardu.

– Przysięgasz, że tak właśnie zrobisz? – spytał Leif.

– Chłopie, przysięgam na mojego ulubionego misia i żelki.

– Że co słucham?

– Przysięgam, przysięgam. Tylko przyjedź tu już po mnie swoim batmobilem.

Leif syknął głęboko urażony.

– Nigdy w życiu nie zmieniłem się w żadnego nietoperza. Wampiry po prostu tak nie robią. Ten żaloszny mit stworzony przez niejakiego pana Stokera jest wyjątkowo krzywdzący.

– Jeśli uda nam się to przeżyć, Leif, przysięgam, że cię zmuszę w końcu do przeczytania kilku komiksów.

## Rozdział 23

Leif pojawił się przed moim domem w stalowym napierśniku i z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Nie po to przeżyłem taki szmat czasu, żeby teraz zadźgały mnie byle wiedźmy – wyjaśnił, opierając się nonszalancko o jaguara.

Spod napierśnika wystawała mu starodawna, biała lniana koszula z wielkimi, bufiastymi rękawami. Na szczęście nie poszedł w pełen renesans i nie dodał do tego pumpów i saczka. Zamiast tego włożył czarne lewisy i martensy z nadmierną ilością klamerek.

– Obawiam się, że jest jeszcze coś, co ci grozi z ich strony – powiedziałem. – I musimy temu jakoś zaradzić.

Jego uśmiech zniknął w jednej chwili.

– Mają światło słoneczne w tubce czy coś?

– Nie, ale prawdopodobnie będą miały do dyspozycji ogień piekielny. Osiem z nich ma już w brzuchach małe demoniątko. Z tego, co mi wiadomo, jesteś dość łatwopalny, prawda?

– Hmm, nie zaprzeczę.

– Mam na to sposób. Pożyczę ci coś, ale tylko na tę jedną noc. – Podałem mu talizman Oberona i aktywowałem go tak, żeby teraz chronił Leifa.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem i dotknął amuletu na szyi.

– Ten kawałek metalu ma mnie ochronić przed zmienieniem się w popiół?

– Poczujesz, jak się rozgrzeje, ale przynajmniej cię nie spali.

Uniósł brwi i przewrócił oczyma, bo wyraźnie nawet mu się nie chciało wzruszyć ramionami.

– Dobra. Jesteśmy już gotowi?

– Musimy najpierw załatwić jeszcze kilka sprawunków – zapowiedziałem i wskazałem głową dom naprzeciwko. – Pamiętasz może mojego wścibskiego sąsiada?

– Oczywiście.

– Jakiś czas temu wymusknęło mu się w rozmowie, że trzyma w garażu granatnik przeciwpancerny. Chciałbym sprawdzić, czy to prawda, a jeśli tak, to uwolniłbym go od niego dla celów wyższych.

Głowa Leifa ani drgnęła, ale poruszył nozdrzami.

– Jest teraz w domu.

– A, tak, jak zawsze obserwuje mnie przez żaluzje.

– Co więc proponujesz?

– Ty mu zrób czary-mary z makówką, żeby otworzył mi garaż, a ja po prostu tam wejdę, wezmę co trzeba i tyle. Aha, i weź zrób mu potem ten myk, żeby nic nie pamiętał.

– Jeżeli twój sąsiad jest w posiadaniu broni palnej, powinniśmy zgłosić to do ATF-u.

Co? Do Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych? Westchnąłem z rozpaczą. Kto by pomyślał, że mój krwio pijczy prawnik tak się przejmuje prawem?

– Dobra, ale może potem, okej?

Udobruchany Leif skinął głową.

– Patrzy na nas w tej chwili? Stoi przy oknie?

Spojrzałem w tę stronę kątem oka. Żaluzje nadal były lekko rozchylone.

– Tak.

Bez żadnego ostrzeżenia Leif odwrócił nagle głowę w tym kierunku i posłał w stronę



żaluzji swoje wampirze spojrzenie. Szpara zniknęła.

– Trafiony – zameldował Leif. – Działaj. Garaż powinien zaraz stać przed nami otworem.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, gdzie masywne drzwi od garażu otwierały się już z mozołem. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nigdy przedtem nie widziałem, żeby Semerdjian w ogóle je otwierał. Jeździł srebrną hondą CR-V i zawsze parkował ją na podjeździe.

Pancerzownica – jedna z wielu – była na swoim miejscu. Tak zresztą jak i cała skrzynka granatów, kilka skrzyń broni automatycznej oraz parę pocisków raketowych ziemia–powietrze. Na ścianie wisiało kilka kamizelek kuloodpornych.

– Ja cię kręcę – mruknąłem. – Zupełnie jak w moim garażu, tylko lepiej.

– To nie jest na moje oko broń służąca do samoobrony – zauważył Leif, który zatrzymał się na progu.

Pan Semerdjian może i znajdował się pod jego kontrolą, ale nie zaprosił jeszcze Leifa do środka. Stał przy drzwiach prowadzących do domu z lekko opadniętą szczęką.

– Panie Semerdjian – zwrócił się do niego Leif. – Mógłby pan mi wyjaśnić, dlaczego ma pan tu tyle broni?

– To przez kojoty – odparł.

Spojrzałem na niego uważnie.

– Co on powiedział? Jakie kojoty?

Leif powtórzył moje pytanie, jako że Semerdjian odpowiadał tylko jemu.

– No kojoty, no ci faceci, którzy szmuglują ludzi przez meksykańską granicę.

– A, te kojoty – powiedziałem. – To spoko.

– Zaopatruję dwa różne gangi – ciągnął pan Semerdjian. – Ostatnio potrzebują jakby coraz więcej sprzętu.

Leif wycisnął z niego jeszcze kilka informacji na temat dostawców i klientów, a ja zabrałem się do ładowania. Wziąłem sobie kamizelę kuloodporną, bo aż za dobrze pamiętałem, że *die Töchter des dritten Hauses* lubią pistolety, potem wyciągnąłem jeszcze dwa granatniki przeciwpancerne, a pięć granatów poutykałem po kieszeniach. Granatniki wsadziłem Leifowi do bagażnika i dopiero wtedy zawołałem, żeby się szykował do drogi.

Granuaile i Oberon siedzieli w domu i zabawiali trzy wilkołaki dłuższą wersją *Drużyny Pierścienia*. Jednym z nich był akurat doktor Snorri Jodursson, więc wywołałem go na chwilę na podwórze za domem. Zapytał mnie uprzejmie o zdrowie i podziękował mi za tak niezwłoczne uiszczenie olbrzymiego rachunku, a następnie cisnął mną na drzewo palo verde na sąsiedniej posesji, na którego gałęziach trzymałem Fragaracha i Moralltacha. Zdjąłem z nich sploty, ale pozostawiłem kamuflaż. Była to cała pomoc, jakiej mogłem oczekiwać od Watahy z Tempe, póki Magnusson miał w niej coś do powiedzenia.

Złożywszy miecze do bagażnika jaguara, wreszcie byłem gotowy do walki – a raczej do zakończenia walki, którą zaczęły ze mną *die Töchter des dritten Hauses*.

– Chodź, Leif! – zawołałem. – Później na niego doniesiemy, dobrze? Czas jechać po miłe więdzmy i pozabijać te niemile.

## Rozdział 24

Siostry Trzech Zórz zeszły ze swej wieży nadszpiewanie szybko i spotkaliśmy się na podziemnym parkingu pod ich apartamentowcem. Dziarskim krokiem podeszły w ostronosych kozaczkach do rzędu seksownych sportowych samochodów. Malina i Klaudia wsiadły do audi TT roadstera; Bogumila i Roksana wybrały mercedesa SLR McLarena; a Kazimiera i Berta, para trochę, zdawałoby się, niedobrana, zamierzały wyraźnie wcisnąć się jakoś do pontiaca solstice. W przeciwieństwie do niemieckich heks wiedziały dobrze, w jakim żyjemy dziesięcioleciu, i umiały sobie świetnie dobrać czarne ciuchy. Bogumila nawet zebrała włosy w praktyczny koński ogon i z pewnym rozczarowaniem stwierdziłem, że ta część twarzy, którą skrywała tak tajemniczo, okazała się zupełnie normalna – żadnych przerażających blizn, braków w tkance czy pustych oczodołów z wijącymi się w nich robakami.

– Czas nagli – oświadczyła Malina, gdy umilkły pikania otwierających się zamków. – Wydaje mi się, że udało nam się stworzyć tarczę ochronną, ale jeśli jakimś cudem jednak uda im się nas namierzyć, będą miały okazję, by powtórzyć przekleństwo, które zabiło Waclawę, a wtedy zabiją nas wszystkie. Poza tym głowę daję, że mają demony do pomocy.

– Zegar tyka, co? To ile mamy czasu? – Mnie osobiście w ogóle nie obchodziły wróżby heks. Dzięki mojemu amuletowi nikt nie był w stanie wywróżyć mojego położenia. Poza Morrigan oczywiście. Leif też nie miał się czym martwić, bo w ogóle trudno wykonywać jakiegokolwiek wróżby, które by miały dotyczyć umarłaków, a zresztą heksy musiałyby się przecież jakoś najpierw domyślić, że Leif dołączył do gry.

– Gdy już zaczną rytuał, pewnie nie więcej niż dwadzieścia minut. Jedźcie za nami. Po drodze porozmawiamy przez telefon.

Gdy patrzyliśmy, jak ruszają, Leif przejawiał odrobinę zawiści.

– Bardzo ładne autka. Z czego one żyją?

– Z konsultacji.

– Naprawdę? Jakiego rodzaju?

– Magicznego rodzaju, bym powiedział. W takim sensie, że za pomocą sobie wiadomych czary-mary wyciągają z firm niezłe sumki, nikomu w niczym właściwie nie radząc.

– Bardzo sprytnie. Choć pewnie niewiele się to różni od pracy zwykłych konsultantów.

– Malina też tak uważa – powiedziałem, gdy skręciliśmy w lewo, w Rio Salado, i popędziliśmy na Rural Road, żeby dotrzeć na obwodnicę 202. Moja komórka zaczęła wygrywać *Witchy Woman*, więc mruknąłem: – O wilku mowa. Pewnie chce się skonsultować w sprawie naszego planu ataku. – Otworzyłem kłapkę komórki i zapiałem: – Ha-loooo? – z intonacją wznoszącą i kończącą się tonem pytającym.

– Z pana głosu wnioskuję, że ma pan dość beztrudnie podejście do tego starcia – syknęła, a jej polski akcent znów stał się wyraźniejszy. Zawsze się tak działo, kiedy się irytowała.

– Po prostu usiłuję cieszyć się życiem, póki mogę. Za chwilę czeka nas sytuacja typu: zabij lub daj się zabić, więc staram się smakować życia sok, wysysać z kości szpik, póki mogę. A tak na marginesie, Leif zupełnie zwariował na punkcie pani samochodu.

Malina puściła wszystko to mimo uszu i powiedziała:

– Jedziemy w stronę Gilbert i Pecos, więc skręcamy na południe na 101, zaraz gdy się dostaniemy na 202. Są na ostatnim piętrze opuszczonego dwupiętrowego budynku. Coś czyha na nas na parterze i na pierwszym piętrze, ale nie byliśmy w stanie ustalić, co to takiego.

– To co? Pani wraz z siostrami wchodzi do środka, a my na panie poczekamy na dole, tak?

Przez kilka sekund panowała między nami lodowata cisza, aż wreszcie Malina rzekła:

– Nie, będzie dokładnie na odwrót.

Niemal widziałem, jak zgrzyta przy tym zębami.

– O, szkoda, bo liczyliśmy na to, że uda nam się jeszcze skoczyć do Starbucksa po latte, gdy panie się tym zajmą.

– Czy jedzie pan właśnie samochodem ze sławnym wampirem Helgarsonem? Czy on lubi latte?

– Nie wiem. – Obejrzałem się na Leifa, który śmiał się cicho (oczywiście słyszał obu rozmówców), i powiedziałem: – Pani Malina chciałaby wiedzieć, czy lubisz latte, a ja, czy jesteś sławny.

– Dwa razy nie – mruknął, gdy wjechaliśmy na obwodnicę 202.

– Przykro mi, pani Malino – powiedziałem do słuchawki. – Mówi, że nie, nie jest sławny.

– Może raczej powinnam była powiedzieć: niesławny. W każdym razie nie ma to teraz żadnego znaczenia. Znaczenie ma natomiast to, że ani ja, ani moje siostry nie jesteśmy zbyt wytrawnymi wojowniczkami. Gdybyśmy dorównywały im liczebnie, a one by nie oszukiwały, posługując się tą nowoczesną bronią, być może mogłybyśmy wejść tam i wygrać tę magiczną walkę. Ale jest ich ponad trzy razy więcej niż nas.

– Czyli ile właściwie?

– Dwadzieścia dwie. Część ma broń palną, ale i one nie są zbyt dobrymi wojowniczkami.

I choć mogą się spodziewać pana, pani O'Sullivan, to z pewnością nie będą się spodziewać pana Helgarsona. Wyobrażam sobie, że gdy obaj panowie staną do walki, będzie to robiło niezłe wrażenie.

– Pani Malina raczyła skomplementować nasze męstwo, Leifie – przekazałem mu.

– Od razu poczułem się bardziej męski – przyznał.

Krótki dystans, jaki mieliśmy pokonać 202, już był prawie za nami, i zjeżdżaliśmy na południe, w 101.

– Hej, pani Malino, niech mi pani powie, pani po prostu ma ochotę zobaczyć nasze wielkie, potężne miecze, co?

Leif odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem. Akcent Maliny tak się nasilił, że z trudem ją rozumiałem.

– Pani O'Sullivan! Proszę natychmiast zaprzestać tej błazenady! To dla mnie niepojęte, jak ktoś w pana wieku może zachowywać się tak niedojrzale. Proszę się skupić na zadaniu.

– Oj, dobrze, dobrze, przecież się skupiam. – Uśmiechnąłem się nieskruszony. Pewnego dnia tak ją wkurzę, że zupełnie zarzuci angielszczyznę i sklnie mnie po polsku. – To na czym stanęliśmy? Chyba miała mi pani wyjaśnić, co będą panie porabiały, gdy już dojedziemy na miejsce.

– Zajmiemy się stworzeniem magicznej iluzji wokół budynku, tak żeby normalnym obywatelom się wydawało, że wszystko jest w porządku, choćby w rzeczywistości słychać było strzały i wybuchy, a hekсы wylatywałyby oknami. Postaramy się także, by żadna z nich nie uciekła, gdyby przyszło im do głowy umykać... waszym wielkim, potężnym mieczom.

Obaj wybuchnęliśmy na to zdrowym śmiechem i niemal widziałem, jak Malina przewraca oczami, gdy westchnęła głośno do słuchawki, sygnalizując mi, iż ma wielką nadzieję, że wreszcie się wyhasaliśmy, skoro nam podrzuciła tę kość, i teraz się w końcu skupimy.

– Poza tym zajmiemy się tą blondynką, gdy tylko dotrzemy na miejsce – dodała Malina, uznawszy, że dostatecznie się uspokoiliśmy, żeby ją zrozumieć.

– O? A to czemu jeszcze tego panie nie zrobiły?

– Bo w takim wypadku od razu by wiedziały, że dał nam pan jej włosy. Lepiej, żeby nie

były pewne, czy współpracujemy, czy nie. Może wtedy nie uwzględnią tego w swoich planach.

– Dobra. Czyli na nas spada pozostałe dwadzieścia jeden wiedźm. Plus wszelkie demony, jakie mogą się pałętać w pobliżu.

– Tak. I wszystkie je musicie, panowie, zabić jak najszybciej. Z pewnością od razu zaczną *die Einberufung der verzehrenden Flammen*, gdy tylko się zorientują, że weszliście do budynku. Będą liczyły na to, że zabezpieczenia, które poinstalowały na niższych piętrach, zajmą was na tyle długo, by mogły skończyć w spokoju.

– Mówi pani o tej piekielnej klątwie, która zabiła Waclawę, tak? Jak one to nazywają? Wezwaniem Pochłaniających Płomieni?

– Tak.

– Czy będą w stanie zaatakować tym rytuałem Leifa?

– Zdecydowanie. To demon, który bierze udział w ceremonii, obiera cel. Nie potrzebują do tego ani włosów, ani krwi, ani w ogóle niczego. I dlatego właśnie nie jestem do końca pewna, czy nasza ochrona przed ich wróżbami będzie wystarczająco skuteczna.

Popatrzyłem znacznie trzeźwiej na Leifa.

– To świecidełko, które ci dałem, przed tym akurat wcale cię nie ochroni – mruknąłem. – Działa tylko w wypadku ognia piekielnego rzuconego na ciebie na linii wzroku. Jeśli pozwolimy dzwonom zadzwonić, zadzwonią tobie, przyjacielu. Spłoniesz jak rzymskie ognie.

– Czyli że jedyne, co nam pozostaje, to wyekspediować je najszybciej jak się da? – upewnił się Leif.

– Tak.

– Czy określenie „rzymskie ognie” jest tu właściwe? Co się stanie, jeśli im się uda?

Przekazałem to pytanie Malinie, przepraszając, że domagam się szczegółów śmierci Waclawy.

– Nie umiem odpowiedzieć panu na to pytanie – oświadczyła. – Nie było nas przy tym. Mnie nie było. Widziałyśmy tylko skutki klątwy. Dostałyśmy też raport detektywa Gefferta.

– Geffert! – wykrzyknąłem. – Wiedziałem, że gdzieś już słyszałem to nazwisko! Złożył wam wizytę w pani apartamencie, prawda?

– Tak. Zna go pan?

– To on ostatnio mnie zamęcza. O ile się nie mylę, ma pani jego włos.

– Tak – potwierdziła Malina.

– Bardzo ciekawe. To się może potem przydać. Jeśli zaś chodzi o nasze najbliższe plany, gdy tylko dojedziemy, wykonamy kilka szybkich manewrów. Ostrzelamy je granatnikami przeciwpancernymi i być może uda nam się w ten sposób pozbyć kilku na samym wejściu, potem wpadniemy na parter.

– Czy pan powiedział „granatnikami”?

– Tak, mamy dwa, więc zacniemy z wielkim hukiem. Mam nadzieję, że stworzona przez panie iluzja jest w stanie zatuszować takie wybuchy.

– Skąd, do diabła, wytrzasnął pan granatniki?

– A, wyprzedaż garażowa po drugiej stronie ulicy – odparłem wymijająco i rozłączyliśmy się, żeby Malina mogła przekazać wieści siostrze.

Leif tymczasem przedzwonił do Antoine'a, przywódcy okolicznych padlinożernych ghuli. Wyjechaliśmy na autostradę Santan i popędziliśmy nią na wschód, na Gilbert Road.

– Antoine. Znów mam dla was bufet. Najecie się aż miło. Pakuj chłopaków do wozu. Dwupiętrowy budynek na rogu Gilbert i Pecos. W menu mamy dziś wieczorem dwadzieścia dwie wiedźmy, niektóre z demoniátkami.

Nie mam takiego słuchu jak Leif, więc nie byłem w stanie rozróżnić słów, ale po tonie

głosu wywnioskowałem, że rzeczony Antoine się dziko ucieszył.

Gdy tylko zjechaliśmy z autostrady, oczom naszym ukazał się potężny budynek po południowej stronie Pecos, znaczący o tyle potężny, o ile można powiedzieć, że jakikolwiek budynek w Gilbert jest nieprzeciętnych rozmiarów. Okolice Phoenix rozrastają się raczej wszzerz niż wzwwyż, a dwupiętrowy budynek oznaczał tu prawie na pewno szczykowny biurowiec. Ten akurat, choć miał w zamierzeniu z pewnością mieścić najróżniejsze interesy, trafił akurat na recesję i nigdy nie ujrzał nawet jednego wynajmującego. Pod względem architektonicznym składał się z wielkich szklanych ścian z rzadka podtrzymywanych cementowymi płytami wzmocnionymi stalowymi prętami. Kilka klinów z pomalowanej płyty gipsowej miało dodawać tej bryle nastroju nowoczesnego luksusu i złamać wrażenie szklanej sterylności. W świetle ulicznych lamp widać było, że cementowe kawałki utrzymane są głównie w beżach, szarościach i zieleni odcienia szalwii, a kliny pomalowano na kolor suszonych pomidorów.

Budynek znajdował się na samej krawędzi ulicy. Po południowej jego stronie ział pustką rozległy parking. Tam też się zatrzymaliśmy i wtedy już na pewno musiały nas zobaczyć, chyba że zupełnie nikogo nie postawiły na czatach. Na parking wychodziły jedne drzwi, bardziej na lewo. Zarzuciliśmy z Leifem granatniki na ramiona i ostrzeżyliśmy nadobne Polki, by nie stały zbyt blisko. Malina zapewniła nas, że to im akurat nie grozi, bo rozdzielią się teraz i otoczą budynek, tylko żebyśmy celowali raczej wyżej, co by się przypadkiem nie znalazły na linii ognia. Wybrałem lewy górny róg budynku, bo założyłem, że stamtąd pewnie jesteście obserwowani, a Leif zdecydował się na ścianę ze szkła na drugim piętrze na prawo. Wycelowaliśmy starannie, a potem na raz, dwa, trzy pociągnęliśmy za spusty. Pociski zasyczały ponad głowami czarownic, by następnie uderzyć z cichym łup, po którym nastąpił huk rozpryskującego się szkła oraz potężny wstrząs. To powinno zwrócić ich uwagę.

– Zaczęło się. Teraz to już na pewno będą nas próbowały załatwić wiadomą kłutwą.

Wymacałem w bagażniku miecze i po dotyku odróżniłem Fragaracha. Zarzuciłem go sobie na plecy, a Leifowi podałem Moralltacha.

– Zostawmy kamuflaż dla większego zaskoczenia. Gdy już głównie będą ociekać krwią, nie da się ich nie zauważyć, ale niech przynajmniej kilka pierwszych istot nie wie, skąd się nagle wzięły w naszych rękach miecze.

Leif zachichotał i zarzucił sobie miecz na ramię.

– Do biegu! – Mieliśmy jakieś sześćdziesiąt metrów do przebiegnięcia, bo nie zaparkowaliśmy pod samym budynkiem. Obydwaj chwyciliśmy miecze i popędziliśmy. Wyciągnąłem też z kieszeni granat. Gdy tak prułem naprzód, poczułem, jak ogarnia mnie bitewne szaleństwo: koktajl z adrenaliny, testosteronu i wyczulonych zmysłów.

W dawnych czasach Celtowie mieli zwyczaj szarżować nago, nie licząc torquesów na szyjach. I ja nawalczyłem się w ten sposób – nawet całkiem niedawno – ale już wieki temu zauważyłem, że znacznie szybciej się biegnie, kiedy to i owo nie dynda się między nogami. Teraz miałem nawet buty, bo tu nie było żadnych szans na kontakt z ziemią. Cała moja magiczna moc spoczywała w niedźwiedzim charmsie, ale miałem nadzieję, że nie będę musiał z niej korzystać. Liczyłem na to, że Fragarach odwali za mnie całą robotę.

Gdy dopadliśmy do wejścia – wielkich, podwójnych szklanych drzwi z matowymi metalowymi klamkami – ujrzelśmy tylko pusty hol z ciemnego granitu zakończony dwoma korytarzami. Jeden z nich pewnie wiódł na schody, a drugi do wind. Leif już wyciągał pięść, żeby zbić szybę, co stanowiłoby nieco dramatyczne zaanonsowanie naszego przybycia, ale powstrzymałem go. Wystarczyła odrobina koncentracji i niewiele magii, żebym otworzył drzwi, splatając zasuwę zamka tak, by przesunęła się do pozycji otwierającej. Potem zerwałem zawleczkę od granatu, otworzyłem bezgłośnie drzwi i wrzuciłem go w korytarz na prawo, gdzie –

jak założyłem – musiały być windy, ale gdzie pewnie także ktoś się krył, żeby nas odpowiednio powitać. Granat odbił się od ściany pod takim kątem, że wylądował gdzieś głęboko w korytarzu, nie musieliśmy więc się bać odłamków, gdy już eksploduje.

Wybuchnął jak trzeba, ale nie usłyszeliśmy żadnych okrzyków rozpacz. Wkroczyliśmy do środka z uniesionymi mieczami.

– Czujesz czyjś zapach? – spytałem Leifa.

– Nie. – Wampir pokręcił głową. – Tylko kurz.

Odprężyłem się trochę, przez co mało nie skończyłem jako marmolada druidowa. Potężna bazaltowa kolumna spadła prosto na nas, już gdy wchodziłem w zakurzony korytarz.

Zauważyłem ją kątem oka i odruchowo odskoczyłem na bok. Uderzyła w podłogę holu z wielkim hukiem, roztrzaskując płyty podłogowe i pryskając wokół ich odłamkami. Tylko że potem ta kolumna wcale jakoś nie leżała, tak jak powinien zrobić szanujący się kamień. Poruszyła się, znowu, w tę i we w tę, aż w końcu zrozumiałem, że jest przyczepiona do czegoś większego, co wylaniało się właśnie z chmury odłamków, a ściślej: do cielska wielkiego bazaltowego golema o małych gazowych płomykach zamiast oczu, umieszczonych głęboko w olbrzymim głazie, który był najwyraźniej jego głową.

– Drugi jest za tobą! – krzyknął Leif, a ja przetoczyłem się znowu, by uniknąć potężnego ramienia roztrzaskującego właśnie płyty, na których leżałem przed chwilą.

Ten czaił się w korytarzu naprzeciwko, prowadzącym do klatki schodowej. Za plecami miałem szklaną ścianę z pojedynczymi drzwiami. Za nią znajdowała się nigdy niewykorzystana przestrzeń biurowa – nagi cement, żadnych ścianek działowych, otwarty przewód wentylacyjny w suficie i masę miejsca, żeby uciekać przed dwoma golemami.

– Potrzebujemy więcej przestrzeni! – zawołałem, zerwałem się na równe nogi i szarpnąłem za drzwi, które prowadziły do niedosłzłego biura. Nie były zamknięte na klucz, bo też i co by tam miał kto ukraść.

Leif rzucił się za mną, a bazaltowe golemy, goniąc nas, zburzyły po prostu całą ścianę. Poczulem uderzenia odłamków szkła o moją kamizelkę, a jeden z nich zranił mnie w lewe ramię, ale zignorowałem to, skupiając się na ucieczce. W tym budynku to można było sobie pobiegać; tak na oko samo to pomieszczenie miało ze dwa tysiące metrów kwadratowych.

– Ci kamienni strażnicy mogą stanowić pewien problem – zauważył Leif. Golemy poruszały się z wdziękiem właściwym osuwiskom skalnym; każdy wstrząsający ziemią krok poprzedzało upiorne zgrzytanie ich kredowych stawów. – Nie mają żadnych soczystych żył, w które mógłbym się wgryźć, miecze ich nie przetną, a one same nie spoczną, póki sobie nie pójdziemy.

– Coś ty! – krzyknąłem. – Golemy to tylko rodzaj kabalistycznego czaru, nic poza tym...  
– Urwałem, gdy przemknęło mi przez myśl, że być może mam na nie magiczną radę. Oczywiście mógłbym rozwiązać sploty kamienia, z którego się składały, ale to by zajęło trochę czasu, a w dodatku wymagało energii, której nie chciałem marnować. Dzięki rabbiemu Yosefowi miałem chyba jednak do dyspozycji znacznie prostsze rozwiązanie. – Czekaj, muszę coś wypróbować – powiedziałem. – Wybierz sobie jednego i zaatakuj go... znaczy postaraj się wspiąć mu na twarz czy coś... no grunt, żeby przez chwilę na mnie nie patrzył. Zaraz mu pokażę.

– Ile czasu potrzebujesz? – zażądał uściślenia Leif.

Zbliżaliśmy się już w zawrotnym tempie do wschodniego końca budynku. Zaraz i tak będziemy zmuszeni stanąć i się do nich odwrócić.

– Sekundę, może dwie – wyjaśniłem, przekrzykując rumor, który robiły golemy za nami.  
– Tylko nie pozwól mu się złapać ani nic. Gdybyś mógł potem zrobić to samo z tym drugim.

– Dobra – zgodził się Leif. – No to już.

Obrócił się zwinnie na prawej nodze i skoczył na pierwszego z brzegu golema, sycząc przy tym, jak to zwykły wampiry, by dać ofiarom znać, że nie są niczym więcej jak chodzącą porcją soczystego jogurtu. Zgrabnie wskoczył golemowi na kolano, z którego przeskoczył na głowę, gdzie wbił mu łokieć w nos i nawet udało mu się odłupać z niego kilka kamyków, nim na wpół uniesionym ramieniem podciągnął się i przeskoczył na głowę olbrzymia. Wisiał tam przez chwilę na nadzartej korozją wulkanicznej czaszce golema, póki tenże nie spróbował strzepnąć sobie intruza ręką. Ten ruch zwrócił uwagę drugiego olbrzymia, który zamachnął się, by strącić Leifa z karku brata, dając mi tym samym okazję do działania. Popędziłem w ich stronę i położyłem dłoń na nodze pierwszego z golemów. Już po chwili przestał się szamotać, a jego oczy zgasły na zawsze. Kabalistyczne zaklęcie po prostu nie wytrzymało kontaktu z moją aurą, a golem runął na plecy, mało nie przygniatając Leifa, który wyskoczył spod niego w ostatniej chwili. Drugi golem nadal jeszcze skupiony był na polowaniu na wampira, więc wystarczyło skoczyć w jego stronę i powtórzyć cały proces, a już po chwili zamarł i potoczył się na kamienne zwłoki brata.

– Na lodowate cycki Hekate, jakżeś to zrobił? – zdumiał się Leif. – Byłem pewien, że już tak do końca życia będziemy się tu z nimi gonić.

– Ważniejsze pytanie brzmi: jak tym heksom udało się je wywołać? – stwierdziłem. – Nie są kabalistkami. Co więcej, to właśnie na kabalistów polowały w czasie wojny... aha! No tak! Przecież one najwyraźniej kradną ofiarom ich zaklęcia!

– Może wyjaśnisz mi implikacje tego odkrycia potem – mruknął Leif. – Bo zegar nadal tyka.

– Jasne. Myślisz, że dałbyś radę cisnąć głową jednego z nich w sufit, żeby się przebić na piętro? Jakoś nie mam ochoty wracać tam – machnąłem w stronę zachodniej części budynku – i wspinać się po schodach najeżonych pułapkami.

– Ja też nie. Czekaj, zobaczę, czy bardzo ciężkie mają te łby.

Dorównywałem mu siłą, gdy miałem dostęp do ziemi. Nawet kiedyś to sprawdziliśmy, siłując się na rękę w parku, ale teraz to on musiał odgrywać herkulesa, bo w tych warunkach moje zapasy magii naprawdę były nikłe. Uniósł głowę jednego z golemów (pewnie ważyła co najmniej z pół tony) i podrzucił nią kilka razy dla próby. Na oko kosztowało go to tyle wysiłku, ile żonglera podrzucenie grejpfruta.

– Może rzucę nią tak pod kątem, a ty byś zaraz potem cisnął jednym z tych swoich granatów, co? – zaproponował.

– Świetny plan – zgodziłem się, wyciągając granat z kieszeni. – Tylko że potem będziesz jeszcze musiał mnie przerzucić przez tę dziurę. Druidzi nie umieją za dobrze skakać.

Bez zbędnych słów Leif cisnął głazem w sufit, co owocowało wspaniałym hukiem oraz zgrzytem wyginającej się stali. Głaz mało się nie przebił od razu na drugie piętro. Na szczęście się tak jednak nie stało – na samą myśl o tym, że heksy mogłyby sobie spokojnie do nas strzelać z góry przez dziurę, wzdygnąłem się mimowolnie.

Oderwałem zawleczkę i cisnąłem granatem przez dziurę w stronę szybów windowych i klatki schodowej po zachodniej stronie budynku, bo uznałem, że tam poinstalowały najwięcej zabezpieczeń. Na otwartej przestrzeni mój granat powinien narobić sporo szkód.

Niestety zabił tylko jedną z istot, które już tam na nas czekały. Leif rzucił mną przez dziurę i wylądowałem może mało zgrabnie, ale za to z obnażonym mieczem tuż przed siedmioma zakrwawionymi i rozwścieczonymi demonami, które wypadły na mnie z klatki schodowej. Głowy miały kozie, rogi zawinięte, nogi zakończone racicami, a klatki piersiowe i ramiona niczym Spartanie z 300. Żadna ilość kropelek Visine nie zlikwidowałyby czerwieni w ich oczach. Uzbrojone były we włócznie, ale zauważyłem, że przy pasach dyndały im też sztylety. Przede

wszystkim zaś nie miały pojęcia o dyscyplinie. Powinny były szarżować na mnie zwartym łukiem. Zimny Ogień w ogóle nie wchodził w grę, bo żadne z nas nie dotykało ziemi. Trzeba będzie je ekspediować metodami tradycyjnymi.

Gdy już rzucałem się na nie, przeliczyłem je szybko i wyszło mi, że jest ich osiem – znaczy siedem plus ten, co już się rozplywał na schodach – a przecież z naszych wcześniejszych wyliczeń wynikało, że było właśnie osiem demonów, które zapłodniły *die Töchter des dritten Hauses*.

– No, chodźcie, chodźcie, piekielni rogakze! – zawołałem, odbijając mieczem czubek pierwszej włóczni i przecinając gardło jej właścicielowi, któremu oczy wyszły na wierzch, jakby uważał, że to nie fair; chyba mu się jeszcze przed chwilą zdawało, że atakuje bezbronnego człowieka. Przetanącowałem zgrabnie na lewo, żeby musiały skręcić, a przez to wytraciły prędkość. Dwa następne wyczarowały sobie w lewej dłoni kule ognia piekielnego i cisnęły je w moją stronę, usiłując zmienić kierunek biegu.

Rzuciłem się na prawo, wprost na nie, nic sobie nie robiąc z płomieni, przed którymi chronił mnie przecież amulet, i odrąbałem im obu głowy jednym cięciem. Dopiero wtedy do pozostałych dotarło, że jednak jestem uzbrojony, i nieco zwolniły z tym atakiem, poruszając się teraz ostrożniej i próbując mnie otoczyć, gdy ja tymczasem się cofnąłem, żeby nie być w zasięgu ich włóczni. Wtedy właśnie z dziury wyskoczył Leif i wylądował za nimi, więc z łatwością wyciął jeszcze dwa demony. Pozostałe dwa postanowiły podzielić uwagę między nas dwóch. Jeden z nich cisnął we mnie włócznią, a potem rzucił się w moją stronę. Udało mi się zrobić unik przed włócznią, ale już nie przed nim. Każdy z nas chwycił za uzbrojone ramię przeciwnika i tak się szamocząc, potoczyliśmy się po podłodze. Ział mi piekielnie gorącym oddechem w twarz i okazało się niestety, że te napompowane mięśnie nie są tylko na pokaz. Musiałem pobrać trochę mocy z niedźwiedziego charmsa, żeby w ogóle mieć jakieś szanse.

– Zabiłeś mego ojca – ryknął basso profundo. – Gotuj się na śmierć!

– Inigo Montoya? To ty?

Przez chwilę naprawdę nie miałem pojęcia, o kim on w ogóle mówi, ale potem uświadomiłem sobie, że pewnie ma na myśli tego wielkiego barana, który uciekł podczas bitwy pod Tony Cabin.

– A już wiem, o kim mówisz – wysapałem, gdy mocowaliśmy się na podłodze. – To nie ja! Serio! To Flidais. Znajdziesz ją w Tír na nÓg albo mogę jej przekazać wiadomość od ciebie, jeśli chcesz. Nie chcesz? – Moralltach przebił się przez jego kręgosłup, nim miał czas odpowiedzieć, i opadł na mnie bez życia. – Uff! Dzięki – powiedziałem do Leifa, gdy skopał ze mnie ciało, które już zmiękło i zaczęło się roztopiać w rodzaj szlamu.

Leif zdążył tymczasem posłać tamtego drugiego z powrotem do stu diabłów.

– No, to wstawaj – ponaglił mnie mój prawnik z pewną niecierpliwością. – Pamiętaj o zegarze.

– Może wcale już nie tyka – mruknąłem. – Wydaje mi się, że to właśnie ci goście byli demonami niezbędnymi do odprawienia rytuału. Popatrz na te ściany. – Wskazałem mu świecące słabo runy wokół wejścia na klatkę schodową. – Spójrz na te znaki na podłodze. Te demony były tu uwiązane, a po ilości syfu wnosząc, że już tu trochę odsiedziały.

– Na górze może być ich więcej – zauważył Leif.

– Masz rację. Lepiej dmuchać na zimne.

– Ile ci jeszcze zostało tych granatów?

– Trzy.

– Dobrze więc, proponuję postąpić według tego samego scenariusza – oświadczył Leif, chowając Moralltacha do pochwy i podchodząc do głowy golema, pod którą niebezpiecznie



wygięła się podłoga. – Tylko tym razem nie oszczędzaj tych granatów.

Już miał rzucić głaz tak jak stał, czyli ze środka budynku, ale powstrzymałem go i zasugerowałem, że może lepiej będzie przenieść się na wschodni kraniec pomieszczenia i atakować stamtąd.

– Rzucę granatami w stronę wind i schodów, żeby oczyścić środek podłogi, a kiedy już wylądujemy na górze, zaczniemy od wyczyszczenia tych krawędzi z tyłu, żeby nikt nas nie zaatakował zza pleców. Jeśli mają choć trochę oleju w głowie, porzostawiały ludzi po kątach i stamtąd nas zaatakują.

– Jak dla mnie wporzo – oświadczył wampir sztywno, podrzucając sobie półtonowy głaz w górę i w dół jak jakąś piłeczkę tenisową i idąc ze mną na drugi koniec budynku.

– Czy ty próbujesz teraz być cool, Leif? Poważnie?

– Ano, bez kitu, próbuję, ziomie – odparł z namaszczeniem.

– Hmm, wiesz, nie zrozum mnie źle, naprawdę robisz duże postępy i w ogóle, ale musisz jeszcze używać więcej upodobnień fonetycznych. No i ten ton. To zabrzmiało tak, jakbyś komplementował szarlotkę na herbatce u hrabiego. Nikt ci w życiu nie uwierzy, że jesteś swój chłop, z takim tonem. Ale może popracujemy nad tymi drobiazgami później, co? Teraz już czas zbić pewne wiedźmy na kwaśne jabłko.

– Wpierdołkamy im! – krzyknął wampir, groźnie machając lewą, wolną pięścią. Wymówił każdą głoskę z taką starannością i tak się przy tym posłużył przeponą, że nie powstydzilyby się tego żadna śpiewaczka operowa.

– Mówi się „wpirodolimy”, Leif, ale dobra, no już, zmiatamy z tego piętra.

Leif zawahał się i zmarszczył brwi w głębokim namyśle.

– Dlaczego chcesz zamiatać? Jeszcze nie skończyliśmy robić bałaganu.

– Nie, no chodzi mi o to, że zmiatamy z tego piętra, no... spadamy, znikamy.

Przechodzimy na następne piętro, więc miotaj już tym głazem i zmiatamy stąd. Bo naprawdę wymiatasz w miotaniu.

– Ja wymiotuję? Owszem, miałbym ochotę, jak czuję te demońskie smrody, ale się powstrzymuję.

– Wymiatasz, nie wymiotujesz. Mniejsza z tym, Leif, miotaj już i zmiatamy.

I Leif wymiół, jak to on. Cisnął głazem w sufit z taką siłą, że przebił się nie tylko przez podłogę, ale i przez dach. Nie zobaczyliśmy nawet, gdzie ta głowa golema wylądowała. Rzuciłem swoimi granatami, jednym na lewo, drugim w środek, trzecim na prawo i odczekałem, aż wybuchną, a gdy już to zrobiły, usłyszeliśmy tym razem całkiem porządne wrzaski i trochę huku tłuczonego szkła. Wtedy natychmiast Leif cisnął mną przez dziurę i wylądowałem w północno-wschodnim kącie ostatniego piętra.

Przedemną stała wiedźma, tak jak to przewidziałem. Była to ta brunetka, która zabiła Perry'ego i której złamałem nos w domu wdowy. Nawet nie usiłowała miotać we mnie żadnych przekleństw. Miała pistolet wycelowany prosto w mój tors i bez żadnych wstępów zaczęła strzelać z wyraźnym zamiarem ubicia mnie na miejscu, co potwierdzał jej szalony uśmiech, w którym wściekle obnażała zęby. Padłem na ziemię, podciągnąłem nogi i zakryłem rękoma głowę, licząc na to, że moja kamizelka trochę mnie ochroni, ale poczułem, że po lewej otarła się o moją głowę jakaś kula, a ból był tak ostry, że nie miałem wątpliwości: całkiem nieźle mnie drasnęła. Po karku sączyła mi się już gorąca krew, a na plecach czułem ostre uderzenia, gdy nagle kula rozdarła mi też lewe udo. Dopiero wtedy musiała przerwać, żeby załadować magazynek.

Zablokowałem ból w nodze i zacząłem zasklepiać ranę, korzystając z odłożonej w charmsie mocy, ale ból w plecach i szarpanie z boku głowy postanowiłem znosić bez magii.

Wstałem, położyłem dłoń na głowie, żeby sprawdzić, jak duża jest rana, i stwierdziłem z przerażeniem, że ta wredna heksa odstrzeliła mi lewe ucho. Tylko adrenalina sprawiła, że nie od razu dotarło do mnie, jak poważnie mnie zraniła.

– A niech cię diabli, zobacz, co narobiłaś! – ryknąłem, gdy zmagą się z ładowaniem broni. Obnażyłem Fragaracha i rzuciłem się w jej stronę. – Czy ty masz pojęcie, jakiego koszmarnego seksu trzeba, żeby sobie odrosnąć ucho?! Wrrrrrrrrrr!

Rozpaczliwie usiłowała załadować ten magazynek, ale widok szalonego Irlandczyka pędzącego na nią z głównią całą w demoniej krwi chyba źle wpływał na jej sprawność manualną. Bez większych ceregieli wbiłem jej Fragaracha w brzuch, aż ostrze przebiło ją na wylot i zaskrobało o szklaną ścianę za nią. Pistolet i amunicja wypadły jej z rąk, a z ust wyrwało się ciche westchnienie. Przekręciłem miecz, aż poprawiła je porządniejszym rykiem. Nie jestem z tych, co mówią w takich chwilach: „To za to, że zrobiłaś mi to i to”, gdy upewniam się, że wroga spotkała zasłużona kara, ale tym razem naprawdę miałem ochotę jej coś powiedzieć do słuchu. Tylko po co? Dobrze wiedziała, co zrobiła. Na moich oczach zestarzała się w kilka sekund, gdy opuszczało ją życie, a jej kosmetyczna fasada rozplynęła się w jednej chwili. Wyrwałem Fragaracha z jej ciała i odrąbałem wiedźmie głowę, żeby mieć pewność, że już nie wstanie.

Na prawo ode mnie Leif już był zajęty kimś w południowo-wschodnim kącie. Miałem cichą nadzieję, że nadal nie wiedzą, z kim mają do czynienia, i że będą usiłowały zabić go tym zaklęciem zatrzymującym serce. Może nie zdążą nawet przemyśleć sobie wszystkiego i dojść do słusznych wniosków, że nie da się zatrzymać serca faceta, który już dawno nie żyje.

Nic jeszcze nie wyskoczyło na nas z tej części pietra, gdzie wybuchły granaty, ale gdy się odwróciłem, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, ujrzałem chmurę kurzu i odłamków nadal unoszących się w powietrzu, trudno więc było powiedzieć, co nas czeka po drugiej stronie chmury.

Fioletowe błyski kazały mi natomiast wyjrzeć na ulicę na dole. Bogumila zajęta była walką z brodatym mężczyzną w chasydzkiej szacie. To ona była źródłem światła – torus fioletowych i lawendowych błysków wirował wokół jej prawej ręki, którą uniosła nad głowę, by się schować w jakiś świetlisty stożek. Dzięki temu jasnemu światłu byłem w stanie zobaczyć twarz atakującego mężczyzny. Był to oczywiście rabbi Yosef Bialik. Wreszcie udało mu się wytropić jakąś wiedźmę. Problem w tym, że nie tę, co trzeba. Świat widział tylko w białych i czarnych barwach, skutkiem czego właśnie walczył z przyjacielem, zamiast zająć się wrogiem.

Choćbym nie wiem jak chciał, nie byłem w odpowiedniej pozycji, by pomóc Bogumile. Zresztą, żeby zająć jakąkolwiek pozycję, musiałem najpierw oczyścić to piętro. Czas zacząć przeliczać: brunetka z głowy; zostało jeszcze dwadzieścia. Bez większego entuzjazmu odsunąłem się od okna i ruszyłem zobaczyć, czy mogę jakoś pomóc Leifowi i oczyścić sobie tyły, nim ruszymy do przodu. Nie uszedłem jeszcze dwóch kroków, gdy zobaczyłem, że właśnie przecina Moralltachem jakąś kobietę na dwoje. Kiedy jej tors ześlizgnął się z pluskiem z bioder, a obie połówki runęły na ziemię, odwrócił się w moją stronę i z uśmiechem stwierdził:

– Niezłe ucho. Mam ci wylizać tę ranę?

– Odwal się. Ile już dorwałeś?

– Dwie – powiedział, wskazując mi inny nieruchomy kształt na podłodze, pomarszczony i szary.

– Dobra, czyli trzy mamy z głowy. Chodźmy. Ważne, żeby nie stracić rachuby i wybić je co do jednej.

Włączyłem moje szkło faeryczne i przyjrzałem się uważnie chmurze pyłu. Daleko, gdzieś przy klatce schodowej, zamajaczyły mi jakieś postacie, ale ledwie mogłem je dojrzeć przez

zasłonę z odłamków. Przez strzaskane ściany ze szkła w północnej i południowej części budynku hulał przeciąg i nieco już oczyścił powietrze, ale na dobrą widoczność trzeba będzie jeszcze kilka minut zaczekać.

„Postacie, które wyłonią się z cienia”. To przed nimi ostrzegęła mnie rano Morrigan. Cóż, przynajmniej jedna z nich na pewno nie była człowiekiem. Nawet z tej odległości byłem w stanie rozpoznać aurę demona. Kryły się w takim sprytnym miejscu, że pewnie nie dotarł do nich ani ostrzał z pancernic, które wystrzeliliśmy jeszcze z parkingu, ani granaty rzucone przez dziurę w podłodze. Przykucnąłem, wziąłem głęboki oddech i z Fragarachem przed sobą wkroczyłem w chmurę, licząc na to, że Leif się domyśli i pójdzie za mną.

Na podłodze roило się od połamanych, zakrwawionych ciał, bezwładnych rąk i powykrzywianych nienaturalnie kolan. Cała wątpliwa atrakcyjność heks zniknęła wraz ze śmiercią. Potem je policzę. Z tego, co widziałem, przede mną było dziesięć osób. Znajdowały się w nierównym kole, niektóre siedziały na podłodze, nucąc coś cicho. Ale gołym okiem było widać, że wszystkie miały bliskie kontakty z piekłem. Gdy tylko sobie to pomyślałem, nagle mnie olśniło: te, które siedziały, były w trakcie rytuału, a te stojące tylko je chroniły, bo rytuał zbliżał się już ku końcowi. Pojęcia nie miałem, w kogo jest wymierzony, ale na pewno nie mogłem dopuścić, by ktoś z naszych zginął tylko dlatego, że pozwoliłem sobie na nadmiar ostrożności. Pospiesznie zarzuciłem na siebie kamuflaż, bo w czasie wojny nie były przecież w stanie go przejrzeć, może więc i teraz sobie z nim nie poradzą. A potem już zupełnie przestałem myśleć i zdałem się na odruchy i hormony.

Jedna z postaci o kobiecych kształtach trzymała w dłoniach jakiś karabin i gdy tylko usłyszała, że brnę wśród gruzu, ostrzelała mnie chyba z tuzin razy, celując na chybił trafił. Ledwo ujrzałem błyski, a już pociski pchnęły mnie do tyłu, aż siadłem na podłodze. Jęknąłem cicho i podziękowałem w duchu losowi, że mój sąsiad okazał się handlarzem bronią i miał na stanie te kamizele. Wtedy wiedźma zauważyła Leifa i zwróciła się w jego stronę, ale kule stanowią dla niego taki mniej więcej problem jak użądlenia pszczoł, a w dodatku część z nich odbijała się w ogóle od jego stalowego napierśnika. Pozwoliłem mu zająć się strażniczkami, a sam skupiłem się na tych siedzących. To one musiały umrzeć jak najszybciej.

Uniosłem się na kolana, chwyciłem rękojeść Fragaracha obiema rękami, zamachnąłem się nim aż nad głową i spuściłem go na najbliższą czaszkę. Trafił bardzo ładnie, z chrzęstem wbijając się w tył głowy i wychodząc przez usta czarownicy, aż dopiero jedna ze strażniczek powstrzymała jego dalszą drogę przez głowę koleżanki. Dosłownie w tej samej chwili Leif odrąbał łeb tej z karabinem i już rzucił się amputować rękę kolejnej strażniczce, gdy rozpętało się prawdziwe piekło.

Przerywanie w połowie obrzędu z udziałem demonów zwykle ma dość koszarne skutki – głównie dla osób przeprowadzających tenże rytuał. Tak było i tym razem. Zamiast skończyć klątwę, która miała pewnie zabić Malinę czy inną Siostrę Trzech Zórz, pozostałe dwie heksy (przy czym jedna leżała właśnie na plecach z rozłożonymi szeroko nogami) spłonęły w jednej chwili, pochłonięte przez ognie, które usiłowały przywołać. Z płomieni zaś wyłonił się olbrzymi demon o postaci barana, znacznie większy niż te, które spotkaliśmy piętro niżej. Zaśmiał się głośno. Było jasne, że przyłapaliśmy go in flagranti, a śmierć wiedźm uwolniła go i teraz miał już zupełną swobodę poruszania się po tym świecie. Wszyscy, nawet Leif, zamarli, by zobaczyć, co zrobi tak ogromny demon. Baran spojrzał na nas (na mnie też, bo bynajmniej nie zmylił go mój kamuflaż) i uznał, że nie chce mu się z nami mierzyć; wolał popędzić gdzieś, gdzie nikt nie będzie z nim w stanie walczyć. Odwrócił się na północ, pochylił łeb i runął prosto w ścianę, wybijając jeszcze jedną dziurę w szkłe. Gdy leciał w dół, na ulicę, rozłożył racice, żeby opaść na potężne tyłne nogi.

Właśnie na taką próbę ucieczki tylko czekały polskie wiedźmy. Rzuciłem się do dziury w oknie zobaczyć, co się będzie działo na dole. Malina już dużo wcześniej zajęła pozycję właśnie na północno-zachodnim rogu budynku i choć widziała, że Bogumila walczy na północno-wschodnim, nie porzuciła stanowiska, bojąc się, że mogłoby jej coś umknąć, na przykład jakiś baran.

Zaatakowała go z wściekłością i szybkością spotęgowaną pragnieniem, by móc już pędzić na ratunek Bogumile. Krzyknęła tylko coś niezrozumiałego po polsku, uniosła prawą rękę i jakby wytrzęsła z niej coś w rodzaju neonowo czerwonego pejcza. Trzasnęła nim fachowo, po czym zamachnęła się tak, że spętała nim nogi barana, który właśnie usiłował zniknąć z pola walki. Demon zawył i zionął ogniem, gdy padał na asfalt Pecos Road, ale to Malinie nie wystarczyło. Z kolejnym polskim słowem na ustach trzasnęła rączką pejcza o ziemię, przez co zafalował mocno, a gdy fala dotarła do baranich nóg, pchnęła go w powietrze, jakby ważył nie więcej niż koliberek. Malina dopiero wtedy puściła rączkę, a ona zakręciła się w powietrzu i poleciała za baranem, by owinąć się wokół niego jak masywny boa. Demon zaczął się szamotać, lecz nie minęła chwila, a już wybuchnął nad ulicą niesamowitymi pomarańczowozielonymi ogniami.

Gdy pozostałości barana opadły na wysokość drugiego piętra, usłyszałem za sobą okrzyki przerażenia. Tak, Malina pokazała, co potrafi. Roześmiawszy się triumfalnie, obróciłem się w stronę niedobitków heks i po niemiecku powiedziałem:

– Naprawdę nie rozumiem, po co jej założyłyście za skórę. Wy macie na stanie tylko ten jeden popisowy numer, a laska umie z powietrza wytrzasnąć taki zajebisty bicz na demony.

Zawsze podejrzewałem, że sabat Maliny ma niejednego asa w tych swoich eleganckich designerskich rękawach, tylko że jak dotąd nie było okazji, żeby się mogły nim pochwalić. Ich siostry marnotrawne stanęły oko w oko z wilkołakami i naprawdę nawet Malina nie byłaby w stanie wytrzasnąć nic z powietrza, co by je uratowało przed Watahą z Tempe. No chyba, że byłoby to ze srebra.

Zdawało się, że heksy nie bardzo wiedzą, skąd dobiega mój głos, więc pozwoliłem sobie jeszcze rzucić okiem na Bogumilę i rabiego Yosefa, zamiast zabrać się do kończenia tego, po co tu przyszliśmy. Broda rabina znacznie zwiększyła objętość i w dodatku poruszała się niezwykle żwawo, ale fioletowa spirala otaczająca Bogumilę wyglądała na całkiem skuteczną ochronę.

Słyszałem kiedyś, jak ludzie z tych programów o odchudzaniu mówią, że z ostatnimi pięcioma funtami zawsze jest najtrudniej. Okazało się, że – i niech pozostanie to tajemnicą, nad którą łamać będą sobie głowy siwobrodzi mędracy – podobnie jest z wiedźmami. Pięć ostatnich najtrudniej zabić.

Gdy ja martwiłem się o tyłki innych, zamiast zająć się swoim, jedna z wiedźm podkradła się i trzasnęła mnie w szczękę tak, jak to instruktażowo zaprezentowano na okładce albumu Pantery *Vulgar Display of Power*. Nie ulegało wątpliwości, że mój kamuflaż już nie działa. Straciłem kilka zębów i poczułem w ustach krew, a głową trzasnąłem w szybę i opadłem na podłogę. Zarobiłem jeszcze dwa silne kopniaki w brzuch, nim w pełni doszedł do mnie ból czaszki i zrozumiałem, jak duże odniosłem obrażenia. Kamizelka pewnie uratowała mnie przed złamaniem żeber, bo kopniaki były głośnie niczym efekty dźwiękowe z filmów braci Shaw. Obraz mi się trochę zamazywał, kiedy próbowałem przyjrzeć się mojej oprawczyni. Jej twarz mogłaby równie dobrze być jednym z tych małych żółtych znaczków, które ludzie sobie wieszają na szybie samochodu. Tylko że jej by głosił: „Demon na pokładzie”. Czerwone oczy błyszczały, a gorący, śmierdzący oddech parował, co wskazywało, że nie mam co sobie robić nadziei na miłą pogawędkę, kiedy będzie mnie usiłowała zabić. Kopnęła jeszcze raz, gdy byłem skupiony na blokowaniu bólu i podkręcaniu prędkości (przyspieszenie funkcji nerwowo-mięśniowych, które zawsze musiałem stosować podczas szermierki z Leifem, żeby w ogóle za nim nadążyć). Nie

pozostało mi już zbyt wiele magii w moim charmsie, ale miałem nadzieję, że przynajmniej uda mi się zniknąć spod nóg wiedźmie.

Gdy zamachnęła się nogą, by kopnąć mnie w głowę, podłożyłem sobie ręce pod ciało i machnąłem stopą, podcinając jej kolano. Skoczyłem na równe nogi, walcząc z zawrotami głowy, gdy ona właśnie opadła na ziemię, wyjąc głośno. Wycofałem się na zachód, nim miała czas wstać, i poświęciłem kilka sekund na ocenienie sytuacji i obmyślenie taktyki.

Upłyną jeszcze całe miesiące, nim te pięć heks będzie w stanie wypchnąć demoniątką na świat, ale mimo to wyraźnie już miały dostęp do jakichś gratisowych zapasów energii wynikających z ciąży. Być może zresztą te zdolności aktywowały się dopiero w wyniku tak nagłej śmierci pozostałych siostr. W każdym razie były podejrzanie szybkie i silne, umiały przejrzeć mój kamuflaż i właśnie odkryły, że są w stanie miotać ogniem piekielnym. Pozostałe cztery właśnie ciskały w Leifa wściekle pomarańczowe kłęby ognia, a on kulił się przed nimi instynktownie i wycofywał na wschód, bo w obliczu takiej ilości płomieni nie był w stanie sobie przypomnieć, a może zaufać mi, że talizman, który mu dałem, powinien chronić go przed tym rodzajem ognia.

Fragarach nadal tkwił w mózgu martwej wiedźmy i gdybym tylko miał chwilę, mógłbym szybko spleść skórę z rękojeści z moją dłonią, a on poleciałby ku mnie jak na jednym z tych słodkich filmów ze Skywalkerem. Moja wiedźma nie dawała mi jednak takiej okazji. Rzuciła się na mnie z wściekłością godną lepszej sprawy, jej ręce na moich oczach się wydłużyły, a palce zmieniły w czarne szpony. Zamachnęła się nimi na mój brzuch i pogratulowałem sobie w duchu, że jednak odsunąłem się trochę, a nie zaufałem mojej kamizelce, bo pazury czarownicy wbiły się w nią bez trudu i zerwały kilka zewnętrznych warstw, jakby była zrobiona z masy papierowej. Naprawdę wolałbym nie wiedzieć, co mogłyby zrobić w kontakcie z wnętrznościami – szczególnie moimi.

Nie mogłem walczyć z takim orężem gołymi rękami. Nie miała na sobie żadnych skórzanych ubrań – same sztuczne włókna, martwe i zupełnie oderwane od natury, więc nie byłem w stanie ani jej pociągnąć, ani pchnąć żadnym splotem. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to uciekać i usiłować jakimś cudem odzyskać miecz.

Ona jednak przesunęła się bardziej na środek, odcinając mi drogę do broni. Za plecami miałem mroki zachodniej części budynku, a na lewo ziała niebezpiecznie duża dziura w szybie po demonie, do której było mi coraz bliżej. Wiedźma rzuciła się w moją stronę z diabelskim uśmiechem na ustach. Zamachnęła się na moją głowę tak, że musiałem odskoczyć w kierunku krawędzi okna, a potem znowu, choć tym razem udało mi się zrobić unik i odskoczyć na prawo, w stronę zachodniej ściany. Była jednak znacznie szybsza. Jej noga wystrzeliła za mną w powietrze i kopnęła mnie z całych sił w pozostałości lewego ucha, aż jęcząc z bólu, zatoczyłem się w kąt. Poprzez rozdzwonioną, szumiącą mgłę usłyszałem stłumiony rechot. Wyglądało na to, że właśnie tak sobie chciała mnie ustawić. Teraz byłem na podłodze i nie miałem już gdzie uciec.

Otoczyły mnie płomienie, a ich drżące płachty powiewały na suchym wietrze niczym diabelskie pranie. Ja też wybuchnąłem śmiechem. Mimo bólu wstałem z podłogi. Ogień był gorący, to nie ulegało wątpliwości, ale amulet chronił mnie przed nim tak, jak powinien. Stałem równo – co nie jest takie znowu proste, gdy się ma aż tak wytrząśnięty mózg – i spojrzałem przez ogień na moją przeciwniczkę. Była ledwie półtora metra ode mnie, rękoma wciąż rzucała na mnie płomienie, a na jej twarzy widać było rytualną ekstazę. Podeszedłem do niej na paluszkach, ułożyłem sobie ostrożnie lewą stopę – wzdrygając się z bólu od kuli w udzie – a potem kopnąłem ją podręcznikowym kopem karate prosto w brzuch, tam właśnie, gdzie rósł sobie demon. Zatoczyła się do tyłu, warcząc dziko, a jej ręce przestały miotać ognie. Nie padła

jednak na ziemię, tylko przez kilka sekund przypatrywała mi się zbita z tropu, bo nie wyglądałem ani na upieczonego, ani na stopionego. Rzuciłem się na prawo, pędząc w stronę miecza, i nim miała czas to przemyśleć, dotarłem całkiem blisko. Już miała się rzucić w pogoń, gdy przez potłuczoną szybę wleciał znajomy czerwony pejcz i owinał się jej wokół bioder. Wyciągnął ją z budynku, nie zważając na jej wrzaski. Postanowiłem, że tym razem odpuszczę sobie oglądanie tego przedstawienia, bo wiedziałem, że Malina sobie z nią świetnie poradzi, a my tymczasem mieliśmy tu jeszcze cztery heksy do wyeksplodowania.

Nadal męczyły Leifa do granic wytrzymałości – a może nawet je przekraczając. Uciekał dotąd wciąż przed ich ogniem piekielnym, krążąc wokół wielkiej dziury w podłodze, która została po głowie golema, a teraz, gdy ja w końcu wyciągałem Fragaracha z czaszki wiedźmy z głośnym *die chlupen*, heksy zdołały go otoczyć i raziły biedaka ogniem z kilku stron naraz. Błysnęło, huknęło i tym razem Leifowi nie udało się zrobić uniku. Jego nieludzkie wrzaski ścisnęły mi serce i na chwilę straciłem go z pola widzenia, bo zupełnie zasłoniły go płomienie. Wyłonił się z nich zaraz potem i choć w większości był zdrów i cały, bufiaste rękawy jego lnianej koszuli zajęły się natychmiast i płonęły zaraz za cienką warstwą ochronną generowaną przez talizman. To właśnie te rękawy stanowiły teraz największy problem, bo płomienie lizały jego blade, nieumarłe, niezwykle łatwopalne ciało. Nie widziałem Moralltacha w jego rękach; musiał go gdzieś upuścić. Pędził na północ, w stronę wyrwanej przez granatnik gigantycznej dziury w ścianie, i w lot pojąłem jego intencje.

– Nie – szepnąłem, choć i tak wiedziałem, że mnie nie usłyszysz. – Tu jest tylko glina!

Zeskoczył z drugiego piętra, okryty całunem ognia, i tylko słyszałem jego krzyk coraz niżej i dalej, gdy spadał w poszukiwaniu ziemi, która ugasiłaby płomienie. Miałem nadzieję, że znajdzie jej trochę na jakimś trawniku między budynkiem a ulicą; cała ta walka nie miała być dla niego aż taka ciężka. Teraz będzie musiał rozpaczliwie kopać tę twardą, zeschniętą glinę, żeby się dokopać do jakiejś ziemi i ugasić płomienie, a to oznaczało, że ma naprawdę nikłe szanse na przetrwanie.

Ja też nie miałem zbyt dużych. Jeden druid ze złamaną szczęką, bez ucha, z raną w udzie i resztkami magii kontra cztery heksy nabuzowane energią demonów. Odwróciły się w moją stronę jak jeden mąż, wyraźnie się domyśliwszy, że udało mi się jakoś wyeliminować jedną z ich siostr. Wyglądały na znacznie szybsze i silniejsze, niż ja się czułem.

Cóż, pomyślałem sobie na pocieszenie, gdy unosiłem Fragaracha i szykowałem się na ich atak, przynajmniej mam swój wielki, potężny miecz.

Z ich gardeł wyrwały się przedczesne okrzyki zwycięstwa, gdy rzuciły się w moją stronę. Były ze trzydzieści metrów ode mnie, kiedy nagle przez drzwi prowadzące na klatkę schodową wpadła Klaudia ze srebrnym sztyletem w lewej dłoni. Wyglądała tak, jakby właśnie skończyła uprawiać jakiś zabójczy seks z kimś po drodze. Uniosła prawą rękę nad głowę – zaczynałem podejrzewać, że gest ten poprzedza każde zaklęcie wojenne w tym sabacie – i powiedziała:

– Zoria Wieczernaja, chroń mnie od zła.

Natychmiast jej postać otoczył fioletowy stożek światła, całkiem podobny do tego Bogumili, choć może nieco solidniejszy, z wyglądu przynajmniej. Szarżujące heksy stanęły jak wryte i skupiły się na Klaudii, w której oczywiście rozpoznały jednego ze swych odwiecznych wrogów. Dwie z nich od razu wypuściły na nią ogień piekielny, który zakwitł im w dłoniach płomieniami niczym orchidee, ale Klaudia po prostu je zignorowała, a ogień obmyły tylko jej fioletową powłokę, zupełnie się przez nią nie przedzierając. Pozostałe dwie zdecydowały się na atak czysto fizyczny i to na nich skupiła się Polka.

Jej rozleniwione ruchy zniknęły gdzieś nagle i na moich oczach zmieniły w pełne gracji,

płynne manewry – najpierw przykucnęła, potem obróciła się na prawej nodze i wbiła ostrze sztyletu w oczy przywódczyni heks. Następnie skrzyżowała lewą nogę przed prawą, by zakreślić się na niej, i skoczyła ruchem godnym Chun-Li, kopiąc najpierw prawym butem, potem lewym drugą wiedźmę w głowę. Obie hekсы zostały powalone w niecałe dwie sekundy, choć pewnie nie były jeszcze martwe. Ich diabelskie pomioty pomogą im się uzdrowić w bardzo krótkim czasie.

Mimo wszystko muszę przyznać, że jęknąłem z podziwu, a być może nawet nieco opadła mi szczęka. Malina powiedziała przecież, że jej sabat nie zna się na sztukach walki, gdy tymczasem Klaudia właśnie pokazała coś wręcz przeciwnego. Choć też pewnie była wśród Polek wyjątkiem, bo gdyby ich marnotrawne siostry tak walczyły wtedy pod Tony Cabin, to z pewnością poległoby więcej osób niż dwa wilkołaki.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, rzuciłem się z pomocą, bo dwie powalone hekсы już usiłowały wstać, a panny pochłonięte miotaniem ognia w końcu się zorientowały, że jakoś wewnątrz fioletowego stożka nic nie płonie.

Rozwiązanie dotyczące wroga, który za szybko się leczy, jest zawsze, ale to zawsze, jedno: odrąbać głowę. I to właśnie dlatego miecze nigdy nie wyjdą z mody. Fragarach wszedł bez trudu w szyję jednej z tych, co miotały ogniami, a potem już tylko dodałem gratisowe dźgnięcie nożem w brzuch dla juniora, nim ciało wiedźmy osunęło się na ziemię. To przypomniało o mojej osobie pozostałym trzem. Rozdziawiły szczęki i zionąc czerwoną parą, ruszyły na mnie wszystkie naraz, nagle zupełnie zapominając o Klaudii. Ona w końcu jeszcze żadnej z nich nie zabiła, gdy tymczasem ja miałem już na sumieniu całą gromadkę.

Te trzy ostatnie miały już w sobie bardzo mało z człowieka. Były to bardzo stare wiedźmy i sprzedawały się po kawałku piekła od tyłu wieków, że nie pozostało im właściwie nic poza może jednym zapomnianym pudełeczkiem człowieczeństwa w opuszczonym magazynie duszy. W tych skórkach mieszkało już coś innego, coś, co sprawiało, że ich oczy błyszczały ogniem, a palce zmieniały się w pazury.

Odskokyłem, żeby nie dać się stratować, wymachując mieczem ku obronie. Jedna, potem aż dwie przekłete twarze zniknęły mi z pola widzenia – z pewnością w wyniku jakichś bojowych działań Klaudii, ale jedna pozostała i ta jedna okazała się szybsza ode mnie.

Może zwolniłem. Może to przez ten ból w ranach, bo przecież nie byłem w stanie zacząć ich porządnie leczyć, a zamiast tego walczyłem bez chwili przerwy i to pewnie tylko pogorszyło stan obrażeń. Ta ostatnia wiedźma straciła wprawdzie lewą rękę pod Fragarachem, ale tylko po to, by lepiej zamachnąć się prawą. Jej pazury przedarły się przez kamizelkę i dotarły do mojego lewego ramienia, a stamtąd do mięśni klatki piersiowej. Poleciałem do tyłu, a ona przywarła do mnie, usiłując się wbić pazurami jak najgłębiej, żeby wepchnąć mi je aż pod żebro i tam poharatać mi wnętrzności. Z lewej strony jednak nic jej już nie chroniło, więc wbiłem jej tam Fragaracha w brzuch, kręcąc nim jak szalony, żeby mieć pewność, że docieram też do demona. Zadrżała konwulsyjnie i zwymiotowała krwią, nim wreszcie jej oczy ochłodziły i opadła nieruchoma. Na mnie.

Moja lewa ręka po prostu nie chciała się poruszyć. Próbowalem, ale ból był nie do wytrzymania. Ostatnią odrobiną magii zablokowałem go, bo w takiej męczarni nie byłem nawet w stanie myśleć. Wyszarpałem Fragaracha z wiedźmy – bardzo to narobiło dużo bałaganu – a potem zepchnąłem ją z siebie prawą ręką. Usiadłem i rozejrzałem się, czy zostały jeszcze jakieś hekсы.

Nie zostały. Klaudia wypatroszyła ostatnie dwie, najpierw zabijając ich diabelskie pomioty, a potem jeszcze na wszelki wypadek podcinając im gardła. Gdy tylko skończyła się walka, jej fioletowa ochrona znikła, a za to wróciła jej poza na zagubioną sierotkę. Staliśmy tam pośród trupów, a ona i tak była w stanie robić to w świetnym stylu. Nieważne, że od stóp do głów

ociekala krwią – miała senny, omdlewający wyraz twarzy modelek reklamujących bieliznę.

– Dzięki za pomoc – powiedziałem. – Gdzie się tak nauczyłaś walczyć?

Wzruszyła ramionami.

– W Wietnamie.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

Uśmiechnęła się i posłała mi zawadiackie spojrzenie.

– No, jasne.

Zadrzałem. Spadł mi poziom adrenaliny i owładnęło mną zmęczenie. Ale kiedy usłyszeliśmy cienki krzyk i zobaczyliśmy, jak błady lawendowy błysk za północno-wschodnią szybą gaśnie nagle, rzuciliśmy się pędem w stronę schodów z nadzieją, że nie będzie za późno na pomoc.



## Rozdział 25

Sytuacja na zewnątrz rysowała się w barwach ponurych i posępnych. Pierwszy dotarłem do północnej części, bo Klaudia pobiegła jeszcze po Bertę, Roksanę i Kazimierę. Ani śladu po Leifie. Bogumila natomiast leżała martwa na cemencie, stara i przerażona. Malina była wściekła i miała do tego pełne prawo. Moje podejrzenia co do brody rabina okazały się niestety słuszne – przejawiała teraz cechy, które należałoby przypisać jakiemuś dalekiemu krewnemu Cthulhu. Cztery długie, włochate macki wiły się wokół jego szczęki, po dwie po każdej stronie. Te po lewej zaciśnięte były właśnie mocno na szyi Bogumili i usiłowały się odwinąć od zabitej. Pozostałe dwie próbowały dorwać Malinę, która jednak wprowadzała właśnie zaostrzone środki bezpieczeństwa.

Zanuciła cztery wersy po polsku, a ponieważ byłem już na tyle blisko, że dobrze ją słyszałem, zapamiętałem je sobie dobrze, by potem spytać o ich znaczenie.

*Jej miłość mnie ochrania,*

*Jej odwaga czyni mnie nieustraszoną,*

*Jej potęga dodaje mi sił,*

*Dzięki jej miłosierdziu żyję!*

Przy końcu każdej linijki z dłoni Maliny wybuchał z wielkim grzotem kolejny kolor: najpierw fioletowy, potem niebieski, czerwony i biały. Wiły się wokół niej niczym szalone wstążki gimnastyczek. (Potem nawet raczyła mi przetłumaczyć te kilka polskich wersów i wyjaśniła, że każdy z nich jest osobnym zaklęciem, które daje jej „pewną siłę i ochronę” w ramach błogosławieństwa nadanego przez Zorie).

Gdy skończyła, otaczała ją solidna, choć przezroczysta zasłona. Wyglądało na to, że to dopiero początek, lecz już w tej formie osłona znacznie przekraczała stopniem zaawansowania stożkowe ochrony Bogumili i Klaudii.

Szalona, kałamarnicopodobna broda rabiego Yosefa uznała, że widzi dość. Macki zadrżały i nie chciały wysuwać się już nigdzie dalej, a po chwili zaczęły się wycofywać, aż wreszcie zwinęły się szybko z powrotem w głąb brody rabina, który wyglądał, jakby właśnie łamał sobie głowę nad tym, jak poradzić sobie z tak zaawansowaną czarownicą. Na mój widok wzdrygnął się i cofnął o krok. Pokryty posoką czarownic, demonów i własną, z Fragarachem w dłoni może rzeczywiście nie prezentowałem się najlepiej, ale to mnie nie zbiło z pantofelku, tylko zamiast się przywitać, od razu przystawiłem mu miecz do gardła i krzyknąłem:

– *Freagróidh tú!*

Zamarł otoczony niebieską poświatą zaklęcia i zaczął coś bełkotać po rosyjsku.

– Nie powiesz ani słowa więcej niepytany! – zagrzmiałem, a on natychmiast się zamknął.

– Dziękuję panu, to mi wszystko znacznie ułatwi – stwierdziła Malina.

– Nie! Proszę poczekać! – krzyknąłem, bo Malina już była gotowa go zabić. – Muszę z nim najpierw porozmawiać.

– Musi zapłacić mi za śmierć Bogumili! – ryknęła Malina z za zasłony.

– Tak, oczywiście. Ale najpierw musi mi to i owo wyjaśnić. Jak się nazywa twoja organizacja, rabbi?

Przez chwilę walczył ze sobą, ale w końcu powiedział:

– Młoty Boga.

To dużo wyjaśniało. Litera P na rękojeści noża to był po prostu rysunek młota.

– Gdzie jest teraz ojciec Gregory?

– W samolocie do Moskwy.

– Ile osób liczy wasza organizacja?

– Nie znam dokładnej liczby.

– Ale tak w przybliżeniu. Jeśli zginiesz dziś w nocy, ile osób pojawi się tu, żeby cię pomścić?

– Co najmniej dwudziestu kabalistów-wojowników takich jak ja. To standardowa procedura, gdy znika jeden z nas. Ale mogą wysłać większy oddział, jeśli uznają, że sytuacja tego wymaga.

Odwróciłem się w stronę Maliny z niewesołym uśmiechem.

– Warto było zamienić z nim te kilka słów, prawda?

– Mimo to on musi zapłacić – uparła się.

Właśnie dobiegły do nas Klaudia, Kazimiera, Berta i Roksana i natychmiast go otoczyły.

– I chce się pani potem użerać z dwudziestoma takimi jak on? – spytałem.

– Kłamię.

Pokręciłem głową.

– Doświadczyła pani tego zaklęcia na sobie, pani Malino. On nie jest w stanie kłamać.

Być może dałoby się zrobić tak, żeby zapłacił nam za śmierć Bogumili, ale w jakiś taki sposób, żeby nie prowadziło to do kolejnych ofiar po naszej stronie.

Nie ulegało wątpliwości, że Malina uznała tę propozycję za niesmaczną. Chciała go po prostu na miejscu ukatrupić.

– Co pan proponuje?

– Proszę wziąć sobie od niego kilka ładnych pukli włosów. Przytrzymam go tu pani.

Będzie miał świadomość, że pozostaje na pani łasce i niełasce. Może mu pani zesłać jakąś wybuchową biegunkę czy coś w tym stylu, no wie pani, coś bolesnego, poniżającego, ale jednak nieprowadzącego do zgonu. Może pani do tego dołożyć odpowiednie zabezpieczenie, które sprawi, że jeśli tylko pani umrze, automatycznie umrze i on. A potem wyjaśnimy mu wielkimi literami, że zabił bardzo miłą wiedźmę, która właśnie pomagała nam zabić bardzo niemile wiedźmy, oraz że on i Młoty Boga powinni nas zostawić w świętym spokoju, bo mamy Wschodnią Dolinę pod kontrolą i do niczego nam tu nie są potrzebni.

Malina zamyśliła się nad moimi słowami. Wiedziała dobrze, że znacząco przewyższa rabina mocą, ale jednak okazał się on silniejszy od Bogumili. Dwudziestu takich jak on przeciwko pięciu członkiniom sabatu – to mogło być niebezpieczne i rozumiała to. I dlatego przystała, choć z pewnymi oporami, na moją propozycję. Pokaz światło i dźwięk, który dotąd się wokół niej rozgrywał, zniknął w jednej chwili. Jej siostry pogodziły się z tą decyzją bez komentarza, ale czułem, że średnio im się ona podoba.

– Widzisz, rabbi? – spytałem. – Podle czarownicy nie pozwoliłyby żyć takiemu dupkowi jak ty. Te czarownicy są wyrozumiałe i litościwe. Tak jak i ja, rozumieją, że starasz się czynić dobro, tylko jesteś tak głupi, że nie wiesz, na czym ono polega. Toteż teraz ci pokażemy. To znaczy zaraz po tym, jak pani Malina weźmie trochę twoich włosów.

Malina zerwała mu kapelusz i wyrwała mu z głowy grubą garść włosów, po czym wcisnęła ją sobie do kieszeni. Nikomu jakoś nie zrobiło się żal, że uczyniła to dość bezceremonialnie. Następnie uwolniłem rabina z mocy Fragaracha, splotłem mu rękawy na plecach podobnie jak wtedy w sklepie i poprowadziliśmy go przez budynek, wyjaśniając, jak krok po kroku wyeliminowaliśmy z gry *die Töchter des dritten Hauses*, sabat, który od wieków

polował na takich właśnie kabalistów jak on. Uświadomiliśmy mu, że gdy on walczył z Bogumilą, Malina osobiście zajęła się potężnym baranem demonem, a potem jeszcze innym *in utero*. W tym samym czasie Klaudia wyeliminowała dwa inne, a Leif i ja zajęliśmy się resztą (przy czym potwierdziłem, że razem zabiliśmy wszystkie dwadzieścia dwie hekсы). Zwróciłem rabinowi też uwagę na to, że wampir tak bardzo brzydzi się demonami, iż nie wbił kłów w ani jedną z tych wiedźm.

Na kipiące gniewem oskarżenia rabina odparłem, że tak, owszem, cenię sobie towarzystwo wampirów, wilkołaków oraz wiedźm, bo wszyscy ci, których znam, są wyjątkowo schludni i mają świetny gust w dziedzinie motoryzacji. Żadne z nas jednak nie jest w stanie znieść na tym terenie żadnych piekielnych mocy i jak dotąd znacznie sprawniej się ich stąd pozbywamy niż Młoty Boga. Więc bądź, rabbi, tak miły, wypieprzaj z naszego miasta i nigdy już tu nie wracaj.

W końcu zgodził się sobie pójść, ale nie obyło się bez gderania i niemiłych słów. Mogłem iść o zakład z każdym, że wróci, i to z kumplami. Nie powiedzieliśmy mu do widzenia.

Znalazłem zęby, które mi wybiła tamta brunetka, i uznałem, że jeśli tylko będzie mi dane pospać dziś na ziemi, jakoś je wsadzę na miejsce i przyrosną z powrotem. Przy dziurze w podłodze znalazłem też Moralltacha i pochwę. Po Leifie nadal jednak nie było ani śladu.

Malina podeszła do mnie, gdy stałem w miejscu, z którego wyskoczył z budynku. Popatrzyliśmy razem na skały pod nami. Nie było widać żadnych śladów.

– Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci Bogumili – powiedziałem cicho. – I Waclawy. – Ale nie wspominałem o Radomili, Emili i reszcie czarownic, które zginęły w Superstition Mountains.

– Dziękuję – szepnęła tak cicho, że ledwie ją usłyszałem.

– Czy widziała pani może, co się stało z Leifem? – spytałem.

– Widziałam, jak spadał – odpowiedziała, pociągając nosem. Otarła kąćki oczu i pokiwała głową. – Spadł dokładnie między mnie i Bogumilę. Wydaje mi się, że rabbi nawet go nie zauważył, choć nie pojmuję, jak można przeoczyć płonącego wampira. Pobiegł wzdłuż Pecos na wschód i tyle go widziałam. Pozostałam na stanowisku na wypadek, gdyby jeszcze jakieś hekсы wypadły przez okno.

Spojrzałem na wschód. Po północnej stronie ulicy widać było jakieś światła, ale już kilka domów od nas po drugiej stronie ulicy panowała nieprzenikniona ciemność.

– Na wschód? Tam, gdzie nie ma żadnych zabudowań? – zapytałem.

– Nie jestem pewna – powiedziała. – Chyba powinniśmy to sprawdzić.

Na parking wjechała ciężarówka z chłodziarką Antoine'a, a nasz mały konwój sportowych samochodów wyjechał na Pecos, ostrożnie objeżdżając łeb golema, który Leif wyrzucił przez dach. Ciało Bogumili zostało ostrożnie złożone w mercedesie Roksany. Pomachaliśmy Antoine'owi i jego ghum oraz życzyliśmy im smacznego. Jego gang wyczyścił to miejsce jeszcze przed wschodem słońca, pozostawiając po sobie tylko zniszczenia budynku i dziwny głąz na parkingu, żeby policja miała nad czym się głowić.

Jechaliśmy audi. Klaudia siedziała mi na kolanach, jej ciało było tak wygięte, żeby mogła mnie widzieć, a odzianą w skórę rękę zarzuciła mi na ramię. Drugą delikatnie głaskała mnie po poranionej szczęce opuszkami palców. Wydawała przy tym dźwięki świadczące o współczuciu, a ja nie byłem w stanie oderwać wzroku od jej ust.

– Klaudio, przestań natychmiast – zgaśniła ją Malina. – Nie czas teraz na droczenie się z panem O'Sullivanem.

To mnie otrzeźwiło i wzdrygnąłem się mimowolnie na widok uśmiechu Klaudivii. Oczywiście. Na ustach miała założone to samo zakłęcie co Malina na włosach.

Z ulgą przypomniałem sobie, że podróż będzie naprawdę krótka. Klaudia bardzo szybko zdążyła odkryć słabość naszego traktatu o nieagresji. To już drugi raz, jak zadziało na mnie uwodzące zaklęcie tych Polek. Mój amulet w końcu osłonił mnie przed zaklęciem Maliny i z pewnością to samo zrobiłby w wypadku Klaudii, ale jednak reagował o wiele za wolno, dając im dość czasu, by mnie skrzywdzić, gdyby tylko chciały.

– Dobrze, dobrze – powiedziała wesoło Klaudia. – Ale myślę, że my dwoje się świetnie dogadujemy. – Poklepała mnie po klatce dłonią, którą przed chwilą pieściła moją szczękę. – Prawda, panie O'Sullivan?

Kiwnąłem głową i odwróciłem wzrok w stronę ciemności za oknem. W ten sposób poinformowała mnie, że jest równie niebezpieczna jak Malina.

Ćwierć mili na wschód od Pecos znaleźliśmy zwęglonego Leifa. Leżał twarzą do dołu na żwirze, tuż obok dziury świeżo skopanej ziemi. Najwyraźniej udało mu się ugasić ogień piekielny, który go pochłaniał, a potem jeszcze odsunąć się trochę, ale teraz dotarł już do kresu sił.

– Żyje – powiedziałem, gdy wiedźmy otoczyły jego ciało.

– Nie żyje – pozwoliła sobie zaoponować Berta.

– No, tak, w sumie też racja, ale chodzi mi o to, że nic mu nie jest. Nie żyje. Ale poza tym nic mu nie będzie.

– A co z panem? – spytała Malina. – Pana twarz wygląda, jakby miał pan bliskie spotkanie z tłuczkiem do mięsa.

– Też nic mi nie będzie – zapewniłem ją. Już czułem się odrobinę lepiej, bo miałem wreszcie kontakt z ziemią. – Tylko gdyby mi panie pomogły zanieść Leifa do jego samochodu.

Kawałki Leifa złuszczyły się i odleciały na wietrze, gdy tylko go ruszyliśmy. Jeden palec skruszył mu się zupełnie, odpadając tak, jak odpada popiół z ręcznie kręconego cygara.

– Fuu! – wyrwało się Kazimierze.

– To nic – powiedziałem. – Odrośnie. Chyba.

Wyciągnęliśmy Leifowi klucze z kieszeni dzinsów i postanowiliśmy, że dla jego i mojego bezpieczeństwa lepiej, żeby odbył tę podróż do Tempe w bagażniku. Klaudia zaoferowała się, że pobiegnie z powrotem na parking i wróci jego samochodem.

– Ale nie mówcie mu, panie, potem, co z nim zrobiliśmy – mruknąłem, gdy pakowaliśmy go do bagażnika jaguara. – Coś mi mówi, że by mu się to nie spodobało.

Berta zachichotała nerwowo.

Pożegnałem się z czarownicami i wyraziłem nadzieję, że wkrótce ich sabat dojdzie do siebie i znów urosną w siłę. Był to język dyplomacji i wszyscy o tym dobrze wiedzieliśmy, ale w danej chwili były to jedyne odpowiednie słowa.

Doktor Snorri Jodursson już i tak był u mnie w domu, bo oglądał właśnie *Drużynę Pierścienia* z moją uczennicą, więc odpadło mi szukanie kogoś do opieki nad Leifem. Snorri wpadł na pomysł, że po prostu ograbi jakiś bank krwi, i jeszcze był tak miły, że wsadził mi z powrotem zęby, nim położyłem się za domem, żeby rozpocząć leczenie. Nawet powiedział, że mnie za to nie skasuje.

Gdy szczęśliwy wyciągałem się wreszcie na ukochanym trawniku z zaniepokojonym Oberonem przy boku, pomyślałem, że dobrze by było, gdyby najbliższa przyszłość przyniosła choć odrobinę spokoju. Miałem już serdecznie dość tych ciągłych kłopotów i nieustannego tracenia uszu. Gdybyż tylko chaos zniknął choć na chwilę z mojego życia, mógłbym się wyleczyć, a potem skoncentrować na żałobie oraz planowaniu następnych kroków.

Tuż obok wciąż leżała martwa ziemia, która mnie potrzebowała. Już zbyt długo czekała na moją pomoc.

## Epilog

Bardzo rzadko przyjmuję postać jelenia. Choć jest to największe zwierzę, w jakie mogę się zmienić, na moje potrzeby znajduje się nieco za nisko w łańcuchu pokarmowym i naprawdę nieczęsto się zdarza, by jakaś inna postać nie była bardziej odpowiednia do moich celów. Lecz kiedy moim zadaniem było przetaszczenie ponaddwudziestokilogramowych toreb ziemi kilka mil po dzikim terenie, przybranie postaci jelenia okazało się najlepszym wyjściem.

Granuaile i Oberon wybrali się ze mną i sami też zatargali kilka rzeczy do obumarłej strefy wokół Tony Cabin. Nieśli narzędzia, jedzenie dla nas, moje ubrania i potężną donicę z agawą. Ja miałem założoną uprząż i przypięty do ramion indiański travois, na którym ciągnąłem za sobą ponad dwieście kilo żywej ziemi, bogatej w bakterie i najróżniejsze składniki odżywcze.

Gdy dotarliśmy do skraju martwego obszaru, mało mi serce nie pękło. Byliśmy jeszcze tak daleko od Tony Cabin, a już tu było tyle do uleczenia. Zakładając, że chata znajdowała się w centrum koła, mieliśmy do uzdrowienia około pięćdziesięciu mil kwadratowych. Po drzewach zostały upiorne kikuty, po kaktusach – zeschnięta tkanka na suchych drewnianych żebrach. Na ziemi nieruchomo leżały zupełnie pozbawione wszelkiego życia patyki – żadnych mrówek, żuków, bakterii, grzybów, które powodowałyby rozkład roślin i ubogacały glebę. Ale od czegoś musieliśmy przecież zacząć.

Zrzuciłem formę jelenia i ubrałem się w to, co mi przynieśli Granuaile z Oberonem. Łopatami, które przydźwigała tu moja podopieczna, wykopaliśmy kilka martwych roślin tuż przy szlaku i zrobiliśmy z nich kompost. Potem wykopaliśmy rów łączący żywą ziemię z martwą, raczej głębszy niż szerszy, i wypełniliśmy go ziemią, którą przyciągnąłem. Martwą glebę, którą wykopaliśmy z rowu, przrzuciliśmy na żywy obszar, żeby liście, robaki, trawy i reszta wpełzły na nią i zarosły ją powoli, aż wreszcie odżyje.

Zasadziliśmy też w rowie agawę i podlaliśmy ją kilkoma butelkami wody, licząc na to, że przeżyje to przesadzenie i się ukorzeni.

<I tyle?> spytał Oberon, obwąchując roślinę. <Wygląda tu trochę samotnie, sama jedna, a wokół wszystko martwe. Tyle się narobiliśmy, a ledwo co widać efekty>.

– To dopiero początek, Oberonie – powiedziałem na głos, żeby słyszała też Granuaile. – Najważniejsze to zrobić pierwszy krok.

<Mam na nią nasuszać, żeby się poczuła jak w domu?>

– Może następnym razem. Teraz mogłaby tego nie przetrzymać.

<A nie mógłbyś po prostu odwalić jakiejś druiderii i uleczyć tego obszaru magią?>

– W końcu będę w stanie zwrócić na ten teren uwagę ziemi i pomóc mu w ten sposób, ale teraz nawet ona nie mogłaby tu nic poradzić. Ona działa przez życie, a tu nie ma żadnego życia, nawet bakterii. Dlatego będziemy musieli nanieść tu jeszcze bardzo dużo surowego materiału.

<No, to załatw chociaż jakiś ciężki sprzęt. Wiesz, kilkaset wywrotek czy coś>.

Roześmiałem się.

– Niby jak byś tu wjechał ciężkim sprzętem? Tu nie prowadzi żadna droga. Sam wiesz, jak wygląda szlak. Jest zbyt trudny. A większość tej ziemi to kompletna dzicz, zupełnie niekontrolowany busz.

Oberon popatrzył na szlak prowadzący do Tony Cabin, od której dzieliły nas co najmniej cztery mile, potem spojrzął na samotną agawę u naszych stóp i westchnął.

<To nam trochę zajmie, co?>

– Tak, przed nami kawał roboty, ale nie spocznę, póki tego nie zrobię. Kiedy tu stoję

i próbuję nawiązać kontakt z ziemią, odpowiada mi cisza.

<Oj>. Oberon zadarł łeb, żeby na mnie spojrzeć. <Wiem, że wtedy robi ci się smutno, Atticusie, ale może zamiast tego nawiąż kontakt ze mną. Ja ci zawsze odpowiem. A swoją drogą to cały ten czas miałeś rozpięty rozporek i Granuaile słowa nie powiedziała>.

*Dzięki, chłopie* – powiedziałem mentalnie, usiłując ukradkiem zapiąć dzinsy.

<Widzisz? Obstawiam nie tylko twoje tyły, ale i przody! Zasłużyłem sobie na smakołyk>.

## Podziękowania

Nie wiem, jak to z innymi pisarzami bywa, ale dla mnie skończenie powieści w pięć miesięcy graniczyło z osiągnięciem maksimum prędkości warp i w ogóle byłoby niemożliwe, gdyby nie moi pierwsi, wytrwali czytelnicy: Alan O'Bryan, Andrea Taylor oraz Tawnya Graham-Schoolitz, którzy poświęcili swój bezcenny czas, by przeczytać każdy kolejny, jeszcze ciepły rozdział i podzielić się ze mną celnymi uwagami. Allen Rouser, Mike Ruggiero i Nick Steinkemper także przeczytali moją książkę jako moi pierwsi fani i dali mi znak, że tak mam trzymać.

Katarzynie i Leszkowi Rosińskim zawdzięczam tłumaczenia fragmentów na język polski i rosyjski, a Andrea Hümer pomogła mi z niemieckim. Ale wszystkie błędy są oczywiście moje, a ich tylko to, co poprawne. Detektyw Dana Packer z policji w Lincoln w Rhode Island omówiła ze mną procedury policyjne, które nastąpiłyby po wypadku takim jak Perry'ego. Jeśli fikcyjny detektyw Geffert robi coś nie tak, jak powinien, to tylko dlatego, że może czegoś nie dosłyszałem z wyjaśnień pani detektyw.

Evan Goldfried jest moim agentem specjalnym w JGLM i zawsze jestem pod wrażeniem jego niestrudzonych działań w moim imieniu.

Moja redaktorka w Del Rey, Tricia Pasternak, jest bez wątpienia najbardziej zażytną froną w całej Ameryce Północnej – ale to nie wszystko! Jest też po prostu genialna i bardzo pomocna i w pełni ufam jej opiniom. Jej asystent Mike Braff zasłużył sobie na porządny spangenhelm za wszystkie tortury, które przeszedł z powodu moich żartów. Jemu również jestem bardzo wdzięczny za pomoc.

Zarówno moja żona, jak i córka bardzo mnie przez cały ten czas wspierały i żadne słowa nie opiszą, jak bardzo jestem im wdzięczny za ich miłość, pomoc i za to, że zawsze chciały koniecznie wiedzieć, jaki będzie następny krok Atticusa i Oberona.

Dwupiętrowy budynek, który opisuję w punkcie kulminacyjnym książki, znajduje się w Gilbert na ulicy Germann, a nie Pecos. Zmieniłem nazwę ulicy, bo okoliczni mieszkańcy z niewiadomych powodów wymawiają jej nazwę tak jak słowo *germane*, co nijak się ma do pisowni, a poza tym nie chciałem sugerować, że niemieckie wiedźmy wybrały na miejsce swojej bazy ulicę, której nazwa wskazywałaby na ich narodowość. Z pewnością zanim ta książka zostanie wydana, budynek ten dawno już będzie zajęty, ale przez kilka miesięcy stał niewykończony i pusty, tak jak to opisałem.

Możecie śledzić mnie na Twitterze (@kevinhearne) i na GoodReads.com, a teraz mam także własną wypasioną stronę kevinhearne.com, gdzie znajdziecie też link do mojego bloga. Mam nadzieję, że się tam spotkamy. Dozo!